



AGNIESZKA
KRAWCZYK

Ta opowieść przywraca nadzieję
w dobro drugiego człowieka,
przyjaźń i miejsca z duszą.

Ewa Wachowicz

*Kamienica
pod Szczęśliwą
Gwiazdą*

Uśmiech losu

FILIA

AGNIESZKA
KRAWCZYK

*Kamienica
pod Szczęśliwą
Gwiazdą*

FILIA

Wielkie wydarzenia powodujące nieodwracalne zmiany w życiu czasami zaczynają się od nic nieznaczącej sytuacji. Takiej jak ta, która miała miejsce w połowie lutego przed kamienicą przy ulicy Gwiaździstej na krakowskich Dębnikach.

Najpierw podjechał wóz meblowy, prowadzony przez mocno niezadowolonego z całej sytuacji mężczyznę. Najwyraźniej nie podobało mu się, że musi błędzić po krętych i ciasnych uliczkach tej skądinąd uroczej dzielnicy.

Fakt, o tej porze roku Dębniaki nie wyglądały atrakcyjnie dla kierowców. Na chodnikach zalegał śnieg, który dozorczy pobliskich domów uprzętałi od wczesnego ranka. Ich wysiłki z góry były skazane na niepowodzenie, bo biały puch nieustająco prószył. Tegoroczna zima naprawdę dopisała i nie szczędziła opadów. Na gałęziach drzew i krzewów osiadły czapy świeżego śniegu, który skrzył się wesoło w mroźnym świetle poranka. Z rynien zwisały sople, strącane przez zapobiegliwych gospodarzy domów, a wrony przelatywały z głośnym krakaniem z jednej gałęzi na drugą. Dębniaki mogły się bowiem pochwalić ogromną ilością drzew.

Latem było tu niczym w wielkim parku – zielono, spokojnie i sielsko, inaczej niż zazwyczaj w centrum miasta. Trudno było wprost uwierzyć, że od Wawelu dzieli Dębniaki zaledwie jeden most, podobnie jak od Alei Trzech Wieszców, głównej i wiecznie zakorkowanej arterii miasta. Na Rynek Główny można stąd było przejść spacerem w kwadrans, no, może w dwadzieścia minut. Sercem dzielnicy był inny niewielki rynek, przy którym usadowiły się przepiękne i dzięki zapobiegliwości właścicieli nietknięte zębem czasu kamienice. Spoglądały one wypucowanymi żrenicami okien na warzywno-kwiatowy targ, który rozsiadł się na środku rynku, od rana przyciągając kupujących. Niedawno pojawiły się tu też stoiska ze świeżymi rybami, wyrobami regionalnymi i innymi specjałami, zresztą wszystkie ważniejsze punkty handlowe – piekarnia, delikatesy, szereg drogerii i innych sklepików – usytuowane były w obrębie tego niewielkiego placu, koncentrującego życie mieszkańców dzielnicy.

Od Rynku Dębnickiego promieniście odchodziły ulice. Praska prowadziła wzdłuż Wisły, biegnąc długi czas tuż obok bulwarów, skąd otwierał się zachwycający widok na „drugą stronę” – jak nazywali lewy brzeg rzeki mieszkańcy Dębniak. Zza bulwaru wyłaniała się imponująca bryła klasztoru Sióstr Norbertanek na Salwatorze oraz – w odległym zarysie – Kopiec Kościuszki. Bliżej rynku widać było z kolei zwalisty zarys domu handlowego Jubilat – sklepu-legandy, pierwszego tak wielkiego magazynu w Krakowie, otwartego z wielką pompą pod koniec lat sześćdziesiątych. Zielony neon rozświetlał krakowianom ponure dni ósmej dekady. Teraz wieczorami mrugał wesoło – bo nieustannie w którejś z liter przepalała się żarówka – w kierunku pobliskiego Wawelu, którego najpiękniejsza panorama roztaczała się z Mostu Dębnickiego i bulwaru zwanego Poleskim. Ulica Różana wiodła z kolei w kierunku kościoła na Dębnikach,

którego wieża stanowiła dobry punkt orientacyjny, zaś Barska ciągnęła się hen, za granice dzielnicy, żeby skończyć się gdzieś za rondem Grunwaldzkim, już na Ludwinowie.

Gwiaździsta była niewielką uliczką odchodzącą w bok od Bałuckiego, najszerszej i najbardziej reprezentacyjnej arterii dzielnicy. Żeby się tu dostać, trzeba było skręcić dość ryzykownie w prawo, a potem meandrować wzdłuż pokrzywionego chodnika, bo cywilizacja, a wraz nią remonty, docierała tutaj z dużym oporem. Trudno się było dziwić – na Gwiaździstej stały zaledwie trzy kamienice i to w dodatku z dziwnymi numerami: trzy, dziewięć i jedenaście. Dlaczego tak było – trudno dociec. Zawile oznaczenia utrzymywały się już od wojny i jakoś nie wskazywało na to, żeby coś miało się w tym temacie zmienić.

Wóz meblowy zatrzymał się przed jedenastką – niską, bo zaledwie dwupiętrową przysadzistą kamienicą z mansardowym poddaszem, pomalowaną na kolor żółty, który z biegiem lat spłowieł, stając się brudnym beżem. Nad wykuszem umiejscowionym tuż nad drzwiami wejściowymi wyobrażono ośmioramienną gwiazdę, od której nazwę wziął dom – Kamienica pod Gwiazdą. Wyżej widniała nieco zatarta już dewiza: „Per aspera ad astra”[1].

Mimo niepozorności uliczki Zuzanna Lorenc, która właśnie podjechała taksówką, musiała przyznać, że się jej tutaj podoba. Gwiaździsta miała ten niepowtarzalny małomiasteczkowy urok. Półtoraroczne bliźnięta: Jaś i Basia, zapięte w fotelikach na tylnych siedzeniach, patrzyły na wszystko okrągłymi oczkami i wodziły paluszkami po szybie, gdy zatrzymali się pod domem. Zuza zapłaciła za kurs i pomogła dzieciom opuścić samochód. Po chwili cała trójka stała już na chodniku.

Na widok gwiazdy Basia uśmiechnęła się i wyciągnęła rączki.

– Śliczna gwiazdeczka, Basieńko. Mam nadzieję, że przyniesie nam szczęście – westchnęła matka.

Kierowca ciężarówki odkręcił szybę i wychylił się w jej kierunku, nie kryjąc irytacji.

– Nie wspomniała pani, że to takie miejsce! Przecież tu nie ma jak wykręcić. Jak ja pani te wszystkie kłamoty wyciągnę? Muszę tyłem podjechać, a nie wiem, czy zdołam nawrócić. Ma pani jakiś pomysł?

Młoda kobieta nie dysponowała żadnym. Ostatecznie nie była kierowcą wozów meblowych, tylko pianistką. Nie miała nawet pojęcia o prowadzeniu pojazdów, bo nie posiadała prawa jazdy. Żeby uniknąć dalszego nagabywania i w nadziei, że kierowca sam sobie poradzi z problemem, po prostu wzięła Jasia i Basię za ręce i poszła obejrzeć swoje nowe lokum.

Na szczęście śnieg przestał padać i niebo się rozjaśniło. Po drewnianych schodach weszli na klatkę schodową, w której w promieniach południowego słońca wirował kurz filtrowany przez kolorowe szybki okien. Wyglądało to tak swojsko i radośnie, że Jaś zaczął ze śmiechem ścigać kolorowe zajęczki po posadzce. Na korytarzu zrobiło się głośno i natychmiast z jednego z mieszkań wyjrzała czyjaś zagniewana twarz.

– Proszę ciszej! To nie cyrk ani plac zabaw. Jestem chory i mam prawo odpocząć we własnym domu – zagrzmał mężczyzna koło czterdziestki – jak zauważyła Lorenc – w porannych pantoflach i piżamie. Chyba rzeczywiście hałasy wyciągnęły go z łóżka, gdzie leczył się najprawdopodobniej na grype, o czym świadczyły zaczerwieniony nos i szkliste oczy.

– Przepraszam – kajała się Zuza, choć tak naprawdę chciało jej się śmiać. Mężczyzna wyglądał bowiem niczym ilustracja popularnych dowcipów o chorujących facetach, którym stan podgorączkowy odbiera zdolność logicznego myślenia, a już z pewnością pozbawia poczucia humoru.

– To pani samochód tarasuje ulicę? – zapytał jeszcze nieprzyjaźnie chory, ale nie zaczął na odpowiedź, bo dopadł go nagły atak kaszlu, więc nie chcąc ryzykować dalszego stania w przeciągu, po prostu zatrasnął drzwi z hukiem.

Zuzanna miała nadzieję, że pozostali sąsiedzi nie okażą się tak niemili, jak ten z parteru, bo w przeciwnym razie życie w Kamienicy pod Gwiazdą mogłoby się stać bardzo uciążliwe. Uciszyła bliźnięta, żeby już pierwszego dnia nie wchodzić w konflikt z mieszkańcami wyższych pięter i nie palić mostów na starcie, a potem z mozołem ruszyli w górę.

Zarówno na pierwszym, jak i na drugim piętrze panowała głucha cisza, więc Zuza, pomagająca wspinać się dzieciom, dla których pokonanie schodów wciąż jeszcze stanowiło problem, doszła do wniosku, że lokatorzy przebywają w pracy, jak większość ludzi o tej porze. Ona jeszcze ciągle zajmowała się opieką nad maluchami, miała więc inny rozkład dnia.

Popatrzyła w górę.

Z drugiego piętra schody prowadziły na najwyższą kondygnację, usytuowaną pod mansardowym dachem. Właśnie tam miała od dzisiaj zamieszkać. Trochę się bała, może nawet więcej niż trochę, ale czuła, że zaczyna nowy rozdział i była tym bardzo podekscytowana.

Już miała wkroczyć odważnie na ostatnie stopnie, gdy usłyszała czyjeś kroki, a po chwili z niższego piętra wynurzyła się głowa listonosza.

– Pani spod którego? – zagadnął.

Wyjaśniła, że mieszka tuż pod dachem, czyli na mansardzie.

– Na strychu znaczy się – poprawił ją listonosz. – Pani godność?

– Zuzanna Lorenc.

– Mam i dla pani pisemko – z wielkim ukontentowaniem stwierdził doręczyciel i podał jej kopertę, a wraz z nią kartkę do podpisu.

– Dla mnie? – zdumiała się zapytana. – Ale w jakiej sprawie? Przecież ja tutaj dopiero od dzisiaj mieszkam. Trochę to dziwne, że już dostaję polecane.

– Dla kogo dziwne, dla tego dziwne – filozoficznie orzekł listonosz. – Wszyscy lokatorzy takie otrzymali. Ten biznesmen Nowacki z parteru, panie Werde z pierwszego piętra, nawet ci z drugiego: Olesińscy i ta staruszka Klara Pieniążkiewicz, co tu jest najstarszą lokatorką. Zaraz będą do niej pukał, ale ona jest bardzo ostrożna, boi się, to może mi nie otworzyć.

I rzeczywiście tak zrobił – zaczął dobijać się do mieszkania oznaczonego cyferką siedem, na którym widniała wywieszka: „Klara Pieniążkiewicz – artystka”.

Zuzanna w zamyśleniu rozerwała kopertę, ale niewiele się dowiedziała. Pismo pochodziło z kancelarii notarialnej i wzywało na spotkanie w sprawie własności kamienicy.

– No i co? – Listonosz westchnął. Przerwał bezskuteczne dobijanie się do drzwi artystki, wypisał awizo, po czym wetknął je w szparę w futrynie. – Koło pierwszej przyjdzie do niej opiekunka z pomocy społecznej, to na pewno zauważy tę kartkę – wyjaśnił Zuzie.

Pokazała mu pismo.

– Rozumie pan coś z tego?

Doręczyciel gwizdnął przez zęby.

– Ani chybi chcą was wyrzucić z tej kamienicy. Zawsze się to tak zaczyna, kochaniutka. Pismo od adwokata, słodkie słówka, a potem bach, bach – i po wszystkim, pakuj manatki bracie, bo się znalazł właściciel.

– Ale to pismo nie jest od adwokata, tylko od notariusza – sprzeciwiła się Zuzanna.

Listonosz spojrział na nią z politowaniem.

– W takim razie jeszcze gorzej. Może kamienica już sprzedana? Jedyne wam zakomunikuje, że macie się wynosić z tobołkami w ciągu paru dni.

Młoda kobieta nie była pewna, czy coś takiego jest możliwe, ale nieprzyjemny dreszcz przeszedł jej po plecach. Jeszcze nawet nie ustawiła mebli, a już miałyby się wyprowadzać? Było w tym wszystkim coś niepokojącego.

– No to ja w każdym razie leczę – stwierdził listonosz. – Cześć pracy i czuwaj. Śliczne

dzieciaczki, jak aniołeczki. Chciał pogłaskać Basię po główce, ale dziewczynka się rozpląkała. Wyprostował się więc, poprawił ramię torby na ramieniu, po czym służbowym krokiem pomaszerał w dół po skrzypiących schodach.

– No jak będzie pani szanowna? – odezwał się z półpiętra kierowca dostawczaka. – Mamy wnosić te klamoty? Chłopaki właśnie dojechali i trochę się niecierpliwią.

– Oczywiście, że wnosić! – Zuzanna wychyliła się przez drewnianą balustradę. Nawet nie wiedziała jeszcze, jak wygląda jej lokum, ale nie zamierzała rozdrażniać tragarzy. Byłoby straszne, gdyby ją tutaj po prostu zostawili. Nie miała zbyt wielu rzeczy, ale samodzielne wnoszenie szafy, kredensu i, co gorsza, fortepianu, na – bądź co bądź – trzecie piętro nie było dla niej wykonalne.

– Zobaczmy mieszkanie – powiedziała do dzieci, szukając w torebce klucza.

Jaś wsadził paluszek do buzi i przyglądał się mamie ciekawie, podczas gdy Basia usiłowała wyrzucić na dół przez barierkę. Zuza musiała mieć ją ciągle na oku i trzymać jedną ręką, więc manipulacja w torebce okazała się nader trudna. Na szczęście po chwili znalazła klucz, który wyglądał zupełnie jak z innej epoki. Był duży, długi i ciężki.

– Przynajmniej nie zgubi się w torebce – stwierdziła z humorem, a Basia mądrze pokiwała głową.

Lorenc przez chwilę zastanawiała się, czy dziwny klucz będzie pasował i czy w ogóle zdoła otworzyć drzwi. Zamek jednak puścił i ich oczom ukazało się wnętrze mansardy.

Pracownia na strychu nie była może luksusowym mieszkaniem, ale Zuzanna zakochała się w nim od pierwszego wejrzenia. Właściwie trudno dociec, dlaczego. Czy sprawiły to romantyczne skosy w największym pomieszczeniu, do którego wchodziło się wprost od drzwi, urokliwe sufitowe belki, czy widok z okna otwierający się na zdziczały ogród i niedaleką Wisłę? Miała szczęście, że zobaczyła swoje mieszkanie o takiej porze dnia – gdy przestał padać śnieg i zimowe słońce wpadało przez wielkie okno usytuowane w połaci dachu tuż ponad gzymsem budynku. Szyba sięgała podłogi i Zuza od razu pomyślała, że trzeba ją będzie dobrze zabezpieczyć w trosce o bezpieczeństwo bliźniąt. Pokój jednak, a właściwie duża przestrzeń mieszcząca salon i kuchnię, całkowicie ją zauroczył. Podłoga z pomalowanych na biało sosnowych i – jak się za chwilę okazało – cudownie skrzypiących desek wydała jej się niezwykle efektowna. Poczuli się tu niczym w starej opowieści z dzieciństwa – sentymentalnej, skłaniającej czasem do łez, ale znacznie częściej do wzruszeń i śmiechu.

Było tu jednak bardzo brudno i na to młoda matka nie mogła przymknąć oczu. Ściany na pewno wymagały odmalowania, a podłoga gruntownego oczyszczenia. Gdyby nie konieczność pospiesznej przeprowadzki na pewno coś by z tym zrobiła wcześniej, ale teraz nie było już na to szans – wszelkie zmiany musiała wprowadzać już na miejscu.

– Zobaczmy, co jest dalej? – zapytała trwożliwie, ściskając ciepłe rączki dzieci.

Co ja najlepszego zrobiłam? Wprowadzam się do mieszkania, którego nigdy nie widziałam i nie mam pojęcia, czy wszystko w nim działa. I to z dwójką maleńkich dzieci! – odezwała się rozsądna strona jej natury. Ta druga, żadna nowych doznań, aż wywijiała fikołki z radości, że zaczyna się wielka przygoda.

W końcu moja matka podróżowała ze mną po Indiach, gdy byłam w wieku Jasia i Basi – przypomniała sobie Zuzanna. – Jakoś to przeżyłam i mam się świetnie. Bliźniętom też nie zaszkodzi ta mansarda. Ciasna, ale własna, jak mówi porzekadło.

Odważnie ruszyła w kierunku pierwszych drzwi po prawej. Odkryła tam sympatyczny mały pokój, który od razu przeznaczyła w myślach dla swoich pociech. Okna wychodziły na ogródek sąsiedniej kamienicy, znacznie lepiej utrzymanej i zadbanej. Wyglądało więc na to, że będzie tu cicho i spokojnie. Obok pokoju bliźniąt było niewielkie pomieszczenie z wąskim

oknem. Przy dużej wyobraźni dałoby się tu może wygospodarować ciasny pokój dla jednej osoby, gdyby oczywiście gruntownie posprzątać, a potem odmalować. Na tym kończyły się pomieszczenia z tej strony salonu. Po drugiej stronie Zuza znalazła łazienkę, niezbyt nowoczesną, ale zaskakująco czystą i w dobrym stanie. Odkręciła kurki z wodą i z ulgą stwierdziła, że wszystko działa, nawet wielki piecyk łazienkowy, który zapalił się z cichym sykiem. Obok łazienki była jeszcze mała komórka bez okna, do której młoda kobieta od razu postanowiła wstawić pralkę. I to były wszystkie atrakcje nowego lokum.

– Nieźle – zwróciła się do Jasia i Basi.

– Pani szanowna? To gdzie z tą szafą? – dopytywali tymczasem pomocnicy, którzy z niemałym wysiłkiem właśnie dotarli na poddasze.

Zuzanna rozejrzała się bacznie po wnętrzu. Wierzyła głęboko, że wszystko ma swoje miejsce. Zarówno wypadki w naszym życiu, jak i przedmioty w naszych mieszkaniach. Szafa musiała znaleźć przeznaczony dla niej kawałek podłogi. Ten, w którym będzie jej dane zostać na zawsze, osiąść niczym statek w porcie. Pod ścianą, pomiędzy drzwiami łazienki a komórką, był jaśniejszy kwadrat na podłodze. Tak, kiedyś musiał tutaj stać sporych rozmiarów mebel. Być może właśnie szafa. A zatem to miejsce będzie idealne. W ten sam sposób nowa właścicielka ustawiła biurko, które zajęło jedyne możliwe miejsce – wnękę pod oknem, lekko osłoniętą od jaskrawego światła, a jednocześnie bardzo jasną. Wnęka miała zresztą idealne wymiary, by mogło się w niej zmieścić biurko Zuzanny. Kredens po babci ustawił się samoczynnie niedaleko kuchni. Znalazł sobie takie miejsce przy ścianie, które pozwoliło na oddzielenie kuchni od salonu. Kanapa także szybko zadecydowała, gdzie chce być – na podłodze rysowały się dwa niewielkie wgłębienia po nogach jej poprzedniczki, szybko więc zajęła to miejsce. Największy problem był – tak jak się tego zresztą spodziewała – z fortepianem.

– Dobrze, że schody są szerokie, choć to stary budynek – chwalili tragarze, sapiąc przy wnoszeniu zabezpieczonego folią bąbelkową i kocami filcowymi instrumentu.

– No i że się to zmieściło w drzwi – z ulgą dodała Zuza, której ta sprawa najbardziej spędzała sen z powiek.

– Miała pani sporo szczęścia. Widać, że to dawna pracownia czy jakieś pomieszczenie użytkowe, bo drzwi są przeznaczone do przenoszenia większych przedmiotów. – Jeden z tragarzy wskazał na możliwość złożenia skrzydła drzwi celem poszerzenia otworu.

– Oj tak, z tym fortepianem zawsze były jakieś przygody. – Lorenc pogładziła z czułością ukochany instrument. A był to nie byle jaki dziewiętnastowieczny fortepian salonowy marki Fiodor Mühlbach z St. Petersburga z prześlicznie rzeźbionym pulpitem pod nuty. Matka i ojczym kupili go jej w szkole. Lorenc uwielbiała wyobrażać sobie, do kogo wcześniej należał i gdzie stał. Może stanowił własność jakiejś rosyjskiej księżniczki? Albo zamożnego kupca, którego dzieci uczyły się z wysiłkiem gam i prostych pasaży? A może wręcz przeciwnie – był na wyposażeniu szkoły baletowej, służąc do akompaniowania balerinom? Czasami, podczas długich godzin ćwiczeń, w zapamiętaniu wymyślała historię tego fortepianu. Nie rozstawała się z nim i mimo iż był bardzo kłopotliwym meblem – wozila ze sobą wszędzie.

– A dziecięce łóżeczka i te komódki gdzie dajemy? – Wyrwał ją z zamyślenia jeden z robotników, zadowolony, że przeprowadzka poszła tak sprawnie, bo jego koledzy wnosili właśnie ostatnie kosze i pudła z rzeczami Zuzanny i dzieci.

– Niech na razie zostaną w salonie – poprosiła. – Muszę posprzątać tamten pokój.

– Tutaj też przydałoby się uporządkować – rzucił głośno kierowca, który bacznie oglądał wnętrze. – Nikt tu nie mieszkał pewnie ze dwadzieścia lat.

– Coś koło tego. – Roześmiała się Lorenc, wydobywając z portfela pieniądze, by rozliczyć się z tragarzami.

Mężczyzna wzruszył ramionami.

– Dziwię się pani, że chce pani z dziećmiakami w takiej norze mieszkać. Nie lepiej to sprzedać i kupić sobie kawalerkę w nowych blokach? Cicho, ciepło, wszystko świeże, a tutaj co? Sypie się, niewymalowane i jeszcze pewnie będzie pani musiała węgiel nosić do kominka...

– To tu jest kominek? – Zdumiała się młoda kobieta, bo w pierwszym momencie go nie zauważyła.

– Oczywiście, proszę zobaczyć. – Robotnik poprowadził ją pod ścianę, gdzie rzeczywiście usytuowano kominek. Zapewne właśnie dlatego usadowiła się tam kanapa. Kominek był obecnie zasłonięty jakimiś papierzyskami i starymi kartonami, ale wyglądał naprawdę ładnie. I sprawiał nawet wrażenie czynnego.

– No to mamy prawdziwy dom! – Zuzanna klasnęła w dłonie i spojrzała na dzieci.

Jaś wdrapał się na kanapę i właśnie układał się do południowej drzemki. Basia siedziała pod biurkiem i bawiła się znalezionymi na podłodze drewniankami. Ich matka przyglądała się mieszkaniu z rozmarzeniem i radosnym uśmiechem.

– Pomyłona jakaś, czy co? – rzucił scenicznym szeptem kierowca, który nadal nie mógł zrozumieć, że ktoś widzi urok w tak niepozornym miejscu.

– Ma pani kogoś do pomocy? – zagadnął drugi z tragarzy. – Męża znaczy jakiegoś czy narzeczonego, kogokolwiek? W to mieszkanie trzeba mnóstwo pracy włożyć, żeby je doprowadzić do stanu używalności. Przecież tu nawet dach może przeciekać!

– Dziewczyno, zima w pełni, a ty w takiej ruderze chcesz mieszkać! – dodał jeszcze od progu kierowca, kiwając głową nad brakiem rozsądku Zuzanny.

Ona jednak już nie słuchała.

Roziskrzonym wzrokiem ogarniała swoje nowe małe królestwo. Swoją własny świat. Prywatny. Tylko jej i dzieci. Jak doskonale pasowały tu wszystkie przywiezione rzeczy: te, które podarowała jej matka, pamiątki rodzinne oraz własne, kupione już z myślą o nowym lokum. I była wdzięczna losowi za ten uśmiech. Jej marzenie się ziściło.

[1] *Per aspera ad astra* (łac.) – przez ciernie do gwiazd; Seneka Młodszy, *Herkules szalejący*, 437.

2.



Sprawdzała właśnie, czy ściany w dziecięcym pokoiku wystarczająco wyschły, aby pomalować je jeszcze raz, gdy odezwało się zdecydowane pukanie do drzwi.

Zuzanna rzuciła okiem na bliźnięta – spały jeszcze, zmęczone zabawą, a potem posiłkiem. Malowanie nie przysporzyło jej problemów. Kupiła farbę w sklepie na rynku, gdy następnego dnia po przybyciu do nowego mieszkania zapakowała bliźniaki do wózka i wybrała się po zakupy. Zdecydowała się na delikatny odcień zimnego błękitu. Chciała, żeby dzieci otaczała spokojna barwa nieba.

Pokój był tak mały, że pomalowanie poszło naprawdę szybko i teraz Zuza była wręcz upojona swoim sukcesem. Trzeba przejechać farbą jeszcze raz, aby pozbyć się wszelkich smug, a potem wyszorować podłogę, umyć okna i dzieci będą miały w końcu własne miejsce. Następnie będzie się mogła zabrać za salon. Co to dla niej? Nie ma rzeczy niemożliwych!

Pukanie nasiliło się, więc Lorenc wyplukala ręce nad zlewem w kuchni i poszła otworzyć.

W drzwiach stała dziewczyna, a właściwie młoda kobieta, o regularnych rysach twarzy i niesamowitych jasno-brązowych włosach poskręcanych w miliony sprężynek. Na widok Zuzanny potrząsnęła głową i uśmiechnęła się szeroko.

– Jestem sąsiadką z dołu, nazywam się Jakubowska. Zauważyłyśmy samochód meblowy. Sprowadziłaś się? Jesteś córką profesora Stanisławskiego?

– Pasierbicą – odpowiedziała krótko gospodyni i lekko się skrzywiła.

Dziewczyna z włosami jak sprężyny zdawała się tego nie dostrzegać, tylko ciekawie zaglądała do środka.

– Może wejdiesz na chwilę – zaprosiła ją Zuza.

Sąsiadka wyglądała sympatycznie i matka bliźniąt nie widziała powodów, by nie zacząć nawiązywać normalnych kontaktów, zwłaszcza że okazja sama się nadarzyła.

– Bardzo chętnie. Nigdy tutaj nie byłam, a zawsze mnie ciekawiło, jak ten strych wygląda.

– Mansarda – poprawiła gospodyni.

– Tak, poddasze. Kiedyś nawet wlałam na dach, żeby zajrzeć przez okno, ale mama mnie ochrzaniła. To zresztą było bardzo dawno, jeszcze jak chodziłam do szkoły. Profesor rzadko się tutaj pojawiał. Mama go znała, ale ja to już wcale. Babcia opowiadała, że tę pracownię to dostał w latach siedemdziesiątych i ukrywał się tu w stanie wojennym. Możliwe. Ja w każdym razie urodziłam się dopiero w dziewięćdziesiątym drugim i w ogóle tego nie pamiętam. Ładnie się urządziłaś, ale strasznie tu brudno. Jeśli chcesz, mogę ci pomóc w sprzątanu.

Powiedziała to wszystko na jednym oddechu, a Lorenc spojrzała na nią bardzo zdumiona. Dziewczyna pokiwała głową ze zrozumieniem.

– Wiem, za dużo gadam. Wszyscy tak mówią. Podobno nie pozwalam nikomu dojść do słowa, ale to nieprawda. Jak masz na imię?

– Zuza, a ty?

– Jestem Miranda[2].

– Że jak? – zdziwiła się niezbyt grzecznie gospodyni, a nowo przybyła wybuchnęła śmiechem.

– To przez mojego pradziadka. Był absolutnie zakręcony na punkcie Szekspira i umyślił sobie, że wszystkie dziewczęta w jego rodzie będą nosiły imiona bohaterek z tych sztuk. Dziadek i mój ojciec całkowicie popierali to szaleństwo. Jak możesz sobie wyobrazić, rodzina była liczna i normalne imiona szybko się pokończyły. Moja babcia jest, co prawda, Sylwią, ale mama ma już na imię Ofelia.

– Żartujesz!

Zuza chciała coś jeszcze dodać, ale Miranda jej nie pozwoliła.

– Wcale nie. Nie muszę dodawać, że nie cierpi tego imienia. Wszyscy mówią do niej Fela, co, moim zdaniem, jest równie komiczne. No ale pomyśl: mogła być Hermioną albo Rozalindą. Moja ciotka nosi za to imię Helena, więc całkiem normalnie, choć też z Szekspira.

– To zupełnie niewiarygodne – stwierdziła Lorenc.

Sąsiadka pokręciła głową.

– Nie przesadzaj, może tylko dziwne. Piękny fortepian – zmieniła temat. – To ty wczoraj grałaś?

– Tak, sprawdzałam instrument po nastrojeniu. – Zuza była zdumiona, że dźwięk aż tak bardzo się tutaj niesie.

– Ten dom jest okropnie akustyczny. W łazience słyhać, jak Marta Olesińska przewraca naleśniki w swojej kuchni – tak przynajmniej utrzymuje Helena. Babcia słyszała twoją grę i kazała mi dzisiaj tu przyjść, żeby podziękować. Ona uwielbia *Księżycową*. Ponoć miała wrażenie, jakby aniołowie pojawili się pod naszym dachem. Babcia lubi przesadzać – aniołowie na Gwiazdzistej? Bardzo to poetyczne, nie powiem, ale w tej kamienicy i w takim sąsiedztwie? Szczerze wątpię!

– Dlaczego? – zainteresowała się Lorenc. – Ludzie są tu niesympatyczni?

Miranda skrzywiła się wymownie.

– Gryźnięci.

– Gryźnięci? – Nie rozumiała gospodyni.

– Tak mówi Hela. Po prostu coś ich ugryzło. Powiem ci szczerze, nie kochamy się w tym domu za bardzo. Okropnie sztywne towarzystwo tu mieszka.

Sąsiadka rozejrzała się po salonie i, zauważywszy kanapę, podeszła do niej, a potem rozsiała się wygodnie.

– Może napijesz się czegoś? Kawy? Herbaty? – Zuzanna zaproponowała to z rozbawieniem, bo dziewczyna wydała jej się dosyć niezwykłą osobą. Niekonwencjonalną i niezbyt liczącą się z powszechnie panującymi zasadami.

– Nie, dziękuję, nie będę ci robiła kłopotu. Naprawdę zawsze mnie interesowała ta pracownia. Mama uznała, że mam na jej punkcie obsesję. Wyobrażałam sobie, że tu jest pełno obrazów profesora Stanisławskiego... – To ostatnie dodała z taką pretensją w głosie, że Zuza uznała, iż powinna jakoś się wytłumaczyć.

– Tutaj ich na pewno nie ma. Edmund... To znaczy ojczym nigdy ich tu nie trzymał.

– Ależ na pewno byli! Babcia opowiadała, że długo korzystał z tej pracowni, a w stanie wojennym drukowali tu bibułę, jakieś książki nawet...

Tak. Opozycyjna przeszłość jej ojczyma. Wspaniałe heroiczne lata, które uwielbiał wspominać, żeby się nimi chwalić. Młody wówczas artysta pomagający tworzyć szatę graficzną podziemnych wydawnictw i odbijający na powielaczu ulotki. A obecnie szanowany profesor architektury wewnątrz i właściciel znakomicie prosperującej firmy budowlanej.

– Wszystkie obrazy ma na uczelni albo u siebie w domu. – Lorenc powiedziała to takim tonem, że nawet Miranda zrozumiała, iż nie należy drażnić tematu, o ile chce pozostać z nową znajomą w przyjacielskich stosunkach.

Spłoszona rozejrzała się ponownie po pokoju. Dostrzegła łóżeczka, w których spali w najlepsze Jaś i Basia.

– Dzieciaczki! – Ucieszyła się i natychmiast odruchowo ściszyła głos do szeptu. – Mogę podejść? – zapytała, po czym, nie czekając na zgodę matki, zeskoczyła z kanapy i zbliżyła się do bliźniąt. – Jakie cudowne! – Zachwyciła się szczerze. – Pewnie masz z nimi kupę roboty? No, ale jak trochę podrosną, to się będą bawiły ze sobą, a to już zysk.

– Tak mówią – rzuciła Zuzanna. – Bo może też tak być, że będą się ciągle bić.

– Nie mów tak. Takie cudowne dzieci... To na pewno aniołeczki.

– Owszem, jak śpią...

Roześmiała się, ale naraz coś jej się przypomniało i natychmiast spoważniała.

– Powiedz mi, Mirando, czy tu w okolicy funkcjonują jakieś przedszkola, kluby malucha? Niedługo będę musiała zacząć rozglądać się za pracą, więc...

– Kim jesteś z zawodu? Grasz w jakim zespole? – przerwała jej w swoim stylu sąsiadka.

– Tak, jestem pianistką. Do koncertowania chyba już nie wrócę, ale mogłabym na przykład uczyć muzyki. Tylko nie wiem, czy mi się uda. Ciężko znaleźć taką pracę w środku roku szkolnego.

Dziewczyna o szekspirowskim imieniu zmarszczyła brwi.

– Przy rynku widziałam przedszkole. Nie wiem, czy są tam jakieś miejsca, bo nigdy się tym nie interesowałam, ale mogę zapytać moją kierowniczkę. Ona zna tu wszystkich i na pewno wie.

– A ty czym się zajmujesz? – zacięła się Zuza.

– Według mojej matki niczym. Pracuję w bibliotece na część etatu. Organizuję warsztaty dla dzieci, kataloguję zbiory, przygotowuję gazetki ściennie, wypożyczam książki. Takie tam, niewielkie rzeczy za małe pieniądze. Mnie to jednak bardzo cieszy. Praca jest ciekawa i w różnych godzinach, nie można się nudzić. No i udaje mi się wygospodarować czas, żeby zająć się babcią na zmianę z Heleną.

– Babcia jest chora? – ostrożnie zapytała Lorenc.

Miranda pokręciła głową.

– Po prostu słaba. Ma prawie osiemdziesiąt lat i niemal wcale nie wychodzi z domu, boi się. Niedowodzi, więc lubi, kiedy jej się czyta książki albo puszcza muzykę z płyt. A rozmawiać

mogłaby godzinami. Jest bardzo towarzyska i niesamowicie pogodna. Babcia Sylwia to najlepszy człowiek na świecie. Musisz ją koniecznie poznać, zresztą zapraszamy cię do nas jutro na śniadanie.

– Bardzo dziękuję, chętnie przyjdę. – Ucieszyła się Zuza, którą już zainteresowała ta rodzina.

Sąsiadka oderwała się od łóżeczek bliźniąt i ponownie przemaszerowała po salonie.

– Mów, co chcesz, ale ja uważam, że tu jest masa do zrobienia. Pomagałam przy remoncie czytelnicy, to wiem. Trzeba pomalować, uszczelnić podłogę i koniecznie naprawić okna. Nie mam też pojęcia, w jakim stanie jest ten kominek. Jeżeli zima będzie dalej trzymać, zamarzniecie tu na amen. Strach pomyśleć, co się będzie działo, a w tym domu nie ma przecież żadnego administratora, nie będzie się nawet komu poskarżyć!

– Jak to? – Nie rozumiała gospodyni. – Przecież każdą nieruchomością ktoś zarządza. Płaci się czynsz, ktoś sprząta i tak dalej.

– No właśnie: „i tak dalej”. U nas nie ma żadnego „dalej”. To jest przedwojenna kamienica z przedwojennym właścicielem. A to oznacza, że nie wiadomo, do kogo należy. Ten zarozumiały bufon z parteru, Nowacki, co to ma sieć restauracji, chciał ją nawet kupić i dowiadywał się w urzędzie. Ale ponoć dom nie jest na sprzedaż. Przed laty administrowała nim spółdzielnia mieszcząca się nieopodal rynku, a potem powieździeli, że sami mamy się nią zajmować, sprzątać i robić naprawy. No więc Nowacki wymyślił, że trzeba założyć specjalne konto, na które będziemy wpłacać pieniądze z przeznaczeniem na te wszystkie rzeczy. Taki czynsz, jak wcześniej do spółdzielni. I tak to właśnie działa. Jeśli ci się zatem kominek popsuje lub rynna przedziurawi, to do kogo masz zadzwonić po pomoc? Do Nowackiego? Do banku, gdzie jest konto? No właśnie... Wszystko musisz załatwić sama. To okropnie niewygodne i pewnie dlatego ta kamienica wygląda jak wygląda, a wszyscy patrzą na siebie wilkiem. Każdy uważa, że robi więcej niż pozostali, a pieniądze przydałyby się na zupełnie inne rzeczy.

– Aż tak nie możecie się dogadać? – Nie rozumiała Zuza.

Zbliżała się pora podwieczorku i bliźnięta zaczęły już przeciągać się w łóżeczkach. Poszła więc do kuchni, przygotować im przekąskę. Miranda podreptała za nią.

– Nowacki mieszka przykładowo na parterze, prawda? No to on by chciał, żeby ciągle naprawiać drzwi wejściowe, bo mu wieje, a poza tym każdy trzaska, jak wchodzi. Pani Pieniążkiewicz przeszkadzają rynny. Wiesz, ona mieszka z brzegu i rzeczywiście ma taki pokój, gdzie krzyżują się rynny. Ty z kolei zajmujesz lokal pod dachem, mogłabyś więc cały czas domagać się pieniędzy na remont poszycia. Tak właśnie u nas jest. Olesińscy z drugiego piętra cały czas gadają tylko o schodach, żeby je wymienić, a najlepiej zainstalować windę. Windę w dwupiętrowym przedwojennym domu! Chyba na głowę upadli.

– A wy? Czego wy byście chcieli? – zainteresowała się mało dyskretnie Lorenc.

Miranda wzruszyła ramionami.

– My chyba świętego spokoju. Za to Helena...

– Co z nią?

– Jej zależy na sklepie.

– Twoja ciotka prowadzi sklep? Gdzieś w okolicy?

Jakubowska pokręciła głową, a potem poprowadziła sąsiadkę do okna. Latarnie dobrze oświetlały całą okolicę.

– Widzisz tutaj po prawej podwórko naszej kamienicy? Sąsiaduje z tym drugim domem, pod dziewiątką. We wspólnym podwórku kiedyś była pralnia. Babcia mówiła, że to się nazywało „pralnia paryska”, choć Bóg jeden raczy wiedzieć, dlaczego. Po pralni nie zostało nawet wspomnienie, bo kto teraz pierze bieliznę poza domem, chyba tylko biznesmeni na delegacjach,

a tych u nas raczej nie uświadczysz, więc lokal od wieków stoi pusty. Hela chce tutaj założyć sklep i swoją manufakturę.

– Manufakturę? Czego? – Lorenc spróbowała sobie wyobrazić ciotkę Mirandy. Po tym wszystkim, czego już się dowiedziała o szekspirowskiej rodzinie, wyobrażała ją sobie jako krzepką gospodynię zajmującą się domowej roboty przetworami i wypiekami. Może Helena zamierzała stworzyć sklep z marmoladą i konfiturami albo jeszcze lepiej – cukierenkę z przepyszными ciastami? To byłaby wspaniała wiadomość! Latem Zuza mogłaby wpadać z dziećmi na kawę i coś pysznego, właściwie nie wychodząc z domu. A gdyby krewna nowej znajomej sprzedawała również bułki, co rano mieliby świeże pieczywo.

– Mydło. – Wyrwała ją z tych rojeń sąsiadka. – Hela zamierza wytwarzać mydło.

– Poważnie? – Zuza zdumiała się po raz kolejny tego popołudnia.

– Otóż niestety tak. Helena wyznaje taką teorię, że ten, kto potrafi robić mydło, może podbić cały świat.

– Ciekawe – mruknęła ostrożnie gospodyni. Ciotka Mirandy zaczynała zmieniać się w jej wyobrazeniach w rewolucjonistkę.

– Jeszcze jak! Hela robi naprawdę wspaniałe mydło. Chciałaby go produkować więcej, sprzedawać w swoim sklepie. Umyśliła sobie, że założy go właśnie w starej pralni. Wiesz, pralnia, mydło, to nawet jakaś kontynuacja. No, ale nie wiadomo, jak będzie...

– A co się stało? – Nie rozumiała Lorenc. – Sąsiedzi się nie zgadzają? Przecież to nie jest uciążliwa produkcja. Chyba nie wiąże się z jakimiś szkodliwymi dla zdrowia dodatkami?

– No coś ty! Każdy w domu ma mydło. Niebezpieczny jest wyłącznie ług, ale ciotka umie się z nim obchodzić, możesz być pewna. Oczywiście sąsiedzi nie byli szczęśliwi, że coś się tu zmienia, choć w końcu zgodzili się wydać jej klucze do pralni, ale najgorsze są te problemy własnościowe. Czyj jest ten lokal? Kto może z niego korzystać i na jakich warunkach? Jednym słowem – kołomyjka.

– Może pismo, które otrzymałyśmy, rozwiąże sprawę? – zadumała się Zuza, biorąc Basię na rękę, bo mała przebudziła się i zaczęła płakać.

– Też dostałaś? Mama strasznie się tym przejęła. Jest pewna, że nas wyrzucą. Helena z kolei uważa, że to niemożliwe.

– A babcia?

– Babcia w ogóle się tym nie interesuje. O właśnie... – Popatrzyła na zegarek. – Muszę iść, żeby zrobić jej herbatę. Opowiem jej o tobie, ucieszy się. Mam do ciebie prośbę: zagraj potem coś ładnego, babcia będzie zachwycona.

– Mogę zagrać, nie ma problemu. Jakieś życzenia?

– Najbardziej lubi *Popołudnie fauna* Debussy'ego, muszę bez przerwy włączać tę płytę.

– Tylko że to jest utwór symfoniczny, nie fortepianowy – wyjaśniła Zuzanna, wsadzając Basię do krzeselka i podając jej serek z owocami. – Mam jednak dla twojej babci coś specjalnego.

– Ale co? – spytała z ciekawością Miranda.

– Zobaczysz, niech to będzie niespodzianka.

– Dobrze. Zatem lecę. Wpadnij jutro rano koło dziewiątej, oczywiście z dziećmi. Będziemy czekały.

– Do zobaczenia.

Kiedy już Miranda zniknęła za drzwiami, Zuza się roześmiała. Zabawna dziewczyna. Jeżeli wszyscy „gryźniści” sąsiedzi mieliby się okazać tacy jak ona, byłoby naprawdę świetnie.

Jaś także się obudził i zaczął wyciągać rączki. Matka wyjęła go z łóżeczka, po czym posadziła w drugim krzeselku.

– Pora na podwieczorek. Ja także zasłużyłam na kawę.

Nakarmiła dzieci, a potem przeniosła się z nimi na wielką matę do zabawy, którą dla wygody rozłożyła przed kominkiem. Basia od razu zaczęła się przemieszczać w kierunku pluszaków, a Jaś zajął się grającą książeczką.

Rozejrzała się po salonie. Miranda niestety miała rację. Pomieszczenie, choć z dużym potencjałem, prezentowało się na razie niezbyt wystrzałow. Zuza westchnęła. Oby wystarczyło pomalowanie ścian. Jeżeli kominek jest uszkodzony lub, nie daj Boże, zepsuty, może nie starczyć jej pieniędzy i wtedy będzie musiała poprosić kolejny raz o pomoc Edmunda, a na to nie miała zbyt wielkiej ochoty.

Poza tym nie wiadomo, co się kryło za dziwnym zawiadomieniem od notariusza. A jeżeli rzeczywiście znalazł się właściciel i zechce ich wyrzucić?

– Wystarczy, że podniesie czynsz – powiedziała na głos, robiąc zabawną minę do Jasia, który roześmiał się i zaczął machać rękami. – Wtedy i tak będę się musiała wyprowadzić.

Nie. Postanowiła nie dawać się czarnym myślom. Taką w końcu miała receptę na lepszą część życia, którą właśnie zaczynała. Żadnego martwienia się na zapas i ulegania złym nastrojom. Podobno nie można się zmienić na zawołanie i ze smutasa przeobrazić się w wesołka, a z czarnowidza w optymistę, ale ona postanowiła dokonać w sobie właśnie takiej metamorfozy. „Nie oglądaj się za siebie i nie myśl o tym, co złe” – takie hasło kazała wypisać na etui telefonu komórkowego, gdy zmieniała numer. Tym samym chciała się całkowicie odciąć od niedobrych emocji i poprzedniego życia. Od czekania i zaklinania losu.

Jaś pisał, więc Zuzanna uznała, że pora na kolację i kąpiel. Czas z dziećmi upływał jej szybko i – co tu kryć – to zajęcie uspokajało ją. Lubiła patrzeć, jak bawią się przekładaniem klocków, czy pokazywać im obrazki w książeczkach. Razem rysowali albo starali się lepić zwierzątka z plasteliny. Miała wtedy wrażenie, że sama wraca do dzieciństwa, w dodatku może to robić całkowicie bezkarnie.

Wielka żeliwna wanna była co prawda mocno leciwa, ale w doskonałym stanie. Raczej rzadko ktoś z niej korzystał, w końcu pracownia stała pusta przez wiele lat. Wyszorowana i wybielona prezentowała się naprawdę dobrze i – co ważne – bez trudu mieściła wielką plastikową wanienkę, w której Zuza sadzała dzieci. Jasiowi i Basi kleiły się już oczy, gdy układała ich w łóżeczkach. Włączyła delikatną muzykę i poczekała, aż zasną. Dopiero wtedy zabrała się za porządkowanie pokoju. Gdy usypiały na dobre, nic nie było ich w stanie wybudzić.

Wyjrzała przez okno na podwórze. Dawno zapadł już mrok. W ciemnościach zimowego wieczoru, oświetlany tylko punktowym światłem, zaniedbany ogród wyglądał fantastycznie. Suche badyle pokryte czapami śniegu sprawiały co prawda nieco przygnębiające wrażenie, ale płatanina gałęzi dzikich drzew i krzewów miała w sobie coś urzekającego. Szkoda, że nikt nie dbał o to miejsce, bo niewielkim nakładem pracy można by zrobić z niego prawdziwą perełkę. Z któregoś z mieszkań na parterze na pewno było wyjście do ogrodu i Zuzannę ciekawiło, kto z lokatorów tak zapuścił ten teren.

Może ten biznesmen Nowacki, o którym wspominała Miranda? – zastanowiła się. Taki człowiek na pewno nie ma czasu na tępienie chwastów i przycinanie drzew. Działająca w amatorski sposób wspólnota mieszkańców także zapewne nie była skłonna przekazywać środków finansowych na utrzymanie zieleni. Na pewno były pilniejsze potrzeby. Ogród więc dziczał i niszczał, stając się powoli zupełnie niedostępnym miejscem. Teraz, gdy drzewa straciły liście, a ziemię przykrywała warstwa śniegu, można było z grubsza zorientować się w pierwotnym założeniu tego miejsca. W świetle ulicznej latarni Zuzanna widziała, że ktoś musiał przed laty wytyczyć alejki i klomby, istniał nawet jakiś niewyraźny zarys architektury ogrodowej, być może sadzawki? Szkoda jednak, że obecnie tak to wszystko marnie wyglądało.

Z drugiego okna salonu widać było z kolei podwórko oficyny, w której Helena chciała zlokalizować swój sklep. Gdy Zuzanna wysiliła wzrok, dostrzegła kontur starego szyldu pralni. Była bardzo ciekawa tego miejsca i obiecywała sobie wszystko dokładnie zbadać następnego dnia.

Na razie jednak wróciła do pokoiku dzieci. Ściana przeschła, postanowiła więc pomalować ją jeszcze raz. Kiedy skończyła, z satysfakcją obejrzała swoje dzieło. Miała nadzieję, że wkrótce wszystko wyschnie i będzie mogła posprzątać, a potem ustawić tam meble bliźniat.

Popatrzyła na ich spokojne i szczęśliwe twarze i ją także ogarnął spokój. Miała wreszcie przekonanie, że podjęła właściwe i jedyne możliwe decyzje.

Wzięła prysznic, przebrała się, a potem usiadła do fortepianu. Chwilę trzymała dłonie na klawiaturze, a potem spod jej palców popłynęła czarodziejska muzyka *Clair de lune* Claude'a Debussy'ego. Księżyc zbliżył się do okna ciekawie, oświetlając swym bladym światłem resztki ogrodowej sadzawki z niewielkim posągami na środku. Na krótką chwilę to miejsce stało się dziwnym widmowym światem z innej epoki.

Skupiona na grze Zuza nie miała pojęcia, że wydobywające się spod jej palców dźwięki zaczarowały ogród. Nie wiedziała też, że pani Klara Pieniążkiewicz wyglądająca przez okno swojego mieszkania aż krzyknęła ze strachu, jakby zobaczyła ducha. Ten widok, niezwykle migotliwe światło, przypomniał jej o czymś, co dawno już chciała pogrzebać w pamięci.

Pani Klara westchnęła i odeszła od szyby. Drżącymi dłońmi sięgnęła do szuflady bieliźniarki i z wysiłkiem wydobyła spod sterty nieużywanych obrusów kopertę ze zdjęciami. Zaczęła je przeglądać. Po chwili fotografie wypadły jej z dłoni i rozsypały się wokół niej jak wyblakłe czarno-białe płatki zapomnianych kwiatów. Pani Klara patrzyła na nie zamglonym wzrokiem i oddychała z wysiłkiem. Z poddasza wciąż dobiegały cudowne dźwięki fortepianowej muzyki.

[2] Miranda to postać z *Burzy* Wiliama Szekspira. Potem kolejno wymieniane są bohaterki dramatów: *Dwaj panowie z Werony* (Sylwia), *Hamlet* (Ofelia), *Opowieść zimowa* (Hermiona), *Jak wam się podoba* (Rozalinda) i *Sen nocy letniej* (Helena).

3.



Następnego dnia rano, tuż przed dziewiątą Zuzanna zeszła na dół i zapukała do drzwi oznaczonych tabliczką: „Izydor Werde – inżynier”. Miranda otworzyła jej prawie od razu.

– Super, że jesteś. Babcia się ucieszy. Ja wezmę Basię – powiedziała jednym tchem i wyciągnęła ręce, żeby odebrać dziewczynkę.

Zuzanna przekazała jej dziecko z wdzięcznością, bo już trochę trudno było jej dźwigać oboje, a ze stromych schodów schodzili wciąż dosyć nieporadnie.

Mieszkanie było obszerne i niemiłosiernie zagracone. Widać, że różne pamiątki gromadzono tu od wielu lat. Na ścianach wisiały grafiki i obrazy, a na dosyć bezładnie ustawionych meblach stało pełno bibelotów i książek. Ktoś wyraźnie próbował okiełznać ten chaos, ale nie bardzo mu się to udawało.

Miranda poprowadziła Zuzę i bliźnięta do wielkiego salonu, gdzie przy stole siedziały dwie kobiety, a sama szybko zniknęła w kuchni. Lorenc bezbłędnie rozpoznała matkę dziewczyny. Ofelia miała identyczne włosy poskręcane w sprężynki, tylko w dużo jaśniejszym odcieniu. Była przy tym szczupła, wysoka – wyglądała na stanowczą i surową. Druga osoba przy stole stanowiła jej całkowite zaprzeczenie i młoda matka domyśliła się w niej ciotki Heleny. Sprawiała intrygujące wrażenie: średniego wzrostu o krótko ostrzyżonych czarnych włosach, których końcówki pofarbowała na fioletowo. Jej twarz zdradzała wszystkie emocje właścicielki, zupełnie inaczej niż u posągowej Ofelii. Helena od pierwszego wrażenia wydawała się być niesamowicie żywiołowa i spontaniczna, a ponieważ nieustannie przestawiała różne przedmioty na stole, Lorenc nie miała wątpliwości, że to ona tworzy nieład, z którym jej siostra stara się walczyć.

– Ty jesteś pewnie naszą nową sąsiadką, a to twoje urocze szkraby: Jaś i Basia, prawda? Wszystko wiemy od Mirandy – perorowała entuzjastycznie na widok wchodzących i od razu

zerwała się z miejsca, żeby ich powitać. – Mów do mnie Helena, nie lubię tych wszystkich głupich formułek, bo czuję się jak w szkole albo w urzędzie.

– A tak, wydaje ci się, że wciąż masz szesnaście lat – rzuciła z przekąsem jej starsza siostra. – Jestem Ofelia Werde-Jakubowska, miło mi panią poznać, przepraszam, ale za kilka minut powinnam wychodzić do pracy. Niektórzy w tym domu muszą zarabiać. – Popatrzyła znacząco na Helenę, która wzruszyła ramionami, po czym usiadła z rozmachem za stołem.

– Ty to nazywasz pracą? – powiedziała wzgardliwie, na co siostra obrzuciła ją nieprzyjaznym spojrzeniem. – Tkwisz przy biurku w jakiejś dziwnej instytucji i przewracasz papiery z jednej kupy na drugą.

– Lepsze to niż snucie fantazji i robienie nierealistycznych planów. Czas dorosnąć, Heleno, wziąć odpowiedzialność za swoje życie.

– Nie truj, zwłaszcza przy gościach. Co Zuza sobie o nas pomyśli? Już się zorientowała, że jesteś drętwa i nudna, ale może o reszcie rodziny ma na razie odrobinę lepsze zdanie. – Ciemnowłosa kobieta zaśmiała się nerwowo.

Jej siostra wzięła tymczasem z komody torebkę i wyszła, nie żegnając się z nikim. Lorenc uderzyło, że prawie nie przyjrzała się jej dzieciom – bliźnięta zawsze budziły zainteresowanie swoimi pogodnymi twarzyczkami i sympatycznym gaworzeniem, bo nie mówiły jeszcze zbyt wielu słów. A tu proszę – nowa sąsiadka prawie nie zaszczyciła ich spojrzeniem. Wydało się jej to trochę dziwne i chyba nie wróżyło zbyt dobrze na przyszłość. Może kostyczna pani Jakubowska nie lubiła małych dzieci?

Gdy tylko Ofelia opuściła pokój, błyskawicznie zniknęło napięcie, jakie wcześniej dawało się tu wyczuć. Zuzanna od razu się zorientowała, że w tej rodzinie to matka Mirandy stawia wymagania. Tyle że nie wszyscy chcą lub mogą im sprostać.

– Przepraszam za siostrę. Miewa muchy w nosie – stwierdziła z przekąsem Helena. – Zaprowadzę cię do mamy, bo bardzo chciała cię poznać. Zjemy u niej, dobrze? Zwykle tak robimy, żeby nie czuła się samotnie. Miranda wszystko przygotowuje, dzisiaj jej kolej. Jeżeli pozwolisz, poprowadzę za rękę jedno z dzieci, są takie kochane.

Pokój seniorki rodu prezentował się zupełnie inaczej niż reszta mieszkania. Był starannie uprzątnięty, bez ani jednego zbędnego sprzętu. Gdy weszły, Miranda kończyła właśnie wygładzanie pościeli na łóżku babci. Pani Sylwia siedziała na bardzo ładnej otomanie w stroju porannym, czyli koszuli nocnej przypominającej bardziej suknię niż odzież do spania, i równie eleganckim szlafrocisku.

– Witam panią w naszym domu. – Wyciągnęła do nowo przybyłej drobną dłoń poznaną siateczką zmarszczek. – Jest pani córką Edmunda Stanisławskiego?

– Pasierbicą. Nazywam się Zuzanna Lorenc.

– Lorenc? Czy nie było kiedyś takiej śpiewaczki operowej? Zaraz... Jak ona miała na imię? Łucja?

– Tak, ma pani doskonałą pamięć. To moja matka – wyjaśniła niezbyt chętnie nowa sąsiadka.

– Wspaniały głos! – zachwyciła się Sylwia. – Zupełnie niezwykły. Teraz rozumiem już, skąd u pani te uzdolnienia muzyczne. Przy okazji dziękuję za koncert. Uwielbiam Debussy'ego, to mój faworyt. Niestety, nie nadarza mi się już okazja, by słuchać muzyki na żywo.

– Za to masz mnóstwo płyt i katujesz nas nimi od rana do wieczora – uzupełniła Helena.

– Ty się, dziecko, w ogóle nie znasz na muzyce. Nigdy się nie znałaś, nad czym ubolewam. Swoją drogą, jestem ciekawa, pani Zuzanno, jakim cudem na tym strychu zmieścił się fortepian? Jak w ogóle udało się go wnieść po schodach?

– Z trudem. – Lorenc się roześmiała.

– W to nie wątpię. – Kiwnęła głową starsza pani. – Robotnicy na pewno nie byli zadowoleni. Ja natomiast jestem. Bardzo się cieszę, że w końcu ktoś zamieszkał na górze.

– Tak, szczególnie w trosce o dach – dodała z przekąsem Helena. – Trzeba nieustannie kontrolować, czy nie przecieka. Do tej pory wyłaziłyśmy tam na zmianę z Mirandą...

– Ja mam lęk wysokości – zastrzegła się Zuza.

– Możesz po prostu obserwować, czy na suficie nie robią się plamy – wyjaśniła ciemnowłosa sąsiadka. – Do tej pory nie miałyśmy dostępu do tej części kondygnacji. Poza tym przez to zamieszanie z własnością domu nikt nam nie chce pomóc w remoncie. Tak samo jest z ulicą. Chodnik, asfalt przed domem – wszystko w opłakanym stanie.

– Tym akurat powinna się zająć rada dzielnicy – oświadczyła z przekonaniem Lorenc. – Takie rzeczy pozostają chyba w kompetencji miasta, prawda?

– Rada dzielnicy... – Wydęła wargi młodsza pani Werde. – Ostatnio dowiedziałam się zupełnie przypadkiem, że jednym z radnych jest Szarotka!

– Jaka Szarotka? – Nie mogła zrozumieć Sylwia.

– Nie jaka Szarotka, tylko jaki. Mikołaj Szarocki, zwany Szarotką. Chodziłam z nim do klasy, na pewno pamiętasz. Nie było większego głupka. Szczerze wątpię, żeby w ogóle nauczył się pisać! Całymi dniami grał w piłkę, a zimą w hokeja. I on teraz jest radnym? Śmiechu warte! Jeśli w tej radzie mają urzędników podobnych do niego, to raczej mi kaktus na dłoni wyrośnie, niż oni nam tu cokolwiek wyremontują.

– Może Szarotka nauczyła się pisać. Minęło w końcu dwadzieścia lat od czasów szkolnych – rzuciła Sylwia, z humorem mrugając do Zuzy.

– Szarotka był wyjątkowo odporny na wiedzę. Rzekłabym – impregnowany. Raz nasza polonistka, nazywaliśmy ją Ziuta, bo nosiła nazwisko Józefowicz, powiedziała do niego (ponieważ odpowiedział prawidłowo na jakieś pytanie z gramatyki): „Widzę, Szarocki, że zaczynasz myśleć”, a Szarotka na to: „Wcale nie!”. Taki właśnie był. Jeśli mu to zostało do dzisiaj, czarno widzę przyszłość naszego chodnika!

Seniorka rodu śmiała się, wyciągając ręce do Jasia i Basi.

– Jakie cudowne buzie. Bardzo mi tu brakuje maluchów. W naszej kamienicy w ogóle nie ma dzieci – poskarżyła się.

– Olesińscy to chyba by mogli mieć dzieci, prawda? – rzuciła Miranda, wnosząc do pokoju tacę. – Może nie chcą?

Jej ciotka wzruszyła ramionami.

– Wątpię, czy oni się nadają na rodziców. Zajęci są wyłącznie swoim pieskiem. A Jacek Nowacki nie lepszy. W ubiegłym roku rozstał się z żoną. Nie wytrzymała z nim kobieta.

– Przestań, Helenko, nie wolno źle mówić o ludziach. – Próbowała ją zmiękczyć matka. – Po co rozsiewać plotki?

– Może kłamię? – obruszyła się córka. – Nowacki też chodził ze mną do szkoły. Był dwa lata wyżej. Straszny bufon i zarozumialec. Jego rodzice mieli willę na Ogrodowej, niedaleko stąd. Kiedy się dowiedziałam, że sprowadza się do naszej kamienicy, od razu pomyślałam sobie, że to dopust Boży...

– Ale tę żonę miał w porządku – wtrąciła się najmłodsza z kobiet, ustawiając przed każdym jajko na miękko.

Sylwia sięgnęła po chleb i kiwnęła głową.

– Mirando, jeszcze przynieś kawę – upomniała wnuczkę, a ta szybko poderwała się od stołu.

– Żona była fajna, dlatego puściła go w trąbę – oznajmiła Helena, smarując sobie bułkę masłem. – Czy bliźnięta lubią biszkopty? Mamy specjalnie dla nich.

– Na pewno chętnie zjedzą – zapewniła Zuzanna i zaraz wróciła do tematu Nowackiego, bo coś ją od wczoraj nurtowało. – Czy to z jego lokalu jest wejście do ogrodu?

Miranda, która przyniosła dzbanek z kawą i postawiła go na podgrzewaczu, zmarszczyła brwi.

– Właściwie tak. Taras na parterze jest dostępny z obu mieszkań.

– Tylko że schody nie są od strony Jacka – uzupełniła Helena. – No, ale ponieważ ten drugi lokal od lat stoi pusty, to i barierka dzieląca obie części balkonu gdzieś przepadła. Zatem można powiedzieć, że Nowacki został panem całego tarasu i ma zejście do ogrodu.

– Naprawdę nikt tam mieszka? – zaciekała się Zuza, której trochę trudno to było pojąć.

– Tak... – Włączyła się do rozmowy najmłodsza z gospodyń, która oceniła, że już wszystko przyniosła, i rozsiadła się w końcu przy stole. – To jakaś strasznie stara sprawa, chyba jeszcze sprzed twojego urodzenia, Heleno, tak mi się przynajmniej wydaje. Na stałe tam nikogo nie ma już chyba ze trzydzieści pięć lat.

– Coś koło tego. – Zmarszczyła brwi ciotka. – Fela wspominała, że rodzina, która zajmowała to lokum, wyjechała za granicę w stanie wojennym, a potem nie wróciła.

– Nie do wiary. – Pokręciła głową Zuzanna i podała Basi biszkopcik. – I przez tyle czasu nikt się nie interesował mieszkaniem? W takiej lokalizacji?

– Oczywiście, że się interesowano, jakże by inaczej. – Sylwia się roześmiała. – Przez kilka lat byli tu jacyś lokatorzy. Jakoś wtedy, kiedy Helenka chodziła do szkoły, albo później, jak wyjechała za granicę. Nikt jednak nie zagrzezał tu miejsca na dłużej.

– Nawiedzony lokal – mruknęła Miranda, dokładając sobie konfitur. – Pamiętasz, Hela, zawsze mówiłyśmy, że tam straszy.

– No, ktoś się przechadza nocami po pokojach, skrzypią podłogi, pojawia się czarna łapa, która dusi. – Ciotka pękała ze śmiechu. – Fela nie znosiła naszych wygłupów.

– Nowacki chciał swego czasu kupić to lokum. Chyba z tą myślą wprowadzał się na parter naszej kamienicy – objaśniła Sylwia. – Wiem, że próbował nawiązać kontakt z właścicielami lub ich spadkobiercami, ale wydaje mi się, że nic z tego nie wyszło.

– No, a potem Jacka rzuciła żona, więc w ogóle przestał sobie zawracać głowę powiększaniem przestrzeni życiowej – wesoło dodała jej córka.

– Może dlatego go rzuciła, że nie umiał tego załatwić? – zastanowiła się Miranda. – Wiesz, Hela, takie ultimatum: albo przejmiesz cały parter domu, albo znikam.

– I zniknęła.

– Jak kamfora!

– Dziewczęta, jesteście okropne – mitygowała je seniorka rodu. – Zachowujecie się jak małe dzieci.

– Babciu, my jesteśmy małe dzieci – stwierdziła Miranda.

Starsza pani pokiwała smutno głową.

– To mnie właśnie martwi. Nie usamodzielniacie się, tylko wciąż funkcjonujecie w tym domu jak dwie nastolatki. Fela ma rację, Helenko – czas dorosnąć.

Ciemnowłosa kobieta zmarszczyła brwi. Widać, takie rozmowy zdarzały się już w tej rodzinie, ale chyba nigdy nie prowadzono ich przy gościach. Obrzuciła Zuzannę niespokojnym spojrzeniem, a potem zwróciła się do Sylwii:

– Mamo, rozmawiałyśmy o tym tysiące razy. Muszę po prostu odnaleźć swoją drogę w życiu...

– No właśnie, to są kluczowe słowa: „tysiące razy”. Ty, Heluniu, nieustannie szukasz, zmieniasz koncepcje i sposoby na życie. Kiedy wreszcie z tym skończysz?

– Nie wiem. Być może nigdy. I naprawdę nie uważam, że powinnyśmy prowadzić tę

rozmowę przy Zuzi. Było tak miło...

– Ja w dalszym ciągu sądzę, że jest miło. Nie mam wrażenia, że pani Zuzannie jakoś to przeszkadza. Przed chwilą docinałyście Nowackiemu, ile wlezie. Teraz możemy porozmawiać o tobie. – Nie ustępowała Sylwia.

Jej córka skrzywiła się tak ostentacyjnie, jakby napiła się soku z cytryny.

– Miranda mówiła mi, że zakładasz sklep w oficynie... – Lorenc postanowiła zmienić temat.

– Tak! – Werde natychmiast się ożywiła. – O ile oczywiście ta idiotyczna rada mieszkańców da mi zgodę. Nowacki jak zwykle bruździ. I Olesińcy.

– Dlaczego? – Nie rozumiała Zuza. – Przecież to chyba niezbyt kłopotliwa działalność.

– To samo powtarzałam Jackowi. Sklep z mydłem i naturalnymi hydrolatami. On się chyba boi, że mu wysadzę kamienicę w powietrze. Za dużo filmów ogląda.

– Filmów? – Matka bliźniąt naprawdę nie wiedziała, co o tym sądzić.

– Owszem – wtrąciła Miranda. – Wszystko, co jest związane z chemią, uważa za czarną magię.

– Albo za terroryzm – uzupełniła Helena, sięgając po jogurt. – Zawsze był kiepski z przedmiotów ścisłych. Brał korepetycje ze wszystkiego, co się dało.

– Ale wyszedł na ludzi – ucięła Sylwia, patrząc na nią wzrokiem, który mówił wyraźnie, że po innych osobach próżno się było tego spodziewać.

Córka przygryzła wargi i z zaangażowaniem zaczęła wygrzebywać resztki jogurtu z pojemniczka.

– Gdzie się nauczyłaś robić mydło? – zainteresowała się Zuzanna.

– Kiedy mieszkałam za granicą, pracowałam między innymi w takim hotelu, w którym wszystko robili sami dla gości. Nawet mydło i środki czystości. Tam poznałam technikę. Jeśli chcesz, pokażę ci moje królestwo.

– Bardzo chętnie – zgodziła się Zuza i obejrzała się na Jasia i Basię.

Bliźnięta zjadły biszkopty i bułeczki z masłem, wypity trochę herbaty, a teraz bawiły się grzecznie na dywanie. Miranda rozsypała właśnie przed nimi kolorowe motki wełny i Jaś nie posiadał się z radości, że może dowolnie plątać cienkie sznureczki.

– Idźcie, dziewczynki, ja ich przypilnuję, dzieci są takie grzeczne – zachęciła Sylwia.

– Jesteś pewna, że dasz sobie radę? – Zmarszczyła brwi jej córka.

Starsza pani wyglądała na mocno urażoną.

– Nie rób ze mnie takiej słabowitej. Zresztą dzisiaj naprawdę świetnie się czuję, jakbym miała ze dwadzieścia lat mniej. Może to właśnie dzięki tak młodemu towarzystwu?

Helena pokręciła głową z pewnym powątpiewaniem, a potem rozejrzała się po pokoju.

– Wyjdziemy tylko na parę minut. Zaraz tu wszystko przygotuję i przyniosę ci telefon, żebyś mogła nas w każdej chwili wezwać.

Zaczęła się krzątać wokół matki, która przyglądała się temu z pobłażliwym uśmiechem.

– Naprawdę dam sobie radę. Mirando, pozbieraj tylko ze stołu – zwróciła się do wnuczki.

– Chętnie pomogę – zadeklarowała się Lorenc, a sąsiadka z wdzięcznością skinęła głową. Kuchnia pań Werde wychodziła na opuszczony ogród.

– Jest bardzo piękny – podkreśliła Zuzanna.

Miranda zerknęła przez okno.

– Możliwe. W sumie przyzwyczaiałam się już do jego obecnego wyglądu. Od lat nikt tutaj nic nie robi. Kiedyś przynajmniej ktoś kosił trawę, ale teraz wszystko zarosło. Helena próbowała interweniować w sprawie ogrodu, nawet Nowacki ją poparł, ale mama była niechętna...

– Dlaczego? – Nie rozumiała pianistka. – Mielibyście taki ładny zakątek tuż pod nosem,

wymarzone miejsce do odpoczynku. Twoja babcia na pewno byłaby zadowolona.

– Tak samo uznała Hela. – Miranda wzruszyła ramionami. – Że trzeba coś zrobić, bo te chaszczki są okropne. Suche badyle i pokrzywy. Mama jednak nie chciała o tym słyszeć. Może bała się, że jak ciotka zabierze się za porządkowanie ogrodu, to już zawsze będziemy musiały coś przy nim robić? I stanie się to naszym obowiązkiem? Choć, mówiąc między nami, ja bym nie miała nic przeciwko. Lubię prace polowe.

– Tym bardziej trudno to pojąć.

– Mama chyba podejrzewała, że Heleną kieruje słomiany zapał. Dlatego też nie bardzo podoba jej się pomysł tego sklepu – szczerze wyznała sąsiadka.

– A ty co myślisz? – Zuzanna popatrzyła na nią ciekawie.

– Mnie to akurat pasuje. Lubię, kiedy coś się dzieje, a to jest takie... bo ja wiem? Zwariowane? Nietypowe?

– Jak twoja ciotka. – Roześmiała się Zuzanna.

Jej rozmówczyni kiwnęła głową.

– Wiesz, właściwie coś w tym jest. Hela nie należy do zwyczajnych osób. Na pewno nie można powiedzieć, że daje się nieść nurtowi. Raczej wciąż wiosłuje pod prąd.

Zawiesiła głos, bo do kuchni zajrzała osoba, o której mówiły.

– Co się tak grzebiecie? Bliźniaki bawią się spokojnie u mamy, więc zyskałyśmy parę minut, bo nie chcę jej zostawiać na długo. Dałam im kredki i kartki z twojego pokoju, Mirando. Idziemy wreszcie?

– Tak, chodźmy. Dokończę później. Mama i tak nigdy nie jest zadowolona z mojego sprzątnania – westchnęła siostrzenica.

– Perfekcyjna Fela. – Werde wzruszyła ramionami. – Kto by się nią przejmował. Naprawdę, świat się nie skończy tylko dlatego, że jakaś filiżanka będzie miała smugi. Albo na szklance pozostaną ślady po palcach.

– No nie, co ty mówisz, Helena! Ślad palca na szkle? To prawdziwa zbrodnia! – Miranda już dusiła się ze śmiechu.

Zuzanna spoglądała na nie z rozbawieniem. Babcia miała rację. Zachowywały się faktycznie jak małe dziewczynki, które dorośli na chwilę spuścili z oka i one teraz psocą bez umiaru.

Zeszły schodami na podwórze, a potem skierowały się do oficyny. Podwórko było niezbyt ładne, choć można było dostrzec wysiłki lokatorów, by całkowicie nie popadło w ruinę. Przede wszystkim starannie je odśnieżono. No i nikt nie trzymał tu żadnych gratów ani niepotrzebnych szpargałów. Stojąca pod odrapaną ścianą ławka była zreperowana, a nawet w poprzednim sezonie odmalowana. Na skrawku zieleni – niewielkim klombie obok śmietnika – zasadzono krzewy i młode drzewko. Pień ogrodzono płotkiem, a tuż obok niego wbito w ziemię tabliczkę z napisem: „Szanuj zieleń”.

– W oficynie tamtej drugiej kamienicy mieszka dawny dozorca naszego domu, Blajerski. To jego pomysł. – Helena podążyła za wzrokiem Zuzy. – Kiedyś był też woźnym w mojej szkole. Uwielbiał różnego rodzaju tablice ze wskazówkami i hasłami: „Zmieniaj obuwie, nadeszły już słoty”, „Oszczędzaj wodę, gdzieś umierają z pragnienia” lub „Grzecznych ludzi domykanie drzwi nie trudzi”. Siedział na dyżurce i wypisywał je na dykcie. Zabawny człowiek.

– Wcale nie jest zabawny. – Miranda się sprzeciwiła. – Wciąż ma o coś pretensje. Narzeka i marudzi.

– Tacy bywają starzy ludzie – ucięła ciotka. – To tutaj, zaraz otworzę.

Lokal, który miała zajmować mydlarnia, nie był zbyt reprezentacyjny, bo wciśnięty w sam kąt podwórza. Jego atut stanowiły za to duże i szerokie drzwi, teraz zamknięte na kłódkę,

z którą mocowała się Helena.

– Kurczę blade, ale się zapiekła. Muszę kupić nową!

W końcu żelazo puściło i Werde z wysiłkiem pchnęła drzwi.

– Proszę bardzo, to moje oczko w głowie – mydlarnia.

Zuzanna wiedziona ciekawością zajrzała do środka. Gdy gospodyni zapaliła światło, jej oczom ukazało się przestronne i bardzo przyjazne wnętrze. Ściany pomalowano na delikatny blad różowy kolor, a gdzieś tam ozdobiono ręcznie malowanymi bukietami kwiatów. Półki i regały wykonane były z surowego sosnowego drewna, a przez środek pomieszczenia ciągnął się duży stół.

– Tutaj właśnie robię moje mydła – objaśniła Helena.

– Pachną niesamowicie. – Zuza z przyjemnością pociągnęła nosem, po czym podeszła do półek. Mydła suszyły się w koszykach przykryte papierem, inne, już gotowe, czekały na nabywców w starannie poukładanych piramidkach. Miały rozmaite kształty – od zwykłych, ręcznie krojonych kostek, po starannie odlane z foremek wzory aniołków, kwiatów czy serc. Były tam białe, kremowe i wielokolorowe. Smugi glinki, czy może węgla drzewnego, nadawały im intrygujące desenie. W niektórych zatopiono drobinki kawy, soli lub płatki kwiatów. Helena umiała opowiadać o nich tak zajmująco, jakby mydlarstwo stanowiło nie tylko jakąś intrygującą gałąź wiedzy, ale całą tajemną sztukę. Być może zresztą tak właśnie było.

– Masz wielu klientów? – zainteresowała się pianistka, biorąc do ręki mydélko w opalizującym bladym kolorze, lekko podbarwione na niebiesko i pachnące rozmarynem, cytryną oraz miętą.

Helena się skrzywiła.

– Nie mam żadnych. Mydlarnia w ogóle nie działa.

– Dlaczego?

– Tak jak mówiłam: przez tę radę mieszkańców, czy jak jej tam. Nie możemy się dogadać co do przeznaczenia tego lokalu. Oni ciągle się boją, że puszczą wszystko z dymem. Kuku na muniu po prostu. Tłumaczyłam im, że ług nie jest szczególnie żrący, w końcu służące w dawnych czasach szorowały nim podłogi, ale zwłaszcza Olesińska jest pod tym względem nieprzejednana, dorównuje prawie Jackowi. Jak tylko słyszy hasło „reakcja chemiczna”, natychmiast dostaje palpacji serca.

– Jak się robi mydło? – Zuzanna nie była w stanie powstrzymać ciekawości.

Werde wyciągnęła z kieszeni kolejny klucz, którym otworzyła niewielką szafkę.

– To jest ten diabelski składnik, którego tak się lęka Marta Olesińska: NaOH, czyli wodorotlenek sodu do produkcji mydeł twardych. – Wyjęła plastikową butelkę, w której znajdowało się nieco białych kryształków. – Rzeczywiście jest żrący i silnie trujący, ale na Boga – nikt tego przecież nie będzie jadł. Wodorotlenek miesza się z wodą, a powstały w ten sposób ług dodaje do tłuszczu, by zrobić mydło. Ot i cała filozofia.

– Wydaje się, że to nic trudnego. – Pokręciła głową Lorenc, dotykając mydélka w ślicznym karmelowym kolorze.

– To jest bardzo proste. Wiele razy ług spadł mi na rękę. Owszem, trzeba uważać, bo to substancja, która penetruje skórę i po chwili robi się nieprzyjemna piekąca rana. Można go jednak łatwo zneutralizować octem. Oczywiście, gdyby trafił do oka, byłaby już zupełnie inna rozmowa, ale tak? Większość detergentów przeznaczonych do czyszczenia jest równie niebezpieczna. No, ale Marcie trudno jest cokolwiek wytłumaczyć. Ubzdurała sobie, że przy produkcji mydła wytwarza się wysoka temperatura, co grozi jak nie wybuchem, to przynajmniej pożarem. No i opierają się z mężem, jak mogą, żebym tu nie założyła sklepu. Tak więc produkuję moje mydła trochę, przyznam, pokątnie (choć mam oczywiście pozwolenia państwowe), bo

zaglądają tu i sprawdzają, czy nie otwarłam biznesu.

– Ciekawe, skąd ten pomysł z wybuchem? – Zastanowiła się nowa sąsiadka, która wiedziała doskonale, że wszelkie uprzedzenia mają jakieś podstawy, choć często niezbyt racjonalne.

– Cóż... – Właścicielka manufaktury lekko się zawahała. – Przy mieszaniu wodorotlenku z wodą może powstać bardzo wysoka temperatura. Zwłaszcza jak się go doda szybko i nieumiejętnie. Wtedy może dojść do czegoś nieoczekiwanego – bo ja wiem? Ług się rozchlapie na wszystkie strony. No, różnie może być – przyznała niechętnie. – Tylko że mnie nigdy nic podobnego się nie przydarzyło. Ale Marcie trudno cokolwiek wytłumaczyć...

– Może powinnaś ją tu zaprosić? Pokazać, jak to się robi? – zaproponowała Zuza.

Helena spojrzała na nią tak, jakby przed momentem urwała się z choinki.

– Daj spokój. W życiu tu nie przyjdzie. Gdy pojawiają się z mężem szpiegować, to zawsze stoi w bezpiecznej odległości przy śmietniku. Na wszelki wypadek. Żeby jej fala uderzeniowa nie zmiotła.

– Myślę, że kiedyś musiała się mocno zrazić do tego typu produkcji. – Upierała się pianistka. – W dalszym ciągu sądzę, że zrobienie czegoś w rodzaju warsztatów zapoznawczych dla członków rady lokatorów nie jest złym pomysłem.

– Zapoznawczych? Oni się wszyscy niestety znają i w tym sęk – mruknęła Werde. – Trudno ich zreformować.

– Zuzia może mieć rację. – Nieoczekiwanie poparła sąsiadkę Miranda. – Trzeba ich zapoznać z twoją metodą! Strach bierze się z niewiedzy.

– Brednie – oceniła Helena, ale chyba zaczęła się wahać, bo rozejrzała się bacznie po pracowni.

Lorenc pokręciła głową.

– Wcale nie. Ja sama chętnie przyjdę zrobić jakieś mydełko. Przy okazji można pogadać o innych sprawach...

– Jakich? – zaciekawiała się Jakubowska.

– No choćby o tym dziwnym liście od notariusza...

– To rzeczywiście jest problem. – Helena zmarszczyła zabawnie nos. – Coś wisi w powietrzu. Staram się nie poddawać czarnym myślom jak Fela, ale także odnoszę wrażenie, że nasze kłopoty dopiero się rozpoczynają. Masz rację, Zuza, trzeba zorganizować małe zebranie. Być może sprzeciw Olesińskich w sprawie mojego sklepu i mydlarni niewiele będzie znaczył w perspektywie groźby utraty czegoś o wiele ważniejszego – kamienicy.

– Nie mów tak, Hela. Nie mogą nas tak po prostu wyrzucić – perswadowała Miranda.

Ciotka tylko się skrzywiła.

– Tak? A kto im niby zabroni? Zwłaszcza że akurat sytuacja naszej rodziny jest wyjątkowo skomplikowana. – I zaraz wyjaśniła, widząc, że Zuza przygląda się jej pytająco: – No wiesz, zajmujemy aż dwa lokale na pierwszym piętrze: to duże mieszkanie, w którym przed chwilą byliśmy, i ja mam naprzeciwko niewielką kawalerkę. Najgorsze jest to, że tylko mama ma przydział na swoje mieszkanie, my już nie posiadamy żadnych papierów. Szczególnie ja mogę się spodziewać najgorszego – przechowuję tylko jakąś niejasną umowę z miastem, którą pewnie bez trudu da się zerwać. Myślę, że jeden Jacek Nowacki ma bardziej uregulowaną sytuację, jemu chyba jakimś cudem udało się odkupić swój lokal, choć głowy nie dam. My nawet nie próbowałyśmy tego załatwić, jak tato umarł. Nikt się o nic nie dowiadywał, nie ciągnął sprawy. Jeśli teraz pojawił się właściciel, to po prostu, jak to mówią, umarł w butach. Wypowiedzenie trzyletnie i będziemy musiały się wynieść.

– Nie wiedziałam, że jest aż tak źle – mruknęła Miranda i przysiadła na stole.

Jej ciotka zaczęła skubać zębami skórkę przy paznokciu kciuka.

– Nie chcę o tym rozmawiać w domu, żeby nie denerwować mamy, bo Fela od razu zaczyna histeryzować. Ale boję się, nie ukrywam. A ty, Zuza? Ta mansardowa pracownia jest twoją własnością?

Lorenc zadumała się.

– Cały czas żyłam w przekonaniu, że należy do mojego ojczyma. On mi ją przekazał, nawet sporządził jakieś pismo, że mogę tam mieszkać. Ale żadnych oficjalnych dokumentów nie mam, będę się musiała dowiedzieć.

– No właśnie. Być może więc wszyscy jedziemy na tym samym wózku – westchnęła Helena. – Jednak na razie nie ma się co martwić. Nie wiemy, czego od nas chce ten notariusz.

– Nie uważacie, że to trochę dziwne? – stwierdziła Miranda. – Nagle wszyscy dostajemy te listy, a nikt tu po prostu nie przyjdzie...

– A po co ma się fatygować? – Wzruszyła ramionami ciotka. – Żeby oberwać od rozwścieżonego tłumu? Bądź poważna. Ten ktoś woli spotkać się na neutralnym, urzędowym gruncie. To chyba oczywiste. No, dziewczyny, co będzie, to będzie. Na razie chodźmy, bo Blajerski zaraz doniesie Marcie, że tu siedzę, i zacznie się inspekcja przeciwpożarowa albo coś jeszcze gorszego.

– Tak, poza tym nie chcę zostawiać dzieci tak długo na głowie twojej mamy – dodała Zuza.

Wyszły na podwórko. Helena zaczęła mocować się z kłódką. Gdy już zamknęła, obrzuciła lokal smętnym spojrzeniem.

– Wspominałyśmy ci, że tu kiedyś była pralnia?

– Tak. Pralnia paryska, czy jakoś tak. – Kiwnęła głową Lorenc.

– No właśnie. Teraz też by się przydała jakaś chwytliwa nazwa. Nie przychodzi mi na myśl żaden pomysł, nigdy nie miałam głowy do takich rzeczy. Coś z mydłem, ale żeby było dowcipnie i lekko...

– „Mydlarnia Paryska” – podrzuciła Miranda. – W logo można by dać mydło i wieżę Eiffla.

– Wybacz, Mira, ale to idiotyczny pomysł... Paryż na Dębnikach. Jeszcze tylko tego tutaj nie widzieli. To musi być coś innego, bardziej związanego ze mną, w końcu mydło to teraz prawie całe moje życie!

– No więc po prostu „Życie w Mydle” – zaproponowała wesoło młoda matka.

Helena spojrzała na nią z osłupieniem.

– Genialne! Wiesz, że ty masz rację. „Życie w Mydle”, podoba mi się. Proste, zabawne i trafia w sedno. Jeśli tylko nas stąd nie wywalą i przewalczę jakoś niechęć Jacka oraz Olesińskich, to zaraz zacznym malować szyld.

– Niech ci Blajerski zrobi, ma w tym wprawę – podsunęła Miranda.

– Doskonała myśl. – Helena skinęła głową. – Niech stary też ma trochę radości. Poproszę go, a co mi tam. Skoro już się zdecydowałam na te zwariowane warsztaty mydlarskie dla sąsiadów, to Blajerski może szyld malować. Byle tylko nie dodał jakiegoś hasła w swoim stylu. Na przykład: „Pracując dla kraju, pracujesz dla kraju”, czy jakoś tak.

4.



Zuzanna odebrała bliźnięta od Sylwii i po drugim śniadaniu postanowiła wyjechać z nimi na spacer, żeby trochę rozejrzeć się po nowej okolicy.

Podobało jej się tutaj. Do tej małej dzielnicy nie dotarli jeszcze masowo deweloperzy. Przynajmniej nie na taką skalę, jak w innych miejscach Krakowa. Nie spotykało się tu bowiem skupisk nowoczesnych bloków czy nadmiaru szpecących „plomb” będących tak naprawdę pomysłami na zmieszczenie jak największej ilości mieszkań na jak najmniejszej powierzchni działki. Bo każdy metr kwadratowy to wymierny zysk. Tutaj wciąż zachowały się całe ciągi nietkniętych przebudową kamienic, może trochę zaniedbanych, bo od dawna nieremontowanych, ale o niepowtarzalnym uroku.

Lorenc zapatrzyła się na gipsowe ozdoby, liście akantu, girlandy winorośli czy głowy aniołków i uśmiechnęła się. Większość domów była niska, ale nawet te wyższe nie przekraczały czterech pięter. Wszystko ze sobą harmonizowało: niebo, drzewa, a latem na pewno pojawiało się sporo zieleni. Spokojna, wesoła okolica, taka, w której łatwo się żyje i do której chce się wracać.

Zuza uznała, że musi jak najszybciej zapoznać się z ofertą okolicznych sklepików. Znaleźć „swoją” piekarnię i ulubiony warzywniak. Na razie jednak postanowiła przespacerować się po niewielkim ryneczku. Ze wszystkich stron otaczały go ładne przedwojenne budynki stanowiące idealne tło dla placu targowego z kilkoma drewnianymi kioskami oraz stoiskami na wolnym powietrzu. Obok zlokalizowano przystanek autobusowy linii zmierzającej w kierunku Tyńca.

– Zwiedzasz? – Usłyszała koło siebie znajomy głos. Należał do Heleny, która także najwyraźniej wybrała się na zakupy, bo przez pierś miała przewieszony pasek płóciennej torby wypełnionej już warzywami.

Lorenc kiwnęła głową.

– Plac mojego dzieciństwa. – Sąsiadka zatoczyła ręką koło. – Teraz widzę, ile tu się zmieniło. – W tej kamienicy na rogu był bar, w którym sprzedawano piwo. Nie masz pojęcia, co się tu działo po zmroku.

– Mogę sobie wyobrazić. – Roześmiała się Zuza. Takie przybytki wszędzie wyglądały podobnie.

– W sumie dziwię się, że zbankrutował. Akurat to było ostatnie miejsce, które bym podejrzewała o brak klienteli.

– Może wcale nie splajtował, tylko zamknęli go wskutek skarg sąsiadów? – Lorenc się zamyśliła.

– Być może. Pamiętam, jak pod tym barem zatrzymał mnie i dwie moje szkolne koleżanki jakiś starszy mężczyzna. Byłyśmy chyba w szóstej klasie, a on miał dobrze w czubie. Przepowiadał nam przyszłość: Balbinie wywróżył, że zostanie wielką pisarką, Soni, że zdobędzie sławę aktorki... Nie sądzę, żeby to się sprawdziło, choć nie mam z nimi kontaktu od lat.

– A tobie co powiedział? – zainteresowała się Zuzanna, podnosząc zabawkę upuszczoną przez Jasia. Dzieci zaczynały się nudzić i czas było pojechać z nimi dalej.

Helena machnęła ręką na znak, że to nieważne, ale w końcu się przyznała:

– Że zostanę zakonnicą. Ponieważ – jak sama widzisz – tak się nie stało, to i do tamtych przepowiedni podchodzę z pewną rezerwą.

– No tak. Zabawne typy tu macie.

– Owszem. Z tego, co sobie przypominam, ten starszy pan był profesorem uniwersyteckim. Po prostu czasem za dużo pił. No, a w tej kamienicy mieścił się mój ulubiony sklep papierniczy. Przychodziłam tu prawie codziennie po szkole, kupować kredki i ołówki, bo lubiłam rysować.

Werde mówiła to nieuważnym tonem, wpatrując się w chodnik po drugiej stronie. Jej rozmówczyni spojrzała z ciekawością w tamtym kierunku. Ujrzała starszą, przygarbioną kobietę, która z wysiłkiem taszczyła torbę z zakupami. Wyraźnie jej ciążyła. Co chwilę się zatrzymywała, żeby poprawić uchwyty, ale widać było, że po prostu nie starcza jej sił.

– Kto to jest? – zainteresowała się młoda matka.

– Anna Mrowińska. Uczyła mnie biologii. Szczerze mówiąc, myślałam, że dawno nie żyje. Już gdy chodziłam do szkoły, wydawała mi się stara. Okropna baba. Moim zdaniem nienawidziła swoich uczniów. Może i dobrze wykładała, ale na lekcjach wprowadzała atmosferę strachu i terroru. Sonia, ta moja koleżanka, która miała zostać aktorką, kiedyś zemdłała z przerażenia przed tablicą, a Mrowińska powiedziała, że udaje. Zrobił się straszny skandal i chyba ją jakoś wówczas ukarano, choć później dalej uczyła...

– Straszne...

– Tak. Ale Fela mówiła, że w jej czasach Mrowińska była jeszcze gorsza. Komunistka. Wiesz, jakieś hasła kazała recytować na apelach, że się kocha socjalizm czy coś takiego. Dla mnie to już zupełna abstrakcja, ale moja siostra dobrze zapamiętała tamte historie. Okropnie nienawidziła tej nauczycielki. Podobno wykończyła jakiegoś chłopaka z jej klasy, musiał szkołę zmienić, bo był zamieszany w rozrzucanie ulotek. Mrowińska to wysledziła i tak długo drażyła temat, aż chłopaka wywalili.

Chwilę patrzyły, jak emerytowana nauczycielka męczy się z zakupami. Torba wypadła jej z drżącej dłoni i produkty rozsypały się na brudnym chodniku. Kobieta schyliła się z trudem, usiłując pozbierać ubłocone przedmioty.

– No, nie ma co gadać, trzeba jej pomóc – orzekła ciotka Mirandy i ruszyła przez ulicę.

Zuzanna zawróciła wózek i pospieszyła za nią.

– Dzień dobry, ja to pozbieram. – Helena zaczęła podnosić i wycierać karton mleka, pudełko z kawą, kostkę masła. Nauczycielka chwilę patrzyła na nią nieobecny wzrokiem, a potem lekko się wyprostowała i kiwnęła głową.

– Werde! To ty, prawda?

– Tak. Helena Werde, z klasy „B”, uczyła mnie pani.

– Pamiętam, pamiętam doskonale. Dziękuję, że mi pomogłaś, dziecko. Ostatnio jestem bardzo słaba, prawie nie wychodzę z domu. A ta pannica to twoja siostra? Jej już nie mogłam uczyć, bo przeszłam na emeryturę...

– Siostra? E, nie... Ja mam tylko starszą siostrę, Felę, to znaczy Ofelię, a pani pewnie ma na myśli moją siostrzenicę, Mirandę, bo ona rzeczywiście chodziła do naszej szkoły. Ta dziewczyna z wózkiem to nasza nowa sąsiadka Zuzanna Lorenc, pasierbica profesora Stanisławskiego.

– Dzień dobry – przywitała się grzecznie Zuza, choć nie w smak jej były te prezentacje na ulicy. Nie bardzo rozumiała, dlaczego sąsiadka tak dokładnie wszystko opowiada nauczycielce. Przecież sama mówiła, że jej nie lubi. Może to taki odruch? Wobec dawnych ciemżycieli wciąż czujemy irracjonalny strach i nie potrafimy im się postawić?

Starsza kobieta przypatrywała się matce bliźniąt bystro, a potem przetarła załzawione oczy.

– Pasierbica Stanisławskiego... – powtórzyła nieodgadnionym tonem. – No, patrzcie państwo... Niesamowite...

Nie dowiedziały się jednak, co jest takie niesamowite, bo stara nauczycielka zachwiała się i gdyby Helena jej nie podtrzymała, zapewne by upadła.

– Musi pani na siebie uważać. Odprowadzimy panią. Gdzie pani mieszka?

– Niedaleko, tutaj, na Wiślanej. – Wskazała kierunek ręką.

Werde chwyciła torbę, do której powkładała na powrót wszystkie zakupy, w jedną rękę, drugą podtrzymała Mrowińską, po czym ruszyły wolno w stronę jej domu.

Był to parterowy budynek domagający się solidnego remontu. Próg wyraźnie się zapadł, a okna wyglądały na wypaczone i z pewnością przedostawał się przez nie wiatr. Nauczycielka wyciągnęła z kieszeni znoszonego płaszcza klucze i podała je Helenie, która z wysiłkiem otworzyła zamek. Weszły do skromnej sieni i jeszcze bardziej ubogiego pokoju.

– Nie mam środków na malowanie. – Mrowińska usprawiedliwiła się, widząc, jak dziewczyny przypatrują się odrapanym ścianom, zaciekom i wykrzywionej podłodze. Było tu chłodno i panowała wilgoć.

– Rada dzielnicy powinna coś z tym zrobić – mruknęła Werde, kładąc torbę na stole w obskurnej kuchni. Na oknie stały dwie pelargonie. Tylko one stanowiły jakiś weselszy akcent w tym ponurym wnętrzu.

– Mają swoje sprawy – ucięła była nauczycielka. – Nie będę im głowy zawracała. Zresztą, Helenko, ile mi jeszcze tego życia zostało? Chcę je spędzić po swojemu i u siebie, a nie w jakimś domu opieki, bo tam mnie pewnie skierują, gdy zobaczą, jak u mnie jest. Dlatego bardzo cię proszę – nie wspominaj o mnie nikomu. Ty zawsze byłaś dobra dziewczyna, może trochę szalona głowa, ale szlachetna, więc proszę – nie próbuj mi pomagać.

– Jak sobie pani życzy. – Werde się naburmuszyła. – Może jednak choć lekarza wezwać? Prawie pani zasłabła. Przychodzi tu ktoś do pani? Jakaś opiekunka, pielęgniarka?

– Daję sobie radę. Jeśli jesteś tak miła, podaj mi te tabletki z półki. O te! Zaraz mi się po nich lepiej zrobi, są na wzmocnienie.

Starsza kobieta łyknęła proszek i starała się stworzyć wrażenie, że wszystko jest w najlepszym porządku.

– Ma pani jakichś sąsiadów? – naciskała Helena, której cała ta sprawa się nie podobała. Nie zamierzała dać za wygraną.

– Oczywiście. Nie martw się o mnie, dziecko. Byłaś bardzo dobrą uczennicą, staranną. Szkoda, że ja nie byłam lepszą nauczycielką. Teraz chciałabym odpocząć, jeżeli pozwolicie.

Pożegnały się krótko, a Helena pomogła sąsiadce wytoczyć wózek z powrotem na chodnik. Wydawała się być autentycznie poruszona.

– W sumie biedna kobieta – zaczęła Zuzanna. – Wiem, że zachowywała się okropnie jako nauczycielka...

– Ale teraz nie ma to już znaczenia. – Kiwnęła głową jej rozmówczyni. – Fela pewnie by orzekła, że karma wraca czy coś w tym stylu, ale ja właściwie współczuję Mrowińskiej. Była wredna, nie da się ukryć, lecz popatrz, w jakich warunkach ona teraz żyje!

– Tak, to straszne – przytaknęła Zuza, odruchowo poprawiając kocyki, którymi okrywała nóżki bliźniąt w wózku. – Myślisz, żeby jej jednak jakoś pomóc?

– No tak. Sądzę, że ona nie ma tu nikogo. Mieszka w tym domku samiutka jak palec. Na pewno trzeba będzie do niej zaglądnąć, żeby sprawdzić, czy wszystko w porządku. Pogadam z Mirandą. Może w bibliotece mają jakichś wolontariuszy, którzy noszą starszym ludziom książki do domu? Mogliby pod tym pretekstem sprawdzać dyskretnie, czy niczego jej nie brakuje. Muszę też uruchomić dawne koleżanki ze szkoły. Raczej nic urzędowego, bo tego sobie wyraźnie nie życzyła...

– Być może miała rację. Dom jest w takim stanie, że od razu by ją przenieśli do jakiegoś zakładu opiekuńczego.

– Gdyby ta rada dzielnicy była sensowniejsza, może dałoby się załatwić remont – zastanawiała się Helena, poprawiając swoją torbę na zakupy.

Basia zaczęła marudzić, więc Zuzanna zdecydowała się wracać do domu. Sąsiadka przypomniała sobie, że ma jeszcze masę sprawunków, i rozstały się na rogu ulicy.

Przymusowa wizyta u starej nauczycielki zrobiła na Lorenc dziwne wrażenie. Właściwie to Zuzanna czuła coś w rodzaju wstydu. Powinna zaproponować Helenie, że pomoże pani Mrowińskiej, włączy się w akcję robienia zakupów, może choć raz w tygodniu zajrzy do nauczycielki. Coś jednak ją powstrzymało. W dodatku sama nie wiedziała, co to było. Nie miała ochoty mieszać się w tę sprawę. Dopiero co się sprowadziła, miała dwoje małych dzieci i ogrom własnych problemów. Nie chciała brać sobie na głowę kolejnego obowiązku. I właśnie tej myśli najbardziej się zawstydziła. Że jest wygodna i egoistyczna. Helena, która zrobiła na niej wrażenie impulsywnej i łatwo wypowiadającej opinie o innych, potrafiła się od razu zaangażować, choć przecież nie miała szczególnych powodów, aby lubić starszą kobietę. Ona, Zuzanna, która nie zaznała od staruszki żadnych krzywd, więc teoretycznie nie powinna szukać wymówek, że nie chce pomóc, gdyż chowa jakąś urazę, wykręcała się od okazania wsparcia. Zwykłej ludzkiej życzliwości, gdy ktoś jest w potrzebie.

Zachowuję się jak kapryśna księżniczka – zganiła sama siebie. – Na pewno uda mi się wygospodarować jakieś przedpołudnie, żeby odwiedzić nauczycielkę.

Od razu zrobiło się jej lżej na duszy. Miała świadomość, że odmawiając pomocy, postępuje niegodziwie, co ciążyło jej na sumieniu. Matka napomknęła jej kiedyś, że drobne złe uczynki zostają w nas jak brudny osad, który nawarstwia się latami, przykrywając nas w końcu wstrętną skorupą obojętności i nieczułości. Należy więc ich unikać, nawet tych najmniejszych i – jak się wydaje – nieszkodliwych. Wszystkie bowiem w jakiś sposób nas niszczą, powoli, ale nieustępliwie.

Tak rozmyślając, Zuza dotarła na Gwiazdzistą i spojrzała po raz kolejny na dom. Kamienica podobała jej się coraz bardziej. Teraz, w świetle słonecznego lutowego dnia, można

było podziwiać w całej okazałości jej fantazyjną architekturę. Oryginalne wykusze, balkony i galeryjki. Lorenc próbowała wyobrazić sobie Helenę i Mirandę łązące po dachu, aby zajrzeć do pracowni na mansardzie i sprawdzić stan szczelności sufitu. Biorąc pod uwagę stromizny, było to prawdziwe wyzwanie i Zuza poczuła podziw dla nich obu. Musiały być zwinne jak łasice.

Odstawiła wózek do niewielkiej komórki za drzwiami, a potem z pewnym wysiłkiem wdrapała się wraz z dziećmi po schodach na górę. Olesińscy mieli rację – mimo iż kamienica była tylko dwupiętrowa, kondygnacje miała bardzo wysokie i na pewno winda by nie zaszkoziła. Jak na zawołanie spotkała na podeście drugiego piętra Martę. To musiała być ona, bo Helena precyzyjnie ją opisała: Olesińska wyglądała, jakby wszystko jej przeszkadzało, a w dodatku na smyczy prowadziła niewielkiego pieska. Miała starannie uczesane włosy, które w lśniących kasztanowych falach otaczały jej kształtną twarz, i była bardzo dobrze ubrana. Może nie jakoś przesadnie drogo, ale z gustem.

– A to pani mieszka nad nami? – powiedziała bez powitania, przyglądając się bliźniętom, a szczególnie Basi, która postanowiła wdrapać się na schody bez pomocy matki i teraz, pomagając sobie obiema rękami, pokonywała właśnie ostatni stopień.

– Tak. Bardzo mi miło, nazywam się Zuzanna Lorenc.

– Wiem. Proszę z łaski swojej nie grać tak głośno na pianinie, bo od tego boli mnie głowa. Zresztą obowiązuje cisza nocna, proszę pani.

– To nie jest pianino, tylko salonowy fortepian – uprzejmie wyjaśniła Zuza, choć wszystko się w niej zatrzęsło. – I nie grałam po godzinie dwudziestej drugiej, a inni lokatorzy się nie skarżą...

– Ale ja się skarżę! – Olesińska przerwała jej obcesowo. – A to powinno pani wystarczyć. Jak się ma fortepiany, nawet salonowe, to się je trzyma w filharmonii, a nie w prywatnej kamienicy, albo się ściany okłada korkiem. Jeśli nie będzie się pani stosowała do norm współżycia obowiązujących cywilizowanych ludzi, to się panią po prostu eksmituje.

Lorenc zaniemówiła.

Poznała sąsiadkę zaledwie kilka minut temu, a ta już zdążyła ją obrazić oraz zagrozić eksmisją. Trudno się było dziwić, że Helena uważała, iż z Martą nie sposób dojść do porozumienia. W obecnej sytuacji Zuza przyznawała jej całkowitą rację.

Zamierzała odpalić coś nieprzyjemnego, co na pewno skończyłoby się awanturą, bo nie lubiła osób, które traktowały ją z góry i forsowały swoje zdanie, gdy nagle drzwi z prawej strony lekko się uchyliły i pojawiła się w nich jakaś postać.

– Przepraszam bardzo, że się wtrącam. – Usłyszały cichy, jakby nieco przepaszający głos. – Mówiła pani tak głośno, że przypadkiem dotarła do mnie treść rozmowy...

Marta Olesińska zwróciła zniecierpliwioną twarz w stronę drzwi, które otworzyły się szerzej i Zuzanna zobaczyła w nich nieznaną starszą panią w staromodnej sukni. Nieznaną starszą damę, tak chyba należałoby powiedzieć, ponieważ osoba ta miała nie tylko pieczołowicie ułożone włosy, ale również staranny makijaż i dopracowany strój. Od pantofelków na niewysokim obcasie, przez ową starodawną aksamitną suknię, po niciane rękawiczki bez palców. Wyglądała, jakby zeszła z pożółkłej fotografii.

– O co chodzi, pani Klaro? – spytała Olesińska, a matka bliźniąt uznała, że w jej głosie zadźwięczała napastliwość.

– Słyszałam wczoraj, jak pani Zuzanna gra *Sonatę księżycową*, a potem *Claire de lune* i to było naprawdę wspaniałe. Moim zdaniem powinniśmy być wdzięczni za ten koncert, a nie ganić pianistkę. Jak to mówią: *musica delent bestiam feram*[3]– rzekła Klara Pieniążkiewicz z czarującym uśmiechem.

– Nie wiem, jakie bestie ma pani na myśli, ale ja nie cierpię hałasów w moim domu. –

Upierała się Marta.

Starsza dama zrobiła nieokreślony ruch ręką.

– No to będziemy musieli głosować, prawda? Jak to w demokracji. Panie Werde chyba też są za muzyką. Nawet jeśli liczy pani na ignorancję pana Nowackiego w tej materii, to i tak znajdziecie się w mniejszości.

– Oburzające! – burknęła Olesińska i, szarpnąwszy smycz, zeszła szybko po schodach.

– Dziękuję pani. – Zuzanna odwróciła się do Klary, która szykowała się już do zamknięcia drzwi.

– Drobiazg. Nie lubię ludzi, którzy się szarogęszą. Pani sposób gry jest naprawdę poruszający, choć momentami był dla mnie bolesny... No i ja wolę jednak rosyjskich kompozytorów... Do widzenia. – To mówiąc, domknęła drzwi i po chwili na korytarzu zrobiło się zupełnie cicho.

– Chodźmy – rzuciła Zuzanna do Jasia i Basi. Dzieci, niezainteresowane rozmową dorosłych, przysiadły na schodach, żeby pobawić się pluszowymi zwierzątkami, które zawsze towarzyszyły im podczas spaceru. – Czas na obiad i drzemkę.

Gdy otwierała drzwi swego poddasza, uświadomiła sobie, jak dziwna jest kamienica przy Gwiazdzistej z jej mieszkańcami.

[3] *Musica delenit bestiam feram* (łac.) – muzyka ułaskawia dziką bestię; muzyka łagodzi obyczaje.

5.



Czy było jej ciężko?

Zuza usiadła przy stole i zapatrzyła się na uśpiony i przysypany śniegiem ogród. Jaś i Basia troszeczkę pomarudzili po obiedzie, chwilę pobawili się z nią na macie, a potem oczy zaczęły im się kleić, więc odniosła dzieci do łóżeczek. Była bardzo zadowolona z urządzenia małego pokoiku. Podłoga wyszorowana do czysta okazała się bardzo gustowna, a pomalowane na jasny kolor ściany dodatkowo rozświetliły pomieszczenie. Gdy jeszcze umyła okno i powiesiła w nim nicianą firankę, wewnątrz naprawdę stało się przyjazne i przytulne.

Opieka nad bliźniętami pochłaniała ją jednak bez reszty. Dzieci były wprawdzie bardzo spokojne, nie chorowały i nie stwarzały większych problemów, było ich jednak dwoje, a to czasami dawało się Zuzannie we znaki.

Sama jednak tak zdecydowała. Mogła zostać w Gdańsku u matki, mogła też wcześniej nie wyjeżdżać z Londynu. Mogła zrobić wiele rzeczy, ale wybrała właśnie taką drogę. I nie zamierzała żałować swej decyzji. Wiedziała też, jak niszczące są słowa: „mogłam postąpić inaczej” albo „trzeba było”. Nie tylko niczego nie zmieniały, a utrwały poczucie winy i sprawiały, że człowiek czuł się przegrany. Ona jednak nie zamierzała poddawać się zwątpieniu. Postanowiła odciąć się od ludzi i wydarzeń, które miały na nią negatywny wpływ. Tego też poniekąd nauczyła ją matka – zła energia niszczy wszystko, z czym się styka, zarażając swoim jadem.

Kiedy wyjeżdżała z Anglii, jej najlepsza przyjaciółka, Ewa, próbowała ją zatrzymać. Zuza jednak nie widziała dla siebie miejsca na emigracji, nie po tym, co się stało. Koleżanka przekonywała, że wszystko się jakoś ułoży, skandal przycichnie, a kariera Zuzanny potoczy się dalej, ale Lorenc wiedziała, że to nieprawda. Za dużo złego się stało, padło zbyt wiele krzywdzących słów i raniących gestów. Musiała wyjechać.

Próba zwrócenia się do matki także skończyła się niepowodzeniem. Spędziła u niej sporo czasu po urodzeniu Jasia i Basi, nie mogły się jednak dogadać. Ciągłe pretensje, wzajemne uprzedzenia maskowane pozorami rodzinnej miłości i ciepła... Matka chyba nigdy jej nie rozumiała. Z pewnością działało to w obie strony – rodzicielka miała swoje życie i wybory, których Zuzanna do końca nie akceptowała. Łucja najwyraźniej miała za złe córce, że porzuciła obiecującą karierę pianistki, żeby urodzić dzieci żonatemu mężczyźnie...

– Który w dodatku nigdy się z tobą nie zwiąże – oświadczyła Łucja stanowczo, gdy pewnego dnia, po długim okresie unikania niewygodnych tematów musiały się zmierzyć z problemem przyszłości Zuzanny.

Dziewczyna na taki argument wybuchnęła śmiechem.

Matka opuściła jej ojca, gdy Zuza miała dziesięć lat. Wyjechała wówczas do Stanów, aby rozwijać swoje umiejętności śpiewacze, podpisała niezły kontrakt, zyskała możliwość doskonalenia głosu na prywatnych konsultacjach. Było oczywiste, że wyjedzie, podobnie jak jasne stało się to, że Zuzanna wraz z ojcem zostaną w kraju.

Pobyt matki w Ameryce zaczął się przedłużać. Najpierw zaangażowano ją w teatrze muzycznym, a potem dostała kontrakt w operze. Córka odwiedziła ją podczas wakacji może ze dwa razy. Zrozumiała, że matka nie zamierza wracać. Mówiła wprost, że czeka na to, by córka skończyła szkołę muzyczną w Polsce i mogła przybyć do niej na stałe.

– Tu czekają na ciebie prawdziwe możliwości – tłumaczyła jej. – Skończysz liceum w kraju, tylko musisz ciężko pracować nad techniką gry, a potem zdasz egzaminy do Julliard School. To najlepsza uczelnia muzyczna na świecie, więc dostać się jest bardzo trudno. Ale kiedy już ci się to uda, świat stanie przed tobą otworem.

– A moje życie w Polsce? A ojciec? – dopytywała zdezorientowana nastolatka, która wciąż naiwnie wierzyła, że uda się jeszcze skleić rodzinę.

Matka lekceważąco machnęła dłonią.

– Ojciec... Minęło już tyle czasu. Chyba kogoś sobie w końcu znalazł? Powiedz mi szczerze, Zuziu, jak wyglądają jego sprawy...

Córka patrzyła na nią szeroko otwartymi oczami. Wiedziała, że dla matki najważniejszy jest śpiew, że poza nim niewiele się liczy. Wciąż jednak miała nadzieję, że rodzina, czyli oni dwoje, zajmują jakieś miejsce w sercu Łucji. Najwyraźniej jednak się myliła. Nawet o ewentualnej zdradzie męża matka mówiła tak lekko i obojętnie, jakby wręcz życzyła sobie takiego obrotu spraw, bo to rozwiązałoby jej rękę.

Potem okazało się, że istotnie ojciec ma kogoś. Koleżankę z pracy – banalny scenariusz. Razem pracowali w firmie organizującej koncerty znanych muzyków. Z pomysłu wyjazdu Zuzanny do Stanów nic jednak nie wyszło. Kariera matki nagle się załamała, Łucja straciła swoje angaże i kontrakty. Właściwie przestała śpiewać, uznając, że coś złego stało się z jej głosem. Próbowwała wielu kuracji, przeszła nawet operację gardła. W końcu poddała się i wróciła do kraju, by zająć się nauczaniem. Wciąż była sławną śpiewaczką, opromienioną zagranicznym sukcesem. Wtedy właśnie poznała architekta Edmunda Stanisławskiego i, po uzyskaniu rozwodu od poprzedniego męża, związała się z nim. Zuza zawsze podejrzewała, że wyszła za niego z powodu pięknego domu i kolekcji dzieł sztuki – to matce zawsze imponowało.

Ona sama zaczęła studiować na krakowskiej Akademii Muzycznej, a na trzecim roku otrzymała stypendium i wyjechała do Londynu.

Matka była wówczas zachwycona. Scenariusz sprzed lat, który zaplanowała dla córki, wreszcie zaczynał się urzeczywistniać. Może nie w przewidywanym czasie i na pewno w innym kraju, niż to sobie umyśliła, ale nie ulegało wątpliwości, że Zuzanna – ten diament wymagający

oszlifowania – wreszcie znajdzie właściwą oprawę.

– Osiągniesz wszystko to, co mnie się nie udało – mówiła Łucja w ekstazie. – Tylko nie popełnij jakiegos błędu, bardzo cię proszę!

Trudno się więc dziwić, że to, co stało się kilka lat później, matka uznała za nawet nie fatalną pomyłkę, a wręcz katastrofę.

– Dwoje dzieci z żonatym mężczyzną, bez perspektywy na to, że on się rozwiedzie – powtórzyła, gdy rozmawiały w jej gdańskim, niewyobrażalnie drogim apartamencie, patrząc na rozpościerający się z okien melancholijny widok na morze. Łucja opłacała mieszkanie z części majątku, jaka przypadła jej po rozwodzie ze Stanisławskim.

– Nudził mnie – ucięła krótko, gdy córka niezbyt delikatnie usiłowała dopytywać, co stało się przyczyną rozpadu kolejnego małżeństwa matki. – Lubię swobodę – dodała, wyciągając papierosa.

Była to nowość, bo oznaczało to, iż się zupełnie poddała. Nie będzie już śpiewać ani niczego robić w kierunku zmiany tej sytuacji. Koniec z leczeniem i walką. Struny głosowe odmówiły posłuszeństwa, a ona w końcu to zaakceptowała. Zuzanna była zaskoczona tą kapitulacją.

Matka przyjęła ją do swego domu nawet chętnie. Chyba nie zdawała sobie sprawy, z czym wiąże się opieka nad dwojgiem maleńkich dzieci. Sama nie poświęcała Zuzannie zbyt wiele czasu w jej dzieciństwie. Zajmował się tym zwykle ojciec lub wynajęta opiekunka. Matka wiecznie miała próby, koncerty, wyjazdy. Było oczywiste, że całe życie rodziny trzeba podporządkować jej karierze. „Musimy ustalić priorytety – mawiała zawsze Łucja. – Bez jasno wytyczonych celów stracisz kierunek i popadniesz w zwątpienie również względem swoich umiejętności i talentów”. Matka miała wiele takich złotych myśli na każdą okazję.

Teraz, kiedy już nie śpiewa, mogłaby opublikować jakiś poradnik pozytywnego myślenia – złośliwie zadumała się Zuzanna. Często bywa, że tego rodzaju książki piszą ludzie, którzy sami nie potrafią wprowadzać swoich rad w życie.

– Poza tym uważam, że powinnaś jakoś dogadać się z tym mężczyzną. Jeśli nie masz odwagi, to może ja cię wyręczę? Albo twój ojciec? Lub Edmund? – Łucja nadal ciągnęła tę samą myśl. Widać było, że fakt, iż córka stała się matką dwojga nieślubnych dzieci, niemożliwie ją uwiera. Jak jakaś zadra. Zuzanna nie podejrzewała swojej matki – w końcu podwójnej rozwódki – o tak konwencjonalne, mieszczańskie podejście do tych spraw.

Jak się okazało, chodziło o coś zupełnie innego.

– Mamo, proszę cię, nie zachowuj się w ten sposób – mruknęła, krzywiąc się wymownie.

– Czyli w jaki? Ojciec Jasia i Basi ma wobec swoich dzieci zobowiązania. Ma je też względem ciebie. I to chyba nawet większe, bo zmarnowałaś sobie karierę przez te dzieci. Co ci w ogóle wpadło do głowy? Nie rozumiem, jak można było zachować się tak nierozsądnie! No ale trudno, maluchy już są, zresztą, nie zrozum mnie źle, oboje są słodcy! Myślę jednak, że powinnaś rozmówić się z ich ojcem.

– Na jaki temat? – rzuciła córka pełnym napięcia głosem. Nie podobał jej się kierunek, w którym zmierzała ta rozmowa. Być może matka roiała sobie, że zdoła namówić Leona do rozwodu i zmiany decyzji? Próżny trud! Zresztą nie zamierzała się już z nim kontaktować. Nie po tym, co ostatecznie między nimi zaszło. Nie. Nigdy. Zamknięty rozdział.

– No nie wiem... Może wzięłby bliźnięta do siebie? Zajął się nimi? Jaka on ma sytuację życiową? Ma dzieci? Wiesz, bywa tak, że...

Matka przerwała, widząc wzrok córki, bo zrozumiała, że niczego nie wskóra. Zuzanna jest stracona. Nie odda dzieci ojcu, nie wróci do kontynuowania przerwanej kariery pianistki. Będzie wychowywała samotnie tę dwójkę i zmarnuje talent jako nauczycielka muzyki

w prowincjonalnej szkole.

– Jak sobie chcesz – powiedziała więc nonszalancko, strzepując popiół do kryształowej popielniczki.

Zuza wstała od stołu i wyszła na taras z widokiem na morze. Matka uczyła tu śpiewu i chyba była zadowolona ze swego życia. Ona jednak rozumiała, że nie może dłużej zostać w tym mieszkaniu.

Po kilku tygodniach przemogła się i zatelefonowała do Edmunda, który wciąż mieszkał w Krakowie. Nigdy nie układało się jej z ojczymem, choć właściwie nie potrafiła zgłębić powodów wzajemnej antypatii. Byli dla siebie mili, nie kłócili się, ona – jako dorastająca dziewczyna – nie sprawiała kłopotów. Odnosiła jednak wrażenie, że dzieli ich jakaś bariera, której nie potrafią pokonać. Obchodzili się z daleka, starając się nie wkraczać na własne terytoria. Zawsze obcy, choć pozostający we względnie poprawnych stosunkach.

Stanisławski wysłuchał jej spokojnie. Potem chwilę milczał i Zuzanna już zaczęła się obawiać, że się rozłączył. Nie wiedziała, czy w takiej sytuacji zadzwoniłaby powtórnie, bo odebrałaby to jako niechęć do rozmowy.

– Masz świadomość, że ja rozliczyłem się już z twoją matką i nic nie jestem wam winien?
– zapytał dosyć urzędowo.

Dziewczynie zrobiło się niewymownie przykro. Szybko jednak doszła do wniosku, że jej nieporadne wyjaśnienia mogły wprowadzić go w błąd. Prosiła go o pomoc, nie o finansowe wsparcie, ale uczyniła to w tak niezręczny sposób, że być może uznał to za próbę wyłudzenia czegoś dla siebie.

– Chyba źle odczytałeś moje słowa – bąknęła, choć czuła jednocześnie wstyd i złość, że uwikłała się w tę rozmowę. – Miałam nadzieję, że coś wymyślisz, pomożesz mi wynająć jakąś kawalerkę na pewien czas, zanim nie stanę na nogi. Chciałam po prostu wrócić do Krakowa. Nie jest mi łatwo zwracać się do ciebie i naprawdę nie oczekuję, że coś mi dasz. Sądziłam jednak, że wasza firma dysponuje jakimiś lokalami i że mogłabym wynająć coś taniej...

Edmund odchrząknął, co zwykle oznaczało, że przyjmuje przeprosiny do wiadomości.

– Posłuchaj. W tej chwili prowadzimy jedną budowę, ale na wczesnym etapie, więc to się kompletnie nie nadaje. Mam jednak inny pomysł. Nie jest to może ósmy cud świata, ale na początek chyba wystarczy...

Wprowadził ją w plan z pracownią na Gwiazdzistej, a ona zaczęła poważnie zastanawiać się na tą propozycję. Poddasze było nieużywane, no i w świetnej lokalizacji. Czyny po prostu śmieszny i mogła się rozglądnać za coś lepszym na stałe. Tak, na start wydawało się to bardzo dobrym rozwiązaniem.

Była wdzięczna Edmundowi, że wyratował ją z opresji, choć jednocześnie nie mogła mu darować, że potraktował ją obcesowo. Jednym słowem – poczuła się w kontaktach z nim jak zwykle. Nigdy nie potrafiła właściwie odczytać jego gestów, zrozumieć intencji. Tak naprawdę nie wiedziała, skąd wyływa ta niezręczność...

Wiem, że nigdy nie widział we mnie córki – dumiała, przygotowując sobie herbatę w salonie z kominkiem na Gwiazdzistej. – Ale wtedy, przez telefon, potraktował mnie jak naciągaczkę. Fakt, powinnam była wyrażać się jaśniej: „Edmund, wpadłam w kłopoty. Czy możesz mi udostępnić na krótko któreś ze swoich mieszkań?”. A ja kręciłam i mętnie tłumaczyłam swoją sytuację. Tylko że gdyby uważał mnie za członka rodziny, nie byłby taki podejrzliwy. Obudziłaby się w nim naturalna w takiej sytuacji chęć pomocy komuś, kto szuka wsparcia. A ojczym od razu zaczął węszyć jakieś nieczne intencje.

Zuzanna westchnęła i ponownie spojrzała przez okno.

Tyle razy odmieniła dzisiaj słowo „pomagać”, że zrozumiała, jak wiele ma ono znaczeń. Pomyślała o starej nauczycielce Mrowińskiej. Czy nie zachowała się wobec tej kobiety podobnie jak Edmund względem niej? Już na wstępie uznała, że zwykle przyniesienie zakupów potrzebującej osobie to zobowiązanie, narzucony obowiązek. Starsza pani przecież niczego nie chciała – wręcz przeciwnie, zabroniła Helenie podejmowania jakichkolwiek działań. O żadnym zmuszaniu nie było więc mowy.

Dobra wola. Czy jestem jej pozbawiona? Może to kara za wszystko, co zrobiłam? – Zuzanna odstawiła kubek z herbatą. Kara – to dobre wytłumaczenie. Tylko czy prawdziwe? Tego nie wiedziała.

Dzieci zaczęły przyzywać ją ze swoich łóżeczek, więc weszła do pokoju, by się nimi zająć. Spojrzała na ich śliczne buzie i jak zwykle w takich momentach poczuła rozrzewnienie. Jaś miał jej oczy i podobny kolor włosów, wesole spojrzenie małego, dociekliwego odkrywcy. Basia była podobna do Leona. To spokojne spojrzenie czarnych oczu spod grzywki złocistych włosów. Gdy marszczyła nosek, Zuzanna prawie widziała swego dawnego partnera. Nie budziło to w niej żalu ani złości – wyłącznie czułość.

Dziewczynka wyciągnęła delikatną rączkę i chwyciła jej dłoń.

– Tak, Basieńko, pójdziemy się pobawić – obiecała matka.

Po chwili rozległo się pukanie do drzwi. Na progu stała Miranda, trzymając w dłoniach sporych rozmiarów lampę oraz jakieś podłużne pudełko.

– Cześć, przysłała mnie tu pani Pieniążkiewicz. Zobacz, co dla ciebie mam. Lampa na fortepian i partytury. Okropnie stare.

I nie czekając na pozwolenie, zaczęła szukać miejsca do podłączenia lampy. Była naprawdę piękna – miała podstawkę z polerowanej miedzi, fantazyjnie wygięte ruchome ramie, a klosz w kształcie kielicha kwiatu wykonany był z pomarańczowego szkła.

– Śliczna – zachwyciła się Zuzanna.

Miranda zanurkowała tymczasem pod fortepian, by znaleźć kontakt. Po chwili tę część pomieszczenia zalało ciepłe, lekko stłumione światło.

– To zabytek. Pochodzi chyba z Danii. Pani Klara twierdzi, że już dawno pozbyła się pianina, ale tej lampy nie umiała wyrzucić. Uznała, że tobie może się przydać.

– Na pewno! Idealnie harmonizuje z instrumentem – stwierdziła Zuzanna. – Jestem jej bardzo wdzięczna. Może pójde podziękować?

– Lepiej nie. Pani Pieniążkiewicz ma swoje humorki. Zwykle jest bardzo miła, ale czasami trudno zrozumieć, o co jej chodzi. Nie chce z nikim rozmawiać, zamyka się w mieszkaniu. Teraz też, gdy dawała mi te rzeczy, zapowiedziałam, że przyjdę z tobą, a ona na to: „Już ją widziałam. Niech gra”. Taka jest ta nasza Klara.

– Rozumiem. A te partytury?

– Chcesz zobaczyć? Wyglądają na bardzo stare, pani Pieniążkiewicz ma pełno takich rzeczy.

Pochyliły się nad pudełkiem. W istocie było pełne partytur drukowanych na papierze, który zdążył już pożółknąć od upływu czasu.

– Rachmaninow, Szostakowicz, Prokofiew. Sami rosyjscy kompozytorzy – zdziwiła się Miranda.

Zuzanna wyjęła nuty.

– Drugi koncert fortepianowy Rachmaninowa opus osiemnaste. Słyszałaś to?

– Nigdy w życiu.

Miranda pokręciła głową.

Zuzanna usiadła do fortepianu i zaczęła grać Adagio sostenuto. Dźwięki płynęły delikatnie

w zapadającym zmierzchu, wirowały w świetle lampy ustawionej na fortepianie, rozpraszały się po całym domu, przenikając Kamienicę pod Szczęśliwą Gwiazdą swoim niewiarygodnym pięknem. Muzyka Rachmaninowa miała w sobie coś ujmującego. Pozornie wystarczyło muskać palcami klawiaturę, by wydobyć najczarowniejszą melodię, która płynęła, wirowała i otulała wszystko doskonałym brzmieniem: tęsknym, czułym, a jednocześnie pełnym siły.

Gdy Lorenc oderwała dłonie od klawiszy, Miranda otarła szybko oczy.

– Pierwszy raz płakałam, słysząc muzykę – przyznała się z zakłopotaniem. – Babcia często puszcza coś z płyt, ale kiedy ty grasz, brzmi to zupełnie inaczej. Tak jakoś... magicznie, jak nie z tego świata.

– Powinnaś to usłyszeć z orkiestrą. To jest dopiero niesamowity efekt. Tak się składa, że uwielbiam ten koncert, grałam go na jakimś przesłuchaniu w akademii. Niezwykle mocno na mnie działa ta muzyka.

– O tak. Mnie się zawsze wydawało, że klasyka to muzyka dla emerytów. Ramota, której już nikt nie słucha, poza moją babcią. Teraz jednak widzę, że to może poruszyć. Nawet bardzo!

– Cieszę się – stwierdziła z prostotą Zuzanna. – Już prawie zapomniałam o tym Rachmaninowie. Dzięki pani Pieniążkiewicz wróciły do mnie ulubione melodie. Ciekawe, skąd ona ma te nuty? Także grała?

Miranda nie miała pojęcia.

– Babcia tylko tyle mi powiedziała, że Klara występowała w jakimś kabarecie. Trochę się zdziwiłam, bo ona zupełnie nie pasuje mi do śmiesznych skeczy... Może zresztą chodziło o coś innego? Na przykład taki kabaret przedwojenny z piosenkami i tańcem?

– Możliwe – zgodziła się Lorenc.

Miranda usiadła na podłodze i zaczęła bawić się z bliźniętami.

– Prawie bym zapomniała! Rozmawiałam z kierowniczką biblioteki, ona jest świetnie zorientowana w życiu naszej dzielnicy. Podobno w ognisku muzycznym potrzebują nauczycielki na część etatu. Tylko nie wiem, czy ty, z twoim talentem, byłabyś zainteresowana.

– Jasne, że tak. – Ucieszyła się Zuza. – Od czegoś trzeba zacząć, to byłaby świetna rzecz. Dziękuję, że o mnie pomyślałaś. Gdzie mieści się to ognisko?

– Niedaleko, w dawnym klubie osiedlowym. Teraz jest tam szkoła tańca, jogi i Bóg wie co jeszcze. Planują rozszerzyć działalność, mówiło się o jakiejś prywatnej szkole teatralnej, ale co z tego wyniknie, to nie mam pojęcia. Przyniosłam ci numer telefonu do właścicielki tego całego interesu. – Miranda pogrzebała w kieszeni spodni i wydobyła kartkę.

– Sonia Piskorz. Zaraz, zaraz, tak się zastanawiam, czy Helena przypadkiem nie miała takiej koleżanki...

Zuzanna przypomniała sobie przedpołudniową rozmowę.

– Tak! Mnie też o niej opowiadała. Podobno jakiś lekko zawiany profesor przepowiedział im na Rynku Dębnickim pod barem, że Sonia zostanie wielką aktorką!

Miranda się roześmiała.

– No co ty mówisz? Widzisz, aktorką chyba jednak nie została, ale prowadzi tę szkołę baletową i zajęcia umuzykalniające. W razie czego poproś Helenę, niech cię tam zaprowadzi. One się bardzo lubiły z tą Sonią, tak przynajmniej mówiła mama. Była jeszcze taka trzecia dziewczyna, bardzo ładna...

– Balbina – przypomniała sobie to nietypowe imię Zuzanna.

Miranda skinęła głową.

– Właśnie. Śliczna jak obrazek. Miała takie jasne anielskie włosy. Mama opowiadała, że wszyscy chłopcy się w niej kochali. To była najlepsza przyjaciółka Heleny.

– I co się z nią teraz dzieje? – zainteresowała się Lorenc. – Wyprowadziła się stąd?

– Nie mam pojęcia. Gdy Helena wyjechała, przestałam w ogóle widywać jej koleżanki. Balbina musiała się dawno temu wynieść, bo nie spotkałam jej od lat. Mieszkała w takiej ładnej willi na Ogrodowej, to jest prawie nad samą Wisłą, niedaleko szkoły. Tę willę też ktoś chyba kupił, bo została wyremontowana. Gdy mieszkali w niej Plechowie, wszystko się sypało. Ojciec Balbiny musiał owinąć balkony w specjalne siatki, bo kawałki cegieł spadały ludziom na głowy. Mówię ci, straszna ruina. Myślę, że po prostu nie byli w stanie utrzymać tego domu, choć ojciec Balbiny był lekarzem pediatrą i miał prywatną praktykę.

– Muszę dać dzieciom kolację. – Uzmysłowała sobie nagle Zuza. – Jeżeli możesz, popilnuj ich trochę, a ja przygotuję wszystko. Napijemy się herbaty, upiekłam też placek.

– Bardzo chętnie, jeśli ci nie przeszkadza. Ogromnie lubię twoje dzieci. Tak sobie pomyślałam, że jeżeli dogadasz się z Sonią i dostaniesz tę pracę, to może będziesz potrzebowała pomocy przy maluchach? Ja chętnie przyjdę, Helena i babcia też na pewno się zgodzą pomóc. Mama raczej nie. Ona ma swoje sprawy i jest bardzo zajęta.

Zuzanna spojrzała na sąsiadkę z wdzięcznością.

– Nie chcę wam sprawiać kłopotu. To mogą być rozmaite godziny, nie wiadomo, jak ułoży się grafik.

– Wiem. Ja także mam swoją pracę, której nie mogę tak zupełnie zaniedbać. – Roześmiała się. – Biblioteka nie zajmuje mi jednak całego dnia, a Helena, sama widzisz, na razie i tak niewiele może zdziałać w sprawie swojego sklepu. To będzie dla nas miła odmiana, a i babcia trochę się rozerwie. Ona już chyba straciła nadzieję, że doczeka się prawnuków ode mnie lub wnuków od Heleny.

– Bez przesady – stwierdziła Lorenc, podając dzieciom kolację. Przed Mirandą postawiła talerz z ciastem i kubek z herbatą.

– No wiem, tylko tak żartuję. Pyszne ciasto.

– Dziękuję. Chciałam ci powiedzieć, że jesteście dla mnie bardzo dobre. Nie spodziewałam się...

– Czego się nie spodziewałaś? Że ludzie mogą być dla siebie mili? – zdumiała się sąsiadka, nakładając sobie kolejny kawałek.

– Właściwie to tak. – Zuzanna się zawstydzila. – Zawsze mi się wydawało, że serdeczność rodzi się dopiero po bliższym poznaniu. Najpierw traktuje się obcego z rezerwą, usiłuje się go dobrze obejrzyć, ocenić, jaki jest. Dopiero później zaczyna mu się ufać i wreszcie przyjmuje do swego grona – wyznała szczerze.

Miranda pokręciła głową.

– U nas to chyba inaczej działa. My z Heleną jesteśmy bardzo impulsywne. Tak mówi mama. Ona się zresztą tym strasznie martwi. Uważa, że ciotkę można już spisać na straty, bo babcia jej odpowiednio nie wychowała, ale dla mnie jest jeszcze szansa. Zawsze powtarza, że powinnam być powściągliwsza. Uważać na to, co mówię i robię. Wiem, że ona taka jest i pewnie sądzi, że to najlepszy wzorzec. Rozwaga i opanowanie. Ale gdybym się zmieniła w ten sposób, w jaki ona chce mnie widzieć, nie byłabym po prostu sobą. Nie jestem pewna, czy mnie rozumiesz?

Zuza kiwnęła głową na znak, że owszem, doskonale pojmuje. Konieczność zmierzenia się z oczekiwaniami, jakie mają wobec nas inni, to wielka próba charakteru. Czasem nie uświadamiamy sobie tego, że może od niej zależeć właściwie wszystko. Czy wyjdziemy z konfrontacji obronną ręką i ocalimy własną osobowość, czy też zmienimy się pod dyktando innych, tracąc część własnej indywidualności? Co jest dla nas dobre, a co złe? Niestety, dochodzimy do takich wniosków nierzadko poniewczasie.

– A ty masz dobry kontakt z matką? – zainteresowała się Miranda.

– Nie najlepszy. – Lorenc skrzywiła się lekko. – Matka mieszka w Gdańsku, a ja – jak widzisz – tutaj. Nie bardzo potrafimy się dogadać. Ona jest w porządku, kocham ją, ale wciąż odnoszę wrażenie, że nie jestem dla niej dosyć dobra, w jakiś sposób ją rozczarowuję – wyznała szczerze.

Miranda skinęła głową.

– U mnie jest podobnie. Zawsze gdy coś mi się uda, wyjdzie tak, jak sobie zaplanowałam, i jestem z siebie dumna, boję się, że mama uzna, iż to za mało. Bo mogłam więcej i lepiej. Powtarza przy każdej okazji, że trzeba mieć ambicje i ścigać marzenia. Wiem, że to okrutne z mojej strony i nie powinnam tego mówić, ale zastanawiam się, czy jej ambicje w istocie były takie: pracować na podrzędnym urzędniczym stanowisku w jakimś biurze związanym z administracją. Czy tego właśnie chciała? O tym śniła jako mała dziewczynka, a potem nastolatka? Trudno mi w to uwierzyć.

– Życie modyfikuje nasze plany w nieoczekiwany sposób – mruknęła Zuzanna i pomyślała o sobie. Ona też miała być sławną solistką. Koncerty, wyjazdy, nagrania... Wypełnione publicznością wspaniałe sale, wydania na płytach. Recenzje w gazetach, fotografie w prasie i na plakatach. A potem może zasiadłaby w jury jakiegoś prestiżowego konkursu, stała się cenioną wykładowczynią, mentorką młodych talentów... Jej losy potoczyły się jednak inaczej, teraz atrakcyjna wydawała jej się posada w ognisku muzycznym na kilka godzin dziennie.

– To prawda – przytaknęła sąsiadka. – Ale czy to nie jest smutne, no i trochę przerażające?

– Przerazające? Dlaczego?

– Bo niczego nie można być pewnym. Masz plany, jasno wytyczony cel i nagle wszystko się odwraca. Marzenia okazują się mrzonką.

– Mówisz tak, jakbyś przeżyła już wielki zawód – powiedziała Zuza.

Miranda nieoczekiwanie odwróciła wzrok.

– Nie... To było tylko tak ogólnie. Miałam na myśli mamę – tłumaczyła się nieporadnie.

– Jestem pewna, że ona też miała jakieś swoje wielkie nadzieje. I że się rozczarowała. Dlatego teraz jest taka. Więc nie oceniam jej i nie złoścę się na nią jak Hela.

– Twoja ciotka nie lubi się z twoją mamą?

– Myślę, że one zawsze się spierały, jak to siostry. W dodatku jedna jest dużo młodsza od drugiej. Mama nigdy się nie liczyła z Heleną, uważając, że jest ona za młoda, by o czymkolwiek decydować. No i niespodziewanie siostra dorosła, pojawił się kolejny pełnoprawny członek rodziny. Mama chyba nie do końca potrafi się z tym pogodzić.

– Trochę to pokręcone – uznała Zuza.

– Owszem. – Sąsiadka się zgodziła. – Nikt nie mówi, że ma być łatwo.

– No właśnie. Nikt tego nie może obiecać. Sama powinnaś o tym pamiętać. – Matka wyciągnęła Jasia z krzeselka, bo zbliżała się pora na kąpiel i sen.

Basia wciąż popijała herbatkę z kubeczka z dzióbkiem i wpatrywała się w Mirandę ciekawie.

– Pomogę ci – zadeklarowała się Jakubowska. – Muszę zrzucić trochę kalorii po tym deserze. Mogę też dźwigać i przesuwać meble.

– To raczej nie będzie konieczne – zapewniła Zuzanna, po czym zabrała bliźnięta do łazienki.

6.



Helena sprawdziła dyżury rady dzielnicy i w najbliższy otwarty dla mieszkańców dzień udała się na konsultacje.

Nie robiła sobie zbyt dużych nadziei, bo nie pamiętała, aby ta instytucja zajmowała się czymkolwiek. A przecież, odpowiednio zarządzana, miała wielkie pole do popisu. I nie chodziło tutaj tylko o chodniki czy zieleń. Można było zorganizować niejedną pożyteczną inicjatywę i zintegrować lokalnych mieszkańców.

Rada dzielnicy mieściła się w podłużnym pawilonie wybudowanym w latach siedemdziesiątych, który niegdyś służył spółdzielni mieszkaniowej. Teraz większą część budynku na parterze zajmowały sklepy, zaś na piętrze znajdowała się „Szkoła Ruchu i Muzyki Piskorz” – tak przynajmniej wynikało z dużej reklamy zawieszanej przy drzwiach. Żeby już nie było żadnych wątpliwości, na szyldzie obok wymalowano rybę podobną do węgorza, w baletowej sukience.

Jeśli to ma być piskorz, to chyba niezbyt znają się na ichtiologii – pomyślała Helena, która doskonale pamiętała, że ryba ta ma bardzo wydatną tylną płetwę.

A więc Sonia lub ktoś z jej rodziny prowadzi szkołę tańca. Niesłychane. Chyba jednak nie Sonia, bo ona nigdy nie lubiła zajęć wymagających wysiłku fizycznego i marzyła raczej o karierze w jakimś zawodzie przynoszącym dobry zysk: menedżera lub analityka finansowego. Czyżby wszystko mogło się aż tak zmienić?

Nie miała jednak czasu na zadumę, bo właśnie dotarła do biur rady dzielnicy. Nie zastała szczególnie dużo interesantów. Gdy zgłosiła się do dyżurującej urzędniczki, poproszono ją bardzo grzecznie, by chwilę zaczekała w hallu.

Budynek praktycznie nie zmienił się, odkąd Helena, jeszcze jako uczennica, przychodziła tu na polecenie matki, załatwiać jakieś sprawy związane z książeczką opłat mieszkaniowych. Te

same obdrapane ściany, a na podłodze znajome linoleum. Pod spodem były zapewne nieśmiertelne płytki PCV. Niby siedziba spółdzielni mieszkaniowej, a stanowi najgorszą wizytówkę mieszkalnictwa – filozofowała Werde, w znudzeniu wyglądając przez okno. Pamiętała ten widok. Gdy się wracało ze szkoły, idąc drogą na tyłach bloków, które zbudowano prawie w tym samym czasie co pawilon spółdzielni, budynek wyrastał niespodziewanie na samym środku ścieżki – tak dziwnie go usytuowano. Zamykał swoją niezbyt kształtną bryłą cały róg ulicy, a przejście było możliwe jedynie przewiązką przebitą dokładnie pod salami obecnej „Szkoły Piskorz”.

– Pan przewodniczący prosi panią – odezwała się urzędniczka.

Zaskoczona Helena odwróciła się od okna. Przewodniczący? Nie liczyła na rozmowę z tak ważną figurą, gdy rano dzwoniła do rady dzielnicy i prosiła o spotkanie. Ale to dobrze – może łatwiej uda się jej załatwić swoją sprawę. Poprawiła torbę na ramieniu, po czym weszła do gabinetu.

Na jej powitanie podniósł się mężczyzna w jej wieku, którego niewątpliwie znała. Był wysoki, szczupły i miał grzywę kręconych jasnobrązowych włosów. Z tropu zbiły ją okulary w niezbyt modnych podłużnych oprawkach, ale gdy się uśmiechnął, rozpoznała go natomiast.

– Szarotka! – krzyknęła w zdumieniu, a potem zaraz się poprawiła. – To znaczy: Mikołaj. Cześć.

Mikołaj Szarocki podszedł do niej szybkim krokiem i serdecznie uściśnął jej dłoń.

– Iskra!

Helena już zapomniała, że tak mówili na nią w szkole i uśmiechnęła się lekko. On od razu się zreflektował.

– Chciałem oczywiście powiedzieć: Helena.

– Nie, nie ma sprawy. Zapomniałam, że tak na mnie wołaliście, tyle czasu minęło.

– Trzy koleżanki, Iskra, Cicha i...

– Balbina. – Helena pokiwała głową, a Szarotka roześmiał się wesoło. Miał bardzo sympatyczny śmiech i w niczym nie przypominał chłopaka ze szkoły.

– Mnie też nie przeszkadza Szarotka – zastrzegł się. – Już nikt do mnie tak nie mówi, niestety. Dawno cię nie widziałem, myślałem, że na stałe się wyprowadziłaś.

– No właśnie nie. Wróciłam niedawno z zagranicy. Siostra mnie wezwała, bo mama niezbyt dobrze się czuje i nie dawały sobie rady z siostrzenicą z opieką nad nią.

– Rozumiem. Bardzo dobrze zrobiłaś. Słyszałem, że wyjechałaś gdzieś daleko, twoja siostra chyba mi o tym wspominała...

Helena spojrzała na niego z zaskoczeniem. Nie sądziła, że Ofelia rozmawia z którymkolwiek z jej kolegów szkolnych, bo zawsze uważała wszystkich za nieopierzonych smarkaczy. No, ale po pierwsze – już dorośli, a po drugie niektórzy, jak Szarotka, pełnili ważne funkcje w społeczności.

– No tak, gdzie ja to nie byłam – rzuciła melancholijnie. – Mieszkałam trochę w Hiszpanii, trochę we Włoszech... Potem pojechałam dalej.

– Brałaś też udział w jakiejś wyprawie badawczej, prawda?

– Masz dobre informacje. Nie sądziłam, że moja siostra ma taki długi język. Owszem, udało mi się dołączyć do ekspedycji archeologicznej na Bliskim Wschodzie. Fajna przygoda, choć Indiany Jonesa pewnie ze mnie nie będzie.

– Ciężko było chyba porzucić tak barwne życie. – Mikołaj patrzył na nią z ciekawością.

– Czy ja wiem... – Helena pokręciła głową. – Miałam wciąż poczucie, że to nie jest to, czego szukam. Choć oczywiście Fela uważa, że ja nie wiem, czego chcę, to ja wciąż mam nadzieję, że się odnajdę. – Roześmiała się i postanowiła zmienić temat, bo nie miała ochoty

rozmawiać o swoich życiowych wyborach.

– A ty? Co się z tobą działo przez te wszystkie lata? – zagaiła. – Pamiętam, że głównie graliście w hokeja na zamrożonym boisku, no i w piłkę latem. Mam wrażenie, że zawodowej kariery w tym kierunku raczej nie zrobiłeś.

Szarotka wybuchnął śmiechem.

– Zdecydowanie nie. Nie miałem warunków. W szkole osiągnąłem bodaj sto sześćdziesiąt centymetrów, dopiero potem wystrzeliłem w górę. A sama rozumiesz – z takim wzrostem mogłem liczyć co najwyżej na karierę dżokeja lub gimnastyka, a do obu nie miałem predyspozycji.

– No to co robisz? – Była wyraźnie zaniepokojona.

– Z wykształcenia jestem astronomem. To znaczy właściwie zajmuję się fizyką gwiazd. Badam głównie gwiazdy zmienne, ale robię też inne rzeczy. Dlaczego tak na mnie patrzysz? – Wydawał się zdziwiony.

Helena pokręciła głową.

– Niesamowite. Nie przypuszczałam, że masz takie zainteresowania.

– No cóż, chyba mało o mnie wiedziałaś po prostu. – Skrzywił się lekko.

– Nie gniewaj się. W szkole raczej za sobą nie przepadaliliśmy, prawda? Zawsze uważałeś mnie za wariatkę.

– A ty mnie za idiotę.

Spojrzeni na siebie i wybuchnęli śmiechem.

– Jednego nam nie można odmówić – wciąż jesteśmy szczerzy – stwierdził, a ona przytaknęła. – Powiedz lepiej, co cię do mnie sprowadza – zapytał po chwili.

Helena zaczęła mu opowiadać o spotkaniu z Mrowińską.

– Mikołaj, ja wiem, że to była koszmarna baba. Fela opowiadała mi o niej różne straszne rzeczy, że zdarzało jej się nawet uderzyć ucznia w klasie. Jednak warunki, w jakich ona teraz żyje, są wstrząsające. W tym domku nie ma ogrzewania, nie wiem, piec jest zepsuty albo kobieta nie ma na opał. W każdym razie jest zimno i wilgoć. Nikt się nią chyba nie opiekuje i obawiam się, że jeśli ona umrze w tej chatynce, to ktoś ją znajdzie po dwóch tygodniach...

Szarotka zmarszczył brwi.

– Anna Mrowińska. No tak, to był postrach naszej szkoły. Skutecznie obrzydziła mi biologię, a myślałem o takich studiach. W sumie wyszło mi to na zdrowie, bo poszedłem na astrofizykę i jestem bardzo zadowolony... Mój brat mi opowiadał, że to w jego klasie popchnęła chłopaka na ścianę tak mocno, że rozbił sobie głowę, ale sprawę zatuszowano.

– No i te apele o wyższości socjalizmu nad każdym innym ustrojem. – Skrzywiła się znowu Helena. – To był ponoć zakuty łeb, ta kobieta.

– W naszych czasach spuściła już z tonu, ale mój brat chodził do szkoły trochę później niż twoja siostra. Te historie teraz wydają się śmieszne, ale wtedy na pewno dla nikogo to nie były żarty.

– Właśnie. Gdybym powiedziała siostrze, że chcę pomóc Mrowińskiej, to by mnie chyba przeklęła. Ona jej autentycznie nienawidzi. Strasznie im musiała dawać w kość w tej klasie. Tylko że teraz jest to stara, schorowana kobieta, która nie ma nikogo. Może rodzina się od niej odwróciła, a może po prostu żadnej nie miała? To takie smutne... Powiem ci szczerze, że gdy ją zobaczyłam na ulicy, też początkowo chciałam się zająć swoimi sprawami. Ale potem upadły jej te paczki i zaczęła się schylać, żeby je zbierać...

– Wiem. Musimy coś zrobić. Zaraz się zastanowię.

– Tylko dyskretnie. Ona nie chce iść do żadnego domu opieki i ja ją rozumiem. Sama specjalnie po to wróciłam do Krakowa, żeby pomóc Feli zająć się mamą. Każdy starszy człowiek

woli być u siebie.

– Nie martw się. Załatwię to delikatnie. Po pierwsze dowiem się w ośrodku zdrowia, czy mogą do niej przysłać pielęgniarkę środowiskową, zorganizujemy też jakąś opiekunkę, przynajmniej dwa razy w tygodniu. Ktoś musi tam po prostu zaglądać. Spróbuję też się wybrać do Mrowińskiej, żeby sprawdzić stan budynku. Piec można wymienić, akurat na to są dotacje. A może nawet udałoby się jakiś niewielki remont zrobić? Zadzwoń do kuratorium, na pewno mają fundusz dla emerytowanych nauczycieli.

– Dziękuję ci bardzo. Ja też będę tam zachodzić, może jakieś zakupy zrobię, pomogę. Moja siostrzenica, Miranda, obiecała zaangażować wolontariuszy z biblioteki. W razie czego zaalarmują, że dzieje się coś złego. Może ktoś z dawnych kolegów będzie chciał pomóc?

– Każdy ma swoje sprawy i nie interesuje się życiem innych. Ty jesteś pierwsza – mruknął Mikołaj. – Już od ponad pół roku jestem przewodniczącym rady i po raz pierwszy ktoś przyszedł z takim problemem. Nie wspominając już o tym, że jesteś w ogóle pierwszą osobą, która zainteresowała się losem drugiego człowieka, a nie tylko domagała się rozwiązania własnej sprawy.

– Tak źle jest? Widzę, że jesteś zniechęcony – zauważyła Helena.

Mikołaj machnął ręką.

– Kiedy stawałem do wyborów, to myślałem, że mnóstwo tutaj zrobię. Bo i chodniki wymagają naprawy, i biblioteka remontu, nie mówiąc o oświetleniu na rynku... Planowałem, żeby jakiś klub zrobić dla wszystkich mieszkańców, może park założyć? No i co? Nic. Od pół roku walczę z biurokracją i ludzką niechęcią. Wiesz, jak często słyszę „nie da się”? Codziennie. Ale nie, ja się nie poddam.

– Bardzo dobrze – pochwaliła Werde.

Szarotka opanował się, bo zrozumiał, że wybuchnął niepotrzebnie.

– Przepraszam cię. Nie powinienem się skarżyć. W końcu wiedziałem, na co się piszę. To jest bezwładna maszyna, ale ja i tak ją spróbuję poruszyć.

– Gdzie chciałeś zrobić ten park?

Mikołaj wyciągnął z szuflady plan i pokazał jej palcem.

– Tutaj. Pamiętasz?

– No jasne! – Helena się uśmiechnęła. – Tereny dawnych zakładów ceramicznych Niedźwieckiego. Bawiliśmy się tam godzinami. Pamiętam, jak wyciągałam resztki płytek łazienkowych z takiej wielkiej sterty.

– Firma zbankrutowała, grunt jest własnością miasta. Ty mieszkasz przy Gwiazdzistej, zatem park zaczynałby się praktycznie za twoim domem.

– Byłoby cudownie. To mnie mobilizuje, żeby uprzątnąć nasz ogród, bo jest w tragicznym stanie. Choć może, z drugiej strony – nie warto? Być może niedługo trzeba się będzie wynosić z kamienicy.

– A to dlaczego? Budynek jest w tak kiepskim stanie, że wymaga remontu kapitalnego? – zainteresował się Szarotka.

Helena pokręciła głową.

– Wszyscy dostaliśmy listy od notariusza. Mamy się stawić w kancelarii w jakiejś sprawie związanej z kamienicą. Nikt nie ma pojęcia, o co chodzi, ale obawiamy się, że znalazł się właściciel i chcą nas po prostu wyrzucić.

– Jak to: znalazł się właściciel? Akurat teraz? – zdumiał się Mikołaj.

Helena usiłowała wyjaśnić mu tę skomplikowaną sprawę:

– Z tego, co mówi mama, kamienica przed wojną należała do kogoś, ale właściciel nigdy się nie odzywał. Czynsz był wpłacany na konto, ustanowiła się taka samowolna rada

lokatorów, która zarządzała tymi pieniędzmi. Nikt się od nas niczego nie domagał. Jeszcze jak ojciec żył, mówiło się, że trzeba coś z tym zrobić – wyprostować w papierach, doprowadzić do sytuacji, żeby przejęło nas miasto. W każdym razie z tego, co mi wiadomo, nie udało się niczego przeprowadzić.

– Zapewne teraz znalazł się jakiś spadkobierca. To może być potencjalnie groźne, ale nie musi. Kiedy macie to spotkanie?

– Za dwa tygodnie. Wiem, że niewiele możemy zrobić. Mama na szczęście ma przydział na to mieszkanie, nie mogą nas tak łatwo wyrzucić. W razie czego spróbujemy sprawę przeciągać – tłumaczyła Helena. – Nie bardzo wyobrażam sobie teraz wyprowadzkę. Mówię ci, wszystko się tak komplikuje, że nie masz pojęcia!

– W radzie dzielnicy jest prawnik pomagający w tego typu sprawach. Daj tylko znać, a cię umówię – zadeklarował Mikołaj.

Spojrzała na niego z wdzięcznością.

– Dzięki. Powiem ci szczerze, że muszę odszukać to, co mówiłam Mirandzie o twojej radzie, że nic nie robicie. Myślę, że błąd tkwił w moim rozumowaniu – to ja powinnam coś zrobić razem z wami.

– Szkoda, że tylko ty tak myślisz – westchnął Szarotka. – Gdybym miał większe wsparcie mieszkańców, na pewno łatwiej by mi było przepchnąć swoje projekty przez to urzędnicze bagno.

– Musisz się z nimi spotkać, na pewno nadarzy się ku temu okazja, choćby w bibliotece, gdy będziemy organizować wsparcie dla Mrowińskiej – zaproponowała Helena.

Mikołaj skinął głową.

– Masz rację. Niepotrzebnie tu siedzę, licząc, że ktoś do mnie przyjdzie. Powiniennem sam wyjść do ludzi, zainteresować ich tym, co chcę zrobić. Mówię ci, Iskra, ja się nie nadaję do polityki. Myślałem, że wiele zdziałam, bo mam pomysły i wiem, jak chciałbym, żeby to było urządzone. A tu trzeba dyplomacji, wysadywania w korytarzach ważnych urzędów, gier strategicznych. Ja tego nie potrafię, więc wszyscy mają mnie za nieudacznika.

– No to się naucz. – Helena była bezlitosna. – Nie użalaj się nad sobą, Szarotka, myślałby kto, że z ciebie takie bezbronne stworzenie. Trzeba działać, teraz i już. Ja ci chętnie pomogę w sprawie parku, bardzo nam potrzebna taka strefa zieleni dostępna dla wszystkich. To byłoby wręcz genialne!

– Dzięki. Pamiętaj o tym prawniku w radzie dzielnicy. W razie czego jesteśmy do dyspozycji.

Kobieta wstała i zaczęła się żegnać.

– No właśnie – przypomniała sobie. – Ja właściwie też z prywatą. Spróbuj przyjrzeć się sprawie nawierzchni na naszej ulicy. Jest w tragicznym stanie, a my niewiele możemy sami zrobić. Przez ten nasz komitet blokowy praktycznie nie da się przeprowadzić żadnego remontu kamienicy. Wszyscy się kłócą, na co w pierwszej kolejności przeznaczyć pieniądze. Cudem utrzymujemy dach w jakiej takiej kondycji, bo Jacek Nowacki, który mieszka na parterze, oczywiście uważa, że najważniejsze są chodnik, brama i piwnica...

– Nowacki mieszka w waszej kamienicy? – przerwał jej Mikołaj.

– Już od paru lat. Teraz, po rozwodzie, kompletnie mu odbiło, zachowuje się jak stary ramol. Bezzębny i sfrustrowany.

– Nie wiedziałem, że się rozwiódł.

– Śmiejemy się, że to dlatego, iż nie udało mu się przejąć drugiego mieszkania na parterze, które od lat stoi puste.

– To był lokal Ilnerskich, prawda? – zapytał Szarocki, obracając w dłoni długopis.

Helena popatrzyła na niego bystro i ponownie usiadła za stołem.

– Szarotka... To znaczy Mikołaj, ty dużo wiesz o naszym domu. Dlaczego się tym interesujesz? Coś się święci, dobrze się domyślam? Powiedz mi prawdę, bo się strasznie zacznę denerwować. Wywalą nas na bruk, tak?

– Iskra, nie mam pojęcia, kto stara się o zwrot waszej kamienicy, jeśli rzeczywiście tak jest i tego będzie dotyczyło spotkanie z prawnikiem. Po prostu chodzi mi o Tymona Ilnerskiego...

– A kto to taki? – Nie rozumiała Helena.

– Przyjaźnił się z moim bratem, ale był od niego trochę starszy. Razem rozrzucali jakieś ulotki w stanie wojennym. To właśnie jego załatwiła Mrowińska. Musiał opuścić szkołę, a potem cała rodzina wyjechała za granicę. Myślałem, że znasz tę historię.

– Niezupełnie. Coś się u nas mówiło o tej sprawie, o emigracji sąsiadów, ale bez konkretów. Nie wiedziałam, że to o to chodziło. Dziwna rzecz, że te historie nagle razem wpływają: Mrowińska, nasza kamienica, ten Ilnerski.

– Wywołał ducha przeszłości. – Machnął ręką Mikołaj. – Jeśli możesz, zostaw mi jakiś namiar na siebie, gdybym czegoś się dowiedział o tej kamienicy, albo tak, wiesz, gdyby w ogóle coś się okazało.

– Jasne. – Nabazgrała mu numer telefonu na kartce. – Miło cię było spotkać, Szarotka.

– Ciebie też. Naprawdę fajnie, że przyszedł. Prawie z nikim z klasy nie utrzymuję kontaktu. Właściwie z nikim poza Sonią Piskorz, która ma szkołę tańca na tym piętrze.

– No proszę, to jednak Sonia jest właścicielką – zdumiała się Helena. – A tak nie znosiła wszelkiej aktywności fizycznej. Toż to był leń i prawdziwy truteń. Jak trzeba było gdzieś pójść, Sonia zawsze proponowała, żeby jechać tramwajem.

– Ludzie się zmieniają. Rozumiem, że nie utrzymywałaś z nią kontaktu po szkole?

– Jakoś nasze drogi się rozeszły. Sam wiesz, jak to jest. Najlepsze przyjaciółki w podstawówce, a potem wszystko się rozmywa...

Kiwnął głową ze smutkiem.

– No tak. A... Barbina? Nie ciekawi cię, co u niej?

– Nie. Zupełnie mnie to nie interesuje – powiedziała tak twardo, że zdumiał go ton jej głosu. – Pójdę już, bo Miranda wychodzi do biblioteki na całe popołudnie i muszę się zająć mamą. Do zobaczenia, Szarotka!

– Do widzenia, Iskra.

Uścisnęli sobie dosyć formalnie dłonie, po czym Helena wyszła na korytarz.

Po prawej stronie było wejście do „Studia Ruchu Piskorz”. Zrobiła dwa kroki w tamtym kierunku, ale zrezygnowała. Właściwie nie miała ochoty na odnawianie znajomości z Sonią. Co niby jej miała powiedzieć? „Cześć” po tylu latach? Żalotne i niepotrzebne. Zawróciła na pięcie i wyszła z ulgą na ulicę.

Dlaczego nie czuła satysfakcji? Przecież udało jej się uzyskać zapewnienie Szarotki, że pomogą pani Mrowińskiej. W dodatku okazało się, że sam Mikołaj nie jest takim ograniczonym pacanem, za jakiego go miała. Pokręciła głową ze zdumieniem, jak ten chłopak się wyrobił. Astrofizyk, kto by pomyślał. Nie śledziła jakoś szczególnie szkolnych osiągnięć Szarotki, ale może rzeczywiście miał talent do przedmiotów ścisłych? W humanistycznych na pewno był nogą, co do tego nie miała żadnych wątpliwości. „Ziuta” niejedną raz załamywała ręce nad gramatyką i ortografią jego wypracowań. A teraz proszę: nie dość że naukowiec, to jeszcze społecznik. Trochę niedorajda, to prawda, idealista, który myślał, że jego szlachetne idee same zmienią świat, ale czy to naprawdę tak źle? Gorzej by było, gdyby okazał się cynikiem i startował w wyborach wyłącznie dla kariery. Nie ma nic zdrowszego w fakcie, że ktoś chciał

zrobić wiele dobrego dla innych, lecz trochę przerosła go rzeczywistość. Właściwie to napawało optymizmem, że wciąż byli tacy ludzie, jak Mikołaj. Gotowi pracować dla wspólnego dobra i nieoczekujący wiele w zamian.

Tylko że jak na razie nie wychodzi mu najlepiej – dumiała, wracając do domu.

Rada dzielnicy pod jego przewodnictwem ma opinię nieudolnej i wszyscy się z niej śmieją. Efektów prac, nawet jeśli jakieś są, po prostu nie widać. Wypadałoby to zmienić. Wierzyła w to, co powiedziała Mikołajowi – mieszkańcy powinni się bardziej zaangażować. Jeżeli zrozumieją, że ich głos jest słyszalny i ma znaczenie, będą chcieli się włączyć w jakieś działania.

– Cześć, coś taka zamyślona? – Usłyszała niespodziewanie. Nawet nie zauważyła, kiedy znalazła się przed domem. Jacek Nowacki z obrzydzeniem wycierał przednią szybę swego auta z ptasich odchodów. – Wstrętne ptaszyska! Należałoby ściąć to drzewo. Zapaskudzą nam całą ulicę. Zobacz tylko, jak wygląda elewacja.

W istocie gzyms nad bramą nie prezentował się zbyt estetycznie. Ptaki najwyraźniej upatrzyły sobie to miejsce i gnieździły się tu chętnie, podobnie jak na wiekowej magnolii przed domem.

– Drzewo jest stare, nie można go wyciąć – odparła. – Musimy kupić jakiś odstraszacz. Może dźwiękowy?

– Jasne, żeby mi piszczał nad uchem całą dobę. Ty jak coś wymyślisz, Lena, to ręce opadają – rzucił Jacek z przekąsem.

– To sam podsuń coś lepszego, poza oczywiście nielegalną wycinką drzewa. Byłam dzisiaj w radzie dzielnicy, rozmawiałam z Mikołajem Szarockim...

– I co? Naprawią nam chodnik? Przydałoby się. Banda nierobów. Nie mam pojęcia, na co idą moje podatki. Chodnik dziurawy, o ulicy to już w ogóle szkoda gadać i jeszcze latarnia się zepsuła. Żyjemy tu jak w jakiejś afrykańskiej wiosce. Za chwilę zaczniemy chodzić boso i w spódniczkach z trawy, bo cywilizacja przestanie do nas docierać.

– Nie przesadzaj. Napomknęłam mu o tej nawierzchni.

– Cudownie, może się doczekamy na Świętego Nigdy – sarkastycznie stwierdził Jacek, polerując szybę.

– Ależ ty marudzisz. Powiedz lepiej, że nie warto remontować chodnika ani walczyć z ptactwem, bo i tak nas wyrzucą z tej kamienicy – zniecierpliwiła się Helena.

Nowacki przerwał czyszczenie szyb i wyprostował się dumnie.

– Kogo wyrzucą, tego wyrzucą. Mnie na pewno nie. Zamierzam na to spotkanie iść z prawnikiem i tobie też to samo radzę. Poza tym mam w zanadrzu swoje argumenty...

– Jakie?

– Zobaczysz – odparł wymijająco. – Niech każdy się martwi o siebie. Tyle ci powiem, że trzeba gromadzić dokumenty i dobrze się przygotować. Na pewno nie liczyć na uśmiech losu.

– Ja liczę na uśmiech losu, twoim zdaniem?

– Tak. Zawsze taka byłaś. „Jakoś to będzie” i „jakoś się wszystko ułoży”. Tylko że tym razem to się może nie udać, Heła. A ty masz na głowie starą matkę i siostrę, która potrafi wyłącznie utyskiwać. Babiniec – dodał jeszcze pogardliwie, wsiadając do samochodu.

Helena miała ochotę go kopnąć, ale nie zdążyła, bo zatrzasnął jej drzwi przed nosem. Zamiast tego wymierzyła kopniaka w oponę jego samochodu i pokazała język. Było to niedojrzałe, ale trochę jej ulżyło. Jak ten bezczelny Nowacki śmiał? I kto to mówi? Facet, którego zostawiła żona, właściciel budek z jedzeniem na wynos. Śmiechu warte!

Złościła się, ale podświadomie wiedziała, że ma trochę racji. Tak, „wszystko jakoś się ułoży” było jej główną życiową strategią. Bo zawsze się jakoś układało. W końcu pojawiała się rozwiązanie, lepsze lub gorsze, i kończyło się dobrze. Problemy rozwiązywały się samoistnie,

gdy im się zbytnio nie przeszkadzało. Jednak tym razem sam optymizm mógł nie wystarczyć. Spotkanie z Szarotką, a teraz słowa Jacka dały jej mocno do myślenia. Musiała pomówić z Felą, odszukać dokumenty i opracować jakąś strategię. Nie miała żadnych konkretnych pomysłów, ale przecież nie mogła pozwolić na to, żeby eksmitowano je z tego domu. Mama by tego nie przeżyła – uświadomiła sobie i od razu poczuła silniejszy bodziec do działania.

7.



Zuzanna zwlekała kilka dni, zanim poszła do „Studia Ruchu i Muzyki Piskorz” po uprzednim telefonicznym umówieniu się z właścicielką.

Sonia Piskorz sprawiała wrażenie sympatycznej, choć nieco rozkojarzonej kobiety. Kiedy Lorenc weszła do jej biura, ona właśnie zerwała się od biurka, żeby wydać jakieś szybkie polecenia robotnikom remontującym salę.

– Już jestem – powiedziała wesoło po powrocie. – Mam istne urwanie głowy. Proszę trzymać kciuki, żeby to wszystko wypaliło. Znajomi uważają, że jestem wariatką, ale ja wierzę w sukces.

– Tego się trzeba trzymać – skomentowała Zuza i przedstawiła się.

Sonia przyjrzała jej się uważnie.

– Właściwie to spada nam pani z nieba. Ma pani jakieś dokumenty? Dyplom, referencje?

Lorenc wyciągnęła żądane papiery z teczki, a właścicielka zaczęła je przeglądać ze zmarszczonymi brwiami. Była ładną szatynką o wyrazistej twarzy i roześmianych oczach. Sprawiała wrażenie szczerzej i otwartej.

– Miałam zamiar wynająć część tego lokalu szkole teatralnej – mówiła tymczasem. – Potem jednak stwierdziłam, że to zły pomysł i że chcę postawić na szkołę muzyczną dla dzieci. Jest spore zainteresowanie, mam dużo zgłoszeń i właśnie kompletuję kadrę. Pani ma naprawdę znakomite kwalifikacje.

– Cieszę się – stwierdziła z prostotą Zuza.

– Ale czy będzie chciała pani tu pracować? Powiem prosto z mostu. Fajerwerków tu nie ma. Dopiero zaczynamy. Nie zaoferuję pani wynagrodzenia na zagranicznym poziomie, do którego jest pani na pewno przyzwyczajona. I nie będę pani zwodzić, że to się szybko zmieni. Oczywiście zakładam, że osiągnę gigantyczny sukces, uczniowie będą walili do mnie drzwiami

i oknami, byłabym głupia, gdybym się poddawała już na starcie. Jeśli tak się stanie, wszyscy na tym skorzystamy i zarobimy – jestem uczciwa i będę się sprawiedliwie dzielić. No, ale teraz... – Zatoczyła ręką koło. – Sama pani widzi... Przebijam się na rynku, muszę uważnie planować wydatki.

– Rozumiem. – Lorenc popatrzyła na nią z wyczekiwaniem. – Proszę mi zatem przybliżyć, na co ewentualnie mogłabym u pani liczyć? Od razu powiem, że nie jestem w pełni dyspozycyjna, wychowuję dwójkę małych dzieci i muszę sobie zorganizować opiekę nad nimi. Między innymi właśnie z tego względu odpowiadałaby mi praca w szkole, w zmiennych godzinach i na niepełny etat.

– Doskonale. Więc właśnie to byłoby chyba coś dla pani, bo liczba godzin stopniowo by się zwiększała, dochodziłyby też zapewne zajęcia indywidualne.

Sonia chwilę mierzyła Zuzannę wzrokiem, a potem wymieniła kwotę wynagrodzenia, która w istocie nie była szczególnie wysoka, ale na pewno nie można jej było nazwać śmieszną. Lorenc doszła do wniosku, że w obecnej sytuacji jest to doskonałe rozwiązanie. Praca byłaby blisko domu, godziny, uwidocznione na grafiku, który pokazała jej Sonia, zupełnie rozsądne, więc na skromne życie wystarczy.

Skinęła głową.

– Myślę, że to zadowalająca propozycja. Mam nadzieję, że wraz z rozwojem szkoły i ja będę mogła więcej zarabiać, tak jak pani mówiła.

– Proszę mi mówić: Sonia. Ja też będę się do pani zwracała po imieniu, bo to wnosi lepszą energię. Chciałabym odejść od tradycji szkół, jakie pamiętam – ze sztywnym i oficjalnym traktowaniem nauczycieli, którzy przecież są takimi samymi ludźmi jak inni.

– Jasne. Będzie mi bardzo przyjemnie – zgodziła się Zuzanna, która od razu poczuła do przyszłej szefowej sympatię. – Trochę się dziwię, że tak entuzjastycznie zareagowałaś na pomysł zatrudnienia matki maleńkich dzieci.

– Dziwisz się, dlaczego? Sama mam dzieci i wiem, że matki też potrzebują pracy, może nawet bardziej niż niektóre singielki. – Roześmiała się Sonia.

– No, skoro stawiasz sprawę w ten sposób... Generalnie uważa się jednak inaczej. Mam półtoraroczne bliźnięta. Większość pracodawców na to hasło natychmiast by mi podziękowała: dzieci notorycznie chorują, nie ma ich z kim zostawić...

– Mniemam, że sobie to przemyślałaś i masz na oku dla nich jakąś opiekę – lekko rzuciła szefowa. – Zresztą praca w tej szkole to zajęcie na godziny, możemy wspólnie coś obmyślić. Tak jak ci powiedziałam: sama mam dzieci i jestem po rozwodzie. Obiecałam sobie, że zawsze będę dawać szansę kobietom, które chcą pracować. Nie uprzedzać się i nie wypatrywać problemów tam, gdzie ich nie ma. Jeśli dzieci zaczną chorować – odpukać – będziemy szukać rozwiązań. Nie wyglądasz na osobę nierozsądną czy lekkomyślną, wierzę, że będzie ci zależało na dobru szkoły.

– To oczywiste. Nie zamierzam cię stawiać w żadnej trudnej sytuacji. Wstępnie już załatwiłam sobie pomoc, teraz, kiedy mam grafik, wszystko stanie się o wiele łatwiejsze. Moje sąsiadki zadeklarowały, że mogą czasem posiedzieć z Jasiem i Basią. Intensywnie rozglądałam się też za jakimś klubem malucha, tylko musiałam mieć pewność, że mnie zatrudnisz.

– Lepsza na pewno będzie opieka w domu. Takie sąsiadki to skarb. Mieszkasz blisko? – zainteresowała się Sonia.

– Na Gwiaździstej. Wydaje mi się, że je znasz, z jedną chodziłaś chyba do klasy.

– Naprawdę? – Sonia zmarszczyła brwi.

– Helena Werde. – Uśmiechnęła się Zuzanna.

Właścicielka szkoły klasnęła w dłoń.

– To ona wróciła do kraju? Myślałam, że została na stałe za granicą! Bardzo się lubiłyśmy

w szkole, ale potem jakoś wszystko się rozeszło... Czasami tak bywa, chętnie jednak odnowiłabym znajomość.

– Może zatem nadarzy się okazja. Helena mieszka na Gwiazdzistej, tam, gdzie wcześniej, i z tego, co wiem, zamierza otworzyć sklep z ręcznie robionym mydłem.

– Co ty mówisz? – zdumiała się Sonia. – Lena sklepikarką? To niemożliwe!

– Dlaczego? – Nie rozumiała Zuza.

Sonia wstała od biurka i nastawiła ekspres do kawy.

– Heła to prawdziwy geniusz. Nikt nie miał takiej pamięci jak ona. Wystarczyło, że raz coś przeczytała, a pamiętała od razu. Była świetna z matematyki, a jeszcze lepsza z biologii. Uczyła nas taka okropna baba, Anna Mrowińska, po prostu kapo z gestapo. Jedna Helena miała u niej piątkę. Wszyscy się zastanawiali, na jakie studia pójdzie, moja matka była pewna, że zostanie albo świetnym lekarzem, albo rozchwytywanym prawnikiem, wiesz, z tą pamięcią to mogłaby się chyba w ogóle nie uczyć...

– No i co się stało? – Lorenc zaczęła wciągać ta opowieść.

– Lena wszystkich zaskoczyła, bo poszła na socjologię. Mówiło się, że chce być naukowcem, badać społeczeństwo. Też piękne zajęcie, moim zdaniem. Chyba na drugim roku przerwała jednak studia i dosłownie z dnia na dzień wyjechała za granicę. Jej matka opowiadała, że tam dokończy edukację, we Francji czy w Hiszpanii, już sama nie wiem. Potem dotarły do mnie jakieś plotki, że Helena podróżuje po świecie, studia porzuciła zupełnie, realizuje się w innej dziedzinie. Krążyły zupełnie fantastyczne pogłoski...

– Jakie?

– Na przykład taka, że wyjechała do Amazonii z jakimiś biologami i zachorowała w dżungli na chorobę tropikalną. Jej siostra zawsze się wściekała, że to bzdury wyssane z palca, ale nie chciała powiedzieć, co naprawdę dzieje się z Heleną. No więc w końcu wszyscy pogodzili się z myślą, że ona do Polski nie wróci. Wiesz, duch awanturnika. Ja się, prawdę mówiąc, specjalnie nie dziwiłam. Już gdy byłyśmy małe, nazywali ją „Iskra”, bo była szybka, gwałtowna i trudno ją było okiełznać. Nigdy bym nie podejrzewała, że Lena wróci na Dębniki i będzie sprzedawała mydło!

– Może znudziło ją życie włóczęgi – mruknęła Zuzanna, która odrobinę pożałowała, że opowiedziała o pomysle sąsiadki. Sonia wyglądała pocziwie, ale mogła mieć długi język, a Lorenc nie chciała być podejrzewana o roznoszenie plotek o współmieszkańcach kamienicy. Odnosiła też wrażenie, że Sonia odczuwa coś w rodzaju *schadenfreude*[4] z tego powodu, iż dawnej koleżance nie ułożyło się wszystko tak, jak zaplanowała.

Tymczasem Piskorz zatopiła się na chwilę w myślach.

– Nie zrozum mnie źle. Bardzo lubiłam Iskrę. Po prostu jestem zdziwiona takim obrotem spraw. Ale to jej życie i jej wybory, zawsze była odrobinę nieobliczalna. Choć myślałam, że prędzej poleci na Marsa, niż zostanie rzemieślniczką.

– Myślę, że to ma związek z jej matką. Jest chora, rzadko wychodzi z domu. Helena z siostrzenicą opiekują się nią na zmianę – dodała Zuzanna.

Sonia z zaangażowaniem kiwnęła głową. Chciała najwyraźniej zatrzeć wrażenie, że jest ciekawską plotkarką. Zmieniła temat i zaczęła rozmawiać z Lorenc o szczegółach kontraktu i planowanym otwarciu szkoły muzycznej.

Omawiały wszystko jeszcze dobrą godzinę, po czym Zuza zdecydowała się podpisać kontrakt. Wyszła ze „Studia Ruchu i Muzyki Piskorz” bardzo zadowolona i obrzuciła niepozorny budynek ciepłym spojrzeniem. Tu miał być jej zawodowy dom, oby na dłużej.

Wbiegła lekko na schody z zamiarem pochwalenia się Mirandzie, jak dobrze wszystko poszło. Niespodziewanie w bramie zderzyła się z wysokim, lekko przygarbionym mężczyzną,

który właśnie wychodził.

– Edmund?

Ojczym rozchmurzył się.

– Zuziu, wracam od ciebie, nikogo nie zastałem, nie mogłem się też dodzwonić.

Przyznam się, że trochę się zaniepokoiłem.

– Zaniepokoiłeś? Dlaczego?

– Przecież masz małe dzieci. Zmartwiłem się, że nie ma z tobą żadnego kontaktu – tłumaczył.

Była zaskoczona. Ojczym nigdy się nią szczególnie nie interesował, właściwie widział dzieci tylko raz i miała wrażenie, że było to kurtuazyjne spotkanie.

– To miłe z twojej strony. Miałam rozmowę w sprawie pracy, wyłączyłam telefon. Bliźnięta są u sąsiadki, zaraz je odbiorę. Masz ochotę na kawę?

– Z przyjemnością. Dostałaś tę pracę? – zaciekał się.

– Tak. To zupełnie niezła propozycja. W prywatnej szkole muzycznej, którą otwierają tutaj niedaleko, w budynku dawnej spółdzielni mieszkaniowej.

– A, w klubie osiedlowym. Pamiętam go. Czasami robiłem tam dekoracje na bale karnawałowe dla dzieci w czynnie społecznym. – Roześmiał się.

Zuzanna zapukała do drzwi na pierwszym piętrze. Otworzyła jej młodsza pani Jakubowska.

– Mirando, dostałam tę pracę u Soni. Bardzo ci dziękuję. Zabiorę już Jasia i Basię, bo przyszedł z wizytą Edmund, mój ojczym. – Wskazała go ręką.

Sąsiadka wyjrzała za drzwi ciekawie.

– O, pan profesor! Mama często o panu wspominała. Jestem Miranda Jakubowska, córka Ofelii.

– A tak, pamiętam pani śliczną mamę. Proszę ją pozdrowić. – Sąsiadka była najwyraźniej zdziwiona komplementami profesora.

Ten zaś wziął Jasia na ręce i, skinąwszy jej głową na pożegnanie, ruszył po schodach na górę.

– Ależ tu brudno! – wykrzyknął, gdy Zuzanna otworzyła drzwi. – Tak nie może być! Nie miałem pojęcia, że ta pracownia jest w tak złym stanie. Byłem pewien, że wygląda dużo lepiej. Jutro przyślę ludzi do malowania.

– Daj spokój. Nie jest aż tak tragicznie. Helena z Mirandą pomogą mi odświeżyć salon, a z pokojem dzieci i łazienką sama już sobie poradziłam – stwierdziła z dumą. – Naprawdę jest w porządku.

– Widzę. – Wymówił to słowo bez złośliwości, po czym rozejrzał się po wnętrzu.

Zuza rozłożyła dzieciom matę, po czym zabrała się za przyrządzanie podwieczorku dla nich i kawy dla Edmunda. Sama miała ochotę na herbatę.

– To bardzo ładne miejsce – zaczęła. – Jestem ci ogromnie wdzięczna, że pozwoliłeś mi tu zamieszkać.

– To byłoby ładne miejsce, gdyby poświęcić mu trochę starań – sprostował. – Mam jednak nadzieję, że uda się to nadrobić. Bardzo mi przykro, że naraziłem cię na niewygodę.

– Proszę cię, nie zaczynaj. Mnie się tutaj bardzo podoba. Tak jak jest. Mówiłam ci, że sąsiadki pomogą mi w porządkach, zresztą nie wiadomo, jak długo jeszcze będę tu mogła mieszkać...

– Co masz na myśli? Ja cię nie wyrzucam! – zastrzegł się ojczym.

– Dostałam takie pismo... – Zuzanna pogrzebała w kredensie i wyciągnęła kopertę. – Myślałam, że ty również otrzymałeś coś podobnego?

– Nie przypominam sobie, ale możliwe. Nie przeglądam całej urzędowej korespondencji. Co jest w tym piśmie?

– Wezwanie do adwokata, a właściwie notariusza, w sprawie dalszych losów tej kamienicy. Bardzo zresztą enigmatyczne. Tylko data i miejsce, żadnych konkretów. Wszyscy spodziewają się najgorszego – że znalazł się spadkobierca przedwojennych właścicieli i teraz będzie chciał wszystkich wyrzucić.

– Raczej tego nie robi. Ale pewnie spróbuje podnieść czynsze – trzeźwo stwierdził Edmund. – Ta kamienica to worek bez dna. Remont go zrujnuje. Chyba że ma mnóstwo pieniędzy, jest sentymentalny albo snuje zupełnie inne plany. Zamierza ją na przykład komuś odsprzedać do wyburzenia lub przebudowy.

– No to mnie pocieszyłeś. – Skrzywiła się dziewczyna. – Można powiedzieć: z deszczu pod rynnę. Albo będę się musiała wynieść, bo wywindują czynsze, albo po prostu zburzą mi dach nad głową.

– Nie chciałem cię zdenerwować. Wcale nie musi tak być. Pokaż mi to pismo. – Ojczym zatopił się w lekturze. – Istotnie, nie ma tu żadnych konkretów, wszystko wygląda dosyć tajemniczo. Nie powiem zatem nic odkrywczego – trzeba czekać na rozwój wypadków. W każdym razie nie powinnaś mieć powodów do obaw. Ta pracownia to żaden cymes. Moja firma kończy właśnie budowę bloku na nowym osiedlu. To wprawdzie peryferyjna dzielnica, nie ukrywam, ale budynek jest nowoczesny. Będziesz mogła się tam przeprowadzić, mam nadzieję, że cały ewentualny proces eksmisyjny tutaj potrwa kilka miesięcy, może nawet rok. Lokatorzy na pewno będą się odwoływać, walczyć...

– Dlaczego to robisz? Myślałam, że żywisz do mnie żal o to, co zaszło pomiędzy tobą a mamą...

Edmund popatrzył na nią ze zdumieniem.

– Skąd te wnioski? Jaki ty mogłabyś mieć wpływ na konflikty między nami?

– Nie udawaj. Zawsze obarcza się winą „obcego”. A ja byłam tym obcym w waszym związku. Dziecko innego mężczyzny, zbuntowana nastolatka... Porzucona najpierw przez matkę, a potem również przez ojca, który w konsekwencji wybrał nową kobietę i nową rodzinę. Pewnie uważałeś, że jestem zaborcza i próbuję zdominować mamę albo nastawić ją przeciwko tobie.

Stanisławski obracał w dłoniach kubek, milczał i patrzył na nią w osłupieniu.

– Naprawdę tak to postrzegałaś? Od dawna? Pewnie od początku... Byłem, jak widzę, nieudolnym rodzicem. Ale starałem się nie przeszkadzać. Wydawało mi się, że to będzie źle postrzegane, gdy zacznę się wtrącać do wychowania dorastającej, tak jak mówisz – obcej dziewczyny. Nie chciałem, żebyś któregoś dnia mi zarzuciła, że nie jestem twoim ojcem, a mówię ci, co masz robić. Zdałem się więc na Łucję. Widocznie źle zrobiłem. Uznałem, że mając w domu dwie artystki, muszę postępować dyplomatycznie. Nie chciałem się narzucać, stałem z boku.

– Sądziłam, że jestem ci obojętna, a nawet przeszkadzam – wyznała cicho Zuzanna. – Nie potrafiliśmy się porozumieć.

– To prawda. Mężczyzna po czterdziestce i nastolatka rzadko kiedy znajdują wspólne tematy. Chyba tylko na ekranach kin jest to możliwe. – Edmund nerwowo się zaśmiał.

– Pipika – oświadczył tymczasem Jaś, podsuwając mu pod oczy pluszową rybkę. Tak od niedawna zaczął mówić na to stworzenie i jego matka nie była w stanie wyjaśnić, dlaczego.

Profesor wziął przyszywanego wnuka na kolana i zaczął wywijać rybą, wywołując żywy śmiech dziecka. Basia porzuciła klocki i podeszła do nich, opierając się „dziadkowi” na kolanach. Stanisławski zgarnął ze stołu zabawki i nagle maluchy pochłonęły całą jego uwagę. Bawił się z nimi z prawdziwą przyjemnością i zaangażowaniem.

Lorenc popatrzyła na niego i nagle poczuła żal. Pewnych spraw nie dało się już naprawić i nadrobić. Błędy z przeszłości wydawały się niemożliwe do wyprostowania, ale może dałoby się wszystko zacząć od początku? Dopiero teraz uświadomiła sobie, że widziała ojczyma właściwie zawsze w krzywym zwierciadle. Był dla niej jedynie dodatkiem do matki. Nie liczył się jako osoba. Gdy była nastolatką, czuła wobec niego obojętność, a może nawet wrogość, odnosiła zresztą wrażenie, że ze wzajemnością. Może jednak się myliła? Może mężczyzna po prostu się jej obawiał? Nie wiedział, jak postępować z młodą dziewczyną, i zachowywał bezpieczny dystans? Teraz te lata były już stracone, zresztą związek Stanisławskiego z Łucją się rozpadł. Paradoksalnie ten fakt ułatwiał porozumienie.

– Naprawdę jest mi przykro, że nie jesteście już razem – nieoczekiwanie stwierdziła Zuza.
– Mam wrażenie, że mama potrzebuje kogoś na stałe.

– Raczej nie mnie, ale wolę o tym nie rozmawiać – powiedział twardo.

Skinęła głową. Nowo nabyta szczerość, pewna intymność, jaka się między nimi nawiązała, nie zakładała na pewno głębokiego roztrząsania osobistych kwestii.

– Jasne. Nie chciałam cię zmuszać do żadnych spowiedzi.

– I tak bym do niej nie przystąpił. – Roześmiał się nerwowo. – Niemniej jednak doceniam twoją chęć porozumienia się. Nie będę ukrywał, że mój konflikt z Łucją nabrzmiewał od dawna, ale kroplą, która przelała kielich, byłaś ty.

– Jak to? – Nie pojmowała dziewczyna. – W jakim sensie to mówisz?

– Najogólniej powiem, że twoja matka nie pochwałała twoich życiowych wyborów. Ja z kolei uważałem, że jesteś dorosła i masz prawo do własnych błędów, o ile to oczywiście są błędy, bo ja wcale tak nie sędzę. – Obrzucił ciepłym spojrzeniem Jasia i Basię przemawiających w swoim języku do zabawek na macie.

– No tak. Mama uważała, że zmarnowałam sobie karierę, zwłaszcza przez ten romans z żonatym mężczyzną – odważnie wyznała Zuzanna. Tak naprawdę nie miała z kim o tym porozmawiać, a podświadomie czuła, że Edmund jest po jej stronie bez względu na to, co wcześniej o nim sądziła.

Skinął głową.

– Obawiała się, że żona twojego partnera może z zemsty chcieć cię zniszczyć – mruknął.

Pasierbica popatrzyła na niego w zdumieniu. Podejrzewała matkę o różne rzeczy, ale o coś takiego – nie.

– Nawet nie pytam, skąd ten pomysł. – Pokręciła głową. – Choć zasadniczo miała rację, Belinda wiele zrobiła dla ratowania swojego małżeństwa z Leonem. Nie jestem dumna z tej historii. Wcale nie. Dużo mnie kosztowała. Emocjonalnie i nie tylko. Nie planowałam tego związku, to się po prostu stało. Nie zamierzam się usprawiedliwiać...

– Nie musisz, ja to wszystko pojmuję. Są wybory, które nie należą do najszcześniejszych. Tak jak mówisz – wiele kosztują nas emocjonalnie. Rozumiem jednak, że zamknęłaś definitywnie ten rozdział i teraz otwierasz nowy?

– Tak. Leon przestraszył się, gdy oświadczyłam, że jestem w ciąży, a gdy okazało się, że to będą bliźnięta, całkowicie stracił głowę. Nie mogłam liczyć na jego pomoc ani nawet na zainteresowanie. Bardzo to przeżyłam. Dopiero potem zrozumiałam, że tak się po prostu w życiu zdarza, nie mogę zatrzymać się w miejscu, czekać na coś, co nigdy się nie ziści. Nie chciałam go ścigać i przesładować swoją osobą, zwłaszcza gdy stał się tak obcy, obojętny na losy dzieci. Odeszłam. Początkowo łudziłam się, że mama mnie zrozumie, pomoże mi to wszystko jakoś wyprostować. Ale nie, obie jesteśmy chyba zbyt pokręcone...

– Nie mów tak. Moim zdaniem Łucja wciąż jeszcze nie dojrzała, tylko nie zdaje sobie z tego sprawy. Chętnie bym poczekał, aż to zrozumie, ale czas płynie i zaczynam już tracić

nadzieję... Ty natomiast dorosłaś i dlatego nie możecie się już porozumieć. Zuziu, twoja matka wciąż żyje złudzeniami, mrzonkami, pragnieniami i pobożnymi życzeniami. Wydaje jej się, że świat zmieni się wedle jej kaprysów. Zamyka oczy i czeka, aż wszystko będzie wyglądało tak, jak sobie umyśliła. To tak nie działa, niestety.

– Przykro mi, że się rozczarowałeś. – Pasierbica zdobyła się na szczerość.

Edmund zaprzeczył:

– Chyba po prostu zgorzkniałem. Nie przyszedłem tu jednak dyskutować o smutnych sprawach czy naciągać cię na zwierzenia. Wróćmy do celu mej wizyty: najdalej za parę dni stawią się tutaj ludzie z mojej firmy i ocenimy zakres niezbędnych prac.

– Mówiłam ci już, że nie wiadomo, jak długo tu zabawię. Sam widziałeś to zawiadomienie.

– I to jest druga sprawa. Prześlę ci materiały na temat tego lokalu, w którym możecie zamieszkać, gdyby tutaj pojawiły się jakieś problemy.

– Jestem ci bardzo zobowiązana – zapewniła Zuza. – Nie chcę być niewdzięczna, ale chętnie bym tu została. Podoba mi się ten dom, kamienica jest ładna, a sąsiedzi – niezwykli.

Stanisławski roześmiał się, odprężony.

– Tak, pamiętam niektórych. Korzystałem z tej pracowni przed laty, głównie do drukowania bibuły. Właściwie to opracowywaliśmy szatę graficzną podziemnych wydawnictw, ale opowiadałem ci o tym wielokrotnie...

– To prawda, tylko że ja nigdy nie chciałam słuchać – przyznała Lorenc.

– Trudno się dziwić. To dawne dzieje. Ta dziewczyna, która nam otwarła drzwi, to wnuczka inżyniera Werde, prawda?

– Tak. Znałeś go?

– Naprawił nam powielacz. Był fantastycznym mechanikiem. Prawdziwa złota rączka. Potrafił uruchomić każdą maszynę. Jego córka wpadła kiedyś przy rozrzucaniu ulotek. To była jakaś amatorska i nieprzemysłana akcja...

– Córka? Myślałam, że za ulotki odpowiadał jej kolega z klasy, mieszkał też chyba w tej kamienicy.

– Na parterze. Fakt, on to, zdaje się, wziął na siebie. Wiesz, rycerski gest zakochanego nastolatka. Chyba ze szkoły go wyrzucili, jego matka miała straszne pretensje, inżynier Werde zawału wtedy dostał... Wielka tragedia się z tego zrobiła, ale ja już w tym nie brałem udziału, bo doszliśmy do wniosku, że kamienica jest niebezpieczna, i przenieśliśmy się do Nowej Huty. Rozumiesz, pewnego dnia, siedzimy tutaj, robimy makietę jakiejś książki, a tu podjeżdżają samochody milicyjne, suki się na nie mówiło, i wyskakują milicjanci z pałkami. Byliśmy pewni, że to po nas, koledzy już zaczęli uciekać na dach. A to po tego chłopaka z parteru... To znaczy właściwie po nią, ale on się przyznał... Dla nas nie było już tu bezpiecznie.

– No tak. – Zuzanna zamyśliła się nad tym, co usłyszała. – Smutna historia.

– Zdarzały się takie w tamtych czasach. Niby drobna rzecz, ulotki, a chłopakowi życie przetrącili. Wiem, że była nawet jakaś sprawa sądowa, potem, zdaje się, wyjechali z Krakowa...

– Okropna sytuacja – podsumowała dziewczyna. – Współczuję rodzinie tego chłopaka, jemu samemu, ale Ofelii i jej bliskim także.

– Na szczęście to było dawno temu, teraz jest inaczej. Mam nadzieję, że ten chłopak ułożył sobie życie. Ofelii, jak widzę, powodzi się całkiem dobrze. Ma córkę, rodzinę, na pewno jest szczęśliwa.

Zuzanna przygryzła wargi. Nie podzielała optymizmu ojczyma. Spojrzała kątem oka na zegarek, zbliżała się pora posiłku dla dzieci.

[4] *Schadenfreude* (niem.) – radość, którą przynosi czyjeś niepowodzenie.

8.



Mikołaj najpierw chciał zadzwonić, ale potem postanowił odwiedzić Helenę. Drzwi otworzyła mu bardzo ładna dziewczyna z – jak to się kiedyś mówiło – burzą loków. Domyślił się w niej siostrzenicy swej dawnej koleżanki z klasy. Postanowił przedstawić się neutralnie jako wysłannik rady dzielnicy.

– Wiem! – wykrzyknęła Miranda. – Pan jest Szarotka! Hela mówiła, że w szkole nie potrafił pan do pięciu zliczyć, a teraz jest pan znanym naukowcem. Jak wróciła ze spotkania z panem, od razu sprawdziła w internecie i była strasznie zdziwiona. Ma pan tyle odkryć na koncie!

– Miło mi. – Mikołaj odchrząknął, lekko skonfundowany.

Miranda machnęła ręką.

– Przepraszam, wiem, że nie powinnam. Zawsze prędzej coś powiem, niż pomyślę.

– To cecha ludzi szlachetnych – co w sercu, to i na języku. Jest pani po prostu wolna od kunktatorstwa i dwulicowości.

– Zachowuję się okropnie – trzeźwo oceniła Jakubowska. – Babcia mówi, że życie się na mnie za to zemści i w końcu dostanę w tyłek. Prawdopodobnie ma rację. Milknę już zatem, żeby nie napytać sobie biedy. Jeżeli szuka pan Heleny, to znajdzie ją pan w pracowni.

– W jakiej pracowni? – zdziwił się Mikołaj.

– Nie wspominała panu? Chce założyć pracownię mydlarską i sklep z mydłem. Próbuje przekonać lokatorów kamienicy, żeby zgodzili się na udostępnienie lokalu po dawnej pralni paryskiej.

– Moim zdaniem to świetny pomysł. Mydlarnia w lokalu po pralni brzmi po prostu bajecznie.

– Tak pan uważa? Nasi sąsiedzi są odmiennego zdania. Wszystko im przeszkadza,

a zwłaszcza produkcja mydła w domu. Uważają, że to może wybuchnąć.

– Bzdury. Mydło nie może wybuchnąć, to nie dynamit. Ług nie jest nitrogliceryną. Gdyby mydła wybuchały, drogerie stałyby się miejscami powszechnej zagłady, nie wspominając już o publicznych toaletach z dozownikami na mydło w płynie.

– Mnie może pan to mówić, ale Olesińskich pan nie przekona, zwłaszcza Marty. A może? Gdyby pan, jako naukowiec z tytułem doktora, wygłosił prelekcję, że to niczym nie grozi, to może by zrozumiała?

– Mogę wygłosić. O ile pani nie przeszkadza, że jestem astrofizykiem, nie chemikiem.

– Olesińska nie odróżniłaby fizyka od chemika, nawet gdyby ugryzł ją w nos. O, serdecznie pana przepraszam, znowu coś chlapnęłam bez sensu!

– Proszę się nie przejmować, to akurat było dość zabawne. Jeżeli mam być szczerzy, zdecydowanie gorsze było wyznanie, że Helena uważała, iż w szkole nie umiałem zliczyć do pięciu. W świetle moich zainteresowań wyższą matematyką trochę to jednak krzywdzące.

– Za to tym bardziej przepraszam. I niech pan nie powtarza ciotce, że się przed panem wygadałam. Była naprawdę pod wrażeniem spotkania z panem, cały wieczór oglądała pańskie zdjęcia gwiazd. Mówiła, że mgławice emisyjne są szczególnie piękne i gdyby Sonia Piskorz chciała lepiej rozreklamować swoją szkółkę, powinna opracować balet *Taniec mgławic emisyjnych...*

Mikołaj chrząknął ponownie, a Miranda zasłoniła usta ręką. Znowu powiedziała za dużo.

– Pracownia jest w podwórku. W oficynie – dodała cichutkim głosem.

– Wiem, gdzie to jest. Trafie. Zabawna z pani osoba. I w sumie niesamowicie przypomina pani Helenę z czasów szkolnych. – Uśmiechnął się do niej.

Zszedł ze schodów i szybkim krokiem przemierzył podwórko. Mydlarnię Heleny zauważył bez trudu nie tylko dlatego, że o ścianę oparty był wielki szyld z napisem „Życie w Mydle”, która to nazwa wydała mu się niezwykle trafiona.

– Cześć, Iskra! – krzyknął, bo Heleny nigdzie nie było widać.

Wyłoniła się po chwili, z niemilosiernie rozczochranymi włosami. Owinięta była gumowym fartuchem, na czole miała plastikowe gogle, a na dłoniach chirurgiczne rękawice.

– Rozpuszczasz ciało w ługu? – zapytał.

– Bardzo zabawne, Szarotka. – Skrzywiła się. – Niech no cię tylko Olesińska usłyszy, to będę tu miała prokuratora na karku.

– Mierczyński z klasy „C” jest prokuratorem. Nie upadaj na duchu. On cię na pewno nie wsadzi za mydło. Kochał się w tobie.

– Jasne. Na pewno. Skąd ty to niby wiesz? Lepiej włącz do środka, bo Blajerski jest szpiegiem Marty Olesińskiej i jak zobaczy, co ja tu robię, od razu jej doniesie. Olesińscy nie chcą, żebym wykorzystywała starą pralnię w taki sposób, wołają, żeby tu nadal myszy miały hotel i prywatne uzdrowisko.

Mikołaj wszedł do pracowni i podobnie jak kilka dni wcześniej Zuzanna, zachwycił się barwami mydełek.

– Są przepiękne – wykrzyknął. – Te kosmiczne desenie... To znaczy fotografie kosmosu specjalnie się podbarwia dla uatrakcyjnienia, ale właśnie tak to wygląda.

– Wiem, widziałam twoją stronę w internecie. Świetna. Nie miałam pojęcia, że jesteś tak znanym naukowcem. Muszę się jednak zainteresować czymś więcej niż końcem własnego nosa. – Zamieszała gwałtownie w pojemniku z masą mydlaną i spojrzała krytycznie na efekt.

– Widać już „mydlany ślad”. Teraz pigmenty i można będzie wylewać do formy. Mam dzisiaj pomysł na prawdziwie kosmiczne mydło.

– Mgławice emisyjne? – domyślnie spytał Mikołaj, a gdy spojrzała na niego

z zaskoczeniem, uniósł do góry ręce w geście poddania. – Teraz to ja się wygadałem. Zdradziłem Mirandę.

– No tak. Mogłam się spodziewać. Ta to ma długi ozór. Aż mi skóra cierpnie na myśl, co ci zdążyła powiedzieć.

– A mnie skóra cierpnie na myśl, czego nie zdążyła – rzucił przekornie. – Ale nie martw się, nie dowiedziałem się niczego nowego. Wiem, że mnie nie cierpiałś w szkole i uważałaś za idiotę.

– Ludzie się zmieniają, Szarotka – mruknęła Helena. – Dobre te kolory?

– A jaka to ma być mgławica?

– No, zgadnij, geniuszu!

– Fioletowy, błękit i róż, w filarach sporo granatu. To będzie Mgławica Carina w gwiazdozbiornie Kila. Moja ulubiona, bo w jej centrum znajdują się najcięższe gwiazdy widmowe, obiekt mych naukowych zainteresowań.

– Bravo. – Roześmiała się Helena. – Ciekawe, czy mi wyjdzie. Jeśli tak, dostaniesz ode mnie mydełko Carina.

– Będę zaszczycony. Zastanawiam się, czy wydział astronomii nie powinien zamówić serii takich cudeniak. Muszę pomówić z dziekanem. Na pewno byłby to lepszy dodatek do pakietów konferencyjnych niż długopis z wizerunkiem Układu Słonecznego czy notes.

– Notes jest zapewne bardziej neutralny. Mydło, wiesz, to taka aluzja.

– Zapewniam cię, że większość astrofizyków nie rozumie żadnych aluzji.

– Aż się boję zapytać, czy ty również.

– Myślę, że jestem jak najbardziej typowym przedstawicielem tego zawodu, choć staram się kształcić umiejętności społeczne, stąd moja działalność w radzie dzielnicy.

– No właśnie. Rozumiem, że przyszedłeś w tym celu, bo chyba nie na inspekcję niedziałającej mydlarni? – Helena zgrabnie przemieszała wszystkie kolorowe warstwy w pojemniku drucianym przyrządem, a potem udekorowała wierzch kolorowymi pozostałościami masy. Gdy zmieszała kolory za pomocą cienkiego patyczka, naprawdę zaczęły przypominać zdjęcie kosmosu.

– Piękne – stwierdził Mikołaj z uznaniem.

– Teraz musi dojrzeć. Zawijam je w papier i w koc. Po mniej więcej dobie będę kroić, a potem musi jeszcze kilka tygodni się odleżeć.

– O, jaka szkoda. Myślałem, że od razu będzie się można myć.

– Nic z tych rzeczy. Wyżarłoby ci ręce, nogi lub inną część ciała, którą byś potraktował tym specyfikiem.

– Brzmi strasznie. Tego raczej nie mów pani Olesińskiej – przestrzegł ją Mikołaj.

Werde zawięła foremkę, po czym odstawiła ją na półkę. Potem pozbierała akcesoria ze stołu, a gdy wszystko było już sprzątnięte, zdjęła rękawice i fartuch.

– Wyglądam jak straszycło – stwierdziła, przeglądając się w lustrze. – Poczekaj sekundę, trochę się doprowadzę do porządku, a ty zrób w tym czasie herbatę albo coś...

Mikołaj rozejrzał się po pracowni i zobaczył w kącie sosnowy stolik z elektrycznym czajnikiem i puszkami z herbatą oraz z kawą. Gdy Helena wróciła z przygladzoną fryzurą i zaróżowioną twarzą, w kubkach już parzył się aromatyczny napój.

– Tego mi było trzeba – stwierdziła z satysfakcją. – Zrobiłam dzisiaj pięć różnych mydeł, za chwilę nie będę miała ich gdzie trzymać.

– Musisz otworzyć sklep. Nazwa „Życie w Mydle” jest świetna.

– Wymyśliła ją nasza nowa sąsiadka, Zuzanna Lorenc, mieszka na poddaszu. Bardzo fajna dziewczyna. Może będzie uczyła w szkole muzycznej u Soni Piskorz.

– Świetnie, Sonia ciągle skarży się na brak wykwalifikowanej kadry. Ile razy do mnie wpadnie, nieustannie gada na ten temat. Jej się chyba wydaje, że skoro wykładam na uczelni, znam nauczycieli wszystkich możliwych przedmiotów i pomogę jej w rekrutacji.

– Cała Sonia, ona się nigdy nie zmieni – oceniła koleżanka, popijając herbatę. – A co do sklepu, to mówiłam ci już: sprawa nie jest wcale taka prosta.

– Tak... Olesińscy.

– Nie tylko. Jeżeli nas wywłaszczą z tej kamienicy czy też – jak to się tam elegancko nazywa – przeprowadzą eksmisję, i tak nie będzie o czym mówić. Więc rozumiesz, że chwilowo straciłam zapał do załatwiania czegokolwiek.

– Myślę, że niesłusznie. Jak nie tutaj, to gdzie indziej. Istnieją różne lokale do wynajęcia. Te z zasobów miejskich nie są wcale takie drogie, tylko niestety zwykle konieczny jest remont. W razie czego zainteresuj się dawną kawiarnią na Ogrodowej, niedaleko mojego domu. Może też będzie do wzięcia dawny punkt krawiecki przy rynku.

– Mieszkasz na Ogrodowej? – Helena była szczerze zdziwiona. – Zawsze mi się wydawało, że mieszkałeś w tych blokach koło szkoły.

– Mój brat kupił połowę domu Plechów – wyznał niezbyt chętnie Mikołaj, patrząc na nią spod oka.

– No proszę. – Werde lekko się skrzywiła na wspomnienie rodziny swej dawnej przyjaciółki. – Niesamowicie, że odsprzedali część tego lokalu.

– Nie byli w stanie go wyremontować, a mój brat zawsze marzył, żeby tam zamieszkać.

– No i co? Mieszkacie razem? – zapytała niedyskretnie.

Mikołaj pokręcił głową.

– Bartek może wróci do Polski na emeryturze, a może nigdy. Wyjechał do Kanady i nieźle się tam urządził. Chciał jednak mieć ten dom i postawił na swoim. Każdego roku przyjeżdża tu z rodziną na wakacje, mają się gdzie zatrzymać. A ja mogę tam mieszkać.

– A stary Plecha wciąż prowadzi praktykę? – zainteresowała się z pewną niechęcią w głosie.

– Jest na emeryturze, ale prywatnie owszem, przyjmuje pacjentów. Urządził sobie gabinet na parterze. Oni zresztą chętnie odstąpili to piętro. Dom i tak był dla nich za duży.

– Balbina też tam mieszka? – wydusiła wreszcie Helena.

– Nie. Wyprowadziła się dawno temu. Rzadko się pojawia. Osiadła chyba w Warszawie.

– Aha. – W ten sposób Werde skwitowała wieści o swojej dawnej przyjaciółce.

Mężczyzna był już teraz pewien, że musiało między nimi coś zająć, poróżniły się. Wcześniej tylko to podejrzewał, ale obecnie nie miał żadnych wątpliwości. Ciekawe, o co pokłóciły się niegdysiejsze papużki-nierozłączki? Szarocki pamiętał, że Balbina i Helena zawsze chodziły wszędzie razem, nazywano je nawet „Heliną”. „Gdzie jest Helina?” – pytano w klasie i wiadomo było, że poszukiwany jest ten duet. Trzecią w składzie była Sonia Piskorz, ale jej relacje z „Heliną” nie wydawały się już tak ściśle. Zresztą chyba jej to nie przeszkadzało. Co się zatem stało, że Helena nie ma pojęcia o losach najlepszej koleżanki? Nie zamierzał o to pytać, a zaintrygowało go to.

– Właściwie to przyszedłem w sprawie chodnika. – Uznał, że rozsądniej będzie zmienić temat.

Helena wyraźnie się ożywiła. Odłożyła kubek na stół i zaczęła go uważnie słuchać.

– Myślę, że możemy ruszyć z tym na wiosnę. Wasza ulica jest w planie od dawna, nie mam pojęcia, dlaczego nikt się za to jeszcze nie zabrał.

– Zapomnieli o nas – skwitowała.

– Nie powinni. Jeżeli powiedzie się projekt z parkiem, to wasza ulica stanie się wręcz

reprezentacyjna. Wszyscy będą nią chodzić.

– O właśnie – park! Wymyśliłeś już coś?

– Tak, rozmawiałem z kierowniczką biblioteki, zorganizujemy spotkanie w przyszłym tygodniu. Mam nadzieję, że ktoś przyjdzie.

– Dorzućcie jakiś chwytliwy temat. Powiedźcie o dotacjach na wymianę pieców albo w ogóle o jakichś akcjach, w których można dostać coś za darmo. Ja nie żartuję – zastrzegła się, gdy spojrział na nią dziwnym wzrokiem. – Szarotka, proszę cię! Ty chcesz być działaczem, a mechanizmów marketingu politycznego nie znasz? Ludzie muszą zobaczyć w tym swój interes, inaczej nie przyjdą...

– Zobaczyć interes – powtórzył Mikołaj z przekąsem. – Myślałem, że park to ich interes. Będą mieli gdzie odpoczywać, spacerować z dziećmi.

– Święta naiwności! Przeciętny człowiek uważa, że park to sprawa miasta. Więcej ci powiem: obowiązek miasta, które musi coś zrobić dla mieszkańców, bo bierze na to pieniądze z podatków czy dotacji. No, ale taka indywidualna dopłata to zupełnie coś innego. Namacalnego i tylko dla tej konkretnej osoby. Wymierna korzyść, a to się najbardziej liczy. Wspólne jest niczyje, ale dla rzeczy, która będzie tylko moja, warto się pofatygować do biblioteki.

– Rozumiem, że mówisz to z przekąsem? – upewnił się Szarocki.

– Tak. A ja rozumiem, że astrofizyk nie wychwyił ironii w tym przekazie?

– Muszę się jeszcze wiele nauczyć na temat kontaktów międzyludzkich. Zbyt często daję się nabrać. A ty przyjdiesz? Opowiemy o dotacjach na piece i konkursie na najładniejszy balkon. Z nagrodami.

– O, właśnie, teraz obrałeś właściwy kierunek. Szybko się uczysz, Mikołaj, już rozumiem, w jaki sposób zrobiłeś tak błyskotliwą karierę.

– A ty? – niespodziewanie spytał Szarocki. – Co z twoją karierą? Byłem pewien, że zostaniesz biologiem albo lekarzem. Pamiętam, że marzyłeś o wirusologii, czytałeś nawet książki o Pasteurze...

Helena wstała od stołu, żeby odnieść kubek do zlewu.

– Mówiłam ci już – ludzie się zmieniają. Jak ci to oględnie wyjaśnić, żeby i do astrofizyka dotarło... Może jednak powiem wprost: nie wtykaj nosa w nie swoje sprawy.

Mikołaj popatrzył na nią, ale w jego wzroku nie było śladu złości ani – co odnotowała ze zdumieniem – nawet zawstydzenia.

– Przepraszam – rzucił, lecz takim tonem, że widać było, iż niewiele ma sobie do zarzucenia. – Nie chciałem cię urazić.

– Nie uraziłeś. Po prostu nie lubię rozmawiać o moich życiowych wyborach. Może były dobre, a może złe. To się jeszcze okaże – rzekła z pewnym zniecierpliwieniem i nawet Szarocki zrozumiał, że nie powinien przeciągać struny. Dopił herbatę, po czym podniósł się od stołu.

– Pójdę już.

– Zaczekaj. Mam nadzieję, że się nie obraziłeś?

– Nie. Ja się tak łatwo nie obrażam.

– To też cecha astrofizyków?

– Owszem. Mamy wiele wad, ale to prawda: posiadamy również kilka zalet.

– Cudownie. Powinni was sprzedawać na wagę. Chciałam cię zapytać o coś innego: załatwiłeś coś w sprawie Mrowińskiej? Ten temat nie daje mi spokoju.

Mikołaj uderzył się dłonią w czoło.

– No właśnie! Mrowińska. Ona nie ma żadnej rodziny, sprawdziłem to. Udało mi się zorganizować dla niej dochodzącą pomoc.

– Brawo. Była wściekła? – Helena poczuła niepokój. – Miranda posłała do niej

wolontariusza z biblioteki, to nie chciała mu nawet otworzyć drzwi.

– Akurat nie. Załatwiłem to w porozumieniu z lekarzem rodzinnym. Wyszło bardziej naturalnie, temu lekarzowi ufa. Wcale się nie opierała, chyba nawet poczuła ulgę, że ktoś się nią zainteresował, no i nie będzie musiała się wyprowadzać.

– Dobrze. W takim razie teraz ja się do niej wybiorę. Może trzeba w czymś pomóc, coś załatwić. Warunki, w jakich żyje, są po prostu okropne. Już napisałam do związku nauczycielskiego, żeby przyznali jej jakąś pomoc materialną. Nie wiem, może powinni jej dofinansować choć koszt ogrzewania?

– Bardzo dobrze zrobiłaś. Gdyby zechcieli się dołożyć do remontu, moglibyśmy to zrobić wspólnie, może jeszcze szkoła by coś dorzuciła...

– Mikołaj, nie wiem, czy i tej sprawy nie należy poruszyć na zebraniu. Oczywiście nie w takim sensie, że zbieramy pieniądze na Mrowińską, bo to byłoby dla niej zawstydzające. Myślę o jakiejś inicjatywie w stylu wzajemnej pomocy sąsiedzkiej. Niektórzy ludzie mają czas i chęć, żeby innych wesprzeć, tylko nie wiedzą, jak się za to zabrać...

– Iskra... – Szarocki patrzył na nią z wyczekiwaniem. – Musisz mi pomóc. Zostań szefową komisji społecznej w naszej radzie! Będziesz mi doradzała.

– Ty chyba z byka spadłeś, Szarotka. Nie mam predyspozycji na działaczkę ludową. Owszem, mogę cię wspierać, nie migam się od tego absolutnie, ale jakaś komisja? Co to ja komisarzem mam być? Na pewno nie. Czuję wstręt do takich funkcji, oczywiście nie bierz tego do siebie, bo ja się bardzo cieszę, że ktoś chce się tym zajmować.

– A więc nie dasz się namówić?

– W życiu! Pamiętam jak raz zrobili mnie kronikarzem w naszej klasie. Wszyscy w końcu mieli mi za złe, że nie opisywałam ich tak, jak chcieli.

– Mnie się akurat podobało – wyznał Mikołaj. – Fajnie to redagowałaś, kronika nie była nudna, tylko śmieszna.

– Dzięki. Ogół jednak uważał inaczej. To mnie ostatecznie zniechęciło do angażowania się na pierwszej linii. Chętnie biorę udział w życiu społecznym, ale z drugiego szeregu. Głos doradczy – na to zawsze możesz liczyć.

– Dobrze i to – westchnął rozczarowany Szarocki. – Naprawdę muszę już iść, bo mam zajęcia ze studentami. Kiedy można wpaść po mydło?

– To dzisiejsze będzie gotowe za półtora miesiąca, ale dam ci jakieś inne. – Długo szperała między swoimi wyrobami, aż w końcu wydobyła kostkę w głębokim granatowym odcieniu.

– Masz. Może nie jest tak kosmiczne, jak to, które widziałeś, ale pachnie za to oszałamiająco.

Szarocki powąchał mydélko.

– Rzeczywiście. Co to za aromat?

– Rozmaryn i trawa cytrynowa. Nieco ostry, ale dla faceta w sam raz.

– Bardzo dziękuję – odpowiedział szczerze. – W takim razie: do zobaczenia wkrótce. Zadzwoń, żeby ci przypomnieć o zebraniu.

– Bez obaw, nie zapomnę, ale zadzwoń – zgodziła się, wychodząc za nim na podwórko.

Blajerski starannie odmiatał ze śniegu chodnik koło śmietnika, ale pilnie nadstawiał uszu.

– To nie jest żadna niebezpieczna produkcja. Potwierdzam to autorytetem naukowym i przewodniczącego rady – wykrzyknął Mikołaj, przechodząc koło byłego woźnego. – Mydło, panie Blajerski, jest potrzebne każdemu!

– A czy ja mówię, że jest inaczej? – Dawny szkolny stróż podrapał się w głowę pod czapką. – Naprawdę nie wybuchnie toto, panie doktorze?

– Nie ma szans. Wytwórnia mydła jest cicha, bezpieczna i atrakcyjnie pachnie, czego nie można powiedzieć o wielu innych rodzajach działalności. Moim zdaniem wyjdzie to tylko kamienicy na plus.

– Tak pan uważa? – Blajerski nie wyglądał na przekonanego, ale zaczął popatrywać w kierunku mydlarni nieco przychylniejszym okiem.

Szarocki uściskał mu dłoń i wyszedł z kamienicy pod numerem jedenastym.

9.



Po sprawdzeniu dostępnych możliwości Zuzanna wsadziła dzieci do wózka i wybrała się na rekonesans w sprawie klubu malucha. Oczywiście, Miranda i Helena zadeklarowały pomoc, ale nie chciała ich nadmiernie obciążać. Teraz, gdy miała już siatkę godzin od Soni, mogła sobie jakoś to wszystko sensownie ułożyć.

Piskorz starała się jej pójść na rękę – tak zablokować zajęcia, żeby nauczycielka nie miała niepotrzebnych okienek i nie musiała przychodzić do szkoły kilka razy tego samego dnia. Ogólnie, gdy Zuza przeanalizowała grafik, okazało się, że klub malucha jest jej potrzebny tak naprawdę dwa razy w tygodniu przez trzy lub cztery godziny. O ile oczywiście udałoby się dogadać z Mirandą lub Heleną albo zabrać czasem bliźnięta na lekcję do „Studia Ruchu Piskorz”.

Żłobek, który w internecie prezentował się najlepiej, mieścił się na Nadrzeczej. Lorenc była zaskoczona, że w tej niewielkiej dzielnicy, zamieszkiwanej głównie przez starszych ludzi, jest tyle placówek tego typu. Oprócz „Kwiatowego Królestwa”, bo tak nazywał się ten klub, były chyba jeszcze trzy inne. Ten jednak wygrywał lokalizacją i pięknym otoczeniem: miał własny ogród i mieścił się w przedwojennej willi.

Gdy tylko Zuzanna tam dotarła i uścisnęła dłoń właścicielce, zorientowała się, że trafnie wybrała. Parter willi okazał się przestronny, nowoczesny i niewiarygodnie słoneczny. Dzieci miały do dyspozycji wielkie sale z mnóstwem zabawek i kolorowych pomocy dydaktycznych. Młode opiekunki budziły zaufanie.

Zuzanna wytłumaczyła właścicielce, Justynie Okorowicz, na czym polega jej sytuacja.

- Będzie pani uczyła w szkole pani Piskorz? – spytała dyrektorka.
- Tak, to praca zaledwie na kilka godzin, nie potrzebuję więc opieki na cały dzień.
- Rozumiem. Mamy też taką opcję: klub na godziny. Jest pani nauczycielką muzyki?

– Owszem. U Soni będę uczyła przede wszystkim gry na fortepianie, ale też prowadziła zajęcia umuzykalniające – wyjaśniła.

Justyna klasnęła w dłonie.

– To się wręcz cudownie składa! Bo my też poszukujemy kogoś do zajęć muzycznych z dziećmi. Jako że są to maluchy, chodzi o zaledwie pół godziny i nie codziennie. Może mogłybyśmy się umówić na coś w rodzaju barteru? Ja przyjąłabym Jasia i Basia do mojego klubu, a pani poprowadziłaby w zamian te lekcje?

Zuzanna była trochę zaskoczona. Kompletnie nie spodziewała się takiego obrotu sprawy. Znakomicie się składało. To rozwiązałyby problem finansowy, gdyż prywatne żłobki sporo kosztowały, nawet te na godziny. Wyciągnęła z torebki swój grafik.

– To nie jest zła propozycja – podjęła temat – ale pierwszeństwo ma szkoła Soni Piskorz. Proszę spojrzeć na mój rozkład godzin.

Okorowicz zagłębiła się w lekturze.

– Myślę, że w te dni, w których zostały zaplanowane lekcje u Soni Piskorz, mogłaby pani przyprowadzić do nas bliźniaki wcześniej, odbyć u nas zajęcia z dziećmi, a potem pójść do kolejnej pracy. – Zaznaczyła ołówkiem interesujące ją dni.

Zuzanna spojrzała na skorygowany grafik. Wszystko wyglądało bardzo rozsądnie. Nie dokładało jej to zbyt dużo pracy, a pozwalało na spore oszczędności. Nie wspominając już o tym, że nie musiałyby angażować Mirandy i Heleny.

– Chyba możemy spróbować – powiedziała więc ostrożnie.

Uradowana Justyna oprowadziła ją po wszystkich pomieszczeniach żłobka i zapoznała z kadrą. Dzieciom najwyraźniej się tutaj podobało. Aż rwały się do zabawek i towarzystwa. Lorenc pomyślała, że chyba brakuje im kontaktu z rówieśnikami, więc także i to przemawiało za opcją żłobka.

Zuzanna była coraz bardziej zadowolona. Nie liczyła na to, że jej życie zawodowe tak dobrze się ułoży. No tak, miała znakomity dyplom i referencje, ale udało się jej pozyskać pracę bardzo blisko domu w dogodnych porach, a w bonusie dostała opiekę nad dziećmi za całkiem umiarkowane świadczenia. Nauczanie dzieci muzyki w „Kwiatowym Królestwie” nie wydawało jej się jakoś szczególnie uciążliwe. Pomyślała jak pięknie będzie tu wiosną i latem. Z zieleńca rozciągał się wspaniały widok na Wisłę, a sam ogród wyposażony był nowoczesnie i komfortowo.

Jak się okazało w trakcie rozmowy, Justyna Okorowicz nie należała do starych mieszkańców tej dzielnicy. Wynajęła willę od agencji i niewiele wiedziała na temat jej właścicieli poza tym, że byli spadkobiercami fabryki porcelany.

– Ponoć istniało tutaj coś takiego przed wojną – wyjaśniła Zuzannie. – Fabryka popadła w ruinę, a jej tereny sąsiadują z naszym ogrodem. Teraz chyba zarządza tym miasto, ale willa wciąż pozostaje w prywatnych rękach. Administruje nią biuro handlu nieruchomościami, co bardzo mi odpowiada, bo nikt nie wtyka nosa w moje sprawy, mówiąc wprost. Ich obchodzi jedynie terminowe opłacanie czynszu. Wcześniej mieli tu jakąś kancelarię, z którą ciągle były problemy.

– Śliczne miejsce – pochwaliła na pożegnanie Lorenc.

Do domu wróciła w znakomitym nastroju. Zaczynała mieć poczucie, że zadomowiła się w tej uroczej okolicy. Znalazła już swoje sklepy i ścieżki, którymi chodziła z dziećmi na spacer. Najbardziej lubiła długie przechadzki wiślanymi bulwami, aż do dawnego portu rzecznej. Zaczynała nawet rozumieć niektóre opowieści Heleny o niechęci do przekraczania Wisły i udawania się „do miasta”. Dębniki były swoistym miastem w mieście. Stanowiły zamkniętą całość jak żadna inna krakowska dzielnica, no może poza Nową Hutą, której jednak Zuzanna

praktycznie nie znała. Huta była jednak ogromna, a Dębniki maleńkie. Teraz pozostawało tylko czekać, aż wraz z wiosną otworzą na rynku lodziarnię i będzie tam mogła przychodzić wraz z dziećmi. Miała nadzieję, że gdy zrobi się ciepło, rozkwitną kwiaty i trawa, będzie też można wyczywać na bulwarach.

– Cześć. Coś taka zadowolona? – Usłyszała głos Heleny.

Właśnie dotarła z wózkiem pod dom. Jaś i Basia przekomarzali się wesoło. Znali już coraz więcej słów, co wprawiało wszystkich dorosłych w zdumienie.

– Załatwiłam dla bliźniąt żłobek – pochwaliła się.

Sąsiadka pokręciła głową.

– Przecież byśmy ci pomogły, obiecywałyśmy.

– Pomożecie, jestem wdzięczna za gotowość, ale nie chcę was angażować na stałe, każdy ma przecież swoje zobowiązania. Żłobek zaproponował mi wymianę barterową – ja będę udzielać lekcji muzyki dzieciom, a oni mi gratisowo zapewnią opiekę dla Jasia i Basi.

– O, to bardzo rozsądne. – Ucieszyła się Helena. – Przyznam, że nie chciałam, żebyś brnęła w koszty. Te wszystkie kluby są strasznie drogie, mogłoby ci nie starczyć pensji od Soni.

– No właśnie. Na szczęście wszystko zupełnie nieźle się ułożyło. Jest deficyt nauczycieli muzyki, jak widzę.

– Tak, wyraźnie trafiłaś w niszę zawodową. W każdym razie gdybyśmy jednak były potrzebne, nie krępuj się. Zawsze możemy posiedzieć z dziećmi w twoim mieszkaniu lub wziąć je do siebie. Jesteśmy sąsiadkami, musimy się wspierać.

– Bardzo ci dziękuję. Idziesz może do pracowni? Chciałam cię zaprosić na kawę. Upiekłam specjalnie ciasto.

– Może innym razem. Wybieram się właśnie do pani Mrowińskiej. Odwiedził mnie Szarotka, wiesz, mój dawny kolega z klasy, który zasiada teraz w radzie dzielnicy. Wyobraź sobie, że on jest znanym naukowcem, czego nigdy w życiu bym nie przewidziała, sądząc z jego postępów w szkole. W każdym razie Mikołaj załatwił Mrowińskiej jakąś opiekunkę z ośrodka zdrowia i coś kombinują z remontem. Idę spytać, czy nie trzeba jej jakichś zakupów zrobić.

– Niestety nie mogę dzisiaj z tobą pójść, bo muszę dać dzieciom obiad, ale jeżeli wejdiesz ze mną na górę, to zapakuję ci kawałek ciasta dla pani Mrowińskiej.

– O, świetnie by było. Wezmę Basię, wózek wstawimy do komórki. – Wjechała do zamykanej wnęki, tuż obok opuszczonego lokalu na parterze.

Wspięły się po schodach na górę, rozmawiając o przyszłości kamienicy. Helena opowiedziała, że rada dzielnicy obiecała przyspieszyć remont chodnika.

– Najprawdopodobniej będą robić park na terenie dawnej fabryki ceramicznej – perorowała, wprowadzając Basię do mieszkania.

Dziewczynka natychmiast z piskiem ruszyła do swoich zabawek, aż matka musiała ją powstrzymać, żeby zdjąć jej buty. Jaś był bardziej opanowany i po prostu czekał, aż ktoś zdejmie mu kurteczkę, bo z czapką uporał się sam.

– Wiem, gdzie to jest. Willa, w której mieści się żłobek „Kwiatowe Królestwo”, sąsiaduje z terenem fabryki. To świetnie, że będzie park – zauważyła Zuzanna, wieszając ubrania dzieci.

– Nie wiadomo, czy wszystko uda się pomyślnie przeprowadzić, wiesz, to na razie tylko plany. Ale byłoby fajnie, bo zieleni nigdy za dużo.

– To prawda. – Lorenc poszła do kuchni i po chwili wręczyła sąsiadce paczkę. – Ciasto ze śliwkami. Mam nadzieję, że będzie smakowało pani Mrowińskiej.

– Na pewno. Miranda zachwalała twoje wypieki. Wpadnę następnym razem, a teraz bardzo dziękuję.

Helena zbiegła po schodach. Cieszyła się z upominku od Zuzanny. Zyskała pretekst do wizyty u byłej nauczycielki. Domowe ciasto, które upiekła sąsiadka. Coś przyjemnego i jednocześnie osobistego. Nie zakup z cukierni, a wyrób bliskiej znajomej. Szybko przemierzyła ulicę i znalazła się na Wiślanej. Domek Mrowińskiej w pełnym słońcu wydawał się jeszcze smutniejszy i bardziej zaniedbany niż poprzednio. Dawna uczennica przygryzła wargi i nacisnęła dzwonek przy furtce. Ponieważ z lokalu nie dobiegł jej żaden dźwięk, zaczęła podejrzewać, że przycisk nie działa.

– Pani Anno, to ja, Helena Werde, proszę otworzyć, przyniosłam pani ciasto do kawy – krzyknęła więc donośnym głosem i od razu zrobiło jej się głupio. Na ulicy co prawda nikogo nie było, ale i tak czuła się obserwowana.

Firanka w domku nauczycielki poruszyła się i Helena ujrzała lekko zniecierpliwioną twarz gospodyni. Starsza pani nie sprawiała wrażenia, jakby chciała wpuścić swoją byłą uczennicę, ale po chwili furtka się otworzyła i Werde mogła wejść do środka.

Pani Mrowińska przywitała ją w drzwiach z niezbyt szczęśliwą miną.

– Coś ty nawyrabiała, utrapiona dziewczyno? – rzuciła zamiast „dzień dobry”, po czym weszła do wnętrza domku, a młodsza kobieta po prostu poszła za nią.

Pokój nauczycielki niewiele się zmienił, ale było w nim wyraźnie cieplej. Na stole piętrzył się stos książek z bibliotecznymi pieczętkami, co oznaczało, że wolontariuszom od Mirandy udało się jakoś nawiązać kontakt z gospodynią.

– Nie wiem, o co pani chodzi – stwierdziła była uczennica z niewinną miną.

Starsza pani tylko pokręciła głową i poszła do niewielkiej kuchni przygotować herbatę.

– Przecież prosiłam cię, żebyś mnie zostawiła w spokoju, a ty napuściłaś na mnie tego Szarockiego, obłąkanego chłopaka.

– Dlaczego zaraz obłąkanego? – Nie rozumiała Helena.

– Zachowywał się, jakby miał źle w głowie. Ja już w szkole widziałam, że z nim jest coś nie tak – wiecznie te gwiazdy i gwiazdy, a czasami hokej. No, a pamiętasz, jakiego mieliśmy wiejskiego nauczyciela fizyki? Sobociński... Panie świeć nad jego duszą. Niczego nie potrafił nauczyć ani wyegzekwować.

Werde wspominała akurat pana Sobocińskiego zupełnie inaczej – jako miłego i serdecznego człowieka, który, to prawda, nie zadręczał ich nauką, ale też nikogo nie skrzywdził.

– Doświadczenia mu nie wychodziły i ogólnie nie nadawał się do tej pracy, co mówię z przykrością, bo byłam wtedy wicedyrektorem – ciągnęła Mrowińska, wsypując wiórki herbaciane do szklanki i zalewając je wrzątkiem. – Ten Szarocki był, owszem, bardzo zdolny, tylko zahukany strasznie. Szybko się zorientowałam, że ma talent do fizyki, tylko nie ma go kto uczyć... On, zdaje się, miał niezdiagnozowany ten zespół... No jakże to się nazywa? – Strzeliła w kierunku Heleny palcami. – Uczyłaś się chyba psychologii, to powinnaś wiedzieć!

– Zespół Aspergera? – Zaryzykowała dawna podopieczna.

Była nauczycielka skinęła głową.

– No właśnie. Te nowoczesne diagnozy. Kiedy zaczynałam pracę, to uczeń był grzeczny lub niegrzeczny, zdolny lub opóźniony. Wymagał zajęć wyrównawczych bądź kółka naukowego. Wszystko było jakies prostsze...

– Moim zdaniem właśnie trudniejsze – sprzeciwiła się Helena. – Nie uważam tamtych metod za idealne, wręcz przeciwnie. Już w moich czasach szkoła była trochę inna, lepiej rozumiała problemy młodzieży. A ta, do której chodziła Miranda, to już w ogóle...

Mrowińska skrzywiła się, jakby to ona wiedziała wszystko najlepiej.

– Jasne, gimnazjum rozwiązało problemy tego świata. Całe szczęście, że nie musiałam już w nim uczyć. Zresztą, jak widać, ci na górze uważają podobnie, skoro je zlikwidowali. Jednak

mniejsza z tym. Wracając do tematu, Szarocki zawsze był trochę dziwny i zostało mu to do dzisiaj. Wyobraź sobie, że przyszedł do mnie w imieniu tej całej rady i zaczął coś opowiadać bez ładu i składu.

– To znaczy?

– Snuł jakieś mrzonki. Że dzielnica niby pomoże w remoncie mojego domu, dołoży się nauczycielski związek, że znajdzie mi dochodzącą opiekę.

– No, ale z tego, co wiem, udało mu się coś tam załatwić – łagodnie wtrąciła Helena, która już zrozumiała, z czego wynika zniecierpliwienie Mrowińskiej. Nauczycielka nie znosiła, jak ktokolwiek wtrącał się do jej życia i coś jej narzucał albo do czegoś ją zmuszał.

– Tak, nawet byłam zdumiona, że całkiem rozsądną kobietę przysłał. Nie taki on jednak fajtłapa, jak podejrzewałam. Przyznam ci się, że początkowo myślałam, iż on tu na jakieś przespiegi przyszedł.

– Na przespiegi? Co też pani mówi. On naprawdę jest przewodniczącym rady dzielnicy.

– Teraz już to wiem, bo go wylegitymowałam, a potem dla pewności zadzwoniłam tam jeszcze. Nie myśl, że jestem taką naiwną starowinką, która da się nabrać na numer „na wnuczka” czy coś w ten deseń. Jeszcze jak miałam więcej siły, to chodziłam do biblioteki i czytałam gazety codzienne, tam dużo pisali o takich oszustach, więc ja wszystko o nich wiem.

– Szarotka nie jest żadnym oszustem! Jak pani mogła w ogóle tak pomyśleć – zaperzyła się dawna uczennica.

– To prawda. Jest uczciwy. Opał mi nawet kupili w dobrym gatunku, może piec mi niedługo wymienią. Mikołaj mówił, że jest jakaś dopłata do tego, żeby nie truć środowiska. Słyszałaś o tym? To prawda czy jakieś cygaństwo?

Młoda kobieta powtórnie westchnęła. Zaczęła cierpliwie tłumaczyć Mrowińskiej, na czym polega program walki ze smogiem. Nauczycielka słuchała uważnie, ale potem wzruszyła ramionami.

– Zawracanie głowy. Smog. A co to nigdy w Krakowie nie było brudnego powietrza? Zawsze było! I ludzie jakoś żyli. Powiem więcej: kiedyś to było prawdziwe zanieczyszczenie. Ty tego nie pamiętasz, Helenko, ale jak działał Solvay albo huta w Skawinie, to pył osiadał na oknach grubą białą warstwą. Trzeba je było co tydzień przecierać. Ale nikomu się nie śniło, żeby robić z tego aferę.

– Bo w tamtej epoce partia była przewodnią siłą i w ogóle o wielu rzeczach się ludziom nie śniło – z przekąsem rzuciła dziewczyna.

Mrowińska spojrzała na nią z urazą.

– Co też za brednie opowiadasz? A co partia miała do tego? Powietrze było zanieczyszczone, bo był przemysł. Ale ludzie mieli pracę i kraj się rozwijał. Nie to, co teraz. Nikt zresztą od tego nie umierał.

– Skąd pani wie? Według badań z powodu krakowskiego smogu co roku umiera cztery tysiące osób. Wtedy też na pewno umierali, tylko nikt nie prowadził żadnych statystyk.

– Bzdury – skwitowała ponownie starsza pani rozdrażnionym głosem. – To są wymysły wydelikacowanych ekologów. Wszyscy mamy jeździć na rowerach i pałaszować jarmuż. Kiedyś benzyna była z ołowiem i nie mówiło się tyle o zanieczyszczeniach, co teraz, kiedy niby wszystko jest takie czyste, przyjazne środowisku i zgodne z normami unijnymi.

– No właśnie! To jest kluczowe dla całej sprawy. Nie mówiło się. Problem istniał, tylko się go zamiatało pod dywan. Ludzie palą w piecach byle czym i stąd mamy takie powietrze, a nie inne.

– Zawsze palili byle czym. Bo ja to nie wiem. Mówisz tak, jakbyś wszystkie rozumy pozjadała. Przysłał tutaj się ze mną kłócić?

Mrowińska odstawiała swoją szklankę na stół z takim impetem, że herbata rozchlapała się na wszystkie strony. Jej twarz aż drgała ze zdenerwowania i Helena przestraszyła się, że starsza kobieta dostanie za chwilę jakiegoś ataku.

– Nie... Przepraszam, nie chciałam pani rozdrażnić.

– Rozdrażnić? Mnie? Ja jestem niezwykle spokojną osobą. Koncyliacyjną. Po prostu mam uczulenie na podobne banialuki. Zawsze mnie to złości.

– Rozumiem. Niech więc lepiej pani opowie, czego dowiedziała się pani w sprawie wymiany pieca. Zdecyduje się pani? – Helena miała już dodać: „, biorąc pod uwagę pani poglądy na tę sprawę”, ale się opanowała, żeby nie doprowadzić do kolejnego spięcia. Zrozumiała, że rozmowy z nauczycielką nie będą łatwe. Staruszka miała sprecyzowany i niezmienny pogląd na życie, którego nie dało się w żaden sposób zmodyfikować.

– Szarocki twierdzi, że ten nowy piec jest oszczędniejszy – westchnęła nauczycielka. – Według ulotki, którą przyniósł, i tak trzeba będzie w ciągu kilku lat wymienić... Teraz przynajmniej dopłacają, a potem nie wiadomo. Może wszyscy się zdecydują i nie będzie się można do tych dopłat dopchać? Istnieje szansa, że nie dożyję do daty końca wymiany tych pieców, ale gdyby się okazało inaczej... Nie mam z czego kary płacić.

– Co też pani opowiada. Dlaczego miałyby pani umrzeć?

– Zgadnij. Może dlatego, że jestem stara, a może dlatego, że wszyscy mi życzą śmierci? Wiem, że wielu osobom się naraziłam, ucząc w tej szkole. Ale ja tylko wykonywałam swoje obowiązki najlepiej, jak umiałam.

Faszyści też tak mówili – pomyślała Helena, lecz zachowała to dla siebie.

– Dziwię się, że twoja matka pozwala ci tutaj przychodzić – ciągnęła Mrowińska, częstując się ciastem Zuzanny.

Werde wzruszyła ramionami.

– Od wielu lat jestem dorosła. Mama ma niewielki wpływ na moje zachowanie. Zresztą nie sądzę, żeby ją to w ogóle obchodziło. Sprawy szkoły podstawowej to dla niej odległa przeszłość.

– Bardzo dobrze, że tak mówisz – stwierdziła emerytka. – Czasami mam wrażenie, że byłam za surowa dla moich uczniów, ale robiłam to wyłącznie dla ich dobra.

– Moja siostra byłaby pewnie innego zdania – mruknęła młoda kobieta.

Mrowińska zawahała się nad kolejnym kawałkiem ciasta.

– Ofelia – wyjaśniła Helena. – Też ją pani uczyła, pamięta pani? To były lata osiemdziesiąte.

– Tak, owszem... – Była nauczycielka zrezygnowała z dokładki. – Wiem, że mnie nie cierpiała. Jak zresztą cała ich klasa. Niczego nie rozumieli. Trwała walka o wszystko. A oni bawili się jak dzieci!

– A jednak komuś stała się krzywda – zaryzykowała Helena, zupełnie nie wiedząc, po co to robi. W sumie nie zamierzała przecież wyprowadzać Mrowińskiej z równowagi.

Ona jednak zareagowała nad wyraz spokojnie.

– Uwierz mi, mogła się stać większa. Ale nie mówmy już o tym. Ciasto bardzo dobre. Ty upiekłaś?

– Nie. Ja mam dwie lewe ręce do prac w kuchni. Zrobiła je nasza nowa sąsiadka. Pamięta ją pani? Zuzanna Lorenc, dziewczyna z wózkiem – dodała, widząc, że rozmówczyni nie kojarzy.

– Ach ta. Krewna Stanisławskiego?

– Pasierbica.

– Prowadził w tym waszym domu nielegalne wydawnictwo. Przez pewien czas drukowali nawet podziemne książki. – Uśmiechnęła się Mrowińska.

Dawna uczennica spojrzała na nią ze zdumieniem.

– Pani o tym wiedziała? Wtedy?

– Helenko, nie bądź naiwna. Wszyscy wiedzieli. Stanisławski był wręcz wzorcowym typem opozycjonisty. Gdy tylko się tutaj pojawił, ludzie od razu zaczęli gadać, że się ukrywa, że konspiruje. Szybko wszystko wyszło na jaw.

– No to skoro pani wiedziała... – Dziewczyna nie dokończyła.

– Pytasz, dlaczego nie doniosłam? Nie jestem konfidentką. Wiedziałam, że i tak prędzej czy później go złapią, ale nie zamierzałam przykładać do tego ręki. Wierzyłam w słusność tamtego ustroju. Dalej w niego wierzę, zwłaszcza gdy widzę, co się teraz wyrabia. – Wzruszyła ramionami. – Uważałam, że robi źle i powinien zostać ukarany. No cóż, uszło mu to na sucho i teraz odcina kupony od swej bohaterkiej przeszłości. – Nie kryła ironii.

Niesamowita osoba – pomyślała młoda kobieta, gdy już pożegnała się z nauczycielką i znalazła na ulicy. – Jadowita i niereformowalna. Zupełnie jakby została wyciągnięta z jakiegoś skansenu dziwnego i pokrętnego myślenia.

Gdy Helena zaczęła szkołę podstawową, nastał właśnie rząd Mazowieckiego, zmieniła się Polska. Mrowińska nadal uczyła, ale to nie była już ta sama osoba, co w czasach Feli. Wkrótce zresztą przeszła na emeryturę. Miała w szkole opinię „starej komunistki” i po trochu wariatki. Nie liczone się z nią jak dawniej, choć dalej potrafiła wprowadzać na lekcjach atmosferę terroru za pomocą złych ocen i krzyku, czego doświadczyła choćby Sonia. Wszyscy jednak wiedzieli, że Mrowińska należy do znikającej kasty belfrów z PRL-u. Z epoki, w której w szkołach rządziła polityka i socjalistyczne wychowanie, gdy zdarzały się incydenty z przemocą wobec uczniów, a słowne obrażanie było na porządku dziennym. Biolożka była reliktem czasów, słusznie odchodzących w zapomnienie – śmieszna i straszna jednocześnie niczym muzealny eksponat tuż przed zdjęciem wystawy.

Helena pomyślała, że w latach szkolnych Feli takie osoby musiały być jednak przerażające. Mając władzę, mogły niszczyć ludzi. Co gorsza, ich sposób myślenia nie podlegał jakiegokolwiek ewolucji. Doktrynerstwo. Zapatrzenie w ideologię i realizacja założeń całkowicie fałszywego systemu. Werde była przy tym przekonana – czego zresztą dowiodła dzisiejsza rozmowa – że stara nauczycielka głęboko wierzyła w jego słusność. I to chyba było w tym wszystkim najgorsze.

Minęło tyle lat, kraj tak bardzo się zmienił... To przecież niemożliwe, żeby nie dostrzegła żadnych wad tamtego ustroju. Kłamstw i hipokryzji władzy. Nie można przecież być aż tak ograniczonym! Najwyraźniej jednak nie było to wykluczone, bo nadal żyli ludzie, którzy nie potrafili spojrzeć krytycznie na wyznawaną niegdyś ideologię.

Rozumiem, że nie chce potępić wszystkiego w czambuł – medytowała kobieta. – To w końcu była jej młodość, ba, właściwie większość aktywnego życia. Ale spojrzeć obiektywnie? Ja nie mam z tym problemu. Potrafię dostrzec i wady, i zalety współczesności. Nie pojmuję Anny Mrowińskiej!

Pomyślała o swojej matce, kobiecie jedynie trochę starszej od nauczycielki. Sylwia przeżyła wojnę jako małe dziecko, potem doskonale pamiętała czasy socjalizmu, wolną Polskę przywitała z nadzieją. Nigdy nie wzdychała do „dawnych czasów”, cieszyła się wręcz, że przeminęły z ich opresyjnością, cenzurą, niewygodami codziennego życia. Chciała o nich jak najszybciej zapomnieć. Taka postawa wydawała się najnormalniejsza wśród reprezentantów starszego pokolenia. Podchodzili do minionej epoki bez sentymentów i obojętnie. Wspominali młodość z łezką w oku, ale złościли się na wszechobecne kolejki po mięso i kartki na buty. Helena tak naprawdę do dzisiaj nie spotkała nikogo, kto tęskniłby za socjalistycznym ustrojem z powodów czysto ideologicznych. Zazwyczaj nostalgia dotyczyła wyłącznie utraconej młodości

czy dzieciństwa.

Dziwiło ją to niesłuchanie i w dodatku czuła, że nie bardzo miałyby z kim o tym porozmawiać. Matka niechętnie wracała do przeszłości, zaś Fela wpadłaby w gniew, dowiedziawszy się, że jej siostra odwiedziła Mrowińską, znieawidzoną szkolną dręczycielkę. Miranda w ogóle nie rozumiałaby tego problemu.

Pani Anna jest jak zombie – pomyślała, otwierając bramę. – Żywy trup, którego już nic nie zmieni. A jednak nie mam wątpliwości, że trzeba jej pomóc jako człowiekowi.

10.

Pierwsza lekcja w „Studiu Ruchu i Muzyki Piskorz” okazała się wielkim sukcesem. Dzieci były rozumne i chętne, a Zuzanna odkryła w sobie ogromną pasję do nauczania i rozwijania młodych talentów.

Nie przyznawała się do tego, ale trochę się obawiała pierwszego dnia w pracy. Do tej pory nie uczyła nikogo i dosyć naiwnie myślała, że prowadzenie zajęć z dziećmi będzie prostsze. Miała doświadczenie z akademii, orkiestry i różnych warsztatów, ale to było zupełnie coś innego. Okazało się jednak, że posiada naturalne predyspozycje, a to, że kiedyś na studiach zrobiła kurs pedagogiczny, bardzo się jej przydało. Uczniowie także dawali jej pole do popisu. Zrozumiała, że coś, co miało być przejściowym zajęciem, może stać się jej prawdziwym powołaniem.

– Jesteś zadowolona? – zagadnęła ją Sonia, gdy Zuza wyszła z sali prób po swoim bloku zajęć.

– Bardzo. Nie byłam pewna, czy sobie dam radę – przyznała szczerze. – Widzę jednak, że dzieciaki są fantastyczne, świetnie się z nimi pracuje. To cudowne uczucie widzieć, jak ktoś się rozwija pod twoim kierunkiem.

– Tak. Duża satysfakcja. Ja też uwielbiam uczyć tańca. A najbardziej kocham, jak przychodzi taka zagubiona owieczka, co ledwo potrafi stanąć przy poręczy, a za kilka miesięcy – tańczy jak primabalerina. Napijesz się kawy?

Lorenc spojrzała na zegarek. Jaś i Basia byli wyjątkowo u Mirandy, bo nie załatwiła jeszcze wszystkich formalności związanych ze żłobkiem; musiała donieść im jakieś papiery dotyczące spraw zdrowotnych dzieci, bo bardzo tego przestrzegano. Zamierzała się tym zająć po południu, po lekcjach.

– Mam chwilę – orzekła.

Sonia skinęła głową i wpuściła ją do swego gabinetu, jeżeli tak można było nazwać ten

pokój. Trzymała tu nie tylko dokumentację szkolną, ale różne akcesoria baletowe.

– Nie wiedziałam, że jesteś tancerką – powiedziała Zuza, gdy otrzymała już swój kubek latte.

Szefowa wzruszyła ramionami.

– Bo nie do końca jestem. Jako dziecko uczyłam się baletu, potem miałam długą przerwę, w liceum intensywnie trenowałam taniec towarzyski, a na studiach tańczyłam w uczelnianym zespole ludowym. Uczę tylko podstaw baletu, i to najmłodsze dzieci, właściwie to jest bardziej rytmika niż prawdziwy taniec. Ale mam u siebie instruktorki z prawdziwego zdarzenia, nie obawiaj się. Ja po prostu lubię tańczyć, tylko zawsze byłam zbyt leniwa, żeby robić to profesjonalnie.

– Rozumiem – potwierdziła Lorenc, choć tak naprawdę nie pojmowała. Dla niej gra na fortepianie była całym życiem. Lubiła ćwiczyć, godzinami przesiadywać przy instrumencie. Czasami zdarzało jej się zaniedbywać naukę z przedmiotów ogólnych, byle tylko grać. W szkole muzycznej spotykała koleżanki, dla których ćwiczenie stanowiło przykry obowiązek. Szczerze mówiąc, zastanawiała się, po się męczą? Czy nie lepiej byłoby się zająć czymś, co dawałoby im większą satysfakcję? Nie wiedziała, czy to ich ambicje, czy może pragnienia rodziców zmuszały te osoby do bezowocnych starań i nielubianych zajęć. Jakakolwiek motywacja by im przyświecała, nie wróżyło to sukcesu. Ciężka praca jest ważna, ale nie można prowadzić jej pod przymusem. Tak przynajmniej ona uważała.

Może zresztą lepiej jest zrobić tak, jak Sonia? – medytowała podczas powrotu do domu. – Lubi tańczyć, ale traktuje to hobbystycznie. Nie chce się zadrećzać treningami, bo to zabiłoby w niej przyjemność tańca. Być może dla niektórych tak samo jest z graniem? Można się w końcu nauczyć przyzwyczajenie grać dla samego siebie i od czasu do czasu wykonać jakiś utwór w gronie rodziny czy przyjaciół. Nie trzeba w tym celu kończyć szkoły, wystarczy ognisko muzyczne, takie, jak założyła Sonia. Ale przecież uczniowie, z którymi dzisiaj miała do czynienia, nie wyglądali na zmuszanych przez rodziców do nauki gry na fortepianie. To były utalentowane dzieci, potrzebujące ewidentnie właściwego poprowadzenia. Nawet więc i w ognisku muzycznym można było trafić na prawdziwe diamenty wymagające oszlifowania.

Zabrzączał jej telefon, więc wydobyła go z torebki, przekonana, że to Miranda dzwoni z pytaniem, kiedy odbierze dzieci. Spojrzała na wyświetlacz i zobaczyła nieznaną numer.

– Mówi Rafał Grudziński. Pani Zuzanna Lorenc?

– Tak – odpowiedziała, próbując sobie przypomnieć, czy zna kogoś o takim nazwisku. Stanowczo nie.

– Świetnie. Kiedy będzie pani w domu? Czekamy już pół godziny!

– Jak to: czekacie? Z nikim się nie umawiałam – odparła zaskoczona.

– Naprawdę? Eddie mówił mi, że rozmawiała pani z nim w sprawie remontu. I że panią uprzedzał, że to ma być dzisiaj. No to jesteśmy.

– Ma pan na myśli Edmunda?

– A kogóż by innego. Gdzie pani jest? Ludzie się niecierpliwiają i zaraz mi się rozleżą jak mrówki.

– Będę za dwie minuty – jęknęła Zuza, myśląc z przerażeniem o liczbie tych „ludzi”. Co ten Edmund najlepszego wymyślił? Nie prosiła go o pomoc. To miłe z jego strony, że przysłał kogoś do malowania, ale bez przesady. Dwóch panów by w zupełności starczyło, żeby ochlapać farbą ściany w salonie i w kuchni.

Pod kamienicą stał duży samochód z logo firmy architektonicznej Edmunda. Oparty o maskę mężczyzna palił papierosa.

– Dzień dobry, jestem Zuzanna Lorenc, pan do mnie dzwonił?

Mężczyzna spojrział na nią groźnie spod krzaczastych brwi i poprawił czapkę z daszkiem.

– Długo pani nie było – odezwał się z przyganą.

– To ja dzwoniłem. – Zza samochodu wyłonił się drugi facet, wyraźnie młodszy, no i bez papierosa. – Rafał jestem, wspólnik Eddiego.

– Wspólnik? – Zuza zmierzyła go wzrokiem. Rafał Grudziński był o połowę młodszy od jej ojczyma, no i nie wyglądał jak architekt w niebieskich znoszonych dżinsach i grubej bawełnianej bluzie z jakimś napisem. Nie bardzo, szczerze mówiąc, odróżniał się od swoich pracowników.

– A co, nie pasuje? – zaciekał się.

Lorenc zaczęła się tłumaczyć:

– Nie, no skąd. Tylko byłam zdziwiona, bo Edmunda kojarzyłam raczej z towarzystwem byłych opozycjonistów, a pan jest chyba trochę za młody...

– Rafał. Mów mi lepiej po imieniu. – Bezceremonialnie uścisnęła jej dłoń. – Jesteśmy w końcu prawie rodziną. Edmund dużo mi o tobie opowiadał. I masz rację. Mój ojciec był kumplem Eddiego z konspiracy. W spadku zostawił ten interes mnie. Teraz wszystko styka?

– Owszem. – Roześmiała się Zuzanna. – Ty też jesteś architektem?

– Nie, ja zasadniczo kieruję budową. Tutaj też będę się zajmował nadzorem. Dopilnuję, żeby ci krzywo płytek nie położyli albo wanny nie wstawili w kuchni.

– Daj spokój, po co mi płytki? Mówiłam Edmundowi, że chodzi tylko o malowanie. – Przeraziła się dziewczyna.

Rafał poklepał ją po plecach.

– Tere-ferre. On już wszystko zaplanował i rozrysował, mam plan tej przebudowy. Wszystko będziesz miała jak z żurnala, już moja w tym głowa.

– Przebudowy? – Zuzanna była pełna najgorszych przeczuć.

Mężczyzna wyciągnął z samochodu teczkę, w którą strzelił palcami.

– O tu, kochana, jest wszystko, perfekcyjna robota. Pędzimy na górę obejrzeć tę mizerotę. Prowadź!

– Muszę odebrać dzieci od sąsiadki – powiedziała kobieta przygnębionym głosem.

– O, może lepiej niech tam jeszcze posiedzą. – Rafał zmarszczył brwi. – Najlepiej, żeby w ogóle dłużej tam zostały. I ty też.

– O czym ty gadasz? – zdenerwowała się dziewczyna, z wrazenia zatrzymując się na schodach i wpadając na niego.

– Ten remont trochę potrwa – tłumaczył jej. – Jak zaczniemy robić łazienkę, będziesz miała problemy z wodą...

– Z jaką wodą? Ja tego w ogóle nie przyjmuję do wiadomości! To miało być tylko malowanie ścian. Szybkie. Niekłopotliwe. Jedną ścianę już zresztą sobie wymalowałam. A łazienki to już w ogóle nie trzeba ruszać. Co Edmundowi w ogóle wpadło do głowy? Zaraz do niego zadzwonię!

– Nie złość się. Dobrze chłopina wymyślił. Ten stryszek to ruina. Ojciec chce ci zapewnić komfortowe warunki i chwala mu za to, nie gorączkuj się – perswadował Rafał.

Ale Zuzanna nie chciała go słuchać. Wyszarpnęła z torebki telefon i zaczęła wybierać numer Stanisławskiego.

– Co się tu dzieje? – Helena wyjrzała na korytarz, bo akurat dotarli na pierwsze piętro i prowadzili tę rozmowę podniesionymi głosami tuż pod jej drzwiami.

Zuza przerwała połączenie.

– To jest facet od mojego ojczyma – przedstawiła krótko Grudzińskiego. – Wyobraź

sobie, Edmund postanowił, że przeprowadzi remont swojego poddasza.

– I dobrze zrobił – powtórzył Rafał. – Kiedy mi opowiedział, jak ta mansarda wygląda, to się przeraziłem, że ty z dziećmiakami tu mieszkasz. Zresztą zaraz sam się przekonam, jaki jest stan mieszkania.

– Może daj chłopakowi szansę? – oceniła Helena.

Budowlaniec posłał jej pełne wdzięczności spojrzenie.

– No ale on chce, żebym ja się z Jasiem i Basią wyprowadziła na czas tego remontu. Dokąd niby? – zwróciła się do Rafała, który patrzył na nią bezradnym wzrokiem.

Helena zamknęła drzwi i popchnęła ich w kierunku schodów.

– Dobra, nie róbmy przedstawienia na klatce. Olesińscy się ucieszą z takiego kabaretu, Jacek Nowacki zapewne także. Idę z wami, zobaczę, co i jak. Przy okazji – Helena jestem, przyjaciółka Zuzy. – Wyciągnęła rękę do Rafała.

– Rafał Grudziński.

– Tak? Był tu taki Karol Grudziński, kolega profesora Stanisławskiego, razem bibułę na powielaczu odbijali. Mama mi opowiadała, że tata im ten powielacz naprawiał...

– To mój ojciec. – Ucieszył się młody mężczyzna.

– No proszę, jaki ten świat mały. Wszyscy się w końcu spotkają na Gwiazdzistej – stwierdziła filozoficznie Helena.

Zuzanna wciąż była nadąsana, ale posłusznie otworzyła drzwi mansardy.

– Może herbaty się napijemy? Masz też na pewno jeszcze to świetne ciasto, które mi dałaś dla Mrowińskiej. Na marginesie – bardzo ci była wdzięczna, jadła, aż jej się uszy trzęsły – zachęciła Werde.

Zuza nieco się rozchmurzyła. Zawsze dobrze na nią działały pochwały jej umiejętności kulinarnych.

– Umiesz piec? – zainteresował się Grudziński, zaglądając do kominka. – Moja narzeczona nie umie. W ogóle nie gotuje, bo uważa to za stratę czasu. Ja chyba w sumie też, zawsze można coś zjeść na mieście albo zamówić.

– E, tam. Nie ma to jak przyrządzić sobie coś samemu, wedle własnego gustu. – Zaoponowała Helena. – Nigdy nie wiesz, co ci tam wrzucą i jakiej świeżości jest danie.

Zuzanna włączyła czajnik i z niepokojem przyglądała się, jak Rafał lustruje wszystkie kąty. Obejrzał dokładnie salon, wnękę kuchenną, dłużej zabawił w łazience, wszedł do sypialni dzieci, otworzył nawet drzwi do dwóch składzików, których Zuzanna wcale nie używała. Potem wrócił do salonu i rozłożył przed sobą plany.

Lorenc postawiła na stole herbatę i ciasto.

– Eddie ma dobre oko – ocenił Rafał. – Właściwie wszystko się zgadza. Kominek do remontu...

– Przecież działa! – Przeraziła się Zuzanna.

– Ale zaraz przestanie albo dojdzie do jakiegoś nieszczęścia. Łazienka jest do przebudowy. Wedle planów Edmunda mamy ci wstawić wannę i prysznic, taki wbudowany w podłogę. Na ścianach płytki mozaikowe, na podłodze drewno. Pięknie to będzie wyglądało, zapewniam cię. Zaraz ci pokażę próbki płytek, to sobie wybierzesz, tak samo armaturę i wannę. Co do kuchni to mamy też całą koncepcję, zaraz ci pokażę komputerową wizualizację z kolorami ścian i glazury. – Wyciągnął z torby tablet. – Podłoga zostaje, wystarczy przycyklinować i zaolejować. Ściany.... – Rozejrzał się, a potem podchwycił zrozpaczony wzrok Zuzanny.

– Gładzie. Prosta sprawa. No i rzecz jasna malowanie. Okna zostawimy, skoro nie chcesz tak daleko idącego remontu. Ale ja bym wymienił, szczerze mówiąc. Przy okazji przerobiłbym też te składziki na dodatkowy pokój.

Zuzanna ukryła twarz w dłoniach.

– Nie możesz po prostu naprawić kominka i pomalować? – spytała cichym głosem.

– Ale o co ci chodzi? – Nie rozumiał Rafał.

– Edmund o niczym ci nie wspominał?

– Co masz na myśli?

– Że ten cały remont na wielką skalę może być psu na budę. Dostaliśmy list od prawnika i możliwe, że trzeba się będzie wyprowadzić, bo istnieje szansa, iż znalazł się prawowity właściciel tego domu.

– Co ty mówisz? – zdumiał się Grudziński.

– To prawda – poparła sąsiadkę Helena. – Istotnie chyba nie ma sensu brnąć w koszty. Zwłaszcza jeżeli się okaże, że robicie to dla kogoś. To bardzo ładnie, że pan profesor chce pomóc córce, naprawdę mu się to chwali. Ale jednak powinniście znacząco ograniczyć zakres prac.

– Zuzia, posłuchaj. Nie wiem, o czym rozmawiałaś z Edziem, ale ja dostałem od niego dokładne wytyczne – wyjaśnił Rafał. – Mam się zabierać do pracy i zrobić remont jak najszybciej, żebyś miała tu ładnie i wygodnie. I wykonam to, bo ekipa jest nam potrzebna za chwilę na naszej budowie. Może najlepiej będzie, jak wyjaśnisz to z Edmudem? Ten telefon do niego to chyba jednak nie był zły pomysł.

Zuzanna skinęła głową. Wzięła komórkę i poszła do kuchni pomówić z ojczymem. Rafał i Helena zostali przy stole.

– Nerwowa jest – ocenił.

Sąsiadka wzruszyła ramionami.

– Co się dziwisz. Zaproponowałaś jej rewolucję, a ona ma dwoje małych dzieci i dopiero znalazła pracę.

– No to jest idealny moment na rozpoczęcie nowego życia – stwierdził Grudziński.

Helena roześmiała się wesoło.

– Właściwie, jeśli tak się na to spojrzy, masz rację – przyznała. – Zuzia jest jednak chyba trochę zbyt zasadnicza.

– To znaczy? – zainteresował się Rafał. – Wygląda łagodnie.

– Bo jest łagodna. Tylko nie lubi niespodzianek. Zauważyłam, że wytrącają ją z równowagi.

– Dziwne, bo chyba ma pociąg do przygód – skąd inaczej by wzięła dwoje dzieci – mruknął.

Werde zgromiła go wzrokiem.

– Oj, kolego, to był chwyt poniżej pasa. Poza tym nie zamierzamy się pakować z butami w jej sprawy, prawda?

Rafał poruszył się na krześle.

– Za kogo ty mnie masz, siostrze? Za tępaka?

– Trudno wyczuć. Na razie wykazywałaś się umiarkowaną delikatnością. Widzę podobieństwo charakterów z moją siostrzenicą, więc przestrzegam na wszelki wypadek, żebyś nie chlapnął czegoś niepotrzebnie.

Grudziński spojrzał na nią spod oka.

– Edmund sporo opowiadał...

– Mówiłeś. To miłe z jego strony, że się tak o nią troszczy. Z matką dziewczyna chyba nie ma najlepszego kontaktu.

– Eddie pożarł się z Łucją, czyli matką Zuzy. Już nie są ze sobą. On ma żal do Łucji, ale do dziewczyny jest przywiązany i na pewno chce jej pomóc. To dobry człowiek, choć trochę... sztywny, jeśli mnie rozumiesz. Niedzisiejszy. Spróbuj ją namówić na ten remont. To góra tydzień

potrwa, Edmund pokryje wszystkie koszty. Będzie im tu dużo lepiej, i nawet jeśli ktoś zabierze to mieszkanie, to i tak warto.

– Dobrze. Porozmawiam z nią. – Helena nalała sobie jeszcze herbaty.

Tymczasem Zuzanna wróciła z kuchni.

– Edmund obstaje przy tym remoncie – wyjaśniła. – Mówi, że nawet jeżeli nas stąd wyeksmitują, to nie zrobią tego od razu. Najpierw muszą dać wypowiedzenia, negocjować, a to trochę potrwa, może nawet rok. Dlatego, jego zdaniem, opłaca się wymienić wyposażenie. Zresztą, ja mam wrażenie, że on nie traktuje groźby tej eksmisji poważnie. Zupełnie nie rozumiem jego niefrasobliwości.

– W każdym razie doskonale się składa. – Rafał uderzył dłońmi w stół. – Zatem do dzieła!

– Nie tak szybko. Ustaliłam z nim, że nie będzie żadnych wielkich przeróbek, wymiany okien i tego typu demolek. Materiały też bierzemy tylko z odpadów, to znaczy to, co wam zostało z wykończenia innych mieszkań. Nie chcę, żeby Edmund brnął z mojego powodu w koszty.

– Ale... – zaczął Grudziński.

– Już to z nim omówiłam. – Powstrzymała go ruchem dłoni. – Nie będę nic wybierała z twoich katalogów, Rafał. Dziękuję, że je przyniosłeś, ale róbcie po swojemu z tego, co macie. Edmund zaproponował, że na razie mogę zamieszkać u niego. Nie bardzo jest mi to na rękę, ale chyba nie mam wyjścia...

– Przeprowadzisz się do mnie – przerwała Helena.

Zuza spojrzała na nią z zaskoczeniem.

– No tak. Mówiłam ci już, że mam mieszkanie na tym samym piętrze, co mama i Fela. To mi daje pewną niezależność, choć właściwie spędzam u nich więcej czasu niż u siebie. W mojej kawalerce praktycznie tylko śpię. Teraz jednak chętnie ci ją udostępnię na tak długo, jak będzie trzeba, a sama przeniosę się do mamy – zaproponowała.

– Naprawdę? Jesteś pewna? – Sąsiadka nie posiadała się z radości. – To byłoby cudowne rozwiązanie. Praktycznie nie zmieniałabym miejsca pobytu.

– No i mogłabyś wpadać, żeby zobaczyć, jak nam idzie. Ja też miałbym cię na miejscu, żeby się poradzić w razie czego... – dodał Rafał.

Helena spojrzała krytycznie.

– Ciekawe, co masz na myśli? Zuzia ma ci doradzać, jaką rurę wstawić? Sam nie umiesz?

– Wiesz, Heleno, liczy się tak zwane wsparcie moralne, nigdy o tym nie słyszałaś? – wesoło dopowiedział Rafał.

Werde zmarszczyła brwi.

– Co zadecydujesz, Zuza? Zgadzasz się?

– Oczywiście! Jestem ci bardzo wdzięczna. Twoja propozycja spada mi jak z nieba. Nie wiem, jak ci się odwdzięczę.

– Wystarczy, jak spróbujesz trochę ogarnąć moje mieszkanie. Nie musisz w nim jakoś specjalnie sprzątać, nie o to mi chodzi. Mówiąc jednak dyplomatycznie, panuje tam pewien nieład. Nie jestem zbytnią porządną.

– Nie ma sprawy. Lubię sprzątać. Wyczyszczę ci wszystko na błysk – zapewniła ją Zuzanna.

– I nie spodziewaj się nie wiadomo czego. To jedynie pokój z kuchnią. Znajduje się dokładnie pod lokum pani Pieniążkiewicz, czyli po tej cichszej stronie kamienicy – wyjaśniła. – Nie są to żadne luksusy, ale ja je lubię. Myślę, że i tobie się spodoba.

– Na pewno. – Młoda matka była ogromnie wdzięczna.

– Dobra, drogie panie. Wy zajmijcie się spakowaniem potrzebnych rzeczy, a ja wołam

moich chłopaków – wtrącił się Rafał.

Helena wstała od stołu, gotowa do działania.

– Właśnie. Chodźmy, pokażę ci wszystko. Przy okazji odbierzemy bliźnięta od Mirandy. Ona musi już chyba iść do pracy.

– Też właśnie chciałam to zaproponować. Już i tak za bardzo was fatyguję, zresztą na pewno stęsknili się za mną. – Roześmiała się Lorenc.

Miranda przywitała je wesoło. Bawili się w pociąg i w mieszkaniu panował rozgardiasz. Werde wyjaśniła siostrzenicy pokrótce, co się dzieje i jakie mają plany.

– Zamieszkacie u Heleny? To trzeba tam uprzątnąć – stwierdziła Miranda.

– Nie przesadzaj, nie jest tak źle – zaperzyła się ciotka.

– Jest tragicznie! – Jakubowska mrugnęła do Zuzanny. – Hela trzyma tam setki pudeł z rzeczami, które przywiozła z zagranicy, ale których nigdy nie rozpakowała. Zdaje się, że w ogóle nie były jej potrzebne, więc nie wiadomo, po co je przywiozła. Heleno, zawsze cię o to chciałam zapytać – czemu ich po prostu nie wyrzuciłaś?

– Po pierwsze, to nie są setki pudeł, tylko co najwyżej kilkanaście, można je bez trudu upchnąć w garderobie – wyjaśniła ciotka spokojnie. – Poza tym jestem do tych przedmiotów przywiązana, więc dłaczego miałabym się ich pozbywać. – Wyciągnęła rękę do Jasia i razem z nim poszła w kierunku drzwi znajdujących się po drugiej stronie korytarza.

Zuzanna prowadziła Basię. Była bardzo ciekawa tego lokum. Sąsiadka chwilę majstrowała przy zamku, po czym weszły do środka. Korytarzyk był wąski i istotnie zastawiony pudłami.

„ A nie mówiłam?” – wyrażał wzrok Mirandy. Poza tym mieszkanko wyglądało na przytulne. Widać, że Helena o niego dbała, choć raczej w urządzenie go nie włożyła zbyt wiele serca.

– To dawne mieszkanie Feli – wyjaśniła rozglądającej się po dużym pokoju Zuzannie. – Mieszkała tu z Mirandą. Doszliśmy jednak do wniosku, że lepiej będzie, jeśli się zamienimy. Ja wprowadzę się tutaj, a one do mamy. Niczego nie zmieniałam, nie chciałam robić Feli przykrości, że wyrzucam jej rzeczy.

Zuza skinęła głową. A więc stąd ten wystrój w klimacie lat dziewięćdziesiątych... Może i funkcjonalny, ale niemodny. Zwłaszcza kuchnia z laminowanymi szafkami i wysuniętym blatem-wyspą, wspartym na chromowanej rurze, miały nostalgiczny urok czegoś, co kiedyś uważane było za niezwykle nowoczesne, a obecnie wydawało się niezbyt eleganckie.

Mimo tego ewidentnego stylu vintage od razu było widać, że lokatorzy mogą czuć się tu dobrze. Przestronne i słoneczne mieszkanie nastrojało optymistycznie. Jaś i Basia od razu rozbiegli się po wszystkich kątach.

– Podoba im się tutaj – skwitowała Helena. – To dobrze. Chodź, pokażę ci łazienkę. To jedyne pomieszczenie, które całkowicie przerobiłam.

Rzeczywiście. Łazienka urządzona była w zupełnie innym guście. Minimalistyczna, z białą nowoczesną armaturą. Zuzanna nawet zdziwiła się, że takie ascetyczne formy podobają się Helenie, którą miała za osobę bardziej szaloną. Szczerze mówiąc, podejrzewałaby ją raczej o stworzenie „ pokoju kąpielowego” w barokowym stylu, niż o coś takiego.

Werde podążyła za jej wzrokiem.

– Łatwo posprzątać – mruknęła, dotykając kwadratowej umywalki wpuszczonej w blat w surowego drewna. – Lubię takie czyste formy. Uspokajają mnie.

Matka bliźniąt skinęła głową.

– Nie denerwuje cię pewien chaos w stylistyce tego mieszkania? – spytała ciekawie.

Helena pokręciła głową.

– Myślę, że odzwierciedla ducha wszystkich jego ostatnich mieszkańców. Fela lubi podążać za trendami. Bardzo była dumna z tej kuchni, pamiętam, jak ją planowała, a potem urządziła. Jak widać, te rozwiązania szybko stają się *démodé*[5], co starałam się jej uzmysłowić. Kto zresztą wie? Może za kilka lat ten styl wróci i kuchnia błyszcząca foliową okleiną szafek znowu będzie na topie? Ja z kolei wolę meble bardziej ponadczasowe, ale nie skreślam żadnych śmiałych rozwiązań – przecież powróciła moda na fotele z lat siedemdziesiątych, które kiedyś można było spotkać na każdym śmietniku, a teraz kosztują spore pieniądze.

– Podoba mi się twoje podejście. Ja sama jestem analfaberką, jeżeli chodzi o urządzenie wnętrza. Nie znam się na stylach i trendach. Mogę określić, co uważam za ładne, a co nie, i to wszystko – przyznała Zuza.

– Idę do pracy – włączyła się Miranda. – Wrócę po ósmej, to mogę pomóc przy przenoszeniu rzeczy. Tylko spakujcie do tej pory wszystko.

– Jasne – potwierdziła ciotka. – Część kartonów przeniesiemy do nas, a część można wstawić do schowka. Już to wszystko przemyślałam.

– Jestem wam ogromnie wdzięczna – odezwała się Lorenc wzruszonym głosem. – Naprawdę, pierwszy raz w życiu otrzymuję od kogoś tyle bezinteresownej pomocy! To mnie zaskakuje, poważnie mówię.

– Nie takiej znowu bezinteresownej. Babcia na pewno liczy na twoje koncerty – przypomniała Miranda.

– O, właśnie. To mi uświadomiło, że trzeba pogadać z dzielnymi panami od remontu, żeby przenieśli tutaj fortepian, on chyba nie powinien tam zostawać – stwierdziła Helena.

Zuzanna przytaknęła. Fortepian był delikatnym instrumentem, wrażliwym i nieodpornym na przebudowy.

– Poproszę Rafała, mam nadzieję, że się zgodzi. – Lorenc nie była pewna, czy robotnicy będą szczęśliwi z dodatkowej pracy.

– Ten fortepian na pewno im przeszkadza – uspokoiła ją Helena. – Jak w dowcipie: w zagrożonych pomieszczeniach zawsze się musi pojawiać jeszcze fortepian.

– A więc idealnie pasuje do twojego mieszkania – rzuciła wesoło Jakubowska.

– Ty ciągle jesteś? Do pracy nie wychodzisz? – zdumiała się ciotka.

– Lecę już, tylko tak przypadkiem usłyszałam i nie mogłam się powstrzymać.

– W tym właśnie tkwi problem. Nigdy nie umiesz się powstrzymać – mruknęła Helena, puszczając oko do Zuzanny.

Miranda w końcu wyszła, a one wróciły do mieszkania. Lorenc wyjrzała przez okno.

– Bardzo ładny widok. Tak tu zacisznie.

– To prawda. W ogóle to piętro jest mocno pokręcone. Nie wiem, kto przerabiał te mieszkania, ale konfiguracja jest dziwna.

– Co masz na myśli?

– Trudno powiedzieć, jaki był pierwotny zamysł architekta, ale tu chyba wszystko wyglądało inaczej. Mam wrażenie, że moje mieszkanie wygospodarowano z czegoś większego.

– Z waszego lokalu? – Nie rozumiała Zuzanna.

Helena wzruszyła ramionami.

– Raczej nie. Mieszkanie mamy jest już spore. Mnie się wydaje, że na piętrze były po prostu dwa duże mieszkania, a to pomniejszono.

– W takim razie mieszkanie pani Sylwii powiększono kosztem tego? – dopytywała Lorenc.

– Właśnie o to chodzi. Moim zdaniem również nie. Nie dokonywałam żadnych porównań, bo nie bardzo nadarzała się ku temu okazja. Poza tym nie widziałam wszystkich mieszkań w tej

kamienicy. No, ale byłam u Klary Pieniążkiewicz, która zajmuje lokal dokładnie nad nami. Jej lokum jest na pewno obszerniejsze.

– Może to zamierzony efekt projektu? Ten dom jest taki dziwny. Ma te wszystkie zakamarki, wykusze i portyki... – tłumaczyła Zuzanna.

Helena nie była przekonana.

– Tu chodzi o coś innego. O jakiś nietypowy układ. Mniejsza z tym... Musimy teraz skupić się na innych sprawach. Trzeba spakować twoje rzeczy, a ja też mam niezły zgryz...

– Co się stało? Może ja mogłabym ci dla odmiany pomóc? – zainteresowała się Lorenc.

Sąsiadka zaprzeczyła ruchem głowy.

– Muszę się z tym uporać sama. Przemyślałam to, co mówiłaś o zebraniu. No wiesz, żeby wszystkich niechętnych mojemu pomysłowi ze sklepem i wytwórnią mydła zaprosić do pracowni i pokazać im, jak to działa. Zamierzam to zrobić. Raz kozie śmierć.

– Bardzo dobrze. Przekonają się, że nie ma się czego bać. To pierwszy krok do zmiany zdania.

– Jesteś wielką optymistką. Jak wiesz, niektóre jednostki są niereformowalne. Liczę jednak na presję społeczną i tu rzeczywiście możesz mi pomóc. Przyjdiesz?

– No jasne – entuzjastycznie zgodziła się Zuza. – Mam coś mówić? Zachęcać? Przekonywać?

– To nie ma być żadna wyuczona propaganda. – Skrzywiła się Werde. – Nie chcę w tym wszystkim fałszu, nie obraż się, oczywiście. Mów po prostu szczerze, co ci przyjdzie do głowy. Nie musisz na siłę chwalić.

– Ale mnie naprawdę podoba się ten pomysł!

– Tym lepiej. – Roześmiała się Helena. – Oby udało mi się ich namówić na złożenie mi wizyty. Boję się, że to nie będzie takie proste, ale mam pewien plan.

– Trzymam kciuki.

– Na pewno się przyda – westchnęła sąsiadka.

Zuza uśmiechnęła się krzepiąco i zapisała sobie w pamięci, że trzeba będzie zadzwonić do stroiciela. Za chwilę wykupię sobie u niego stały abonament, bo tyle razy przenoszę ten fortepian – pomyślała. To był ten gorszy aspekt remontu i ciągłych przeprowadzek.

[5] *Démodé* (fr.) – niemodny.

11.



– Produkcja mydła nie jest niebezpieczna. – Helena powiodła wzrokiem po zebranych.

Marta Olesińska przybrała taką minę, jakby za chwilę miała zemdleć. Założyła plastikowe gogle natychmiast po wejściu do pracowni i na wszelki wypadek trzymała się blisko drzwi. Jej mąż, Jeremi, robił wrażenie odważniejszego, bo z ciekawością zbliżył się do stołu. Jacek Nowacki wyraźnie się nudził i chyba drażnił go zapach, ponieważ co chwila znacząco pociągał nosem.

Mirandzie i jej ciotce zajęło sporo czasu, żeby namówić wszystkich sąsiadów do przyjscia tutaj. Jacek wymawiał się brakiem czasu. Otwierał właśnie nową restaurację i nie miał głowy do „dziwnych pomysłów sąsiadki”, jak to uroczo ujął. Ale Helena spojrzała na niego groźnie, i w końcu potulnie się zgodził. Pewnie doszedł do wniosku, że będzie mu wierciła dziurę w brzuchu przez kolejne pół godziny, zatem lepiej jakoś przecierpieć to idiotyczne – w jego mniemaniu – zebranie. Poza tym stwierdził, że przy okazji i on może coś ugrać dla siebie.

Olesińskich przekonała wreszcie Miranda. Jeremi był nawet ciekawy, jak wygląda pracownia Heleny. Stanowcze veto zgłaszała jego żona, która w tej rzekomej próbie dogadania się weszła podstęp. Jakubowska musiała używać wszelkich możliwych argumentów.

W końcu jeden przeważył.

– Zuzanna Lorenc też tam będzie.

– Z dziećmi? – podejrzliwie spytała Marta.

Miranda skinęła głową.

– No widzisz, kochanie, to nie może być tak bardzo niebezpieczne, skoro ona chce tam zaprowadzić bliźnięta – włączył się Olesiński.

– Brednie – podsumowała Marta. – Nieodpowiedzialna kobieta i tyle. Ja bym nigdy w życiu nie naraziła swoich maluchów na tak wielkie ryzyko.

– Mydło to żadne zagrożenie, przecież codziennie się je stosuje – tłumaczyła cierpliwie młoda sąsiadka. – Proszę dać się przekonać. Jeżeli poczuje się pani niekomfortowo, zawsze może pani wyjść. Pracownia Heleny jest naprawdę bardzo ładna. Odmalowałyśmy starą pralnię, wyniosłyśmy wszystkie połamane sprzęty i gruz. Zrobiło się tam przytulnie. Jak pani zobaczy te wyroby, z pewnością się pani w nich zakocha.

– Wątpię. Pomijając już kretyński pomysł zakochiwania się w czymś tak prozaicznym jak mydło, nie uważam za stosowne w ogóle się tam pojawiać.

– Proszę dać cioci szansę. Ona chce pokazać, jak to wszystko funkcjonuje, żeby państwa przekonać, że nic złego się nie dzieje. – Miranda naprawdę nadawała się do pracy z rozkapryszonymi dziećmi i świetnie sobie z tego zdawała sprawę. Sama nie miała pojęcia, skąd biorą się u niej tak wielkie pokłady cierpliwości. Dlatego też Helena posłała ją do Olesińskich. Nie dałaby rady rozmawiać z upartą żoną Jeremiego. Od razu by się pokłóciły i pomysł spaliłyby na panewce.

– Martusiu, kochanie, nie bądź taka nieprzejednana. – Niespodziewanie po stronie sąsiadki stanął Jeremi. – Co nam szkodzi zobaczyć? Ja uważam, że to ciekawe.

– A ja nie – odrzekła naburmuszona kobieta. – Nie mam czasu na podobne bzdury.

– Niech się pani zgodzi. Napijemy się herbaty, pomówimy na temat przyszłości naszej kamienicy. Helena rozmawiała z przewodniczącym rady dzielnicy o chodniku – kusiała Miranda.

Olesińska wyglądała na lekko wstrząśniętą.

– Wypić herbatę? W miejscu, gdzie się miesza trucizny? To już lekka przesada. Nie liczcie na to, że czegokolwiek tam dotknę, nie ma mowy.

W końcu po długich korowodach i namowach zgodziła się przyjść, a i tak Jakubowska nie była pewna, czy ostatecznie się nie wycofa.

Z Zuzanną nie było żadnego problemu, bo chciała pokazać dzieciom kolorowe mydełka, a Klara Pieniążkiewicz wysłuchała je, uchylając jedynie drzwi na łańcuch. Nie było żadnej gwarancji, że przyjdzie, bo nie udzieliła w tej kwestii jednoznacznej odpowiedzi. Obie zapraszające wiedziały, że nie ma sensu na nią naciskać – i tak zrobi po swojemu.

Niespodziewanie okoniem stanęła Fela, której bardzo nie w smak były wszelkie tego rodzaju pomysły.

– Nie przyjdę, jestem zajęta – odrzekła, gdy siostra przy kolacji wspomniała jej, co organizuje.

– Dlaczego? Jesteś mi potrzebna, to dla mnie ważne – namawiała.

Ofelia tylko wzruszyła ramionami.

– Wybacz, ale nie mam głowy do twoich kaprysów. Cały ten pomysł z manufakturą mydlarską wydaje mi się niepoważny.

– Niepoważny? – Helena zmarszczyła brwi.

– Nie chce mi się znowu tego wałkować. – Siostra potarła czoło zmęczonym ruchem dłoni. – To tylko fantasmagorie. Tak jak te wyjazdy w świat. Mogłabyś wreszcie spojrzeć na życie realistycznie. Dokończyć studia, wziąć się do jakiejś normalnej pracy. Przestać zachowywać się jak mała dziewczynka.

– No co ty nie powiesz – zirytowała się właścicielka „Życia w Mydle”. – Ty i te twoje morały. Skąd to nagłe przekonanie, że gdybym skończyła studia, to, po pierwsze, pracowałabym w swoim zawodzie, a po drugie byłabym szczęśliwa?

– Nie wiem. – Fela była wyraźnie znużona tą wymianą zdań. – A teraz jesteś szczęśliwa?

Pytanie zawisło w próżni.

Helena schyliła głowę i zaczęła grzebać widelcem w swojej porcji makaronu. Było jej przykro, że siostra wciąż ją gani, zawsze ustawiając się w kontrze. Młodsza z kobiet

przyzwyczała się do tego, że starsza nie akceptuje jej wyborów, ale dlaczego nigdy nie próbowała jej zrozumieć? Zawsze była na „nie”, jakby chciała wciąż widzieć swoją krewną w szkolnym mundurku, w roli grzecznej i wzorowej uczennicy ze świetnym świadectwem. Z perspektywami, a tak naprawdę – bez perspektyw. Bo co umiała Helena, gdy kończyła szkołę podstawową, a potem średnią? Wygrywać konkursy przedmiotowe i zdobywać stypendia. Nie miała pojęcia o prawdziwym życiu. Nie potrafiła nawet zadbać o siebie. Czuła się jak koń wyścigowy, wciąż dopingowany przez Felę do pokonywania kolejnej przeszkody – wyżej, szybciej, więcej. Tylko po co? W jakim celu? Jej samej nie przynosiło to satysfakcji. Matka i siostra były z niej dumne, koleżanki i koledzy zazdrościli. Ona sama czuła, że to droga donikąd. Taka była prawda o jej szkolnych sukcesach.

– Ofelio, uważam, że powinnaś wesprzeć siostrę, skoro cię prosi – odezwała się Sylwia i spojrzała na najstarszą córkę karcącym wzrokiem.

Zagadnięta wyduła wargi, a na jej twarzy odmalowała się złość.

– Nie rozumiem, dlaczego mnie zmuszacie. Same sobie idźcie, jeśli uważacie, że to jest ważne!

– Straszna z ciebie egoistka – palnęła bez zastanowienia Helena.

– I kto to mówi? – Siostra odwróciła się do niej z wściekłością. – Może łaskawie spojrzalabyś sama na siebie. To ty zawsze usiłujesz postawić na swoim, manipulujesz wszystkimi i stroisz fochy. Jeżeli ktoś tu jest samolubny, to na pewno nie ja! – Rzuciła na stół serwetkę i wstała tak gwałtownie, że aż przewróciła krzesło.

– Mamo, proszę – odezwała się ugodowo Miranda.

Rodzicielka zmierzyła ją niechętnym spojrzeniem.

– Ty też jesteś po jej stronie? Mogłam się spodziewać. Obie trzymacie jeden front. Wszystkie jesteście przeciwko mnie!

– Felu, uspokój się, pomyśl racjonalnie – mitygowała Sylwia. – Przecież chodzi jedynie o krótkie spotkanie w mydlarni Helenki, które ma przekonać sąsiadów do tego biznesu. O nic więcej. A ty robisz z tego jakiś dramat. To niepoważne.

– Ja jestem niepoważna? Ja? – Twarz najstarszej córki poczerwieniała. – Jestem niepoważna, bo pracuję i zarabiam na tę rodzinę, podczas gdy moja ukochana siostrzyczka od lat zabawia się jakimiś mrzonkami. Realizuje się i szuka swojej drogi. Teraz mydlarnia, a za chwilę będą wróżby ze szklanej kuli lub tańce na rurze. Och, dorosnij wreszcie, Heleno, bo robisz się śmieszna, a ty, mamo, zacznij od niej czegoś wymagać. Obie przestańcie sobie wreszcie pobłażać. Życie to nie bajka. – Ofelia wyszła z pokoju i trzasnęła drzwiami.

Mając tę rozmowę w pamięci, Werde zdziwiła się, gdy siostra jednak przyszła do mydlarni i stanęła z boku, koło przestraszonej Olesińskiej. Nie założyła co prawda okularów, ale rozglądała się nieufnie. Nigdy tu nie była. Demonstracyjnie okazywała brak zainteresowania pracownią siostry. Miranda pojawiała się tu codziennie, nawet matka przyszła tu kiedyś, na samym początku, przyprowadzona przez wnuczkę. Fela natomiast kontestowała pomysł siostry, jak i wszystkie poprzednie, które nie mieściły się w jej definicji „przyzwoitej pracy”.

Widać jednak było, że mydlarnia zyskała jej uznanie. Nie mogła się nawet powstrzymać i podeszła do półki, by wziąć do ręki wyroby. Oglądała pod światło mydła różane z zatopionymi kwiatami i starannie wykonanym ornamentem na wierzchu, jakby chcąc zgłębić zagadkę, jak zostały zrobione. Najwyraźniej dała się uwieść wyjątkowości tego miejsca. Podobnie Olesiński. Przestał udawać, że przywiódł go tu jedynie uprzejmość, i zaczął buszować między półkami. Co chwila wydawał okrzyk zachwytu, kiedy znalazł jakieś szczególnie piękne lub wyjątkowo pachnące mydło. Podsuwał je swojej żonie, która jednak za każdym razem wzdrygała się

z niechęcią. Zaczął więc demonstrować znaleziska Ofelii – i w niej znalazł wdzięcznego widza. Już po chwili razem wyszukiwali najbardziej udane okazy, nie kryjąc zachwyty. Helena uśmiechnęła się z ulgą. Tych dwoje z całą pewnością przekonała. Pozostali jej Olesińska i Jacek, który nie przestawał rozglądać się ze zblazowaną miną.

– Wytwarzanie mydła nie jest trudne. Wymaga zaledwie trochę wprawy, dobrej wagi i pomysłowości – ciągnęła. – Jeżeli macie ochotę, możemy wykonać nasze wspólne mydło, to nam nie zajmie dużo czasu, bo przygotowałam już składniki.

– O tak, koniecznie – zapalił się Jeremi.

– Wykluczone – przeraziła się jego żona.

Jacek w ogóle się nie odezwał, ale gdy Helena spojrzała na niego, popatrzył znacząco na zegarek i skrzywił się:

– Czy to jest obowiązkowy punkt programu, bo ja bardzo się spieszę? Myślałem, że przyszedliśmy tu porozmawiać o bezpieczeństwie tego interesu.

– To jest dla chętnych – skapitulowała Werde. – Jakkolwiek takie doświadczenie udowodniłoby, że nie ma się czego obawiać. To prosty i niegroźny proces. Nic się nie zapali, nie wybuchnie, nie będzie żadnych strat i zniszczeń. Po prostu miesza się kilka substancji, z których powstaje potem masa, a z niej kostki, które tu widzicie.

– No właśnie – podchwycił Jacek. – Ja już sobie wyrobiłem zdanie na ten temat.

– To świetnie – włączyła się Zuzanna, która nie odzywała się do tej pory, bo była zajęta zabawianiem dzieci. Musiała ciągle zwracać na nie uwagę, aby nie włożyły do buzi któregoś z atrakcyjnie pachnących produktów.

– Mnie na przykład bardzo się ta inicjatywa podoba i jestem za. Taka mydlarnia to urocze miejsce. Myślę, że ożywi i upiększy to niezbyt zachęcające podwórko – dodała, wręczając Jasiowi ulubionego pluszaka. Basia tymczasem zdażyła już podejść do Mirandy i zaczęły się bawić w „kosi kosi łapci”. Obie wyglądały na bardzo zadowolone.

– A ja jestem wręcz przeciwnego zdania – irytował się tymczasem Nowacki. – Co więcej, obejrzałem sobie ten lokal i mam na niego zupełnie inny pomysł!

– Jaki? – zainteresowała się Marta, zbliżając się do Jacka z ufnością.

No tak – pomyślała bezradnie Helena. – Wrogowie zaczynają się jednoczyć we wspólnej sprawie. Nie dałabym sobie głowy uciąć, czy wcześniej się nie porozumieli.

– Mógłbym tu otworzyć jedną z moich restauracji – uznał Nowacki. – Nie mam jeszcze niczego w tej lokalizacji, a widzę, że to błąd. Dębniki są dzielnicą z potencjałem. Wprowadza się tutaj coraz więcej zamożnych ludzi, powstają biura i kancelarie. Taka niewielka knajpka z dobrym jedzeniem, coś w rodzaju francuskiego *un bistrot*[6], do którego można wpaść na *le petit-déjeuner*[7] lub *le souper*[8]...

– Chce nam pan tutaj założyć garkuchnię? – Rozległ się zza jednej z półek ironiczny głos.

Wszyscy spojrzeli w tamtą stronę. Ofelia patrzyła na sąsiada groźnie, trzymając w ręce jedno z bajecznie kolorowych mydeł siostry.

– Nie „garkuchnię”, szanowna pani, tylko elegancką restauracyjkę, stylowy lokal – obruszył się Nowacki, zbliżając się do niej.

– Jak zwał, tak zwał. Ledwo się pozbyliśmy myszy z tego pomieszczenia, wiem, bo mi córka opowiadała, jak walczyły z nimi tutaj, a pan nam chce tu szczury wprowadzić?

– Jakie szczury na miłość boską? – zakrzyknął dotknięty tą uwagą sąsiad.

– Deratyzacja – wysyczała jadowicie Ofelia. – To nas czeka w najbliższym czasie, jeżeli zrealizuje pan swój pomysł. Szczury wielkie jak koty zasiedlą nasze podwórko. One zawsze pojawiają się w pobliżu jadłodajni.

– Pani chyba nie mówi poważnie. – Roześmiał się Jacek. – Przy dzisiejszych normach

sanitarnych w gastronomii nie ma mowy o szczurach, karaluchach i innych takich.

– Tak? A w telewizji to co pokazują? – poparła matkę Miranda. – Oglądałam nawet specjalny program o tym, jak brudno potrafi być w niektórych restauracjach.

– Wypraszam sobie! W moich jest idealnie czysto. Mam ciągłe kontrole sanepidu. Nigdy nie znaleźli żadnych uchybień. Nigdy! – podkreślił Nowacki. – To są obraźliwe pomówienia, za które mógłbym paniom wytoczyć proces o zniesławienie.

– Proszę się nie unosić – wtrąciła się Zuza. – Nikt pana nie obraża. Ja sama również mam wiele obiekcji względem restauracji w tym miejscu.

– Na przykład jakich? – Jacek ją zaatakował. – Pani trzyma z nimi, bo się pani przyjaźni z Heleną. Węszy pani w tym swój interes. Lena udostępniła pani swoje mieszkanie na czas remontu, nieprawdaż?

– A skąd ty o tym wiesz? – odezwała się właścicielka manufaktury wyraźnie zdumiona. – Szpiegujesz nas?

Mina Nowackiego wyrażała, że może chodzić właśnie o coś takiego.

– Oburzające – podsumowała Ofelia. – To się nadaje do zaskarżenia.

Miranda tylko się skrzywiła i spytała Zużę, czy może wyjść na chwilę z dziećmi na podwórko, gdzie można było pobawić się na odśnieżonym chodniku. Młoda matka chętnie się zgodziła. Nie podobało się jej, że sytuacja w pracowni zmierza w kierunku kłótni.

– Uspokójmy się wszyscy – mitygował w międzyczasie Jeremi. – Ja osobiście już się przyzwyczailem do myśli, że będzie tu mydlarnia. Te wyroby są po prostu urocze. A ty, co uważasz, kochanie?

Wszyscy spojrzeli na Martę, która przez dłuższą chwilę się nie odzywała, a potem pokręciła głową.

– A mnie nie podoba się żaden z tych pomysłów. Mydlarnia jest wstrętna, natomiast restauracja... Nie wyobrażam sobie hałasu, jaki tu zapanuje, gdy klientela zacznie się schodzić na te swoje późne kolacyjki. Nie będziemy mieć ani jednego spokojnego wieczoru! Podwórko zajmą stoliki i nie będzie się dało przejść. Kamienica stanie się własnością restauracji i jej gości. Absolutnie wykluczone.

– Ależ, pani Marto, tak nie będzie. – Jacek przestraszył się, że traci sojusznika. – Ja też nie życzę sobie żadnych hałasów we własnym domu. Należy mi się odpoczynek. To może być taki lunch-bar czynny wyłącznie do kolacji, zamykany po zmroku. Wszystko jest do uzgodnienia, naprawdę. Nie musimy nawet otwierać ogródka, jeżeli miałyby to pani przeszkadzać – kusił.

Olesińska nie wyglądała na przekonaną.

– Zawsze się tak mówi, a potem z miłego bistra robi się knajpa z piwem – wtrąciła się Ofelia.

Marta popatrzyła na nią czujnie i Jakubowska zrozumiała, że popełniła błąd. Teraz Olesińska zgodzi się na pomysł z restauracją choćby po to, żeby zrobić na złość Helenie i jej siostrze.

– Przysięgam, że nie powstanie tu żadna pijalnia piwa – zapewnił Nowacki, widząc, że szala zwycięstwa znów przechyla się na jego stronę.

Marta kiwnęła głową.

– Na pewno nie chcę tu absurdalnej wytwórni mydła. Niebezpiecznej i dziwacznej. Co do pańskiego pomysłu muszę się jeszcze zastanowić – powiedziała łaskawie.

Tym razem nie spodobało się to Zuzannie.

– Nie rozumiem, dlaczego pani Olesińska ma decydować o przyszłości tego lokalu. Jest jeszcze pani Klara Pieniążkiewicz, ona też chyba powinna móc się wypowiedzieć, prawda? Ja jestem za mydlarnią, panie Werde także, więc i tak jesteśmy w przewadze.

– One mają tylko dwa głosy. Formalnie głównymi lokatorkami obu mieszkań są Sylwia Werde i Ofelia Jakubowska – warknął Nowacki. – Pani też nie powinna się mieszać, bo o wszystkim decyduje pani ojciec.

– Ojczym – poprawiła odruchowo Zuza. – Edmund na pewno mnie poprze.

– To się jeszcze okaże – sarkastycznie stwierdził Jacek.

– Wiele rzeczy się jeszcze może okazać – odezwał się cichy głos od strony drzwi.

Wszyscy odwrócili się w tamtym kierunku. Na progu pracowni stała Klara Pieniążkiewicz w ciemnej sukni i futrzanej etoli.

– Dzień dobry pani Klaro. – Helena westchnęła ciężko, przygnębiona wszystkim, co zaszło. Popołudnie niespodziewanie zamieniało się w jej klęskę.

– Dziękuję za zaproszenie. – Starsza pani skinęła lekko głową niczym gwiazda pojawiająca się na scenie w odpowiednim momencie. – Początkowo nie zamierzałam przychodzić, ale potem doszłam do wniosku, że zobaczę, co pani Werde zamierza robić w tej dawnej pralni.

Weszła do środka i rozejrzała się po wnętrzu, a potem podeszła do sosnowego regału i dłonią obleczoną w rękawiczkę delikatnie musnęła mydlane kostki.

– Ładne – oceniła. – Eleganckie.

– Moja restauracja też będzie elegancka – burknął Nowacki.

Klara Pieniążkiewicz odwróciła się w jego kierunku i zmierzyła go wzrokiem.

– Możliwe, nie przeczę. Nie wolno jednak panu forsować swoich pomysłów za wszelką cenę. I odbierać innym ich marzeń. Pani Helena włożyła już sporo pracy w to miejsce, urzeczywistniła swój sen. Pan chce zniweczyć jej zamiary, bo ma pan taki kaprys, plan, który zrodził się na oczekaniu.

– Wcale nie – zaprotestował Jacek.

– Niech pan będzie uczciwy choć wobec siebie – przestrzegła go Klara. – Niszczy pan coś ładnego tylko dlatego, żeby pańskie było na wierzchu. Musi pan wygrać.

– To insynuacje – rzucił Nowacki.

Klara powstrzymała go gestem dłoni.

– Proszę nic więcej nie mówić, bo mógłby pan tego później pożałować. I proszę to wszystko przemyśleć. Niedługo i tak czeka nas zapewne niezbyt przyjemna rozmowa na temat dalszej przyszłości kamienicy. Może więc te wszystkie dzisiejsze spory są bezprzedmiotowe i będziemy się jeszcze ich wstydzili?

Zebrani popatrzyli po sobie w milczeniu.

– Pani Klara ma rację, powinniśmy trzymać się razem – poparł sąsiadkę Olesiński.

– Ja tam nie dam się wyrzucić – mruknął Nowacki buntowniczo.

Helena spojrzała na niego spod oka. Nie ulegało wątpliwości, że chowa jakiegoś asa w rękawie. Nie wyskakiwałby dzisiaj z pomysłem restauracji, gdyby nie był pewny swego.

– Nie podoba mi się to wszystko – powiedziała do Zuzanny, gdy całe towarzystwo zaczęło powoli opuszczać mydlarnię. Ofelia postanowiła odprowadzić panią Pieniążkiewicz, a Miranda wciąż bawiła się z dziećmi na podwórku. Olesiński wraz z żoną pożegnali się pierwsi, zaraz za nimi wyszedł Jacek. Oczywiście było, że chce na osobności pomówić z Martą i próbować ją przekabacić.

– Nie martw się. Jeżeli dojdzie do głosowania, Nowacki przegra – oceniła Zuzanna. – Klara Pieniążkiewicz jest po naszej stronie, a Edmund robi to, o co go poproszę, nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości. Mamy zatem cztery głosy przeciwko ich dwóm.

– Jest jeszcze to puste mieszkanie na dole. Głos anonimowy, być może w gestii prawnika właściciela – medytowała głośno Helena.

- Nawet gdyby, to w dalszym ciągu daje cztery do trzech – uspokajała Lorenc.
- Pod warunkiem że Klara nie wstrzyma się na przykład od głosu, co przecież też jest możliwe. – Helena zmarszczyła nos. – Ona ma różne humory, raz jest z nią lepiej – tak jak dziś – a raz gorzej. Przecież nie powiedziała wyraźnie, że mnie poprze. Zresztą nad czym my się zastanawiamy? Notariusz właściciela może nam zakomunikować, że zamierza tu zrobić sklep z ptasimi piórami albo wytwórnię wody gazowanej i jaki będziemy mieli na to wpływ? Żaden.
- Widzę, że cię to wytrąciło z równowagi. – Zuza pokręciła głową, biorąc za rękę Basię, która podbiegła do niej ze śmiechem.
- Tak. Nie jestem pewna, czy to spotkanie w ogóle miało jakikolwiek sens.
- Oczywiście, że było potrzebne! Przynajmniej Nowacki odkrył karty.
Helena pokiwała głową. Lorenc dotknęła jej ramienia.
- Nie zamartwiaj się. Wszystko będzie dobrze. Twoja cudowna mydlarnia okaże się wielkim sukcesem, zobaczysz. Na razie zapraszam na ciasto czekoladowe, specjalnie upiekłam.
- Tak mi mów. Tego mi trzeba – mruknęła sąsiadka. – Gdzie jest Miranda, ten łasuch?
- Nie widzisz? Stoi przy bramie z Jasiem, chyba oglądają sople. Może Ofelia też da się namówić na kawę?
- Przypuszczam, że wątpię – jak piszą w żartach rysunkowych w gazetach. Pokłóciłyśmy się okropnie o to dzisiejsze spotkanie. Wszystko ci później opowiem. Teraz chodźmy już stąd.

[6] *Un bistrot* (fr.) – bistro; niewielka, zwykle niedroga restauracja.

[7] *Le petit-déjeuner* (fr.) – śniadanie.

[8] *Le souper* (fr.) – późna kolacja.

12.



Utarło się tak, że gdy tylko miały wolne przedpołudnia, schodziły się do Zuzanny, a właściwie do mieszkania Heleny, na koncert. Olesińscy byli już dawno w pracy, Nowacki także wyjeżdżał o tej porze pilnować swoich rozlicznych biznesów, nawet Ofelia – choć w jej przypadku zapewne z przykrością – przebywała w biurze. Miranda przyprowadzała Sylwię, którą sadowiły wygodnie w starym pluszowym fotelu Feli, i Zuzanna zaczynała grać. Dzieci bawiły się w swoim kojcu, zajęte różnymi układankami, a Miranda, uwielbiająca po prostu bliźnięta, doglądała je chętnie, gdy matka była zajęta koncertem.

– Że też jesteśmy takie szczęśliwe w tym babinie – ironizowała Helena.

– Może właśnie dlatego? – zadumała się zupełnie na serio Miranda.

– Ja to mówiłam z ironią – sprzeciwiła się ciotka. – Przyznaję jednak, że coś w tym jest.

Według antropologii nasza rodzina ma charakter matrycentryczny, czyli jej ośrodkiem jest kobieta, matka. Gwoli ciekawostki dodam, że takie rodziny były normą w Ameryce podczas drugiej wojny światowej, gdy mężczyźni walczyli na froncie. Być może to właśnie zaowocowało pojawieniem się ruchów hippisowskich w latach sześćdziesiątych. Propagowanie pokoju, wolności, także seksualnej, to wynik wychowania w środowisku kobiecym, moje drogie.

– Bardzo mi się to podoba – orzekła Zuzanna, z czułością spoglądając na swoje maluchy.

– Żaden tam matriarchat, tylko środowisko kobiece.

– Jeżeli już o tym mowa, nauka nie potwierdza też o matriarchacie – sprostowała Helena.

– Wygląda na to, że taki ustrój społeczny nie istniał, może w jakichś śladowych elementach związanych z kultem kobiecych bogiń.

– Szkoda – stwierdziła Miranda. – U nas panuje matriarchat. Możemy to nadrobić.

– Nie matriarchat, a matrylinearny system pokrewieństwa – pouczyła ją ciotka. – Bądź precyzyjna.

– Nie podoba mi się to określenie. Brzydko brzmi i jest zbyt skomplikowane – upierała się Jakubowska.

Ktoś zastukał dyskretnie do drzwi. Zuzanna otworzyła. Na klatce, ku jej wielkiemu zaskoczeniu, zobaczyła Klarę Pieniążkiewicz. Starsza pani ubrana była w jedną ze swoich wyjściowych sukien, na którą narzuciła piękny jedwabny szal.

– Dzień dobry. Nie chciałabym przeszkadzać, ale przyszedłam na koncert – powiedziała z prostotą.

Zuza po prostu odsunęła się, żeby wpuścić gościa, a potem pobiegła do Basi, która wzywała ją głośno. Dziewczynkę zainteresował ruch, jaki zrobił się w mieszkaniu. Jaś, którego charakter był bardziej flegmatyczny, wpatrzył się w starszą damę z ciekawością, a potem uniósł rączkę i powiedział:

– Pa, pa, pa! – Co w jego języku oznaczało przywitanie. Klara zrozumiała to jednak od razu.

– Przemile dzieci. Jakie grzeczne. Dzień dobry chłopczyku i ty śliczna dziewczynko.

Lorenc pogładziła córeczkę po głowie, a potem uniosła ją na ręce, żeby mogła lepiej wszystkich zobaczyć. Ponieważ i Jaś domagał się tego samego, po chwili wyjęła z kojca również jego. Bliźnięta wydawały się być zachwycone gośćmi.

– Zapraszamy, pani Klaro. – Sylwia uniosła się z fotela. – Mirando, przynieście z Heleną drugi fotel od nas z mieszkania.

– Nie trzeba, mogę usiąść na krześle. – Sąsiadka powstrzymała je gestem dłoni.

– Nie ma mowy. Idźcie po fotel – rozkazała pani Werde córce i wnuczce.

– Przyniosłam szampana. – Pieniążkiewicz zwróciła się do Sylwii. – Uważam, że nic tak nie wzbogaca koncertu jak lampka dobrego trunku.

– Klaro, przecież nie ma jeszcze południa! – zdumiała się starsza pani Werde. – Mamy pić alkohol o tej porze?

– A co to ma do rzeczy? – Wzruszyła ramionami dystygowana sąsiadka. – Nie jest ważna pora, istotne są okoliczności. Moim zdaniem w tej sytuacji szampan jest wręcz wskazany, jeżeli nie konieczny.

Wydobyła z torby butelkę i postawiła ją na stole. Był to dobry i drogi trunek. Zuzanna poczuła się wyróżniona. Z mieszkania naprzeciwko powróciły dziewczyny z fotelem i ustawiły go na wprost fortepianu.

– Tak będzie dobrze? – upewniła się Helena.

– Wyśmienicie. – Klara podziękowała skinieniem głowy.

– Czy to szampan? – zdumiała się z kolei Miranda.

– Owszem, Klara go przyniosła. Uważa, że bardzo pasuje do muzyki – wyjaśniła jej babcia.

– O tak, do rosyjskich kompozytorów jak najbardziej. Już się boję, co pani przyniesie, gdy Zuzanna zacznie nam grać Beethovena – zażartowała Helena, a Klara obrzuciła ją pobłażliwym wzrokiem. Młodsza pani Werde zmieszała się i wyszła do kuchni, bo pianistka nie miała pojęcia, gdzie jest pochowane szkło.

– Pobawię się z dziećmi, nie chcę, żeby się znudziły – zadeklarowała się Miranda. – A za szampana dziękuję, bo idę zaraz do pracy.

– Ja także, zresztą to nie sprzyja graniu. – Roześmiała się Zuza. – Choć przyznam, że pomysł jest bardzo stylowy.

– Zatem tylko my trzy wzniesiemy za panią toast. – Uśmiechnęła się pani Pieniążkiewicz.

Gdy Lorenc zaczęła grać, wszystkie znalazły się jakby w innym świecie. Było coś niesamowitego w tym domowym recitalu. Słuchaczki miały świadomość łączącej je tajemnicy.

Wiedziały, że Olesińscy i Jacek są niechętni muzyce. Koncert stał się więc rodzajem domowej konspiracji, sekretem znanym tylko wąskiemu gronu wtajemniczonych.

– Czuję się zupełnie niezwykle – przyznała Sylwia, gdy skończyły oklaskiwać wykonanie. – Mistyczne doświadczenie.

– To prawda – potwierdziła Klara. – Jest w tym coś niedostępnego innym, co nas łączy, jakaś wspólnota...

– Kochamy muzykę – oceniła Sylwia.

– Nie tylko to. – Pani Pieniążkiewicz pokręciła głową. – Mam wrażenie, że w dzisiejszych czasach, gdy wszystko toczy się tak szybko, a ludzie żyją w pośpiechu, nikt nie znajduje czasu na chwilę refleksji. Te momenty gry pani Zuzanny są dla mnie właśnie takim przerywnikiem, czymś, co dzieje się poza czasem. O ile mnie rozumiecie, oczywiście. Jestem wam za to bardzo wdzięczna!

– Dziwaczka – stwierdziła Helena, gdy Klara już się pożegnała.

– Możliwe, ale bardzo sympatyczna – nie zgodziła się Zuza.

– Nie mówię, że nie budzi sympatii – sprostowała Helena. – Po prostu zawsze mnie nieco niepokoiła. Jest taka – bo ja wiem? Nawiedzona?

– Córeczko... – upomniała ją Sylwia. – Masz nieznośny zwyczaj oceniania ludzi po pozorach.

– Ja? Po pozorach? Mamo, chyba jednak się mylisz! Znam panią Pieniążkiewicz od dzieciństwa. Zawsze odnosiłam wrażenie, że obserwuje nas ukradkiem zza firanek. Nie wtrąca się, nikogo nie upomina, co najwyżej udzieli rady, ale jest się przekonany, że o wszystkim wie i wszystko widzi...

– Czy ty przypadkiem nie przesadzasz? – Jej matka wzruszyła ramionami. – Ja także znam Klarę od długiego czasu – dodała. – To bardzo nieszczęśliwa osoba. Wiele przeszła podczas wojny, te przeżycia całkowicie ją załamały, zmieniły. Zamknęła się w sobie, odizolowała od ludzi. Ona tak żyje od wielu lat. Samotna, w pewien sposób opuszczona, ale nie szuka z nikim kontaktu.

– To smutne – włączyła się Miranda. Oddała Jasia Zuzannie, a Basię posadziła sobie na kolanach. Dziewczynka zainteresowała się jej długimi lokami i zaczęła wyciągać do nich ręce.

Sylwia skinęła głową.

– Dla ludzi z twojego pokolenia na pewno. Tylko że po wojnie i trochę później było wiele osób pokroju Klary. Przeżyły swoje osobiste piekło i powszechny dramat wojny. Nie każdy potrafi się otrząsnąć po czymś takim. Teraz rówieśnicy naszej sąsiadki odchodzą. Dzisiejszemu światu trudno jest zrozumieć ich problemy i rozterki. Przykłada się współczesną miarę do spraw, których nie można tak oceniać. Myślę, że kogoś takiego, jak Klara, trzeba po prostu zostawić w spokoju. Musi donieść swoją historię do końca, dojść do kresu i zabrać ją ze sobą. Być może nie licząc już na niczyje zrozumienie...

– Bardzo przykre jest to, o czym pani mówi – stwierdziła Zuza. – Oznaczałoby, że nie potrafimy się wykazać żadną wrażliwością, empatią. Rozumiem, że nie żyliśmy w czasie wojny, nie baliśmy się bezpośrednio o życie własne czy bliskich. No ale chyba potrafimy sobie wyobrazić uczucia tamtych ludzi?

Sylwia spojrzała na nią z sympatią.

– Oczywiście, tego nikomu nie odmawiam. Bardziej chodzi mi jednak o ocenę pewnych faktów. Proszę mi wybaczyć, bo nie mówię tego do pani, ale młode osoby często wartościują bardzo ostro: „nie wolno było tak postąpić”, „nie miał prawa”, „oszukał”... Ta bezkompromisowość może czasami ranić, zwłaszcza kogoś, kto doświadczył takich krzywd, jak pani Pieniążkiewicz. Od końca wojny upłynęło wiele czasu, urodziły się już trzy pokolenia, które

jej nie pamiętają. Znakomicie, że mogą żyć w pokoju. Ale to nieco stępnia naszą wrażliwość na ludzi takich ona i ich ból – obcy i poniekąd niezrozumiały...

Młode kobiety w milczeniu spoglądały na siebie z pewnym zaciekawieniem. Zuzanna nie do końca zgadzała się ze słowami Sylwii, nie postrzegając ani siebie, ani swego pokolenia w ten sposób. Uznała jednak, że nie ma sensu na ten temat dyskutować.

Helena wzruszyła ramionami.

– Mamo, z całym szacunkiem, ale prezentujesz jakieś archaiczne podejście. Zupełnie jakby Klara Pieniążkiewicz była wymierającym gatunkiem, który powinniśmy chronić na szczególnych zasadach. Przecież nikt nie zamierza robić jej przykrości.

– Ona jest wymierającym gatunkiem – podkreśliła seniorka rodu. – Takich ludzi po prostu już nie ma albo jest ich coraz mniej. I nikt ich już tak naprawdę nie rozumie. Kiedy z tobą rozmawiam, dobitnie się o tym przekonuję.

Helena skrzywiła się, ale miała dosyć oleju w głowie, żeby nie spierać się z rozdrażnioną matką. Zuzanna zauważyła bowiem, że ta wymiana zdań o pani Pieniążkiewicz bardzo Sylwię poruszyła. Starsza sąsiadka musiała być jej w pewien sposób bliska, a być może po prostu znała jakąś tajemnicę z jej przeszłości?

To wszystko były jednak tylko domysły.

Panie pożegnały się. Miranda powinna była szykować się do pracy, a Helena zamierzała załatwić kilka spraw na mieście. Zuzanna także niedługo musiała wyjść. Zaczynała zajęcia w żłobku i musiała tam jeszcze zaprowadzić Jasia i Basię.

Po drodze do placówki wpadli na górę, aby zobaczyć, jak postępują prace remontowe.

Ekipa Edmunda uwijała się jak w ukropie. Zuza ze zdumieniem zauważyła, że zakres prac znacznie wykroczył poza wcześniejsze plany.

Zagadnęła o to Rafała.

– Nie wymieniamy okien, jeżeli o to ci chodzi – usprawiedliwił się. – Ale po drodze wyszło wiele różnych rzeczy, zwyczajnie, jak to w przypadku remontu. Popatrz chociażby tutaj.

Zaprowadził ją do niewielkiego składziku, z którego początkowo chciała zrobić sypialnię. Było to małe pomieszczenie przylegające do pokoju bliźniąt, o niezbyt fortunnym kształcie, z dużym skosem dachu.

– Miałem dzisiaj do ciebie zajść, żeby cię zaprosić na oglądanie tej niespodzianki – ciągnął, otwierając drzwi składziku.

Gdy Lorenc przestąpiła próg, po prostu nie mogła nadziwić się zmianie. Pomieszczenie było znacznie większe, niż to, które zapamiętała, wzbogaciło się też o półokrągłe okno z wykrzywioną futryną.

– Co to jest? – zdumiała się.

– Ano właśnie. Zagadka – westchnął Grudziński. – Od początku plany mi się nie zgadzały, obliczenia nie wychodziły tak, jak powinny, bo ta ściana ewidentnie była za krótka. Nigdzie też w twoim mieszkaniu nie dostrzegłem takiego okna. Ale obejrzałem sobie kamienicę z zewnątrz i w bryle budynku okno jest jak najbardziej. Zaczęliśmy badać ten lamusik i proszę bardzo – znalazła się ruchoma deska umożliwiająca przejście do drugiego małego pomieszczenia z tym właśnie okienkiem. Rozwaliliśmy tę ścianę i teraz możesz tu mieć coś w rodzaju małej sypialni. Tylko okno trzeba bezwzględnie wymienić.

– Tajne pomieszczenie? – Nie pojmowała Zuzanna. – Ale po co? Czy to mogło mieć związek z pracą Edmunda w „Solidarności”? Chowali tu ulotki?

– Otóż nie. Od razu tak pomyślałem i zadzwoniłem do niego. Eddie w ogóle nie ma pojęcia o tym pokoju. Twierdzi, że maszynę drukarską trzymali w piwnicy, a ulotki w skrytkach w poszyciu dachu. Mówił, że gdyby wiedział o jakimś sekretnym pokoju, na pewno by z niego

korzystał.

– Dziwne – stwierdziła Lorenc. – Zdaje się, że ten dom kryje w sobie więcej tajemnic, niż przypuszczamy.

– Na to wygląda. – Roześmiał się Rafał.

– Żał go będzie opuszczać, gdy znajdzie się właściciel i wszystkich wywali – dodała, trzymając mocno za ręce Jasia i Basię. Dzieci, które czuły się coraz pewniej na własnych nogach, wrywały się, aby pobiegać po mieszkaniu. Ponieważ wciąż trwał remont i wszędzie było pełno niebezpiecznych narzędzi, musiała bardzo na nie uważać.

Grudziński spojrział na nią zaskoczony.

– Skąd te czarne myśli? Przecież nic jeszcze nie wiadomo, prawda?

– Podskórnie czuję, że wyniknie z tego jakaś bieda – wyznała. – Ten sen jest zbyt piękny, żeby mógł długo trwać...

– Przesadzasz – mruknął współnik ojczyma. – Na razie jeszcze nic złego się nie wydarzyło, a ty lamentujesz. Nie lubię takiej postawy, szczerze mówiąc. Drażni mnie.

– O, proszę, ale wrażliwy – oburzyła się dziewczyna. – Bardzo przepraszam, że psuję twój dobry nastrój, ale naprawdę lada chwila mogę dużo stracić. I to nie tylko ja jedna, jak sądzę, ale wszyscy sąsiedzi się tego obawiają...

– Właśnie. Wy się wyłącznie boicie i na tym polega problem. Czy chociaż próbowaliście wypracować jakiś wspólny front? Ta sprawa dotyczy was wszystkich i zachodzę w głowę, czemu jeszcze nie główkujecie nad strategią.

– Nad jaką znowu strategią? Sam twierdzisz, że nic się nie stanie.

– No właśnie. To jest przykład niekonsekwencji. Boicie się, że was wyrzucą, ale nic nie robicie, bo w głębi duszy łudzicie się, że do najgorszego nie dojdzie. Wiesz, Zuza, jest takie powiedzenie, że w życiu trzeba być przygotowanym na najczarniejszy scenariusz, bo wtedy każda pozytywna zmiana będzie miłym zaskoczeniem.

– I kto tu ma negatywne myśli? – mruknęła pianistka. – To ty jesteś niekonsekwentny.

– Wcale nie. Po prostu nie podoba mi się, że narzekasz, ale nic z tym nie robisz. Biernie czekasz, co przyniesie ci los.

– O rany, a co ja niby mam robić? – rozłościła się. – Nic nie wiemy nie tylko o domniemanym spadkobiercy, ale nawet o tym prawniku...

– A próbowaliście się czegoś dowiedzieć? Skoro jest prawnik, to musi mieć jakąś kancelarię. Po nitce do kłębka na pewno można coś wyniuhać. Choćby sprawdzić, w jakich sprawach się specjalizują. Rusz głową, dziewczyno, a nie jęcz jak stara baba!

Zuzanna musiała przyznać, że w tym, co mówił, było jednak sporo racji. Na dobrą sprawę chyba tylko Nowacki cokolwiek przedsięwziął w kwestii spotkania z notariuszem. Coś mówił Helenie o swoim własnym prawniku i że ma opracowany jakiś plan. Reszta lokatorów wciąż poruszała się jak we mgle.

Rafał ma słuszość – medytowała Lorenc, gdy po zakończonych lekcjach wracała z dziećmi do domu. Jaś był zmęczony i trochę marudził, Basia odwrotnie – wciąż chciała się bawić.

Trzeba porozmawiać z dziewczynami – doszła do wniosku, mając na myśli Helenę i Mirandę.

Tę ostatnią zastała akurat w domu, zaś jej ciotka przebywała w pracowni.

– Musimy pogadać – rzuciła Mirandzie przez drzwi Zuzanna.

Sąsiadka skinęła głową.

– Przygotuję babci podwieczorek i zaraz przyjdę, dobrze?

– Świetnie. A mogłabyś zawiadomić Helenę?

- Ale co się dzieje? – zaniepokoiła się Miranda.
- Na razie nic. Po prostu chciałam się z wami naradzić.

Jakubowska skinęła głową i wycofała się w głąb mieszkania.

Zuzanna rozebrała dzieci, umyła im ręce, a potem zajęła się przygotowywaniem herbatki i jakichś przekąsek. „Kwiatowe Królestwo” naprawdę dobrze dbało o jej bliźnięta, dzieci wyglądały na bardzo zadowolone po dniu spędzonym z rówieśnikami.

Właścicielka żłobka także wydawała się być zachwycona pracą Zuzy, która z własnej inicjatywy przygotowała sporo gier i zabaw umuzykalniających dla maluchów. One też od pierwszej chwili polubiły te zajęcia. Pojawiała się nawet propozycja, żeby zostawiała bliźnięta w żłobku na dłużej.

– Nie mogę korzystać z pani pracy bez żadnego rewanżu – stwierdziła Justyna Okorowicz. – W przyszłym kwartale, jak rozliczę opłaty, przyjmę panią za wynagrodzeniem, a teraz może dzieci chciałyby zostawać u nas dłużej?

Pomysł nie wydawał się młodej matce zły. Liczba godzin w szkole Soni w perspektywie kolejnych miesięcy także mogła się zwiększyć, bo każdego dnia przybywało uczniów. Przygotowanie do zajęć zabierało czas, więc gdyby Jaś i Basia mieli zapewnioną opiekę, ona mogłaby szybciej zaplanować lekcje i przygotować materiały edukacyjne.

To było naprawdę niezłe rozwiązanie. Podziękowała Okorowicz i zdecydowała się przyprowadzać dzieci do żłobka każdego dnia. Wyżywienie było znakomite, a opieka nie pozostawiała nic do życzenia. Dzieci wyraźnie korzystały na towarzystwie – zrobiły się śmiałe i otwarte na innych.

Gdy tak dumiała, rozległo się pukanie do drzwi. To musiała być Miranda, bo ona nigdy nie dzwoniła, tylko delikatnie uderzała w drzwi palcami, jakby wystukując jakąś melodię.

– Wchodźcie – zawołała Zuza, bo ręce miała zajęte karmieniem Basi i nie mogła sama otworzyć.

Dziewczyny weszły.

Młodsza z nich od razu zaczęła przemawiać do Jasia, który zmęczony zabawami w „Królestwie Kwiatów” szukał raczej okazji do drzemki niż posiłku. Na widok sąsiadki od razu się jednak ożywił, a Lorenc nabrała nadziei, że uda się chłopcu wcisnąć choć kilka łyżek podwieczorku.

– Co się stało? Miranda przybiegła po mnie w takiej panice...

– Wcale nie! – Siostrzenica Heleny od razu zamachała rękami. – Mówiłam tylko, że sprawa wygląda na ważną.

– Mam nadzieję, bo właśnie wyciągałam z foremek mydła z motywem orientalnym. Wiecie: zapachy mirry i kadzidła oraz bizantyjskie ornamenty na wierzchu. Pracowałam nad nimi cały wczorajszy dzień – to ma być hit na otwarcie sklepu. O ile się to w ogóle uda – westchnęła Werde. – W innym przypadku będziemy miały zapasy mydła dla całej ulicy na pięć najbliższych lat.

– No właśnie, ja poniekąd w tej sprawie. To znaczy nie chodzi mi o zapasy mydła – zastrzegła Zuza. – Idzie o nasz dom.

– Wiesz coś? – Helena się zaniepokoiła.

Sąsiadka zaprzeczyła ruchem głowy.

– Nie wydaje się wam, że zbyt łatwo odpuściłyśmy? Siedzimy z założonymi rękami i czekamy na to spotkanie u notariusza jak na jakiś wyrok boski. Może powinnyśmy same trochę zainteresować się tematem?

– Co masz na myśli? – Nie rozumiała Miranda.

– Poczekaj. – Ciotka powstrzymała ją ruchem dłoni. – Ona ma rację. Sama o tym

myślałam. Jak nazywa się ten prawnik? Pamiętacie?

Miranda zaprzeczyła, a Zuza wysiliła pamięć.

– Zawilski chyba...

– Zgadza się. Uważam, że trzeba się czegoś o nim dowiedzieć. Sprawdzałaś w internecie?

– Helena rzuciła okiem na komputer Lorenc stojący przy oknie na biurku.

– Nie...

– No to jazda. Miranda zabieraj się do tego, ty jesteś dobra w wirtualnych przeszpiegach.

– Ja? Dlaczego ja? – protestowała siostrzenica, ale posłusznie uruchomiła komputer, przeglądarkę i po chwili ze zmarszczonymi brwiami zaczęła przeglądać wyniki.

– Dziwne...

– Co takiego? – zainteresowała się Helena.

– To jest jakaś maleńka kancelaria, nawet strony internetowej nie ma, tylko wizytówkę.

Na pewno nie jest to żadna znana prawnicza firma obsługująca wielkie biznesy, a już na pewno wśród ich klientów nie ma deweloperów.

– Skąd wiesz? – powątpiewała Zuzanna.

– Bo takie kancelarie mają profesjonalnie przygotowane, wypasione strony z mnóstwem zdjęć i opisów, jacy to są skuteczni. A tu nic. I adres na dodatek w starej kamienicy. Pewnie facet prowadzi biuro w domu.

– To musi być zatem jakiś starszy jegomość – oceniła Helena. – Teraz już nikt tak nie robi. Kiedyś prawnicy czy lekarze chętnie otwierali gabinety we własnych domach, jak na przykład ojciec Balbiny, pediatra. Obecnie nikt nie chce, żeby go nachodzić po godzinach. To zrozumiałe.

– Może wcale nie jest to jego mieszkanie, a tylko wynajmuje – sprzeciwiła się Zuza. – Kancelarie często mieszczą się w prywatnych mieszkaniach. Pokaż ten adres.

– Pod Wawelem, na Podzamczu.

– No proszę, jaka prestiżowa lokalizacja – mruknęła Helena. – Ja się będę trzymała mojej wersji. To jest starszy człowiek, który prowadzi firmę w domu.

– Tylko co z tego wynika dla nas? – głowiła się Miranda.

– Możemy do niego pójść jeszcze przed tym ogólnym spotkaniem ze wszystkimi mieszkańcami i dowiedzieć się co nieco – zaproponowała ciotka.

Zuza nie była przekonana.

– I co nam powie? „Proszę poczekać do oficjalnego spotkania, wtedy wszystko wyjaśnię”. Nie, to żadna metoda. Trzeba się czegoś dowiedzieć o tej kancelarii. Jakich ma klientów, czym się zajmuje, kogo obsługuje. Jeżeli to niewielka działalność, to istnieje szansa, że... – Lorenc zawiesiła głos i wpatrzyła się w sąsiadki z napięciem.

– Że co? – popędziła ją Miranda.

– Może po prostu ten notariusz jest znajomym naszego spadkobiercy, jeżeli rzeczywiście o to chodzi...

– Przyjmijmy, że mówimy jednak o spadku i kimś, kto chce przejąć kamienicę – przerwała jej Helena. – Tak będzie najwygodniej, bo to właśnie jest opcja, która wszystkim nam spędza sen z powiek. Nie jestem pewna, czy fakt, że prawnik może być znajomym nowego właściciela naszego domu, jest taki dobry...

– Dlaczego? – Tym razem wtrąciła się Zuzanna. – To by mogło oznaczać, że spadkobierca niezbyt dobrze orientuje się w tej materii i woli zlecić sprawę komuś zaufanemu, nawet jeśli jest to starszy człowiek, być może notariusz na emeryturze lub prowadzący niewiele spraw. To by mogło sugerować, że nie chodzi o błyskawiczne wywłaszczenie, brutalne wyrzucenie z domu. Może będą się chcieli jakoś dogadać?

– Niby jak? Fakt, że zatrudnił starszego prawnika, co zresztą wcale nie jest pewne, bo to tylko nasze domysły, nic nie znaczy. Maleńka kancelaria też może nas wywalić bez słowa wyjaśnienia!

– Owszem. Ale czy nie odnosisz wrażenia, że gdyby to była jakaś mechaniczna transakcja, jedna z wielu, nastawiona na szybki zysk, to powierzyłby zadanie sprawnej i bezkompromisowej korporacji?

– Pojedyncza osoba też może być sprawna i bezwzględna – sprzeciwiła się Miranda. – Wiem, do czego zmierzasz, Zuziu. Próbujesz znaleźć dobre strony w tym całym nieszczęściu. Wydaje ci się, że jak ktoś jest starszy, prowadzi interes we własnym domu, to od razu będzie miał miękkie serce. A niby dlaczego? Bo żał mu pieniędzy na wynajęcie biura? Wolne żarty. To akurat nie jest argument.

Lorenc nie bardzo wiedziała, co na to odpowiedzieć. Dzieci zjadły wszystko i wypily herbatkę, więc wyjęła je z krzesełek. Basia chciała jeszcze się zająć swoimi pluszakami, natomiast Jaś, korzystając z pomocy matki, wdrapał się na kanapę.

– A ja uważam, że Zuza prawidłowo kombinuje – perorowała w międzyczasie Helena. To, czego się dowiedziałyśmy, dobrze wróży. Spróbuję popytać o tego Zawilskiego wśród znajomych. Szarotka uświadomił mi ostatnio, że jeden z naszych wspólnych kolegów jest prokuratorem. W życiu bym o to Mierczyńskiego nie podejrzewała, ale mnie się różne rzeczy w głowie nie mieszczą, a – jak widać – są możliwe.

– Fakt, nieustannie mylisz się co do ludzi – wtrąciła Miranda. – O Szarockim też mówiłaś, że durny, a to całkiem fajny facet.

– Słuchaj, Mira, wyobraź sobie, że masz czternaście czy piętnaście lat, a gość ciągle gra w hokeja albo w piłkę i nie potrafi sklecić kilku sensownych zdań. To chyba oczywiste, iż nie uważasz go za gejer intelektu?

– No dobra. Sama znam kilku takich z mojej szkoły. Ciekawe, czy też się tak zmienia?

– Może się wyrobią. Szarotka został znanym naukowcem, a Mierczyński – prokuratorem. Andrzej Mierczyński, ten sam, który wyrzucił kościotrupa przez okno w sali biologicznej. Owszem, to był stary kościotrup i nikt go nie żałował, ale przecież ktoś mógł dostać przez niego zawału.

– Lepiej mu nie wypominaj tego kościotrupa, kiedy będziesz z nim rozmawiała – przestrzegła Miranda. – Ty masz różne dziwne pomysły, a takiego prokuratora to wspomnienie może nastawić niezbyt przychylnie.

– Niby dlaczego? Prokurator kościotrupy ma zapewne na porządku dziennym. Ja to się zastanawiam, czy Andrzej nie poszedł w tym kierunku z sentymentu do tamtego szkieletu ze szkolnej pracowni.

– Szkoda że *Taniec szkieletów* Camille’a Saint-Saënsa nie jest utworem na fortepian, bo bym zagrała go jako ilustrację tej rozmowy. – Roześmiała się Zuza, gładząc Jasia po plecach. Basia natomiast chciała, aby podrzucać ją na kolanie i wyraźnie się tego domagała, wołając „patataj!”.

– A co to za gatunek muzyczny? – Miranda powróciła do tematu rozmowy.

– Poemat symfoniczny. Głównie na ksylofon, skrzypce i obój. A już sobie to wyobrażałam... Muzyka doskonale zobrazowałaby nam wypadek z prokuratorem.

– Przyszłym prokuratorem – poprawiła Helena. – Jeżeli wszystko już omówiliśmy, wracam do moich mydeł. Obawiam się, że stwardniały mi na kamień.

– To chyba dobrze? – zainteresowała się Zuzanna, podnosząc Jasia z kanapy. Dzieci należało położyć wcześniej spać, miały dzień pełny wrażeń.

– Nie na tym etapie. Miranda przerwała mi w kluczowym momencie produkcji. Ale

trudno, najwyżej zrobię od nowa. Mydło na szczęście nie wybucha, mimo że Marta mówi coś zupełnie przeciwnego.

13.

– Mierczyński nic nie wie o tym twoim prawniku. To znaczy nic strasznego – wyjaśnił przejętym głosem Mikołaj, gdy Helena zajrzała do niego po kilku dniach.

Wcześniej naświetliła mu całą sprawę przez telefon. Nie bardzo miała ochotę sama dzwonić do Andrzeja i znienacka odnawiać znajomość po wielu latach.

– Pomyśli, że jestem interesowna – dowodziła. – Nigdy się do niego nie odzywałam, nawet w szkole nie bardzo, a teraz zgrywam przyjaciółkę, bo chcę się czegoś dowiedzieć. Od razu uzna, że to jakaś nieczysta sprawa.

– Iskra, zlituj się – jęknął Mikołaj. – O co ty podejrzewasz Mierczyńskiego? Że bez przerwy analizuje każdy taki szczegół?

– Musi. Od tego jest prokuratorem. Na sali sądowej na pewno bierze przestępcę w krzyżowy ogień pytań i wyciska zeń prawdę.

– Tak. Chyba we śnie. Za dużo oglądasz amerykańskich seriali prawniczych. Dobrze, zadzwonię do niego i wyłożę mu, o co chodzi.

– Tylko delikatnie. Żeby nie odniósł wrażenia, że próbujemy wpłynąć na tego notariusza albo go zastraszyć.

– No, chyba nie macie takich zamiarów? – zaniepokoił się Szarotka. – Ten twój dziwny plan naprawdę zaczyna mi się wydawać podejrzany.

– Nie, nie mamy. Właśnie dlatego mówię, że trzeba działać ostrożnie. Żeby się czegoś nie domyślił...

– Czego ma się nie domyślić?

– A czy ja wiem? Po prostu się zastanawiam, czy takie zbieranie informacji ma sens. Może powinnam pójść po prostu do tego prawnika i spytać go, co się szykuje?

– Lepiej już pogadam z Andrzejem – ocenił Mikołaj. – To ma przynajmniej jakieś szanse powodzenia, natomiast wypytywanie notariusza jest raczej bez sensu.

– No więc widzisz. Nie ma wyjścia. Przesłuchaj prokuratora na okoliczność naszej sprawy.

– Żarty się ciebie trzymają. Powiedz lepiej, że się boisz, iż Mierczyński będzie się chciał umówić z tobą na kawę.

– Myślisz, że mógłby zrobić coś takiego? To on żony nie ma?

– Ostatnio nie miał...

– Przekonałeś mnie ostatecznie. Musisz sam to załatwić. Boję się Mierczyńskiego jako osoby urzędowej i jako cywila.

– Oj przestań, miły z niego chłopak.

– Rozumiem, że przeszło mu już rzucanie szkieletami, ale i tak odczuwam niepokój.

Mikołaj roześmiał się serdecznie.

– No tak, rzucanie szkieletami! To on ostatecznie wcielił w życie maksymę Juliusza Cezara: „kości zostały rzucone”.

– Dobrze, że nikt na tym nie ucierpiał.

– Wiesz, że kompletnie zapomniałem o tej historii? Mam wrażenie, że wiele wspomnień gdzieś mi umknęło. Chyba zbyt rzadko do nich wracam – zadumał się.

– Po prostu nie jesteś sentymentalny, jak każdy facet – ucięła Helena. – No to co? Zadzwoń do naszego Cezara z Dębnik i wypytasz go dyplomatycznie?

– Tak jest, szefowo, zrobi się – zameldował wesoło i rzeczywiście po kilku dniach zdał jej relację.

Helena nie była jednak usatysfakcjonowana, gdy wpadła do biura rady dzielnicy, zasięgnąć języka.

– Co ma znaczyć, że nie jest podejrzany? To chyba normalne, że nie jest? Prawnik wzbudzający zastrzeżenia prokuratury to by już był prawdziwy koniec świata!

– Chodzi o to, że Andrzej nie dopatrywał się w tej jego kancelarii niczego niezwykłego. Ot, starszy pan, który zajmuje się niewieloma sprawami – umowy sprzedaży, testamenty... Nie jest to absolutnie ani żadna wielka firma, ani jej przybudówka. Nie ma kontaktów z deweloperami, Andrzej nie znalazł też śladów po jakichkolwiek sprawach związanych z wywłaszczeniami czy, nie daj Boże, wywalaniem kogoś na bruk...

Helena spojrzała bystro na kolegę.

– Przyznaj się no, Szarotka. Wypaplałeś prokuratorowi co nieco? Tak?

Mikołaj westchnął ciężko.

– Iskra, proszę cię! Naprawdę nie mogłem inaczej. Myślałem, że to o mnie chodzi i strasznie chciał mi pomóc, bo zaczął przypuszczać, że ktoś mnie oszukał, na przykład ten prawnik. Musiałem mu uchylić rąbka tajemnicy...

– Powiedz mi szczerze: jak duży był ten rąbek? – spytała groźnie.

Szarocki najpierw kręcił się chwilę w swoim fotelu, potem błagalnie popatrzył w okno, jakby stamtąd spodziewał się ratunku, a gdy on nie nadszedł, wyznał wreszcie:

– Nie bardzo... W każdym razie starałem się mu nie wspomnieć, że chodzi o ciebie...

– Starałeś się? Czyli w końcu powiedziałaś? – przerwała Helena, a on skinął tylko głową.

– No to wspaniale! – Przeraziła się nie na żarty. – Pewnie zadawał tysiące pytań...

– Wcale nie. Chciał pomóc, jak już mówiłem. Bardzo się przejął. Wyjaśniłem mu ogólnie, czego się obawiacie. Sprawdzał więc tę kancelarię i wszystko jest z nią w porządku. Kazał ci też przekazać, że jest do dyspozycji, gdybyś uznała, że szykuje się jakieś przestępstwo.

– Przestępstwo? – Nie rozumiała Helena.

Mikołaj skinął głową.

– Andrzej najbardziej zainteresował się waszymi podejrzeniami, że ktoś chce przejąć tę

kamienicę. Prosił, żeby dać mu znać, jak się sprawy mają, bo to mogą być nielegalne działania. Oni teraz mają oko na takie sytuacje, żeby zapobiec ewentualnym nieprawidłowościom. Powtarzam ci, facet wcale nie jest taki zły. I gorąco cię pozdrawia.

– Jasne, chce sobie dzięki mnie poprawić statystyki kryminalne – mruknęła niezadowolona.

Mikołaj uśmiechnął się.

– Spójrz na to pozytywnie: zawsze dobrze mieć prokuratora po swojej stronie.

– Do momentu, w którym nie stwierdzi, że to ja robię coś nielegalnie, na przykład wpływam na tego notariusza czy próbuję straszyć jego klienta. Ale masz rację – niepotrzebnie na ciebie napadłam. Dobrze zrobiłeś, że powiedziałeś mi prawdę. W sumie nic w tym złego, że martwimy się o swoją przyszłość. To ta cała historia jest wysoce niejasna.

– On też tak uważa. Nie chciałem cię denerwować bez potrzeby, ale Andrzej wspomniał, że prowadzą teraz kilka podobnych spraw. – Szarocki skinął głową, łowiąc jej zaniepokojony wzrok. – Chodzi o jakieś nielegalne przejęcia domów. Mierczyński twierdzi, że na razie nie ma żadnych podstaw, by uważać, że u was jest podobnie, ale warto zachować ostrożność.

– Mikołaj, skoro zacząłeś, to gadaj do końca: co zaniepokoiło Andrzeja i jakiego typu sprawy mają?

Szarocki westchnął.

– Przecież to oczywiste, że konkretów nie mógł podać. Ale napomknął, że prowadzą śledztwa w sprawie nadużyć czy wyłudzeń... Prosił, żebyś natychmiast się z nim skontaktowała, jeżeli po rozmowie w kancelarii cokolwiek cię zaniepokoi. Oni się już temu przyjrzą.

Helena odetchnęła głęboko i skinęła głową.

– Dziękuję ci. To chyba była najlepsza decyzja. Teraz pomysł śledzenia tego prawnika mnie samej wydaje się idiotyczny, żeby nie powiedzieć desperacki.

– Tak. To dopiero mogłoby dziwnie wyglądać. Zdaniem Andrzeja obywatel zawsze ma prawo interesować się tym, co go bezpośrednio dotyczy, to żaden występki. Sprawa jest dziwna i choć na razie nic kryminalnego się nie dzieje, trzeba trzymać rękę na pulsie, tak to ujął.

– No więc dobrze. Będziemy trzymać tę rękę. Byleby nie była to dłoń szkieletu – zażartowała.

– Cieszę się. – Mikołaj się rozchmurzył i odetchnął z ulgą. – Ja też odnoszę wrażenie, że tak jest lepiej, ale bałem się, co ty o tym myślisz.

– Jestem chyba zbyt porywcza – przyznała.

– Jak zawsze – mruknął Szarotka. – Prędzej coś powiesz, niż pomyślisz, taka byłaś już w czasach szkolnych. Ale w tym twój urok – zastrzegł się, kiedy groźnie zmarszczyła brwi.

– Chcesz dać mi do zrozumienia, że zachowuję się jak dziecko?

– Wcale nie! Jesteś szczerą, a to rzadko spotykana cecha.

Westchnęła ciężko.

– Nie wiem, dlaczego się na ciebie złościę, masz przecież rację. Moja siostra ciągle mi to powtarza, nawet częściej niż mama. A Fela uważa, że jestem infantylna.

– Ja tak bym tego nie ujął, ale na pewno nie dorosłaś pod pewnymi względami – zaczął ostrożnie.

Podniosła głowę.

– Tak? Co masz na myśli?

– No... Choćby tę sytuację z notariuszem. Przypomina mi to intrygi, jakie snułyście z Sonią i Balbiną w szkole. Pamiętasz? Przebierałyście się, udawałyście kogoś innego... Wtedy to było zabawne, ale teraz – przyznaj, że nieco dziwne.

Helena zadumała się. Już prawie nie pamiętała tego, o czym wspomniał Szarocki.

W istocie jednak tak właśnie było. Razem z przyjaciółkami wpadały na różne szalone pomysły. Odgrywały rozmaite role, wyobrażały sobie, że są postaciami z książek czy filmów, aranżowały całe scenki.

Kiedyś na przykład bawiły się w kabaret w stylu lat dwudziestych. Na strychu, w pomieszczeniu przylegającym do pracowni profesora Stanisławskiego, urządziły atelier. Wśród suszącego się prania i jakichś starych gratów przechowywanych przez lokatorów, na połamanych krzesłach i zjedzonej przez mole kanapie paliły papierosy i piły koniak, który Balbina wykradła z barku ojca. Dolały potem do butelki wodę, żeby poziom płynu się zgadzał. Sonia aż dusiła się od dymu. Całą zabawę popsuła pani Pieniążkiewicz, wtedy dużo młodsza i sprawniejsza, która, zaniepokojona hałasami, przyszła sprawdzić, co się dzieje. Strasznie je wtedy skrzyczała, zarzucając im, że próbują puścić kamienicę z dymem.

Teraz ta historia wydawała się Werde zabawna, ale wtedy bała się nie na żarty. Pani Klara groziła, że powie o wszystkim matce, ale Helena chyba bardziej obawiała się wyrzutów starszej siostry, która sztorcowała ją przy każdej tego typu okazji słowami: „wpędzisz mamę do grobu” albo „zachowujesz się jak smarkacz”. Fela nigdy nie grzeszyła poczuciem humoru i już w młodości była sztywna i zasadnicza.

Werde westchnęła.

– No tak. Co racja, to racja. Lubiliśmy się wygłupiać. To jednak przeszłość. Nie zamierzam wracać do takich szalonych wybryków. Dobrze, że nie doszło do żadnej żenującej akcji. Mierczyński ma rację, skoro ogólnie dzieje się coś dziwnego, to i my musimy się pilnować. Choć nie powiem, żeby mnie to wszystko ucieszyło.

Mikołaj kiwnął głową.

– Rozumiem cię – przyznał. – Jakkolwiek zawsze wychodzę z założenia, że najgorsza prawda jest lepsza niż najpiękniejsze kłamstwo. Łatwiej się przed nią obronić – dodał ze śmiechem.

– Ładnie powiedziane – skomentowała. – Mam podobne zdanie. Nic mnie tak nie mierzi jak sekrety i skrywane kłamstwa. Myślę, że to musi być straszne, latami żyć w fałszu, nie uważasz?

– Na pewno. Co mi przypomina naszą drogą podopieczną, panią Mrowińską.

– No właśnie, co z nią? Miałam do niej wpaść w tym tygodniu, ale ciągle mi coś wypadło.

– Teraz będzie ci trudno... – Mikołaj poruszył się na krześle.

– Dlaczego? – Nie rozumiała.

– Nasza profesorka trafiła do szpitala. Byłam u niej przedwczoraj. Źle się poczuła, uznałam, że nie ma na co czekać i mimo jej sprzeciwów wezwałam karetkę.

– Naprawdę? Dlaczego mnie nie zawiadomiłeś? – oburzyła się Helena.

Szarocki pokręcił głową.

– Nie miałem czasu, wszystko bardzo szybko się działo.

– No, ale później. Mogłeś przecież zadzwonić. Zresztą, w porządku, nic się nie stało, ważne, że już wiem. Czy mogę jej jakoś pomóc? W którym szpitalu leży?

– Zabrali ją do uniwersyteckiego. Zrobią wszystkie badania, ona chyba od lat nie zajmowała się swoim zdrowiem. Uważam, że w sumie dobrze się złożyło.

– Co masz na myśli?

– Lekarz, który przyjechał, był bardzo życzliwy. Wytłumaczył pani Mrowińskiej, że musi o siebie zadbać. Chyba przemówił jej do rozsądku. Nabrała chęci, żeby samej sobie pomóc. Przestała nawet mieć do mnie pretensje, że się wtrącam w jej życie.

– Niemożliwe!

– Mówię ci, kolosalna zmiana. Po prostu niebo a ziemia. Złagodniała pod wpływem tego lekarza jak aniołek. Tłumaczył mi potem, że mają wielu takich pacjentów i muszą umieć z nimi postępować.

– Pewnie przechodzą specjalne kursy z poskramiania demonów.

– Na to wygląda, bo to jeszcze nie był koniec i właściwie o tym chciałem z tobą porozmawiać.

– No to mów! – zainteresowała się Helena, przechylając się w jego kierunku przez stół z wielką ciekawością.

– Sam nie mogłem w to uwierzyć i właściwie dalej jestem w szoku – zaczął Szarocki. – Pani Anna zgodziła się przeprowadzić większy remont w swoim domku. Stwierdziła, że chyba jednak nie umrze tak szybko, jak podejrzewała, zatem trzeba coś zrobić. Dała mi nawet pieniądze...

– Żartujesz...

– W żadnym wypadku. Powiedziała, że jestem fajtłapa, ale uczciwy i mam szukać w bielizniarce, tylko nikomu nie mówić. Zostawiła mi kluczyk. – Sięgnął do szuflady biurka i zademonstrował Helenie kluczyk. – Po powrocie ze szpitala zajrzałem tam. I co ty na to? W kopercie miała zachomikowaną znaczną sumę. Zabrałem to wszystko i schowałem w kasie pancерnej w urzędzie. Jeszcze ktoś by się włamał do tego domku i obrabował staruszkę...

– Bardzo słusznie zrobiłeś. – Pochwaliła koleżanka. – Co planujesz w sprawie tego remontu?

– Sam nie wiem. Przy okazji obejrzałem sobie ten domek. On jest, moim zdaniem, w bardzo kiepskim stanie technicznym. Zaczynam się zastanawiać, czy malowanie i uszczelnienie okien oraz wymiana pieca wystarczą. Może potrzebny będzie kapitalny remont? Chciałem się z tobą poradzić w tej sprawie. Chyba przydałaby się ekspertyza jakiegoś fachowca.

– Rada nie ma odpowiedniego człowieka?

Mikołaj pokręcił głową.

– Możemy kogoś wynająć, ale to oczywiście potrwa, no i wygeneruje dodatkowe koszty, nie wspominając już o stercie papierów. Zastanawiam się, czy ktoś nie mógłby na to rzucić okiem grzecznościowo, zanim zlecimy sprawę oficjalnie.

Helena zmarszczyła brwi.

– Poczekaj chwilę... U nas na górze remont robi profesor Stanisławski, wiesz, ten malarz... On teraz ma dużą firmę projektową.

– Tak wiem.

– Córcie remontuje mieszkanie. Może zapytam? A nuż będą mieli czas i chęci, żeby spojrzeć na domek starszej pani?

– Spróbuj. Stanisławski zawsze był porządnym człowiekiem, pewnie nie odmówi.

– Porozmawiam z Zużą, jego córką, a właściwie pasierbicą. Jest bardzo życzliwa. Na pewno uda się coś wymyślić.

– Świetnie. Pierwszy problem mielibyśmy z głowy. Boję się tylko jednego: że domek trzeba będzie wyburzyć, bo jego stan jest tragiczny.

– No właśnie. I co wtedy?

Mikołaj się zasępił.

– Nie mam pojęcia. Mrowińska chyba by mnie przeklęła. Zaufała mi. Pewnie nawet nie mieści jej się w głowie taki scenariusz.

– Po prostu nie wolno do tego dopuścić – zdecydowała Helena. – Zawsze jest jakieś wyjście. Nie wyburza się domów ot tak, najgorszą ruderę da się doprowadzić do stanu używalności, choć koszty często przekraczają zyski. Ja ci we wszystkim pomogę, nie martw się!

Szarocki wyglądał na pocieszonego.

– Wiedziałem! Dla mnie to jednak niezręczna sytuacja. Nie chcę zawieść jej oczekiwań. Mam wrażenie, że ta niespodziewana decyzja o remoncie to dla niej naprawdę wielki krok naprzód. Ona tam siedziała i chyba rzeczywiście czekała na śmierć.

Koleżanka aż się wzdygnęła. Spojrzała na niego z niedowierzaniem i przestradchem.

– Nie mów tak nawet. To brzmi po prostu okropnie.

– A co ja na to mogę poradzić? Mam takie wrażenie.

Chwilę milczeli, a Mikołaj przyglądał się Helenie uważnie, jakby chciał przeniknąć jej myśli. Ona jednak nie zamierzała ujawniać swoich uczuć.

– Pójdę już, Szarotka. Dałeś mi do myślenia, nie ma co. Dziękuję za załatwienie sprawy z Mierczyńskim, a tego eksperta budowlanego od profesora Stanisławskiego spróbuję załatwić jak najszybciej. Dam ci znać, co i jak.

– Dzięki. Mrowińska parę dni na pewno pobędzie w szpitalu, a co dalej postanowią, trudno powiedzieć. Może ją wyślą do jakiegoś sanatorium? Ten lekarz mówił, że jest mocno osłabiona, wręcz wyniszczona.

– Myślę, że przydałaby się jej jakaś dobra opieka i rehabilitacja, więc sanatorium to chyba nie jest zły pomysł. – Zamyśliła się koleżanka. – Jak coś będziesz więcej wiedział, też mnie powiadom. No i gdybyś się do niej wybierał w najbliższym czasie, daj znać.

– Dobrze. Będzie raźniej, jak pojedziemy razem.

Pożegnali się serdecznie.

Werde uznała, że właściwie lubi Szarockiego i nie wie, czemu w szkole wydawał jej się taki okropny.

Na korytarzu zderzyła się z wysoką postawną kobietą.

– Helena? – Usłyszała pełny zdziwienia głos.

Przyjrzała się baczniej. Długie włosy, wysportowana sylwetka, niezłe ciuchy. Twarz jednak była bardzo znajoma, po prostu niemożliwa do zapomnienia.

– Sonia? – odpowiedziała pytaniem.

Właścicielka szkoły tańca skinęła z entuzjazmem głową.

– Co tu robisz? Załatwiałaś jakieś urzędowe sprawy?

Werde niezbyt chętnie przytaknęła. Nie miała ochoty zdradzać szczegółów.

– Pomyślałabyś, że w dawnym klubie osiedlowym, gdzie odbywały się szkolne dyskoteki, ja kiedyś otworzę własny interes? – Dawna znajoma śmiała się radośnie.

– Nigdy. Mam nadzieję, że dobrze ci idzie? – Helena rzuciła to niezobowiązująco, ale z życzliwością.

Piskorz zatoczyła ręką koło.

– Nie narzekam. Ludzie lubią tańczyć, a szkoła muzyczna to też strzał w dziesiątkę. Może dlatego, że wszystko jest na miejscu – balet i nauka gry na instrumencie. A ja cieszę się, że po latach mogłam wrócić na Dębniki.

Jej rozmówczyni nie odzywała się przez chwilę, tylko patrzyła na dawną przyjaciółkę z uwagą.

– To świetnie – rzuciła po namyśle, lecz Sonia odniosła wrażenie, że nie bardzo interesuje ją kontynuowanie tej rozmowy. – Najważniejsze, że wszystko idzie po twojej myśli.

– A co u ciebie? Nie odzywałaś się przez te wszystkie lata. Byłam pewna, że mieszkasz za granicą i nie zamierzasz wracać.

Koleżanka próbowała ją pociągnąć za język, Helena nie miała jednak nastroju do zwierzeń.

– Jak widzisz, też wróciłam na Dębniki. Głównie po to, żeby zaopiekować się mamą. Jest

już starsza, nie daje sobie ze wszystkim rady. Chciałam pomóc siostrze.

– No tak, rozumiem. Ładnie z twojej strony. Myślałam, że może tak jak ja: rozwiodłaś się, a teraz wracasz do korzeni. – Sonia roześmiała się wesoło. – Bo ja postanowiłam zamknąć stare życie i zacząć od początku właśnie tutaj, w miejscu, z którym mam same dobre wspomnienia. Nawet wróciłam do swego panińskiego nazwiska...

Helena niespodziewanie spojrzała na nią ciekawie.

– Dobre wspomnienia? – powtórzyła.

– Dlaczego tak cię to dziwi? Mam wrażenie, że wszystkie miałyśmy bardzo szczęśliwe dzieciństwo. Nie było może szczególnie dostatnie, jak to na początku lat dziewięćdziesiątych, ale ja przynajmniej nie mam powodów się uskarżać.

Helena wzruszyła ramionami, a Soni zrobiło się przykro. Dawna przyjaciółka była nieprzystępna i co tu ukrywać – dosyć niemiła.

– Nie zapytasz o Balbinę? – spytała jeszcze.

Werde spojrzała na nią z ukosa.

– Nie – odpowiedziała po prostu. – Ona mnie kompletnie nie interesuje – dodała na wszelki wypadek. Chciała odejść, ale chyba zrozumiała, że zostanie to odebrane jako grubiaństwo. Zatrzymała się w pół kroku i położyła Soni rękę na ramieniu. – Przepraszam. Naprawdę cieszę się, że ci dobrze idzie i mam nadzieję, że szkoła będzie się wspaniale rozwijać. Nie gniewaj się na mnie. Mam tyle różnych kłopotów, że czasem zachowuję się nieracjonalnie.

– Oczywiście. – Dawna koleżanka odetchnęła z ulgą. – Myślałam, że masz do mnie o coś pretensje.

– Absolutnie nie! Przyjdę kiedyś, to napijemy się kawy. A na razie, do zobaczenia. – Helena zbiegła po schodach i zatrzymała się dopiero w połowie ulicy.

Dlaczego tak zareagowała? Czy przez to, że spotkanie z Sonią za bardzo przypomniało jej Balbinę? Minęło już przecież tyle lat, a sprawa z dawną przyjaciółką nadal ją dręczyła. No ale w końcu co zawiniła Sonia, że Helena pokłóciła się kiedyś z Plechą?

Jeszcze przed kwadransem deklarowałam, że nienawidzę niedomówień i fałszu – medytowała Werde, idąc energicznym krokiem w kierunku domu. – Sama sobie zaprzeczam. Prawda jest taka, że od lat chowam urazę do Balbiny, właściwie nie potrafię pogodzić się z jej zachowaniem. Tylko czy jest tu coś do wyjaśniania? I w dodatku w jaki niby sposób miałabym to zrobić?

Po raz kolejny doszła do tego samego wniosku: już dawno powinna zobojętnieć na tę sprawę i przestać ją roztrząsać. Słów, które między nimi padły, nie sposób było jednak zapomnieć. Nieustannie budziły niepokój Heleny.

Muszę się zająć czymś innym – zdecydowała i spojrzała w górę na kamienicę przy Gwiazdzistej, zastanawiając się, czy Rafał pracuje dzisiaj w mieszkaniu Zuzanny. Postanowiła załatwić sprawę Mrowińskiej od razu, więc bez zwłoki wspięła się na poddasze, żeby rozpatrzeć się w sytuacji.

Sprawy ułożyły się lepiej, niż mogła przypuszczać. Na miejscu zastała nie tylko Rafała, ale i samego profesora Stanisławskiego, który przyszedł ocenić postęp prac. Helena pokrótce wyjaśniła, o co chodzi, a Edmund chętnie się zgodził, uznając, że mieszkańcy dzielnicy muszą sobie pomagać.

– To chodzi tylko o wstępną ocenę – zastrzegła Werde. – Nic oficjalnego. Ten mój kolega, radny, obawia się, że dom nadaje się wyłącznie do wyburzenia, ale sam nie jest w stanie tego wywnioskować na pewno.

– Jasne. – Od razu zrozumiał Rafał. – Możemy dokonać oględzin bez żadnego badania. Powiemy, czy naszym zdaniem to się w ogóle opłaca remontować.

– Otóż to. – Ucieszyła się sąsiadka.

Szybko dogadali się w sprawie terminów i Helena od razu zadzwoniła do Mikołaja z dobrą wieścią.

Schodząc do swego mieszkania, Werde miała poczucie sumiennie spełnionego obowiązku. Pomogła Szarockiemu i nauczycielce. Dlaczego więc tak bardzo dręczyło ją sumienie? To rozmowa z Sonią pozostawiła po sobie nieprzyjemny osad. Helena zrozumiała, że powinna przeprosić koleżankę za swoje zachowanie.

14.

Zuzanna trochę się martwiła, co wymyśli Helena, zwykle zbyt porywcza w swoich działaniach. Miała nadzieję, że w śledztwie dotyczącym notariusza Zawilskiego sąsiadka nie posunie się za daleko. Nie chodziło przecież o narażenie się prawnikowi lub osobie, która go wynajęła. Mimo wszystko była jednak zadowolona, że rozmówiła się z dziewczynami.

Słowa Rafała dręczyły ją.

Nie należało siedzieć z założonymi rękami – takie sprawy nie rozwiążą się same, a im więcej zgromadzi się atutów, tym lepiej. Z tą myślą postanowiła zadzwonić również do Edmunda. Tak naprawdę pracownia stanowiła jego własność i jemu powinno zależeć najbardziej na zachowaniu status quo. Ojczym wysłuchał jej spokojnie, ale po raz kolejny zbagatelizował sprawę. Nie mogła zrozumieć jego niefrasobliwości i zaczęło ją to już dręczyć.

– Nie zamartwiaj się na zapas. Tak, jak już mówiłem, możemy sobie pozwolić na ewentualną stratę tego miejsca. Budowa, o której ci wspominałem, dobiega końca i śmiało możesz zastanawiać się nad przeprowadzką. To dużo lepsze miejsce i dla ciebie, i dla dzieciaków.

– Jak możesz tak lekko podchodzić do kwestii pracowni? Pomijając już sprawy finansowe, bo przecież zainwestowałeś w nią sporo pieniędzy, wiążą cię z tym miejscem wspomnienia twojej działalności w podziemiu – dziwiła się.

– Ależ oczywiście, że mam sentyment do tego mieszkania i nie zamierzam się poddać bez walki. Skoro tak mnie naciskasz i tak się niepokoisz – powiem ci. Stać mnie, żeby wykupić pracownię od nowego właściciela. Już jakiś czas temu doszedłem do wniosku, że nie chcę się jej pozbywać właśnie ze względu na to, o czym powiedziałaś. Nawet gdybyś ty tam nie chciała mieszkać, będę starał się ją zachować. Jestem pewny, że dogadam się z tym spadkobiercą, o ile rzeczywiście się objawi. Zuziu, bądźmy realistami – zazwyczaj wszystko ostatecznie jest tylko

kwestią ceny.

– To bardzo dobra wiadomość – zapewniła go Zuzanna, ale było jej trochę przykro. Odnosiła wrażenie, że deklaracja ojczyma stawia ją w niezręcznej sytuacji wobec sąsiadek. Nie miała pojęcia, czy Helenę i jej siostrę stać by było na ewentualny wykup mieszkań. Na pewno wystarczająco zamożny był Nowacki i prawdopodobnie małżeństwo Olesińskich. Lorenc nie chciała jednak, żeby koleżanki, które okazały jej tyle życzliwości i przyjęły pod swój dach na czas remontu, pomyślały, że spiskowała za ich plecami.

Oczywiście może się okazać, że nowy właściciel zaproponuje wykup mieszkań wszystkim. Tylko czy panie Werde zdecydowałyby się na to? A Klara? Zuzannie zrobiło się nieprzyjemnie. Straszne, gdyby zasobność portfela miała ostatecznie zadecydować, kto opuści kamienicę na zawsze, a kto zostanie. W końcu Sylwia i pani Pieniążkiewicz mieszkały tu najdłużej. Trudno sobie wyobrazić, że musiałyby wynosić się stąd u schyłku życia.

No i jeszcze te powtarzające się sugestie Edmunda o jej wyprowadzce. A może chciał się jej po prostu pozbyć? Remontował lokal bardzo starannie i sporym nakładem środków, co Zuzanna stwierdziła, gdy Rafał zaprosił ją na inspekcję postępów prac.

Nie mogła absolutnie nic zarzucić pomysłem na adaptację wnętrza. Jeszcze sporo trzeba było zrobić, ale wylaniał się ostateczny kształt koncepcji. Choć Rafał zarzekał się, że wszystkie materiały pochodziły z resztek po wykańczaniu innych lokali, wcale na to nie wyglądało. Wręcz przeciwnie, armatura i pozostałe elementy wyposażenia były w najlepszym gatunku i starannie dobrane. Grudziński i jego ekipa przykładali się do pracy. Nie można im było odmówić zaangażowania i pomysłowości. Wiele detali sami zaproponowali, jak na przykład miejsce do zabaw dla dzieci w salonie. Rafał zauważył, że Jaś i Basia mają ulubiony kącik, w którym najchętniej przesiadują, i postanowił zaaranżować tam odpowiednią przestrzeń z atrakcjami. Bezpieczną, estetyczną i pobudzającą wyobraźnię.

– Będziesz ich miała cały czas na oku, a jednocześnie nie zagrozą im przeciągi czy żar idący od kominka – tłumaczył, gdy przyszła zobaczyć. – Nurtował mnie od dawna podział tej przestrzeni, żebyś wszystko miała poukładane z głową i funkcjonalnie.

– Jesteś świetnym architektem. – Uśmiechnęła się.

– Wcale nie – zaprzeczył gwałtownie. – Architekci wewnątrz wykazują czasem przerost formy nad treścią, bez obrazy dla Edmunda, oczywiście. Dla mnie ważna jest przede wszystkim treść. Żebyś się nie zabiła o jakiś piękny wazon lub artystyczny stółek. Niektórzy to naprawdę muzea powinni urządzać, a nie domy.

Mimo rozmaitych niespodziewanych prac remont postępował właściwie zgodnie z planem i Zuzanna miała nadzieję, że nie będzie musiała nadużywać gościnności Heleny, zwłaszcza że jej siostra nie wyglądała na uszczęśliwioną faktem, iż Lorenc zajmuje jej stare mieszkanie. Ofelia oczywiście nie zrobiła żadnej uwagi, ale jej niezadowolenie było tak widoczne, że Zuzanna najchętniej wróciłaby jak najszybciej do pracowni na górze. Teraz jednak miała nowe zmartwienie – może ojczym wcale jej tu nie chce? Podjął decyzję pochopnie, ale ma jakieś inne plany względem tego lokalu i teraz jako rekompensatę oferuje jej mieszkanie w swoim nowym bloku? Była wdzięczna profesorowi za pomoc, nie chciała go jednak wykorzystywać. Jeżeli podjął jakieś decyzje wobec pracowni, wolałaby, żeby jej o tym powiedział wprost, a nie posługiwał się aluzjami.

Westchnęła. Właśnie wróciła z dziećmi do domu i zaczęła przygotowywać je do podwieczorku. Widać było, że w „Królestwie Kwiatów” maluchom podoba się coraz bardziej, więc nie miała wyrzutów sumienia, że je tam zostawia. Z przyjemnością myślała o pięknych wiosennych dniach, które bliźnięta zaczną spędzać w urokliwym ogródku. Tego niestety nie mogła im zapewnić w pobliżu domu.

Mimowolnie wyjrzała przez okno i ze zdziwieniem zobaczyła, że ktoś spaceruje po ogrodzie. To Klara Pieniążkiewicz przyglądała się gałęziom drzewa, jakby szukała na nich liści, na które było przecież dużo za wcześnie. Ubrana w swoją wyjściową suknię i etolę ponownie wydała się Zuzannie podróżniczką w czasie. Nobliwa sąsiadka powąchała gałąź, a potem pokręciła w zamyśleniu głową, jakby test nie wypadł zadowolająco. Rozejrzała się z nostalgią po zapuszczonym ogrodzie, ale nie poszła w głąb ścieżek. Zatrzymała się nagle, jakby coś powstrzymywało ją przed spacerem w kierunku ogrodu. A przecież obecnie było to jeszcze możliwe, nie wyrosła trawa, nie rozpleniły się krzewy. Późną wiosną i latem musiał tam być gąszcz trudny do przebycia. Jakże różnił się ten zaniedbany zakątek od starannie utrzymanych rabat „Kwiatowego Królestwa”, które nawet teraz, zimą, prezentowały się imponująco.

Szkoda było tego miejsca, ale Zuza nie miała wpływu na jego stan. Ciekawiło ją, co zrobi starsza pani, gdy nagle jej uwagę odwrócił dźwięk pukania do drzwi.

– Już idę! – krzyknęła wesoło, zastanawiając się, czy to Miranda. Ona jednak pukała cicho i dyskretnie, a ten ktoś dobijał się z całą mocą.

Na progu zobaczyła zaniepokojonego Rafała.

– Wybacz, że ci przeszkadzam, wiem, że dopiero wróciłaś z pracy, ale jakiś dziwny facet cię szuka.

– Jaki dziwny facet? – zdumiała się Zuzanna. Jedynym mężczyzną, który mógłby jej tu szukać, był Edmund, ale jego Grudziński znał doskonale.

– No właśnie nie wiem. Coś kręci. Nie chce mi nic konkretnego powiedzieć, a sam wypytuje jak agent służb specjalnych. Może profilaktycznie zrzucę go ze schodów?

– Lepiej nie. Opisz mi tego agenta. Ma jakieś cechy charakterystyczne?

– Owszem. Lwią grzywę siwych włosów. Dlatego powiedziałem, że dziwny. Twierdzi, że przyjechał z zagranicy, ale nie chciał ze mną gadać. Bardzo podejrzliwy typ.

Zuzanna chwyciła się futryny drzwi, bo zniecka zakręciło się jej w głowie. Siwe włosy? Przyjechał z zagranicy? To mógł być tylko Leon!

Nie myliła się. W tym samym momencie dawny kochanek we własnej osobie pojawił się za plecami Rafała.

– Co to za maskarady? – odezwał się do Grudzińskiego rozszłoszczonym głosem. – Dlaczego nie chce mi pan powiedzieć, gdzie mieszka Zuzanna Lorenc? Nie rozumiem, czemu służą te wykręty. To jakaś dziecinada!

– Cześć, Leon – przywitała się spokojnie gospodyni.

Na twarzy Rafała odmalowała się pewna ulga, ale też lekkie zaskoczenie.

– Ty go znasz? To dobrze, ale w razie czego jestem do dyspozycji.

– Co pan ma na myśli? – zaperzył się dyrygent nienawykły do traktowania go w ten sposób. W orkiestrze, której szefował, wszyscy raczej schodzili mu z drogi, a już na pewno starali się nie narażać na jego gniew.

– Ja już dobrze wiem. Będę pana obserwował. Jest pan znajomym Zuzi, więc w porządku, niech będzie. Oświadczam panu jednak, że mnie się pan wydał podejrzany.

– Bezcelność – skwitował Leon, zamykając mu niegrzecznie drzwi przed nosem. – Możesz mi wyjaśnić, Zuzanno, co to za indywiduum?

– To nie żadne indywiduum, tylko współnik mojego ojczyma. Pomaga w remoncie mojego mieszkania. – Spojrzała na niego przeciągle. – Nie spodziewałam się ciebie tutaj – dodała po chwili. Liczyła na bardziej serdeczne powitanie, no i że od razu zainteresuje się dziećmi. Niemile uderzyło ją, iż Leon w ogóle nie zwracał na nie uwagi.

– Dowiedziałem się, gdzie mieszkasz. Nie było to wcale skomplikowane. – Bagatelizująco machnął ręką.

– Hmm – mruknęła znacząco i z pewnym powątpiewaniem. Coś się musiało przecież stać, żeby zadał sobie tyle trudu i zjawił się u niej.

Do tej pory, zwłaszcza po urodzeniu dzieci, nie szukał z nią jakoś szczególnie kontaktu. Było to zresztą jedną z przyczyn jej wyjazdu z Anglii – ostatecznie ją upewniło, że wszystko między nimi skończone i trzeba pójść dalej.

– Jestem po prostu zaskoczona, że cię tutaj widzę. Nie spodziewałam się tego, zwłaszcza w tej sytuacji...

– Nasza sytuacja wygląda teraz trochę inaczej, bo dostałem propozycję pracy w Krakowie – przerwał zniecierpliwionym, wpatrując się w nią badawczo.

Lorenc ponownie zrobiło się słabo. Czyżby jej przeszłość, którą zamknęła za sobą, miała ją znowu dogonić?

– Praca? – powtórzyła niewyraźnym głosem.

Kiwnął głową.

– Chyba nie będziemy tak stali? Może zaproponujesz mi coś do picia? Cały dzień załatwiałem różne sprawy i nie miałem czasu nawet na kawę.

– Dobrze. Właśnie przygotowywałam dzieciom podwieczorek.

Mężczyzna spojrział na bliźnięta, jakby dopiero teraz je zauważył, i rozpromienił się.

– Cudowne brzdące! Jak one wyrosły! Jasiek jest bardzo do mnie podobny. Widzę, że świetnie dajesz sobie radę.

– Zdaje się, że nie mam innego wyjścia – sarkastycznie rzuciła Zuzanna.

Leon zgromił ją spojrzeniem.

– Nie wracajmy znowu do tego. Wiesz, w jakim stanie była Belinda, gdy dowiedziała się o ciąży. Nie mogłem jej tego zrobić. Kochanie, to była twoja decyzja, ja proponowałem inne rozwiązanie...

– Tchórzliwe – przerwała. – Ja nie jestem tchórzem, Leonie, i naprawdę dziwiłam się tobie, że mogłeś wpaść na tak niedorzeczny pomysł. Zawsze wykazywałaś się artystyczną odwagą, nie rozumiem, czemu nie wykazałaś się nią w życiu.

– Zuzanno, wciąż rozmawiamy o tym samym. Życie ma swoje prawa. Czas dorosnąć, dojrzeć. Przecież to nie tak miało wyglądać.

– Nie kochałaś mnie?

– Oczywiście, że cię kochałem, jak możesz w to wątpić! Ale od początku wiedziałaś, że nie opuszczę Belindy. Teraz, kiedy emocje nieco już opadły, mogę ci szczerze wyznać, że czułem się trochę oszukany, gdy oświadczyłaś mi, że zaszłaś w...

– Oszukany? – przerwała mu gwałtownie. – Przeze mnie? Co ty sugerujesz? Że próbowałam cię wmanewrować? Zmusić do porzucenia żony? To śmieszne!

– No, ale przyznaj, że mogło to trochę tak wyglądać. Nasza miłość była tak piękna i wzniosła między innymi dlatego, że nie zakładała zobowiązań.

– Niestety, czasami scenariusze nie układają się po naszej myśli – rzuciła z przekąsem.

Leon ponownie się obruszył.

– Nie pojmuję tych pretensji. Podjęłaś decyzję, ja zachowałem się fair. Przecież pomogłem ci finansowo. Od Belindy nie odejdę, co do tego miałaś jasność od początku.

Przyglądała mu się przez chwilę. Więc to był mężczyzna, za którym swego czasu szalała? Całkowicie zawrócił jej w głowie, gdy przyjechała do Londynu. Był dla niej autorytetem, mistrzem. Podziwiała go zawodowo, a potem zaczął ją pociągać jako mężczyzna. Początkowo nie zanosilo się na romans. Choć Ewa od razu wiedziała, co się święci, i przestrzegala ją, że to cwaniak, jakich malo, a w dodatku ma zone, z ktora nigdy sie nie rozwiedzie, Zuzanna tylko wzruszala ramionami.

Z Leonem jeszcze wówczas nic jej nie łączyło. Lubiła przebywać w jego towarzystwie, dobrze się rozumieli, mieli wiele wspólnych tematów, podobne poglądy na sztukę. Rozumiała, że widzi w niej materiał na wybitną solistkę. Starał się podsycać jej ambicje, rozbudzać zainteresowania, kształcić. Zakochała się niepostrzeżenie. Miłość przerodziła się w rodzaj obłądu, nie liczyła się już z nikim i z niczym. Tak, Leon miał poniekąd rację. Wieść o ciąży w pewien sposób ucieszyła ją: to był moment zwrotny, wiedziała, że kochanek będzie się musiał zadeklarować.

Zużę od jakiegoś czasu uwierał luźny układ, jaki pozwoliła sobie narzucić. Początkowo nie przeszkadzało jej to, wydawało się korzystne i wygodne. Mężczyzna był dużo od niej starszy, sama nie potrzebowała mieć nikogo na wyłączność. Potem, gdy fascynacja przybierała na sile, pojawiła się potrzeba posiadania. Zadręczała się myślami o Belindzie, o ich wspólnym życiu. Spokojnym i trwałym, choć Leon – Zuzanna już się o tym boleśnie przekonała – znany był z romansów. Żaden nie był tak głęboki i intensywny jak związek z Lorencem, ale jednak... Żona za każdym razem przymykała na to oko. Czasami tak się zdarza w małżeństwie, gdy w imię spokoju jedna strona udaje, że nie widzi pewnych oczywistych spraw. Młoda kobieta uświadomiła sobie, że na tym etapie związku prawie współczuła Belindzie. Ograniczenia, krótkowzroczności i – co tu ukrywać – głupoty. Jak się w efekcie okazało, to żona kochanka wyszła z tego starcia zwycięsko.

Czy Zuza liczyła, że Leon zreflektuje się na wieść o tym, że zostanie ojcem? I tak, i nie. Pragnęła jednak rozwiązania tej idiotycznej sytuacji bardziej niż cegokolwiek na świecie. Związek zaczynał ją męczyć, bo coraz wyraźniejsze stawały się podejrzenia, że jest to miłość beznadziejna. Dzieci nigdy nie były jednak kartą przetargową czy elementem szantażu. Do czegoś takiego Zuzanna nie byłaby zdolna – nie pozwoliłoby jej na to poczucie dumy i własnej wartości. Nigdy nie umiała zebrać o uczucia. Podświadomie doprowadziła do konfrontacji, sytuacji wyboru i rozstrzygnięcia. Ich związek się rozpadł, a dla niej rozpoczął się nowy etap.

Zorientowała się, że upokorzenie, jakiego doświadczyła również z powodu interwencji Belindy, paradoksalnie stało się *katharsis*[9] – wyleczyło ją z miłości do Leona raz na zawsze. Tłumaczyła sobie cierpliwie, że ten rozdział jest już definitywnie zamknięty i nie łączy ich nic. Nawet dzieci – bo nie chciał ich widywać. Zresztą w jaki sposób miałyby się to niby odbywać? Nie zamierzała specjalnie przyjeżdżać do Londynu.

Ale teraz, gdy ponownie stanął w drzwiach... Tak, był denerwujący, autorytarny i egoistyczny. Miał tysiące prozaicznych wad. Wciąż jednak roztaczał wokół siebie ten urok...

Musiała się otrząsnąć. Nie tylko dla własnego dobra, ale i dla dzieci. Ułożyła już sobie tutaj życie i nie miała zamiaru teraz wszystkiego niszczyć.

– Wspomniałeś coś o pracy – przypomniała, stawiając przed nim filiżankę z kawą, którą przyjął z wdzięcznością.

– A tak. Dostałem propozycję zbudowania od podstaw nowego zespołu. Wyjątkowe wyzwanie!

– Nowy zespół? Gdzie? – zainteresowała się Zuzanna.

Leon zamieszał delikatnie cukier, a potem upił łyk.

– Znakomita kawa. Zawsze robiłaś niezrównaną. Wielu rzeczy mi brakuje, odkąd wyjechałaś z Londynu...

Puściła tę aluzję mimo uszu.

Milczał przez chwilę, a potem, gdy się zorientował, że Zuza nie zamierza reagować, dokończył:

– Powstaje nowa instytucja muzyczna, Europejskie Centrum Koncertowe, mógłbym zostać jej dyrektorem artystycznym – powiedział niedbale.

– Robi wrażenie – przyznała.
– Tak, oferta wygląda bardzo poważnie i ja także na serio biorę to pod uwagę – szczerze stwierdził Leon.

– Przeprowadzisz się na stałe? Z Belindą? – Lorenc była zaskoczona, bo żona Leona nie wyobrażała sobie życia poza stolicą Wielkiej Brytanii. Brakowałoby jej ulubionych butików, galerii sztuki i spotkań z przyjaciółkami.

– Na razie nie ma takiej potrzeby. Instytucja jest na etapie organizacji, ja zresztą zajmowałbym się stroną artystyczną, więc siłą rzeczy sporo bym jeździł po świecie. Wszystko jest w fazie uzgadniania.

– Ach tak – mruknęła Zuzanna.

– Dlatego też chciałem się z tobą zobaczyć – ciągnął Leon.

– Nie bardzo rozumiem...

– Muszę się upewnić, jak stoją pewne sprawy...

– Czy nie będę ci sprawiała kłopotów? – zakpiła.

Leon skrzywił się. Widocznie chciał to ubrać w delikatniejsze słowa. Lorenc z kolei uznała, że nie ma sensu owijać w bawełnę.

– Nie ująłbym tego tak dosadnie. Po prostu pragnąłbym, żebyśmy zachowali wyłącznie dobre wspomnienia. Co do mnie – tak właśnie jest. Chciałem się przekonać, że i ty nie żywisz do mnie żalu.

Zuzanna ponownie puściła jego uwagę mimo uszu.

– Czy jeżeli zamieszkaż na dłużej w Krakowie, będziesz chciał widywać się z dziećmi? Zabierać je do siebie, aranżować jakieś spotkania?

Leon patrzył na nią z wyczekiwaniem.

– Szczerze mówiąc... – zaczął. – A ty jak uważasz? – dodał szybko.

– Moim zdaniem, powinny wiedzieć, że mają ojca – stwierdziła zdecydowanie. – Teraz są jeszcze małe, ale przecież wcześniej czy później będą mnie o to pytać. Nie zamierzam im opowiadać kłamstw o banku nasienia czy przypadkowym kochanku poznanym na imprezie. Wybacz, jeżeli tak sobie to wyobrażałeś. Nie zamierzam cię jednak nakłaniać do uczestniczenia w ich życiu, bo widzę, że nie wykazujesz do tego entuzjazmu. Nie ma nic gorszego niż wymuszone zainteresowanie ze strony rodzica.

Wyglądało na to, że zaproponowany układ mu odpowiada, bo wymownie skinął głową.

– Chciałbym regularnie łożyć na ich utrzymanie – stwierdził.

Lorenc spojrzała na niego bystro.

– Naprawdę? Myślisz o alimentach? To bardzo wspaniałomyślnie z twojej strony. – W jej głosie zabrzmiała ironia. Do tej pory Leon przysyłał na jej konto pewne świadczenia, ale nieregularnie i wedle własnego widzimisię. Tak, Zuzanna nie wystąpiła do sądu o ustalenie konkretnej kwoty, bo nie mogła się na to zdobyć. Matka miała jej zresztą to za złe – uważała, że choć tyle się dzieciom należy od ojca.

Czy to duma nie pozwoliła Zuzannie walczyć o pieniądze, czy chęć definitywnego odcięcia i zapomnienia o nim? Nie wiedziała. Początkowo chciała nawet odsyłać mu te sumy, ale zrezygnowała. Życie było drogie, a ona urządziła się po powrocie do kraju. Zresztą nie były to przecież stałe wpłaty i w każdej chwili mógł je przerwać. Sprawy finansowe zawsze były dla niej delikatne. W tej kwestii wolała sobie radzić sama, niż kogoś do czegoś zmuszać. Poza tym bała się: a nuż Leon i pośrednio jego żona zaczną sobie rościć prawa do wychowywania dzieci? Na to nie chciała pozwolić. Wolała więc, żeby zostało, tak jak jest. Matce skłamała, że dogadali się prywatnie co do wysokości alimentów, więc przestała jej suszyć o to głowę. Wiedziała jednak, że podejmuje trudną decyzję i być może bolesną w skutkach. Oznaczającą więcej pracy

i niepewności. Teraz jednak Leon zjawiał się, by dobrowolnie coś zaproponować. Po tak długim czasie! Czy miał w tym jakiś interes? Może chciał ją przekupić, by nie utrudniała mu życia?

Patrzyła na niego z uwagą, aż zmieszał się pod tym spojrzeniem i zaniepokoił.

– Nie musisz być ironiczna – rzucił. – Chyba mi nie zarzucisz, że nic dla was nie robiłem? Pomagałem, jak mogłem.

Owszem. Przy tak wysokich dochodach, jakie osiągał, te okazjonalne wpłaty na rzecz dzieci wydawały się lekką kpina – pomyślała Lorenc, ale nie wypowiedziała swoich słów na głos. Czekala.

– Teraz chciałbym to jakoś rozsądniej ułożyć – ciągnął. – Będiesz miała do dyspozycji co miesiąc sensowną sumkę, która na pewno się przyda. Nie chcę tego załatwiać sądownie. Jestem ci wdzięczny, że i ty nie stawiałaś sprawy na ostrzu noża. Bardzo to doceniam.

Przemawiał do niej jak profesor do krnąbrnej uczennicy, którą zdecydował się pochwalić za poprawne zachowanie. Cedził jednak te komplementy, aby przypadkiem nie przewróciło się jej w głowie. Zuzanna miała już dosyć tego protekcyjnego tonu. Czy zawsze taki był, czy dopiero teraz dostrzegła to z całą wyrazistością?

– Dziękuję ci za ofiarności dla własnych dzieci – skomentowała z przekąsem. – Jak to mówią: lepiej późno niż wcale. Nigdy cię o nic nie prosiłam, bo miałam nadzieję, że sam się będziesz poczuwał do odpowiedzialności. Jak widzisz, do tej pory radziłam sobie bez twojej szczodrobliwości, bo te nieregularne wpłaty, jakie mi przekazywałeś, trudno uznać za alimenty.

Przełknął te gorzkie słowa zupełnie bez protestu, co ją trochę zdziwiło. Nie zamierzała jednak udawać wdzięczności. Niech nie myśli, że zrobił jej jakąś grzeczność. Tutaj jej matka miała rację: utrzymywanie swoich dzieci nie jest łaskawym kaprysem, to obowiązek rodzica. Nie powinien więc odgrywać dobroczyńcy.

Leon chyba pojął, że Zuzanna poczuła się urażona, bo próbował załagodzić sprawę:

– Proszę, nie rozmawiajmy w ten sposób. Było, minęło. Naprawdę pragnę się dogadać, załatwić wszystko uczciwie. Czy myślisz, że i dla mnie ta rozmowa jest łatwa?

Zmierzyła go wymownym spojrzeniem, które miało oznaczać, że nie bardzo mu współczuje. Z drugiej strony była zadowolona, że tak się wszystko potoczyło i to on wyszedł z propozycją.

Postanowiła wykazać dobrą wolę i ocenić jego starania.

– Też myślę, że ta rozmowa nie prowadzi do niczego dobrego. Cieszę się, że dotarło do ciebie, jakie są potrzeby bliźniąt. Nie ukrywam, że teraz będzie ze wszystkim łatwiej. Dziękuję, że postanowiłeś to załatwić z własnej woli.

Skinął głową na znak, że przyjmuje to do wiadomości. Zuzanna zrobiła jednak gest mający wyrażać, iż jeszcze nie skończyła.

– Chwileczkę. Jeszcze nie ustaliliśmy wszystkiego... Nie zamierzam ci w niczym przeszkadzać, ani w życiu, ani w karierze, ale od ciebie też oczekuję, że nie będziesz nam utrudniał egzystencji.

– Nie rozumiem, co masz na myśli.

– Postawię sprawę jasno. Nie chcę, żebyś ty, a już w szczególności twoja żona, wtrącał się do wychowania dzieci. Bardzo ładnie z twojej strony, że zamierzasz na nie regularnie płacić, cenię to, ale nie ty je wychowujesz i nie chciałabym, abyś w pewnym momencie pojawił się z dobrymi pomysłami na życie dla bliźniąt.

– Czyli pozwalasz mi je od czasu do czasu zobaczyć, ale nie mogę mieć wpływu na ich wychowanie?

– W skrócie, właśnie tak.

– Nie uważasz, że to trochę niesprawiedliwe?

– Zdaje się, że to ty sugerowałaś na początku tej rozmowy, że życie nie jest sprawiedliwe?

– Dlaczego odnoszę wrażenie, Zuzanno, że ty jednak próbujesz się na mnie mścić? – spytał Leon, obracając w dłoni filiżankę.

– Nie mam pojęcia. – Zaśmiała się. – Sam sobie odpowiedz na to pytanie, skoro tak cię nurtuje.

– Zawsze wyczuwałem w tobie jakąś... drapieżność, podobało mi się to – rzekł w zamyśleniu, kątem oka łowiąc jej zdumione spojrzenie. – Może dlatego ten nasz związek nie może mi wyjść z głowy? – dodał, patrząc na nią.

Wzruszyła ramionami.

– Sugerowałaś, że mamy zachować wyłącznie miłe wspomnienia. Zróbmy tak więc i nie wchodźmy sobie w drogę. Ja zajmę się dziećmi, a ty Europejskim Centrum Koncertowym. Oboje na pewno będziemy zadowoleni.

Pokręcił z niedowierzaniem głową.

– Macierzyństwo cię zmieniło. Kiedyś żyłaś tylko muzyką i dla muzyki. Teraz twoje pasje zeszły na drugi plan. Naprawdę czujesz się z tym szczęśliwa?

– Dziwne pytanie. I chyba wcale mnie nie znałeś, skoro je zadajesz. Nigdy nie zrezygnowałam i nie zrezygnuję z muzyki. Macierzyństwo nauczyło mnie, że można kochać wiele spraw jednocześnie. Tak jak kocha się dwoje dzieci tak samo. A teraz przepraszam cię, muszę się nimi zająć.

– Mogę wziąć je na ręce? Są takie słodkie. Urocze dzieciaczki. I po prostu idealnie grzeczne – chwalił Leon, unosząc Basię, która przypatrywała mu się z zaciekawieniem swymi ciemnymi inteligentnymi oczyma.

– Bo są zmęczone. Miały dzień pełen wrażeń, zapisałam je do żłobka.

– Żłobek? – Leon zmarszczył brwi. – Czy to na pewno dobre miejsce dla maluchów? Wiele się słyszy o nieodpowiedzialności opiekunek w tego typu placówkach.

– Bardzo dokładnie ją sprawdziłam. To świetna opcja, zresztą i ja tam pracuję jako nauczycielka muzyki, więc mam wszystko na oku.

– Nauczycielka muzyki w żłobku – westchnął znacząco Leon, stawiając Basię ostrożnie na dywanie i biorąc na ręce Jasia.

– A co? Uważasz, że to poniżej moich ambicji?

– Raczej poniżej możliwości. Lękam się o twój talent, Zuzanno. Jeśli się tak będziesz rozmieniać na drobne, całkowicie go unicestwisz.

Lorenc skrzywiła się, jakby wypila coś cierpkiego. Słowa byłego kochanka dotknęły ją do żywego. Wstała, żeby zasygnalizować, iż powinien już iść.

– Pewnie długo się nie zobaczymy, więc życzę ci powodzenia. – Starła się nadać swemu głosowi jak najbardziej swobodny ton.

– Wkrótce znowu przyjadę do Krakowa, więc jeżeli tylko byś miała ochotę...

Jego propozycja zawisała w próżni. Nie. Zuza wiedziała, że do tamtego nie ma już powrotu. Definitywnie.

Odchrząknął.

– Czy mogłabyś mi dać jakieś zdjęcie Jasia i Basi?

– A po co?

– Nie bądź taka. Chciałbym mieć na pamiątkę. To chyba nie jest zabronione?

Zrobiło jej się głupio. Odwróciła się do biurka i wygrzebała ładną fotografię obojga bliźniąt bawiących się w kojcu. Spojrzał na nią przelotnie, a potem schował do portfela.

– Pożegnaj się już. – Nachylił się, aby ją pocałować w policzek, ale się uchyliła.

Gdy wyszedł, głęboko odetchnęła. Wiedziała, że musi się szybko otrząsnąć, poradzić sobie ze swoimi uczuciami.

[9] *Katharsis* (gr.) – oczyszczenie, przenośnie: sytuacja, która przynosi ulgę, wyjaśnia zagmatwane sprawy.

15.

Wszyscy zgromadzeni w poczekalni kancelarii notarialnej na Podzamczu spoglądali na siebie ze zdenerwowaniem.

Sylwia Werde nieustannie poprawiała opadający z ramion szal, starając się zachować przynajmniej pozorny spokój. Miranda trzymała się blisko babci, jakby bojąc się, że może stać się jej coś złego. Ofelia siedziała sztywno na krześle, ściskając w dłoniach torebkę i udając, że w ogóle jej to wszystko nie obchodzi. Jedna Helena po prostu stała i wyglądała przez okno. Kancelaria mieściła się na trzecim piętrze i z okien dużego pokoju przerobionego na poczekalnię, czy też właściwie sekretariat, rozciągał się oszałamiający widok na Wisłę i Wawel.

Małżeństwo Olesińskich, trzymając się za ręce, zajmowało kanapę, a tuż obok nich, na skórzanym fotelu, rozsiadł się Nowacki. Za nim, na dostawionym krześle tkwił jego pełnomocnik, radca prawny nazwiskiem Winkler, który tutaj najwyraźniej się nudził, bo od pewnego czasu co kilka minut spoglądał na zegarek. Na drugim skórzanym fotelu, usytuowanym pod oknem w takiej pozycji, że padało na niego słoneczne światło, usadowiła się Klara Pieniążkiewicz, która po prostu czytała gazetę i podśpiewywała pod nosem jakąś melodyjkę. Wyglądała tak, jakby to wszystko, co miało się za chwilę wydarzyć, nie było dla niej zupełnie istotne i stanowiło zaledwie jakiś nieważny przerywnik w jej życiu.

Zuzanna zajmowała drugą kanapę. Teoretycznie z Jasiem i Basią, a praktycznie sama, bo bliźnięta, znudzone oczekiwaniem, zaczęły już łązić po całym pomieszczeniu.

– Niech pani poskromi te dzieci. Działają mi na nerwy – stwierdził Nowacki.

Niespodziewanie zareagowała Marta:

– Proszę je zostawić w spokoju. Dzieci mają prawo się nudzić.

Zuza spojrzała na sąsiadkę ze zdziwieniem. Zazwyczaj to właśnie Olesińskiej wszystko przeszkadzało i ganiła ludzi bardzo surowo.

– Wszyscy jesteśmy rozdrażnieni – poparł Martę mąż. – Spróbujmy zachować spokój.
– Ja jestem opanowany – prychnął Nowacki. – Nie lubię po prostu, gdy mi ktoś tak biegnie przed oczami. Poza tym one mogą sobie coś zrobić.

– Zaraz je czymś zajmę – pojednawczo odezwała się Lorenc. Ostatnią rzeczą, jakiej sobie życzyła, była awantura z sąsiadami, zwłaszcza że i Fela obserwowała ją nieprzyjaźnie.

– Dzieci to nasz skarb – melodyjnym głosem rzuciła znad swojej gazety Klara. – Wszyscy musimy je chronić.

Nowacki wzruszył ramionami, kreśląc znak kółka na czole, oczywiście tak, by pani Pieniążkiewicz tego nie widziała. Miranda podeszła do Basi i zaczęła zabawiać ją ptaszkiem wykonanym ze złożonej serwetki. Dziewczynka natychmiast się nim zainteresowała, a Zuzanna zrobiła szybko takie samo zwierzątko dla Jasia. Była wdzięczna sąsiadce za doskonały pomysł. Po chwili całe zoo stało na podłodze, a bliźnięta bawiły się w najlepsze.

Marta Olesińska przyglądała się całej tej scenie spod zmarszczonych brwi, a jej mąż z życzliwym zaciekawieniem. Nowacki na szczęście w ogóle przestał się interesować dziećmi.

– Przepraszam państwa. – Rejent Zawilski otworzył drzwi do gabinetu. – To opóźnienie nie powstało z mojej winy, czekałem na ostatnie instrukcje od mojego mocodawcy.

– Bardzo dziwne – mruknął Nowacki. – Mam nadzieję, że wszystkiego się wreszcie dowiemy.

– Już za chwilę. Dziękuję za cierpliwość. Zapraszam do gabinetu.

Zawilski był starszym jegomościem ubranym w ciemny, dość niemodny garnitur, ale ewidentnie elegancki i stylowy. Jego gabinet także nie pozostawiał nic do życzenia, jednoznacznie kojarząc się z profesjonalizmem i solidnością. Cała ściana była zastawiona dębowymi regałami z książkami, meble wyglądały na antyki, a kosztowny dywan, jakkolwiek w kilku miejscach nieco spłowiały, niemal na pewno pochodził z Persji. Jednym słowem – firma godna zaufania, która prowadzi interesy nie od dzisiaj i ma wyrobioną renomę.

Gdy wszyscy rozsiedli się na przygotowanych z góry krzesłach, Zawilski jeszcze raz się przywitał.

– W imieniu mojego mocodawcy, który przebywa za granicą i z pewnych względów, głównie zdrowotnych, nie mógł przybyć, bardzo dziękuję, że wszyscy państwo pofatygowali się na to spotkanie. Zwłaszcza że mój list był dość lakoniczny i zapewne niewiele państwu wyjaśnił.

– Mało powiedziane – sarkastycznie rzucił Nowacki, nie bacząc na to, że jego pełnomocnik usiłuje go powstrzymać ruchem dłoni. – Niczego nam nie wyjaśnił! Tylko nas wyprowadził z równowagi. Co to w ogóle za ciuciubabki! Nie jesteśmy dziećmi, panie Zawilski, żeby się z nami bawić w jakieś zgaduj-zgadule.

– To oczywiście i bardzo przepraszam. Nasze spotkanie ma właśnie na celu rozwianie wszelkich niejasności. Mój mocodawca...

– Przepraszam bardzo! – przerwała niespodziewanie Helena, a Ofelia chrząknęła i spojrzała na nią z przyganą. – Czy mógłby pan nam zdradzić nazwisko tej osoby? To robi się trochę śmieszne, gdy mówi pan o niej w tak enigmatyczny sposób.

Zawilski rzucił jej badawcze spojrzenie zza grubych szkieł swoich okularów.

– Wszystko w swoim czasie, młoda damo. Dojdziemy i do tego. Na razie chciałbym naświetlić inne kwestie.

– Robi się coraz ciekawiej – mruknął Olesiński. – Zaczynam się czuć jak w filmie sensacyjnym. Mnożą się tajemnice, sekrety i za chwilę kogoś zamordują.

– Mam nadzieję, że do niczego takiego nie dojdzie – mruknął notariusz. – Bardzo proszę o zachowanie powagi, bo mamy do czynienia z niezwykle ważną sprawą. Także dla państwa. Nietypową, to prawda, oryginalną – zgadzam się, ale ogromnej wagi.

Wszyscy wlepili w niego pełne wyczekiwania, ale i niepokoju spojrzenia.

– Tak jak mówiłem, mój mocodawca mieszka za granicą i jest właścicielem waszej kamienicy, domu przy ulicy Gwiazdzistej pod numerem jedenastym.

Po gabinecie przeszedł szmer, Olesińscy zaczęli szeptać między sobą, Nowacki natychmiast odwrócił się do swego pełnomocnika. Tylko Sylwia odezwała się na głos:

– Jak to możliwe? Przed wojną kamienica należała do państwa Mincerów, którzy zginęli w obozie zagłady. Mój mąż usiłował prześledzić ich losy, nikt z rodziny niestety nie przeżył, po wojnie miasto przejęło tę kamienicę w zarząd.

– Tak jest, szanowna pani. To jest kluczowe, co pani powiedziała. Miasto tylko zarządzało tą kamienicą do czasu zgłoszenia się spadkobierców przedwojennych właścicieli. Otóż odnaleźli się i teraz oni weszli w posiadanie domu.

– Protestuję! Takich spraw są teraz tysiące – zaperzył się Nowacki. – Drodzy państwo, nie dajmy się nabrać i oszwabić. To na pewno są zwykli wyłudzacze mienia. Obecny tu mecenas Winkler prowadził już kilka tego typu spraw. Nagle znajdują się rzekomi spadkobiercy z podrobionymi dokumentami i wchodzą w posiadanie wartościowej nieruchomości, którą opróżniają z lokatorów i migiem sprzedają. Gdy się jednak zbada papiery, okazuje się, że domniemany właściciel ma sto trzydzieści lat. Nie dam się nabrać na te numery!

– To są bardzo poważne zarzuty, panie Nowacki. Mam nadzieję, że ma pan na poparcie swoich oskarżeń jakieś dowody, bo w przeciwnym razie mój mocodawca może panu wytoczyć proces o zniesławienie – spokojnym tonem oświadczył Zawilski.

Winkler starał się nieco okiełznać swego klienta, tłumacząc mu coś do ucha.

– No tak, pan Nowacki na pewno się zagalopował, ale pan z pewnością dysponuje dokumentami, które mogą potwierdzić pańskie słowa? – pojednawczo zapytała Zuzanna.

– Oczywiście, proszę pani. Wszystkie dokumenty zostały urzędowo zweryfikowane. I zapewniam, że nie ma mowy o fałszerstwie, bo papiery są w porządku. Jednakże po tym, co państwu powiem, badanie autentyczności tych pism zapewne nie będzie najważniejszą państwa troską.

– Ach tak? – zainteresowała się Ofelia. – A co w takim razie? Pakowanie walizek?

– O niczym takim naprawdę nie ma mowy – zastrzegł się notariusz. – Chyba że sami państwo będą chcieli.

– Pakowanie walizek, wyjazd na Riwierę – melancholijnie wtrąciła Klara Pieniążkiewicz, która uczestniczyła w rozmowie raczej ciałem niż duchem.

Zawilski spojrzał na nią z pewnym niepokojem.

– Proszę sobie nie przeszkadzać – upomniał go Nowacki. – Zaczął pan mówić o jakiejś innej kwestii.

– Tak... – Prawnik poprawił okulary i otworzył skórzaną teczkę. – Wola mojego mocodawcy jest jasna i nie pozostawia żadnych wątpliwości. Upewniałem się co do tego telefonicznie, stąd ta zwłoka w naszym spotkaniu, za którą ponownie przepraszam. Sprawa jest bowiem tak nietypowa, że musiałem zyskać stuprocentową pewność...

Zawilski zawiesił głos, a wszyscy zebrani, wyłączając Klarę Pieniążkiewicz, która patrzyła przez okno na baraszkujące na parapecie szpaki, skierowali na prawnika wyczekujące spojrzenia.

Nikt nie śmiał się nawet odezwać, choć napięcie sięgało zenitu. Zuzanna musiała przyznać, że stary rejent miał wycucie dramatyzmu.

Zawilski, najwyraźniej zadowolony z efektu, odchrząknął i pomachał w ich kierunku dokumentem.

– Jak państwo wiedzą, dom był własnością rodziny Mincerów, którzy zginęli podczas

wojny w tragicznych okolicznościach. Mój mocodawca jest spadkobiercą tej rodziny, ale nie zamierza sprzedawać kamienicy ani wywłaszczać państwa z tego majątku. Mój klient chce, żeby od początku było to dla państwa jasne.

Po gabinecie przeszedł szum, który można było odczytać jako wyraz powszechnej ulgi. Wszyscy się rozluźnili i wpatrywali w prawnika z zaniepokojeniem. On uniósł palec w górę i spojrzał na nich wzrokiem belfra.

– Każdy z państwa może się stać właścicielem zajmowanego lokalu, o ile tylko będzie chciał go przejąć...

– No i to jest wiadomość, na którą czekaliśmy! – Nie wytrzymał Nowacki, odwracając się do swego pełnomocnika. – Panie Marku, proszę przygotować z panem notariuszem wszystkie dokumenty, mam nadzieję, że o cenie porozmawiamy na osobności. Ten dom jest po prostu w tragicznym stanie technicznym, więc liczę na sporą bonifikatę i wliczenie poniesionych kosztów remontów. Od razu zgłaszam też chęć zakupu drugiego mieszkania na parterze i lokalu w oficynie, w którym zamierzam zrobić restaurację. To doskonały interes, panie Zawilski, który na pewno opłaci się pańskiemu klientowi, pieniądze do ręki, czysta sprawa, szybki zysk.

– Nie tak prędko – wtrącił się Jeremi Olesiński. – My także jesteśmy zainteresowani tym lokalem na podwórku, po dawnej pralni. Żona chce w nim otworzyć sklep z ubraniami. Taki modny butik – wyjaśnił.

Reszta sąsiadów wlepiała w Olesińskich zdziwione spojrzenia.

– Ale jak to? Nigdy państwo nie byli zainteresowani tym miejscem. – Zdenerwowała się Miranda. – Przecież wiedzą państwo, że moja ciocia nosi się z zamiarem uruchomienia tam pracowni mydlarskiej. Już wszystko pomalowałyśmy, ten lokal idealnie pasuje do tego typu działalności, w końcu mieściła się tam kiedyś pralnia...

– Daj spokój – rzuciła niespodziewanie Helena. – Oni to sobie doskonale przemyśleli. Wiedzą, że nie stać nas na wykupienie pracowni. Szkoda, że potraktowaliście mnie w ten sposób – zwróciła się bezpośrednio do Olesińskich i Nowackiego. – Chciałam tam stworzyć coś fajnego i oryginalnego, coś, na co cieszyłam się przez całe życie...

– Tere-fere, droga sąsiadko! Każdy myśli o sobie i swoim zysku. Moja restauracja to także jest moje życie, może nie? Ja się w tym spełniam. Nie lubię takiego brania na litość.

– Niech pan uważa, panie Jacku – ostrzegła Marta. – Nie wiadomo jeszcze, komu dostanie się ten lokal. Na pewno temu, kto da więcej!

– Niestety – mruknął Nowacki. – Nie sądziłem, że wbijecie mi nóż w plecy, no ale tacy są ludzie: ich podłość po prostu nie ma granic.

– Wypraszam to sobie! – wybuchła Olesińska.

Niespodziewanie powstrzymał ją Zawilski, który przysłuchiwał się scysji sąsiedzkiej z rosnącym zdumieniem.

– Proszę państwa o spokój. Naprawdę nie ma się o co kłócić, bo nikt niczego nie będzie mógł kupić.

– Jak to? – zdumiała się Ofelia.

Obie z matką od kilku chwil naradzały się półgłosem. Zuzanna była pewna, że przeliczają swoje aktywa i nie wypada to zbyt dobrze. Miały dwa mieszkania i Ofelia na pewno zastanawiała się nad scenariuszem, że jedno z nich trzeba będzie odpuścić, a przenieść się wspólnie do drugiego. Miranda patrzyła na matkę z niepokojem, a Helena obgryzała paznokcie. Niewiele miała do powiedzenia, ale najwyraźniej również rozumiała grozę sytuacji.

Zuzanna zamierzała przede wszystkim zatelefonować do Edmunda, by przedstawić mu sprawę. Była pewna, że ojczym zechce wykupić strych. Spodziewał się takiego scenariusza. Kwestią była tylko cena, ale – jak się okazuje – wcale nie o to chodziło. Spojrzała na swoje

dzieci. Bliźnięta wyraźnie nudziły się przedłużającym się spotkaniem.

– Jaś biega – oświadczył chłopiec i zsunął się z miejsca obok matki.

Lorenc uznała, że czas na chwilę wyjść z dziećmi z gabinetu. I tak bardzo długo wytrzymały. Skinęła głową rejentowi, a potem wyprowadziła swoje pociechy do sekretariatu.

– Pobawimy się tutaj chwileczkę, ale potem musimy grzecznie wrócić, dobrze? – zagadnęła dzieci.

Basia już zaczęła ścigać się bratem. Zuza westchnęła, oglądając się na otwarte drzwi kancelarii i łowiąc dochodzące stamtąd echa rozmowy. Atmosfera na powrót stała się nerwowa.

Klara Pieniążkiewicz wstała i zbliżyła się do okna, by pooglądać szpaki z bliska.

– Niedługo wiosna – obwieściła swoim ciepłym głosem. – Zawsze mnie cieszą zmiany, które przynosi ciepły wiatr. Mam nadzieję, że i w tym roku nadejdzie dla nas jakaś nowa nadzieja.

– No właśnie, tak... – Odchrząknął ponownie Zawilski. – Szanowni państwo... Pozwolą państwo, że będę kontynuował... Otóż mój mocodawca jest skłonny przekazać każdemu z państwa mieszkanie na własność, nieodpłatnie i bez żadnych roszczeń, ale pod jednym ściśle określonym warunkiem...

– Jakim? – Tym razem przerwała Sylwia.

– W zamian za dobry uczynek.

– Że co?! – wykrzyknął Nowacki.

Inni także mieli miny, z których wynikało, że nie bardzo rozumieją, co notariusz właściwie im zaproponował. Tylko Klara Pieniążkiewicz wyciągnęła z torebki resztkę precla, otworzyła okno i zaczęła sypać okruszki ptakom.

– Tak zapisał mój mocodawca. Literalnie. Każdy z państwa jest zobowiązany do spełnienia dobrego uczynku w zamian za prawo do mieszkania w kamienicy – wyjaśnił prawnik.

Nowacki wybuchnął śmiechem.

– Cudownie! Odniosę pani Pieniążkiewicz zakupy lub wyprowadzę psa Olesińskich na spacer i mogę się zgłosić do pana po akt własności? Rozumiem, że pański klient oszalał, ale bardzo mi się to podoba. Chyba że tkwi w tym jakiś haczyk?

– Na pewno – mruknęła Marta. – Nikt nie rozdaje mieszkań za darmo albo za przeprowadzenie staruszka przez ulicę. Niech pan będzie poważny, panie Jacku. To na pewno jakiś podstęp.

– Czy mógłby nam pan to dokładniej wytłumaczyć? Podejrzewam, że donator obwarował swoją darowiznę dodatkowymi warunkami, a zatem chciałabym je poznać. – Ofelia podeszła bliżej do stołu, a Zawilski spojrział na nią z wdzięcznością. Wśród tego kłótniowego towarzystwa zapewne wydała mu się jedyną rozsądną osobą.

– Tak, łaskawa pani. Oczywiście są warunki.

– Wiedziałam – triumfalnie orzekła Marta. – Nic nie spada z nieba, to nie bajka. Od razu podejrzewałam w tym szwindel!

– Może pozwólmy powiedzieć panu Zawilskiemu, o co chodzi – odezwała się Helena.

– Dziękuję pani. Już przechodzę do sedna. To nie są żadne wygórowane warunki, nie kryją się w tym też pułapki – wyjaśnił notariusz. – Mój mocodawca wszystko wyszczególnił. Dobry uczynek ma być znaczący i ważny dla osoby, która go podejmuje. Ma w jakiś sposób zmienić jej życie i życie osoby, dla której ten uczynek jest spełniany. Co oczywiste, nie może to być wyniesienie śmieci, umycie samochodu czy przypilnowanie dziecka. Raczej sprawa fundamentalna, od której bardzo wiele zależy. Najlepiej taka, z którą od lat nie mogą się państwo uporać, leży nierozwiązana, a teraz czas ją załatwić.

– Mój Boże – jęknął Olesiński. – Toż to nie jest żaden dobry uczynek, a cała kruczjata

dobra!

– Bardzo trafne określenie, panie Jeremi. – Ucieszył się Zawilski. – Coś podobnego napisał mój mocodawca. Jego celem jest, by wasze działania pozostawiły jak najwięcej widocznego dobra. Trwałego i zauważalnego. Co więcej – nie mogą to być działania wymuszone i pod presją. Sami macie chcieć się zmieniać i spełnić ów dobry czyn.

– No nie. To ja wysiadam. – Skrzywił się Nowacki. – Wolę zapłacić za to mieszkanie, niż brać udział w czymś równie groteskowym.

– Ale dlaczego? Przecież to bardzo szlachetny pomysł – włączyła się Zuzanna, która już od dłuższej chwili stała w otwartych drzwiach i uważnie słuchała rejenta. Donacja bardzo się jej podobała. Musiała przyznać, że tajemniczy mocodawca Zawilskiego miał fantazję.

– Szlachetny? – powtórzył kpiąco Nowacki. – Co szlachetnego jest w tym, że mam się teraz przed wami płaszczyć, żeby dostać mieszkanie? Mam wam schlebiać i podlizywać się, usiłując coś dla was zrobić...

– Nie musi pan robić nic dla nas. Przynajmniej ja to tak zrozumiałam – wyjaśniła Sylwia.
– Uczynek ma być raczej ważny dla pana i dla kogoś z pańskiego życia. Czy nie tak, panie rejencie?

– W rzeczy samej, szanowna pani. Taką instrukcję dał mi klient. Jeśli jest pan winien komuś jakies zadośćuczynienie, jeżeli czuje pan, że trzeba dla kogoś zrobić coś pożytecznego, coś rozliczyć, naprawić lub po prostu wyciągnąć rękę z pomocą, proszę to zrobić. Wielką rzeczą, która sprawi nie tylko tej osobie, ale i panu przyjemność.

– No dobrze, proszę pana – wtrąciła się Miranda. – Wiadomo, dobre czyny mają różną wagę. To, co dla jednego jest milowym krokiem, dla drugiego wydaje się drobnostką. W jaki sposób będziemy mogli ocenić, że dokonaliśmy tego właściwego dobrego uczynku?

– Znakomite pytanie, miła panno! I na to mój mocodawca udzielił odpowiedzi. Mam nadzieję, że będzie nią pani usatysfakcjonowana. Otóż, to państwo mają poczuć, że to właśnie jest ten ważny dobry czyn. Że coś się w was i wokół was zmieniło. Że nadszedł przełomowy moment w waszym życiu.

– Fantasmagorie – ironizował Nowacki. – Pański mocodawca bawi się w idealistę naszym kosztem! Czy on nie zdaje sobie sprawy z tego, że w obliczu tak wysokiej stawki, jaką jest mieszkanie, ludzie będą oszukiwać? Zrobią wszystko dla otrzymania upragnionego lokalu. Będą wmawiać wszystkim, że przeżyli oczyszczenie, bo pomogli w schronisku piętnaściorgu bezdomnym kotom i przekopali przydomowy ogródek, w którym cudownie zakwitły kwiaty. Pański klient da im z pocałowaniem w rękę akt własności, a oni będą się śmiać w kułak, że tacy cwani.

– Strasznie jest pan cyniczny. – Pokręciła głową Zuzanna, która właśnie wróciła z dziećmi do gabinetu. Jaś wyraźnie się opierał i zaczynał marudzić. – A może dla kogoś pomoc bezdomnym zwierzętom to właśnie taki akt oczyszczenia, skąd pan wie? – Starła się uspokoić synka, który już trochę popłakiwał.

Wiedziała, że jeśli spotkanie wkrótce się nie zakończy, będzie miała problem z opanowaniem dzieci, toteż rozdrażniały ją cze dyskusje z sąsiadem. Na szczęście na pomoc przyszła jej Miranda, która zaczęła stroić zabawne miny do maluchów. Buzia Jasia rozpogodziła się, a Basia roześmiała się w głos.

Poirytowało to wyraźnie Jacka, który dodał zniecierpliwionym tonem:

– O, pewnie pani ułożyła już sobie w głowie łatwy plan zdobycia tej pracowni na strychu. Mały nakład pracy, trochę poświęcenia i... lokal na koncie.

Zuza nawet tego nie skomentowała, zajęta bliźniętami.

– Panie Jacku, nawet gdyby ktoś zachował się nieuczciwie, to chyba jest sprawa jego

sumienia, prawda? – wtrąciła Sylwia. – Wydaje mi się, że nie powinien pan rozliczać innych z ich intencji, tylko myśleć raczej o swoich!

– No proszę, widzę, że i pani dołącza się do tego chóru – zaperzył się Nowacki. – Panią uważałem raczej za uczciwą – dodał. – Teraz to już kompletnie nie wiem, komu mogę zaufać.

– Lepiej jest ufać ludziom. – Niespodziewanie do rozmowy włączyła się Klara Pieniążkiewicz. – Tak jest wygodniej.

– Pan Jacek ma trochę racji – stwierdził Olesiński. – Kto będzie weryfikował te uczynki? Rozumiem, że nasze sumienie, ale powiedzmy sobie szczerze: ludzie jednak nie są aniołami...

– No właśnie – odezwała się jego żona. – Musimy zapobiec nadużyciom. Ten pomysł jest już dostatecznie dziwny i powiedziałabym dosyć niezręczny...

– Dłaczego zaraz niezręczny? – Helena miała inne zdanie na ten temat. – Moim zdaniem, po prostu fantazyjny!

– Drodzy państwo... – upomniał ich Zawilski. – Rozumiem emocje, ale dokończmy najważniejsze sprawy. Mój mocodawca pomyślał i o sposobie weryfikacji. Zostanie powołana komisja, która oceni, czy dobry uczynek spełnia kryteria, jeżeli mogę to tak urzędniczo ująć...

– Kto wejdzie w jej skład? – Chciał wiedzieć Nowacki, mocno już zniecierpliwiony. Zawilski zatoczył ręką koło.

– Wszyscy państwo. To będzie instytucja demokratyczna. Werdykt zostanie podjęty większością głosów. Na czele komisji stanę ja, bo tak polecił mój mocodawca, i wskazana przez niego osoba...

– Czyli kto? – drażył Jacek.

Notariusz chwilę mierzył spojrzeniem każdą z twarzy.

– Pani Klara Pieniążkiewicz.

Spojrzeli na starszą panią, która znowu usiadła na swoim krześle i, jakby dystansując się od całej sprawy, otworzyła torebkę i zaczęła przeglądać jej zawartość.

– Chyba pan żartuje! – Wyrwało się Olesińskiej.

– Wcale nie. Takie jest życzenie mojego mocodawcy. Pani Pieniążkiewicz jest najstarszą mieszkanką państwa domu, choć oczywiście niestosownie o tym wspominać, i bardzo szanowaną...

– Ona ma kuku na muniu!

Nowackiemu najwyraźniej puściły nerwy.

Jego pełnomocnik załamał ręce, a Helena zgromiła go spojrzeniem.

– Przymknij się, Jacek – syknęła.

– Uznam, że tego nie słyszałem – odezwał się pogodnie Zawilski. – Zatem mamy wszystko ustalone: wyrażają państwo zgodę na taki układ – przekazanie mieszkań w zamian za dobry uczynek, którego trzeba dokonać w przeciągu dwóch lat od momentu podpisania zobowiązania, czyli od dzisiaj. Pozostaje nam złożyć podpisy pod aktem. Zaraz udostępnię kopie dokumentów, żeby mogli się państwo zapoznać ze wszystkimi warunkami.

– Czy to podlega jakimkolwiek negocjacom? – zapytała nieoczekiwanie Ofelia.

Zuzanna spojrzała na nią ze zdziwieniem. Siostra Heleny była blada i na czoło wystąpiły jej drobne kropelki potu.

– Niestety, szanowna pani. Można podpisać lub nie, czyli wycofać się z całej inicjatywy, ale tym samym stracić szansę na lokal.

– Rozumiem... – Wyciągnęła z torebki chusteczkę, którą otarła czoło.

Sylwia zaczęła jej coś szybko szeptać do ucha.

– No właśnie, lokal... – Nowacki w żadnym wypadku nie zamierzał składać broni. – Czy w zamian za pralnię w podwórku musimy spełniać dodatkowy dobry uczynek? A może dwa lub

trzy?

Zawilski spojrział na niego z przyganą. Sięgnął do swoich papierów i chwilę czytał z uwagą.

– Mój mocodawca nie pozostawia wobec tej sprawy najmniejszych wątpliwości. Pralnia nie może stracić swego dotychczasowego charakteru. A pralnia, drogi panie, to w pierwszym rzędzie mydło.

Helena aż pisnęła z radości i rzuciła się, żeby uściskać starego prawnika. Ten, najwyraźniej nieprzyzwyczajony do takich awansów ze strony kobiet młodszych od niego przynajmniej o połowę, stał sztywno, jakby połknął kij.

– Bardzo mi miło, droga pani, naprawdę. – W zakłopotaniu poprawił krawat.

– Gdzie to jest napisane? – Nowacki także przepychał się do stołu.

Zawilski bez słowa wskazał mu odpowiedni ustęp w dokumentach. Jacek wraz ze swoim pełnomocnikiem pochylili się nad papierami.

– Oburzające – skomentowała Marta. – I w dodatku Klara Pieniążkiewicz będzie przewodniczyć. To jakaś farsa.

– Czy zostaną wyznaczone terminy zebrań? – Chciała wiedzieć Zuzanna, bardzo zadowolona, że wszystko zmierza ku końcowi. Stanowczo powinna już nakarmić dzieci i położyć je na drzemkę.

– Nie. Zbierzemy się, gdy zajdzie taka konieczność. Omówimy wówczas sprawę, podsumujemy dobre uczynki, a ja wydam państwu akty własności. Tak ma to działać według pomysłu mojego mocodawcy.

Zuzanna skinęła głową.

Klara Pieniążkiewicz melancholijnie przyjrzała się dokumentom.

– Sarunia Mincer... Była śliczną dziewczynką z jasnymi lokami. Wszyscy zginęli w getcie na Podgórzu, w tej przeklętej fabryce czekolady – powiedziała szeptem.

– Pani Klaro, mecenas wspominał, że rodzina Mincerów zginęła w obozie – wyjaśniła cicho Miranda.

Klara machnęła ręką.

– Być może to była inna dziewczynka. Tyle ich umarło, mój Boże. Jaka ta wojna była straszna. Dobrze, że wy jej nie pamiętacie, moje kochane. Czy wszystko już uzgodniliśmy, panie rejencie, w sprawie kamienicy? Przyznam się, że trochę się wyłączyłam i nie bardzo wiem, o co chodzi, ale podpiszę tam, gdzie pan wskaże...

Jacek Nowacki tylko przewrócił oczami, żeby dać wszystkim do zrozumienia, iż jakiś szaleniec zesłał im chyba przewodniczącą w osobie Klary Pieniążkiewicz.

– Zapraszam zatem państwa do siebie. Jeżeli ktoś potrzebuje dodatkowych konsultacji, służę pomocą. Można się spokojnie zastanowić przed podpisaniem tego porozumienia – łagodnym i ciepłym głosem wyjaśniał Zawilski, rozkładając dokumenty na stole.

Zuzanna postanowiła jak najszybciej zatelefonować do Edmunda, aby wszystko mu opowiedzieć. Trzeba się było też naradzić, jaką decyzję podejmą w sprawie tej umowy. Młoda kobieta była pewna, że powinna ją podpisać. Basia jednak zaczęła popłakiwać, więc matka zajęła się przede wszystkim uspokajaniem córeczki. Telefon musiał poczekać.

Niespodziewanie w kierunku stołu przepchnęła się Ofelia Jakubowska.

– Proszę mi powiedzieć jedno. Kto jest pańskim mocodawcą? Ja muszę to wiedzieć!

– Niestety, szanowna pani. Jego nazwisko ma pozostać tajemnicą aż do momentu przekazania mieszkań na państwa własność. Mój klient nie chce wdzięczności, pragnie pozostać anonimowy...

– Pan nie rozumie... Tu nie o wdzięczność chodzi! Ja po prostu muszę to wiedzieć, to dla

mnie ogromnie ważne!

Ofelia wyglądała dziwnie. Gdyby nie cała sytuacja, można by uznać, że prezentuje się dokładnie tak, jak jej szekspirowska imienniczka w słynnej scenie obłędu. Miała coś niepokojącego w oczach, bladą twarz, a ręce jej się trzęsły. W niczym nie przypominała samej siebie – kobiety trzeźwej i opanowanej.

– Co ci jest, Fela? – Nie rozumiała Helena, która zbliżyła się do siostry.

– Milcz, Heleno! – Sylwia zareagowała nieco zbyt gwałtownie. – A ty, Ofelio, uspokój się. Te dziwne wydarzenia dzisiejszego dnia wytrąciły cię z równowagi.

– Wszystko jest w porządku, mamó. Ale należą mi się wyjaśnienia od pana Zawilskiego. Jestem przekonana, że jeśli tylko okaże dobrą wolę...

– Szanowna pani, nie jest moją intencją pani obrażać czy denerwować. Otrzymałem jednak szczegółowe instrukcje od mojego mocodawcy. A w ich myśl nie wolno mi zdradzić jego tożsamości. Jeszcze nie teraz. Na razie ja występuję jako ustanowiony pełnomocnik i to ja podpiszę z państwem umowy. Zapewniam, że wszystko jest zgodne z prawem, co na pewno potwierdzi obecny tu mecenas Winkler.

Wezwany do odpowiedzi prawnik Nowackiego tylko kiwnął potakująco głową.

– No dobrze, ale czy w takim razie nie może mi pan choć powiedzieć, gdzie on mieszka? Czy nie przypadkiem w Paryżu? – nalegała Jakubowska pełnym emocji głosem.

Zawilski obruszył się.

– Nie mogę wyjawić ani nazwiska tej osoby, ani jej miejsca zamieszkania, ani nawet płci. Skąd podejrzenie, że to mężczyzna?

– Niech pan nie udaje, panie rejencie. Jestem przekonana, że to mężczyzna – gorączkowała się Fela.

Sylwia postanowiła przerwać tę bezowocną wymianę zdań. Zawilski był nieprzejednany, a inni mieszkańcy kamienicy przy Gwiazdzistej przyglądali się jej córce z jawnie kpiącymi uśmiezkami.

– Ofelio, myślę, że pan rejent wyraził się wystarczająco jasno. Wszelkie dane będą dostępne przy podpisywaniu aktu notarialnego.

– Tak właśnie życzy sobie donator. I jak już powiedziałem, można się na to zgodzić lub nie, tracąc wówczas prawo do lokalu. Nie oznacza to jednak, że w zamian może przystąpić do tej nietypowej rywalizacji ktoś inny, wskazany przez państwa. Absolutnie! Umowa dotyczy tylko osób znajdujących się w tym pomieszczeniu. Z jednym znaczącym wyjątkiem.

– Jakim? – zainteresował się Nowacki zaglądający swemu prawnikowi przez ramię. Marek Winkler był zajęty studiowaniem umowy i objaśnianiem niektórych punktów Marcie Olesińskiej, która najwyraźniej zrobiła na nim pewne wrażenie.

– Profesora Edmunda Stanisławskiego. On także ma się włączyć w nasze działania, co wyraźnie zaznaczył mój mocodawca w dokumentach, które mają państwo przed sobą.

Zuzanna rzuciła okiem na papier, który jej wręczono, ale wciąż nie mogła go przeczytać, bo absorbowały ją dzieci. Spojrzała więc tylko na listę osób wezwanych do udziału w spełnianiu dobrych uczynków w zamian za prawo do mieszkania. Obok jej nazwiska widniały tam bez wątplenia dane jej ojczyma. Poprosiła Helenę o przypilnowanie dzieci, zajętych soczkami, które matka wyciągnęła z torebki, i wyszła zadzwonić do profesora. Nie mogła tego już dłużej odkładać.

– Czy to sprawiedliwe? – zgłosiła zastrzeżenie Miranda, która od pewnego momentu nie odzywała się wcale, tylko z uwagą studiowała swoją kopię dokumentu.

– Co ma pani na myśli? – zaciekawił się Zawilski.

– Mam wrażenie, że rozumiem intencję donatora. Chodzi mu o to, aby w tej przygodzie

wzięły udział wszystkie osoby aktualnie mieszkające w naszej kamienicy, z wyjątkiem dzieci Zuzanny Lorenc, ale to chyba oczywiste, biorąc pod uwagę ich wiek. W związku z tym wydaje mi się, że niesprawiedliwe jest włączanie w to profesora, który przebywał tu bardzo dawno temu i właściwie nie ma nic wspólnego z naszym domem poza faktem, że wciąż nominalnie zajmuje pracownię.

– Z pewnych względów ma pani słuszność, ale nie do końca. Jak to mówią – diabeł zawsze tkwi w szczegółach. Donator ma prawo sporządzić zapis, tak jak zechce, prawda? – Uśmiechnął się Zawilski. – To bardzo szlachetne, że nie wspomniała pani, iż niesprawiedliwy może wydawać się także fakt, że w przypadku pań aż cztery osoby zostały zaproszone do udziału, a reprezentacja innych mieszkań jest mniejsza...

– To mnie zupełnie nie dziwi. Każdy, kto mieszka, powinien się wykazać, poza tym my zajmujemy aż dwa lokale. Tak, to rozumiem, ale dlaczego profesor? Co do niego mam wątpliwości. – Pokręciła głową Miranda.

Marta skrzywiła się.

– A ja mam generalną wątpliwość. Dlaczego mamy to robić wszyscy? Mieszkanie ma głównego lokatora, więc niech on spełnia te... dobre uczynki. Moim zdaniem jedna osoba powinna wystarczyć.

– Nie wystarczy, bo życzenie mojego mocodawcy jest inne. Wszystko zapisano we wskazówkach, na które mogą się państwo zgodzić lub je odrzucić – cierpliwie tłumaczył Zawilski. – Ta umowa nie podlega negocjacom.

Zuzanna, która wróciła do gabinetu po rozmowie z ojczymem, zdała sobie sprawę, dlaczego do tej sprawy został wybrany ktoś taki, jak stary prawnik. Właśnie ze względu na jego spokój i opanowanie. Oczywiście było, że tak dziwna propozycja wywoła nie tylko mnóstwo wątpliwości, ale i głosów sprzeciwu. Tylko osoba dysponująca pokładami dobrych chęci mogła rozwiązać wszelkie problemy.

Edmund był zdumiony, gdy przedstawiła mu zaproponowane warunki. Początkowo chyba myślał, że to jakiś żart, ale obiecał przyjechać niezwłocznie do kancelarii. W końcu ta sprawa zaczęła dotyczyć go osobiście.

16.

– No i co państwo o tym sądzą? – odezwał się nerwowo Jacek Nowacki, gdy wyszli z kancelarii Zawilskiego.

Lokatorzy kamienicy przy Gwiazdziej skupili się na chodniku i rozmawiali między sobą z ożywieniem.

– Sam pan wie... Wszyscy podpisali dokument – mruknął Jeremi Olesiński i podrzucił w dłoń kluczyki od samochodu. – Może kogoś z państwa podwieźć?

– Ja bym chętnie skorzystała, gdyby był pan tak uprzejmy – odezwała się Klara Pieniążkiewicz.

Marta lekko się skrzywiła, ale tak, żeby sąsiadka tego nie zauważyła.

– Zrobiło się późno, powinnam chyba odpocząć – tłumaczyła się Klara, drepcząc za Olesińskimi, którzy skierowali się w stronę samochodu.

– My się raczej przejdziemy, prawda? – Sylwia zwróciła się do córek i wnuczki.

Helena skinęła głową, ale Ofelia wciąż miała nieobecny wyraz twarzy.

– Mogę panią zabrać – zadeklarował się Edmund, który bardzo szybko przybył do Zawilskiego. Z uczelni nie miał zresztą daleko.

– Nie ma takiej potrzeby. Zrobimy sobie spacer bulwarami i przez most. Jest ładna pogoda, nie powinno to być męczące – uznała Sylwia.

Miranda jednak nie miała przekonania do tego pomysłu.

– Babciu, co ty w ogóle mówisz? Prawie nigdy nie wychodzisz, a teraz chcesz sobie robić wycieczki? Jedź z panem profesorem, a my rzeczywiście pójdziemy pieszo. To jest najlepsze rozwiązanie.

– Tak, mamu, nie wydziwiał. To nie ma sensu, jeszcze nam padniesz po drodze – poparła siostrzenicę Helena. – Spacerki możesz sobie po ogródku robić, a nie na po bulwarach.

Sylwia westchnęła, ale posłusznie ujęła Edmunda pod rękę.

– Widzi pan? A taką miałam ochotę na przechadzkę.

– Może istotnie to zbyt intensywna trasa jak na początek – spokojnie wyjaśniał Stanisławski. – Podwoję panią z przyjemnością, a od jutra zacznę pani robić swoje wycieczki. Powoli będzie pani wydłużała dystans i wkrótce zajdzie pani na Kopiec Kościuszki.

– Oczywiście. Ja nie jestem mięczak, drogi panie. Trochę tylko osłabłam ostatnio przez ciągle siedzenie w domu. Teraz jednak muszę zacząć trenować, skoro mamy spełniać te uczynki. Dobra forma na pewno będzie konieczna. A tak w ogóle, to co pan o tym wszystkim sądzi, panie profesorze?

Edmund westchnął, pomagając Sylwii zająć miejsce z przodu w swoim aucie. Zuzanna odjechała z dziećmi wcześniej, jeszcze zanim ojczym po dłuższej rozmowie z notariuszem podpisał dokument. Maluchy były umęczone długim spotkaniem, a w samochodzie Stanisławskiego nie było przecież fotelików. Wezwała więc taksówkę, która miała takie wyposażenie.

– Powiedzieć, że to dziwna historia, to niewiele powiedzieć – stwierdził filozoficznie profesor, gdy już się usadowił za kierownicą.

Werde odwróciła się w jego kierunku z zaciekawieniem.

– No, ale zgodził się pan.

– Pani też!

– Mam nadzieję, że nie uważa pan, iż zrobiłam to z chciwości. Oczywiście, nie przeczę, zależy mi na tym mieszkaniu, bo nie chciałabym opuszczać go na stare lata, ale nie w tym tkwi istota problemu...

– A w czym? – zaciekawił się, skracając w Powiśle.

Starsza pani chwilę wpatrywała się w krajobraz za oknem, a potem skinęła głową, jakby zgadzając się z własną myślą:

– Jestem ciekawa, co z tego wszystkiego wyniknie. O co tak naprawdę chodzi. Czego spodziewa się ten tajemniczy darczyńca.

– A nie obawia się pani, że może się za tym kryć coś niecnego? – Profesor był zaintrygowany jej niefrasobliwością.

– Niby co? Mieszkania chyba nam nie zabierze, bo i tak mógłby to zrobić w każdej chwili, skoro jest właścicielem... – Poruszyła ramionami staruszka.

– No właśnie. Tego nie wiemy na pewno. Pojawił się tajemniczy ktoś, kto rości sobie prawa do tej kamienicy, nie pokazując nam żadnych wiarygodnych dokumentów, bo ukrywa swoją tożsamość. I jak mamy mu zaufać? Równie dobrze ja mogę udawać anonimowego właściciela Wawelu i podpisać z panią umowę darowizny zamku.

– No niech pan nie będzie taki podejrzliwy. Ten notariusz ręczy swoją powagą i praktyką. Podpisaliśmy umowę z jego kancelarią i, jak mniemam, możemy go zaskarżyć, gdyby wyszła na jaw jakakolwiek nieuczciwość. Myślę, że wszystko jest w porządku, tylko... dosyć nietypowo załatwiane. Zresztą, panie profesorze, co nam szkodzi spróbować? Chyba raczej nic na tym nie możemy stracić, czyż nie?

– Racja. Faktycznie, ryzyko nie jest wielkie. Można to uznać za rodzaj gry. – Zgodził się nieoczekiwanie Edmund.

– I to gry o wielkie dobro. Myślę, że ten donator to jakiś idealista, fantasta, człowiek z innej epoki. Podoba mi się. Powiem więcej – już go lubię! Sprzedać, rozdać może każdy, ale wymyślić coś takiego... To naprawdę musi być ktoś nietuzinkowy! – emocjonowała się tymczasem starsza pani.

Zatrzymali się przed domem na Gwiazdzistej. Stanisławski popatrzył na kamienicę zupełnie inaczej niż zwykle. Teraz kryła w sobie tajemnicę. Miał jednak wrażenie, że nie był to

żaden mroczny sekret, tylko coś przyjemnego.

– Napije się pan u nas kawy albo herbaty? – Sylwia wyrwała go z zamyślenia.

Edmund odmówił z uśmiechem. Chciał sprawdzić, jak postępują ostatnie prace wykończeniowe w pracowni, bo w końcu w świetle najnowszych informacji remont mieszkania nabierał zupełnie nowego sensu. Zamierzał też się zorientować, czy u Zuzy wszystko w porządku, no i pomóc jej przy dzieciach.

Przed bramą Sylwia pożegnała się więc serdecznie:

– Dziękuję za podwiezienie i towarzystwo. I niech pan pamięta: ten dziwny dzisiejszy dzień i to wyzwanie mogą być początkiem niewiarygodnych przemian. Po prostu czuję, że tak będzie. W tym musi tkwić jakiś głębszy sens.

– Niewiarygodna przemiana – relacjonował tę rozmowę pasierbicy, gdy po chwili do niej zajrzał. – Jakoś trudno mi w to uwierzyć. Oczywiście imponuje mi fantazja naszego dobroczyńcy, ale zastanawiam się, czy biedaczyna się nie przeliczy.

– Co masz na myśli? – Nie rozumiała Zuza, która zdążyła przebrać już dzieci, umyć im rączki, a teraz podgrzewała dla nich solidniejszy posiłek.

– Cóż, znam się na ludziach. Zaraz się zaczną żreć między sobą. Wyobrazasz sobie obrady tej komisji od dobrych uczynków? Bo ja zupełnie nie. Ciekawe, na jakich zasadach będzie się odbywało zatwierdzanie tych zadań.

– Słyszałeś: demokratycznie. Będzie decydować większość.

– Prawda jest taka, że większość to mają same panie Werde. Ten restaurator z parteru na pewno zgłosi veto do takiego sposobu liczenia głosów.

Młoda kobieta pokręciła głową.

– Okropnie jesteś nieufny. Skąd takie podejrzenia?

– Nie bądź dzieckiem, Zuziu. Gdy pojawiają się do podziału pieniądze lub w grę wchodzi jakiś majątek, górę biorą najgorsze instynkty. Nagle okazuje się, że jest o co walczyć i w imię czego rzucać sobie kłody pod nogi. Już widzę, jak będą wydziwiali przy akceptacji tych wymaganych dobrych uczynków – szczególnie ten cały Nowacki i małżeństwo biznesmenów.

– Może nie. Rozumując w ten sposób, muszą się liczyć z tym, że sąsiedzi odpłacą im pięknym za nadobne. Lepiej więc, żeby uważali na swoje intrygi. – Roześmiała się Zuzanna.

Profesor pokręcił w zdumieniu głową.

– Dość żartobliwie do tego podchodzisz...

– Ciekawi mnie ta zabawa. Traktuję tę sprawę w kategoriach przygody. Podobnie jak pani Sylwia uważam, że to rodzaj wyzwania, coś w stylu harcerskich podchodów, w których należy zdobyć jakąś sprawność. Może nauczyć się czegoś o sobie. Zdumiewa mnie przenikliwość naszego donatora.

– A jeśli on z nas po prostu kpi? Nie pomyślałaś w ten sposób?

Zuzanna postawiła przed dziećmi miseczki na stole. Basia jadła chętnie, ale Jaś najwyraźniej myślał już o drzemce, bo marudził. Edmund wyjął mu delikatnie łyżkę z dłoni i zaczął z uwagą karmić. Matka przyglądała się temu z uśmiechem.

– Mam wrażenie, że się boisz – wyznała po chwili.

– Niby czego? – obruszył się Stanisławski.

– Że musisz w tym wziąć udział. Nie jest to dla ciebie komfortowa sytuacja. I zastanawiam się, dlaczego.

– Oczywiście, że to nie jest wygodne. Ktoś zmusza mnie do zabawy – jak to ładnie ujęłaś

– na którą nie mam ochoty. Jestem poważnym człowiekiem, kiedyś się mówiło: „na stanowisku”, a mam się zachowywać jak dzieciak. – Wyrzucił to z siebie z pewnym rozdrażnieniem.

Pasierbica przyglądała mu się uważnie.

– Przepraszam cię bardzo, bo zapewne nie powinnam się wtrącać. Czy jednak nie chodzi o to, że uświadomiłeś sobie, iż twój dobry uczynek mógłby wiązać się... z mamą?

– Co właściwie masz na myśli? – Ojczym spojrział na nią prawie wrogo.

– No wiesz, donator wyraźnie dał do zrozumienia, że ma to być coś ważnego, co zmieni nasze życie. Tak sobie pomyślałam, że rozwiązanie waszych problemów na pewno odmieniłoby życie i twoje, i mamy.

– Nasze problemy już zostały rozwiązane. Ostatecznie. I masz rację: nie powinnas się wtrącać. – Był wyraźnie urażony. – Nie zamierzam zresztą dłużej o tym dyskutować. Idę na górę zobaczyć, jak postępują prace. Tak czy inaczej jest duża szansa na to, że nie stracimy tego lokalu, warto więc przyłożyć się do remontu.

Założył płaszcz i wyszedł.

Był zdenerwowany, co do tego Zuzanna nie miała wątpliwości. Była też pewna, że Edmund uświadomił sobie w kancelarii Zawilskiego prawdziwą intencję tajemniczego dobroczyńcy.

Pani Sylwia miała rację: chodziło o dużą rzecz, zmianę, jakiej należało poszukać w sobie. Wydarzenie, po którym nic już nie będzie takie samo.

A ja? Co ja powinnam zrobić?

Jej myśli automatycznie pobiegły w kierunku Leona. Co w jej przypadku byłoby naprawdę wielkim życiowym wyzwaniem? Pogodzenie się z Leonem? Zaakceptowanie jego egoizmu, wybaczenie mu i zapomnienie o wszystkim? A może wyciągnięcie ręki do jego żony i przeproszenie jej?

Zuzanna skrzywiła się. W ogóle nie postrzegała tych działań w kategorii dobrego uczynku, a już na pewno nie takiego, o jakim myślał mocodawca reagenta Zawilskiego.

Gdybym istotnie chciała zmienić coś w swoim życiu, to chyba powinnam zacząć od uzdrowienia relacji z mamą – medytowała, okrywając dzieci kocykami w łóżeczkach. To był długi dzień, a one sprawowały się wręcz wzorowo. Miała wyrzuty sumienia, że musiały spędzić tyle czasu na spotkaniu dorosłych, ale nie mogła przewidzieć, że wszystko tak się przedłuży.

Wróciła do swoich myśli.

Tak, dogadanie się z Łucją na pewno byłoby wyzwaniem. Po prostu *mission impossible*[10]. Czy to byłby dobry uczynek? Możliwe. Zuza dumiała nad tym chwilę, wciąż przyglądając się z czułością swoim śpiącym pociechom.

Powinnam pomóc Edmundowi w zdobyciu tego poddasza, tyle dla mnie zrobił – uświadomiła sobie. Ten osobliwy wyścig, osobliwy, bo każdy mógł w nim zwyciężyć, przestawał właśnie być dla niej tylko zabawą i ciekawostką. Zrozumiała, że także jest coś winna swojej rodzinie. Bo niepostrzeżenie zaczęła do niej zaliczać ojczyma.

Zapukała do drzwi sąsiadek. Otworzyła jej Miranda.

– Jesteś bardzo zajęta? Chciałam na chwilę pójść na górę i zobaczyć, jak toczy się remont, Edmund już tam jest. A bliźnięta zdrzemnęły się po obiedzie...

– Jasne, nie ma sprawy, zajrzę do Jasia i Basi z wielką chęcią. Właśnie skończyłyśmy gadać o tym notariuszu – przyznała dziewczyna.

Zuzanna podziękowała i szybko pobiegła na górę.

Praktycznie nie poznała poddasza. Wprawdzie była tu już kilkakrotnie i widziała, jak postępują prace, ale końcowy efekt był wręcz zdumiewający.

– Ależ cudownie! – Zachwyciła się szczerze.

Rafał aż się rozpromienił.

– No widzisz, Edmund, mówiłem ci, że jej się spodoba. Musisz jeszcze, Zuziu, zobaczyć

łazienkę. Na twoją cześć wprawiliśmy kilka płytek z oryginalnymi motywami w klucze wiolinowe.

Łazienka rzeczywiście wyglądała po prostu uroczo. Gdyby nie to, że Lorenc była pewna, że w tym przypadku nie zmieniła się wielkość pomieszczenia, uznałaby, że Rafał jakimś cudem powiększył to miejsce. Dzięki sprytnemu ustawieniu zmieściły się i wanna, i prysznic, umywalka oraz zupełnie spora szafa, w której mogła przechowywać ręczniki oraz akcesoria dla dzieci. Miała nawet wygodne krzesło i ładną toaletkę.

– Super! Jakie to wszystko funkcjonalne. – Nie mogła wyjść z podziwu.

– Prawda? Rafał ma talent do takich rzeczy – pochwalił profesor. – A zobacz, jak ci pięknie urządził kuchnię.

Aneks zrobiono w jasnych kolorach, żeby dodatkowo powiększyć przestrzeń. Sosnowe blaty nadawały pomieszczeniu swojskości i przytulności. Było tu nowocześnie, a z drugiej strony lekko nostalgicznie. Po modernizacji salon z czarującym kominkiem wcale nie stracił swego niepowtarzalnego uroku poddasza. Rafał postarał się, aby legary zostały odpowiednio wyeksponowane, zatem odmalował je na ciemno. Kontrastowały z nimi białe ściany i wspaniale odrestaurowana podłoga, zakonserwowana olejem. Było tu po prostu pięknie.

– No i wygospodarowałem dla ciebie sypialnię – przypomniał Rafał. – Jest maleńka, ale zawsze dobrze mieć taki kącik, do którego ci nikt nie zajrzy. Latem może tam być trochę duszno, ale cóż, takie są uroki mieszkania na mansardzie, najwyżej przeniesiesz się do salonu.

– Oczywiście – przytaknęła Zuzanna i weszła do pokoiku. Od razu i bezwarunkowo go pokochała. Nie była sentymentalna i w dzieciństwie nie marzyła o tym, aby być Anią z Zielonego Wzgórza, ale ta facjatka całkowicie skradła jej serce. Była po prostu idealnym miejscem do wypoczynku. Niewielkim i przytulnym, w którym Zuzanna od razu poczuła się u siebie.

Edmund też to zauważył.

– Bardzo kobiecy pokoik – stwierdził, zaglądając tam przelotnie. – Muszę ci przynieść tu jakiś mój obrazek z kwiatami albo pejzaż. Wpasuje się w to wnętrze.

– Lepiej jej podaruj to łóżko z metalowymi gałkami, co się kurzy na twoim strychu, będzie jak znalazł – zauważył Rafał. – W sam raz do babskiej sypialni.

– Masz rację. Tu pasuje idealnie, a ja i tak nie wiedziałem, co z nim zrobić. Jutro każę je dostarczyć, muszę tylko transport umówić.

– Bardzo dziękuję. – Zuzanna wzruszyła się. W duchu uznała właśnie, że w pokoju przydałoby się dokładnie coś takiego.

– Część pokoju znajduje się w narożniku budynku, stąd nietypowy kształt – tłumaczył tymczasem Rafał, bardzo zadowolony z efektu, jaki wywołała jego praca. – Masz tu niewielki wykusz, bardzo nastrojowy, moim zdaniem.

W istocie, pokoik miał swój urok właśnie dlatego, że nie był podobny do zwykłych pomieszczeń. Nierówny sufit w spadzie dachu, załomy ścian, okno tak inne niż wszędzie sprawiały, że sypialnia Zuzanny stawała się wyjątkowym miejscem. A Rafał bardzo się postarał, żeby tę wyjątkowość wydobyć. Delikatne pastelowe barwy harmonijnie współgrały z drewnianymi elementami. Zdecydowano o odsłonięciu niektórych belek i nadano im ciepły odcień olchy. Nawet lampa, którą Rafał wyszperał w składziku, dobrze tu pasowała ze swoim lekko spatynowanym kloszem z mlecznego szkła.

– Sprawileś się. – Stanisławski pogratulował współnikowi.

– Ja również tak sędzę. – Przytaknęła dziewczyna.

– Się cieszę – skomentował po swoim Rafał. – Jeszcze tylko kilka ostatnich poprawek, musimy sprawdzić kominek, trzeba wysprzątać i można z powrotem wносить graty. Sąsiadka się ucieszy, że zwalniasz jej mieszkanie.

– Mam nadzieję, że nie byłam dla nich wielkim ciężarem, ale to prawda – zawsze lepiej we własnym lokum – odparła Zuzanna, myśląc, że powinna jakoś podziękować wszystkim za życzliwość. – Posprzątam sama, dziękuję bardzo. Chciałam się wam jakoś odwdziżyć. Może dacie się zaprosić na kolację? Przyjdą też moje sąsiadki. Rafał, weź naturalnie narzeczoną, to może przekona się do domowej kuchni.

– Czemu nie. Kolację zawsze zjem chętnie, na pewno przyjdziemy. A ty, Edmund?

– Będzie mi bardzo miło – powiedział nieco sztywno, chyba wciąż jeszcze urażony wcześniejszą rozmową z Zuzanną.

– To może w najbliższy piątek? – Nie rezygnowała. Postanowiła nie zwracać uwagi na jego dąsy. Przypuszczała, że ojczym potrzebuje trochę czasu, żeby sobie to wszystko spokojnie ułożyć w głowie. W końcu także przeżył tego dnia poważny szok.

– Dobrze, pasuje mi – odparł krótko.

– Zapraszam na dwudziestą. Dzieci pójdą już spać, zatem będziemy mogli spokojnie porozmawiać.

– Jutro sprawdzimy, czy wszystko działa, i zakończymy prace. Gdybyś zauważyła jakieś usterki, zawsze możesz zadzwonić – pouczył ją Rafał. – Ale mam nadzieję, że nic nie nawali.

– Super, zaraz powiem Helenie, że za dwa dni zwalnim jej mieszkanie. – Ucieszyła się Zuzanna.

Miała wrażenie, że wszystko zaczyna się zupełnie nieźle układać. Ale nagle zmarszczyła brwi. No tak, pozostawała wciąż niezalutwiona sprawa z Leonem i ten dobry uczynek. Z tym też musiała się zmierzyć.

Pożegnała ojczyma i jego współnika, którzy chcieli się jeszcze naradzić nad jakimiś detalami, po czym zeszła do dzieci. Przez sąsiednie drzwi usłyszała podniesione głosy sąsiadek. Helena i Ofelia najwyraźniej się kłóciły.

– Co się dzieje? – dyskretnie spytała Mirandę, mając na myśli odgłosy dochodzące z korytarza.

– Mama i ciocia skaczą sobie do oczu. Helena wypomniała mamie dziwne zachowanie u prawnika i... zaczęło się.

– No właśnie. Wiesz, o co jej chodziło? Dlaczego tak bardzo chciała poznać tożsamość tego donatora? – zainteresowała się Zuzanna.

– Nie mam pojęcia. Mama z natury jest dość podejrzliwa. Może uważa, że to jakaś nieczysta sprawa?

– I jeśli pozna nazwisko, to wszystko się oczyści?

– No właśnie... Też mi się to wydaje nieracjonalne. Niepodobne do mamy. Ona jest zawsze taka... poukładana, zaś w tej sytuacji zachowuje się po prostu dziwnie.

– Tak samo jak mój ojczym – zauważyła Zuzanna.

Miranda spojrzała na nią z zaciekawieniem.

– Panu profesorowi też nie podoba się warunek umowy?

– Chyba uważa, że jeśli weźmie udział w czymś takim, to ucierpi na tym jego powaga – wyznała szczerze Lorenc. – Może sądzi, że człowiek z jego pozycją ośmiesza się, dokonując dobrych uczynków w zamian za zapis w testamencie?

– No, ale przecież chciałby zatrzymać tę pracownię, prawda? Zwłaszcza teraz, po remoncie.

– Oczywiście! Zależy mu na niej, więc znalazł się w sytuacji trochę bez wyjścia. Musi wziąć udział w tej grze, a nie ma na to ochoty – tłumaczyła pianistka. – Mój ojczym nie znosi, kiedy cokolwiek mu się narzuca, zwłaszcza coś tak niewygodnego.

– Wyjście ze strefy komfortu. Hela mi to kiedyś tłumaczyła. Ponoć to typowe

zachowanie. Buntujemy się przeciwko nowej sytuacji wcale nie dlatego, że postrzegamy ją jako złą czy potencjalnie zagrażającą, ale dlatego, że jej nie znamy. Boimy się czegoś, czego jeszcze nie doświadczyliśmy.

– Właśnie tak to widzę. Nie powiem mu jednak o tym, bo martwię się, że go jeszcze bardziej rozdrażnię.

– No, ale jeśli chcecie przejść tę pracownię, musicie oboje wziąć udział w zabawie, którą zaplanował dla nas ofiarodawca. To samo Helena mówiła mamie: czy jej się to podoba, czy nie, musi się przyłączyć. Inaczej wszystkie stracimy dach nad głową.

– No chyba tak źle nie będzie – powątpiewała Zuza. – Ten mocodawca Zawilskiego nie wydaje się być człowiekiem bez serca, inaczej nie wymyśliłby czegoś takiego. Przecież komuś może się nie udać doprowadzić dobrego uczynku do końca. I co wtedy? Na bruk? Nie sądzę. Myślę, że dobre chęci też będą doceniane.

– Po pierwsze, trzeba je mieć, a co do mamy nie jestem wcale tego pewna, a po drugie, przypominam ci, że decyduje cała rada. Wyobraź sobie Olesińskich czy Jacka, którzy doceniają dobre chęci. Wolne żarty, Zuziu. To na pewno będzie powód, żeby nie zaliczyć zadania.

– Nie mów tak, bo nie wiemy, co będzie – perswadowała Lorenc, sama nie do końca przekonana co do słuszności własnych słów. Scenariusz Mirandy wydawał jej się bardzo prawdopodobny.

– Wspomnisz moje słowa – złowróźnie rzuciła sąsiadka, zmierzając w stronę swego mieszkania, skąd wciąż dobiegały nerwowe głosy matki i ciotki.

– Nie będę cię zatrzymywać, to był ciężki dzień. – Zuzanna podziękowała za opiekę i już miała zamknąć drzwi tymczasowego lokum, kiedy przypomniła sobie o kolacji.

– Zapomniałam o najważniejszym. Remont dobiegł końca – całość wygląda super. Już pojutrze mogę się przenieść.

– Cudownie! Na pewno będziesz potrzebowała pomocy przy porządkowaniu i przeprowadzce. Ja jestem zawsze chętna – zapewniła Miranda.

– Dziękuję ci. Sama mogę wszystko posprzątać, ale miło by było, gdybyś mogła zająć się w tym czasie dziećmi.

– Nie ma sprawy, pomożemy obie z Heleną. Ona na pewno się uspokoi do tej pory. – Miranda ponownie spojrzała wymownie w kierunku drzwi. Głosy sióstr słyhać było na całej klatce. Tak, to już była prawdziwa awantura. Lorenc uznała, że najwyższy czas się wycofać.

– Jestem całej waszej rodzinie ogromnie zobowiązana. Chciałam zrobić małą kolację dla wszystkich, zapraszam serdecznie ciebie, Helenę, twoją mamę i babcię, do mnie w piątek na dwudziestą. Ugotuję coś wyjątkowego.

– O, będzie bajecznie! Mam nadzieję, że też zagrzasz? Uwielbiam, jak siadasz przy fortepianie! – Zachwyciła się Miranda.

Zuzannie zrobiło się ciepło na sercu.

– No jasne. A teraz jeszcze raz dzięki i dobrej nocy.

– Dla was też. – I Miranda z westchnieniem poczłapała do mieszkania, gdzie kłótnia trwała w najlepsze.

[10] *Mission impossible* (ang.) – misja niemożliwa do wykonania, przenośnie: sprawa, której nie da się załatwić.

17.

– Jak śmiesz mnie krytykować! Podajesz w wątpliwość moje wybory, kwestionujesz moją przyszłość i bez przerwy oceniasz. Jakie masz do tego prawo, skoro teraz, a dokładnie w tej minucie stawiasz pod znakiem zapytania całą naszą przyszłość – gorączkowała się Helena.

Ofelia zacisnęła wargi i przyjęła nieprzejednaną postawę.

– Przesadzasz. Jak zawsze zresztą. Od razu uderzasz w wysokie tony. Niczego nie stawiam pod znakiem zapytania. Po prostu mam szereg wątpliwości wobec tej sprawy.

– To jest to samo. – Upierała się jej rozmówczyni.

– Nie, nie jest. I dobrze o tym wiesz, ale wolisz dąsać się jak mała dziewczynka.

– A ty uważasz, że trzeba mnie obrazić i pokazać, gdzie jest moje miejsce. – Sprzeciwiła się Helena. – Zawsze tak poskramiałaś niewygodne osoby, prawda?

– Zawsze, nigdy, każdy, wszyscy – przedrzeźniała siostra. – Helu, zacznij wreszcie zachowywać się racjonalnie. Weź się w garść, pomyśl. Pojawia się jakiś rzekomy właściciel, tajemniczy dobroczyńca ofiarowujący coś, i to duże „coś”, praktycznie za nic...

– Wcale nie za nic, i ty najlepiej o tym wiesz – zaperzyła się ta druga. – Widziałam, jak bardzo się przejęłaś słowami prawnika. Dlaczego tak cię obchodzi tożsamość właściciela kamienicy? A może sądzisz, że go znasz? Domyślasz się czegoś? Chcesz go przekonać, żeby nie zmuszał cię do zmiany życia, bo nie jesteś do tego po prostu zdolna?

– Bezczelna! – Ofelia powiedziała to pobielającymi z gniewu wargami.

– Lubisz oceniać ludzi, ale rzadko kierujesz wzrok na siebie. A szkoda, bo mogłabyś dostrzec niejedną rzecz wymagającą poprawy – szydziła Helena.

– Nie będę z tobą rozmawiała, jesteś agresywna. – Jakubowska uderzyła ręką w stół. – Za mało cię dyscyplinowałam w dzieciństwie i dlatego taka jesteś. Mama zawsze była wobec ciebie zbyt pobłażliwa.

– Ty akurat miałaś najwięcej do powiedzenia w kwestii mojego wychowania – odcięła się

siostra.

Nagle do pokoju wkroczyła Sylwia, a z nią cichutko wsunęła się Miranda.

– Klóćcie się jak przekupki, słyhać was aż na korytarzu – skarciła je pani Werde. – To nie uchodzi.

– To nie ja zaczęłam. To ta smarkata, ona zawsze mnie wyprowadzi z równowagi – mruknęła Ofelia, wskazując brodą na siostrę.

Była zdenerwowana, miętosila w ręku chusteczkę.

– Musisz się pogodzić z faktem, że Helena jest dorosła i też ma coś do powiedzenia w tym domu – wyjaśniła matka. – Nie wolno ci lekceważyć jej zdania.

– A ona może lekceważyć moje? Obrażać mnie? We wszystkim ją popierasz i zawsze jej bronisz. Co takiego musiałaby zrobić Helena, żebyś nie stanęła po jej stronie? Może kogoś zamordować? – Najstarsza córka nie panowała już nad sobą.

– Proszę cię, kochanie. Jesteś zdenerwowana. Nie rozmawiajmy tym tonem – próbowała mitygować Sylwia.

– Mamo, chodzi przecież o coś zupełnie innego – włączyła się Miranda.

Rodzicielka odwróciła ku niej rozgniewaną twarz.

– No tak, mogłam się spodziewać, że i ty dołączysz do tego chórk. Zawsze jesteście przeciwko mnie. Co wam takiego zrobiłam? Czym zawiniłam?

– Nie bądź taka melodramatyczna. – Młodsza pani Werde prychnęła. – Z twoich słów by wynikało, że cię nienawidzimy.

– Właśnie takie odnoszę wrażenie. Że jestem obca w tej rodzinie. Wy się dobrze rozumiecie, macie swoje sprawy, szepczecie po kątach, śmiejecie się ze mnie...

– Śmiejemy? Nie przesadzaj! – Helena przyjrzała się siostrze ze zdumieniem.

Jakubowska usiadła bliżej:

– Owszem. Wydaje mi się, że naśmiewacie się z faktu, że jestem zorganizowana i staram się trzymać wszystko w ryzach. Ty, Heleno, i niestety Miranda również, przypominacie takie „boże ptaszki”, najchętniej żyłybyście chwilą, pięknem i bez troską.

– No, szczerze mówiąc, pokaż mi, Felu, człowieka, który by nie chciał żyć w ten sposób.

– Roześmiała się siostra i to rozładowało sytuację.

Ofelia spojrzała na nią i przetarła czoło ręką. Jej napięta twarz lekko się odprężyła.

– Może macie rację: to jest śmieszne... Może i ja jestem śmieszna – powiedziała z rezygnacją.

– Nikt się z ciebie nie śmieje. – Pospieszyła z zapewnieniem Helena. – Owszem, czasem mówimy między sobą, że jesteś trochę sztywna, no, ale... Ty taka jesteś...

– Mamo, przecież my cię taką właśnie kochamy, uwierz w to – wyznała Miranda.

Widać było, że rodzicielka wcale nie jest do tego przekonana.

– Naprawdę nie chcę się klócić – zapewniła.

– Jakoś słabo dajesz temu wyraz. – Skrzywiła się młodsza siostra.

– Helenko, nie zaczynaj znowu, proszę – przestrzegła ją Sylwia. – Miranda w jednym ma rację: zamiast się klócić o rzeczy poboczne, czyli kto kogo denerwuje w tej rodzinie, trzeba zastanowić się nad najważniejszym. Co mamy dalej robić?

– Nie mam pojęcia – wyznała szczerze najstarsza córka. – Cała ta historia kompletnie mnie wytrąciła z równowagi.

– Zuzia to samo mówi o swoim ojczymie – przypomniała Miranda. – Że profesor okropnie się zdenerwował tą sprawą.

– O, a dlaczego? – zaciękała się jej ciotka.

– Zuzia ma taką teorię, że Stanisławski obawia się, iż uczestnictwo w czymś takim odbije

się na jego pozycji zawodowej, wiecie: ludzie będą się z niego natrzęsać.

Jej matka kiwnęła głową.

– Doskonale go rozumiem. Dobre uczynki. Kiedy byłam mała, w telewizji puszczała taki program „Niewidzialna ręka”, w którym harcerze anonimowo pomagali starszym i chorym ludziom: a to przynieśli węgiel, a to wytrzepli dywan czy naprawili ławkę. A potem zostawiali czarny znak ręki odbity na kartce. Od razu mi się to skojarzyło. Ja się zupełnie do czegoś takiego nie nadaję. Gdyby moje koleżanki z biura się dowiedziały albo naczelnik... Zabiliby mnie śmiechem...

– Fela, ale czym ty się właściwie przejmujesz? Już nie wspomnę, że nikt nie musi o tym wiedzieć, ale przecież nie robimy nic złego! – Nie rozumiała siostra. – To jest bardzo szlachetna akcja.

– Właśnie, mamó. – Miranda przytaknęła na te słowa. – No i nie chodzi o żadną niewidzialną rękę. To ma być coś poważniejszego niż naprawienie ławki.

– I to mnie właśnie martwi. Cała ta banda, Nowacki i Olesińscy będą mnie oceniać, czy zrobiłam coś dobrego, czy nie. To upokarzające, chyba nie potrafię się na to zdobyć.

– Musisz – odezwała się niespodziewanie Sylwia.

Wszystkie trzy spojrzały na nią ze zdumieniem. Starsza pani skinęła głową z przekonaniem.

– Po prostu musisz. Nie możemy stracić tego mieszkania.

– Mamó! Nie mów w taki sposób – sprzeciwiła się najstarsza córka.

– A jak inaczej to ująć? Nie wolno ci się mazgać. Wszystkie powinnyśmy się zastanowić, jak wyjść z tej sprawy obronną ręką. Dostało nam się najtrudniejsze zdanie, bo jest nas cztery. A według zapisu każda z nas musi wziąć udział w grze. I ja dopilnuję, żebyśmy wszystkie to zrobiły. Nie zamierzam się tułać w ostatnich dniach życia po wynajmowanych mieszkaniach. W tej kamienicy spędziłam najpiękniejsze chwile i tu chcę umrzeć. A waszym obowiązkiem jest mi to zapewnić.

Cała trójka patrzyła na seniorkę rodu w ciszy. Jeszcze przed chwilą Ofelia kłóciła się z Heleną i zgłaszała mnóstwo obiekcji. Teraz jednak rozumiała, podobnie jak jej siostra i córka, że Sylwia ma rację. Trzeba odsunąć na bok uprzedzenia, obawy, lęk przed ewentualnym ośmieszeniem w środowisku i zacząć działać.

– Poza tym naprawdę możemy zrobić dużo dobrego – stwierdziła Helena, która zawsze próbowała dostrzec we wszystkim jasną stronę.

– Ciekawe, co – sarkastycznie rzuciła Fela, ale zaraz ugryzła się w język.

– Przed nami dwa lata, żeby się namyślić i podjąć rozsądne działania – tłumaczyła Sylwia. – Nie musimy postępować pochopnie, mamy czas. Miranda słusznie zauważyła, że nie chodzi przecież o akcję w stylu harcerskich podchodów. Myślę, że z czasem coś nam wpadnie do głowy, pojawi się dobry pomysł, nadarzy się okazja zrobienia czegoś szczególnie szlachetnego.

– A jeżeli nie? Przecież to musi być spektakularne, sama tak mówisz. – Ofelia się niepokoiła.

– Wtedy będziemy musiały same się postarać – orzekła Sylwia zdecydowanie. – Ja na razie widzę właściwie tylko jeden problem.

– Jaki? – zainteresowała się Helena.

– Musimy chcieć to zrobić. Szukać rozwiązań, rozglądać się uważnie wokół. Powiem nawet więcej: sięgnąć w głąb siebie i zastanowić się, co nas dręczy. Jakich zmian potrzebujemy.

– Nie rozumiem, co masz na myśli. – Starsza córka skrzywiła się z niesmakiem.

– Każda z nas ma jakieś problemy, z którymi się nie uporała, a powinna to zrobić. Czasami załatwienie swojej sprawy otwiera drogę do dalszych działań. Mówiąc wprost: dobry

uczynek względem siebie zapoczątkuje szlachetne uczynki dla innych. Tak to po prostu widzę.

– Mamy naprawiać błędy z przeszłości? – Prychnęła bez przekonania Fela.

– A nie uważasz, że przyszła na to pora? – zapytała jej matka zmęczonym głosem.

Córka spojrzała na nią groźnie.

– Niech więc naprawiają błędy ci, którzy są za nie odpowiedzialni – stwierdziła niespodziewanie twardo. – Może masz rację, mamó. Nie pomyślałam o tym, ale prawdopodobnie właśnie nadszedł czas rozliczeń. Niech się jednak rozliczają winni. Ja nie mam sobie nic do zarzucenia. Będę musiała wymyślić jakiś inny dobry uczynek.

– Inny od czego? – spytała nieco zdezorientowana Miranda.

– Ja też nie mam pojęcia, o czym właściwie rozmawiamy – przyznała jej ciotka. – W jednym jednak mama na pewno ma rację: jest sporo czasu, więc się nie gorączkujmy. Przecież nikt nie wymaga od nas natychmiastowych i chaotycznych działań. Jeżeli dobrze odczytałam intencje naszego dobroczyńcy, mamy to robić szczerze i z potrzeby serca, a nie szukać na siłę możliwości wspomżenia kogoś.

– Jak możemy zrobić z potrzeby serca coś, za co mamy być wynagrodzeni mieszkaniem? Bądź poważna. Nie zgrzyta ci w tym coś? – Ofelia upierała się przy swoim. – To jest właśnie dla mnie nieścisłość całej tej pięknej idei. Niby taka etyczna, a podszyta materialistyczną korzyścią. Moim zdaniem, spełnianie uczynków miłosierdzia zakłada bezinteresowność, a tutaj czeka nas ewidentnie wynagrodzenie i to w dodatku bardzo atrakcyjne. Dla mnie stawia to pod znakiem zapytania moralną wartość całego pomysłu.

– To prawda, można by dyskutować o etyczności tego projektu – przyznała uczciwie jej siostra. – Mnie też zdziwiła jego formuła. Nie zmienia to jednak faktu, że przyjęliśmy warunki przedstawione przez notariusza i teraz musimy je realizować.

Miranda i Sylwia kiwnęły głowami, a starsza pani odezwała się pojednawczym tonem:

– Przypominam ci, Felu, że Zawilski wyraźnie dał do zrozumienia, że umowa nie podlega negocjacji i można ją zaakceptować lub odrzucić w całości. Myśmy się zgodziły. Możemy teraz do upadłego dyskutować, czy mocodawca pana rejenta postępuje etycznie, czy nie, ale jeżeli chcemy tu zostać, trzeba będzie działać. Ja osobiście zamierzam się zastanowić, co mogę zmienić. A widzę, że jest tu wiele do zrobienia. Nawet w naszej dzielnicy można wykonać mnóstwo dobrych uczynków!

– Uważam podobnie – zgodziła się z nią młodsza córka.

– Postanowiłaś zostać pracownicą socjalną? – ironizowała Ofelia.

– A gdyby nawet? Nie uważam, żeby to było coś złego – zaperzyła się jej siostra. – Mam wrażenie, że za bardzo interesuję się sama sobą. Trzeba trochę wyjść ze skorupy i rozejrzeć się wokół. To chyba główne zamierzenie naszego darczyńcy. Wyzbycie się egoizmu, czyż nie?

– Być może właśnie o to chodzi – zgodziła się łagodnie Sylwia. – Nie bądźmy podejrzliwi. Rozumiem, że dzisiejsze wydarzenia były wstrząsające...

– To prawda – przyznała starsza córka. – Jeżeli pozwolicie, położyłabym się na chwilę, rozboleła mnie od tego wszystkiego głowa.

– Mamó, może coś ci przynieść? Zaparzyć herbatę? Przygotować jakiś proszek? – zatroszczyła się Miranda.

Rodzicielka spojrzała na nią ciepło.

– Dziękuję. Jeżeli jesteś tak miła, to poproszę o szklanek wody do pokoju. Odpocznę trochę.

– Zanim wyjdiesz, chciałam jeszcze wam powiedzieć, że Zuzia przenosi się na górę, bo remont właśnie się skończył, i z tej okazji zaprasza nas w piątek na kolację – przypomniała sobie jeszcze najmłodsza z pań.

– To bardzo uprzejmie z jej strony – skomentowała jej matka, wstając od stołu. – Pamiętaj o tej wodzie, Mira.

Gdy wyszła, pozostała trójka chwilę milczała.

– Nie chciałam jej zdenerwować. – Usprawiedliwiła się wreszcie druga córka.

Sylwia westchnęła.

– Helenko, jesteś dorosła. Nie chcę cię pouczać jak dziecka, ale spróbuj bardziej trzymać język za zębami, dobrze? Czasami zachowujesz się tak nieogłędnie...

– Co masz na myśli? – dopytywała zagadnięta.

– Nie potrafisz odpuścić. Ciągniesz sprzeczkę pomimo wszystko i jakby dla sportu – wyznała starsza pani. – Bardzo mnie to martwi. Jesteś taką dobrą osobą, a dostrzegam w tobie dziwną zaciekłość, gdy kłócisz się z Ofelią.

Córka westchnęła ciężko.

– Nie mam pojęcia, jak to się dzieje, ale ona mnie wyprowadza z równowagi. Od dzieciństwa tak było. Jednym celnie rzuconym słowem potrafiła doprowadzić mnie do furii.

– No właśnie. Też tego nie pojmuję. Powinniście się wspierać, a nieustannie ze sobą walczyć. To jest dla mnie strasznie bolesne.

– Moim zdaniem, jesteś zbyt krytyczna wobec mamy – odezwała się Miranda.

– Ja? A ty nie jesteś?

Siostrzenica skinęła głową.

– Fakt. Ja też mam sobie wiele do zarzucenia. My chyba nigdy nie próbowałyśmy mamy zrozumieć. Uważamy ją za sztywniarę, która niczego nie chce przyjąć do wiadomości. Przynajmniej ja. Ale teraz odnoszę wrażenie, że to wszystko jest bardziej skomplikowane.

– Teraz? – Nie rozumiała Helena. – A co takiego się właściwie stało?

– Wydaje mi się, że mama wewnętrznie się z czymś zmagą. Dzisiaj u notariusza zauważyłam to bardzo wyraźnie. A ty nie zwróciłaś na to uwagi?

Werde musiała przyznać, że choć zachowanie siostry wydawało się jej dziwne, nie dostrzegła w jej działaniach jakiegoś szczególnego napięcia. Po prostu zawsze taka była, gdy się mocno zdenerwowała.

– Sądzę, że w niej zachodzi jakiś wielki proces, coś w rodzaju psychomachii. – Kręciła głową Miranda.

Ciotka roześmiała się kpiąco.

– Psychomachia? Walka cnoty z występkiem o duszę człowieka? Czy ty aby nie przesadzasz? Fela jest wytrącona z równowagi nową i nietypową dla siebie sytuacją. To oczywiście, że sprzeciwia się czemuś, czego nie zna, bo lubi porządek i schematyczność w działaniu. Mówię to zresztą bez złośliwości. Psychologia doskonale zna takie mechanizmy. W jednym przyznaję ci jednak rację: trzeba jej okazać więcej zrozumienia.

– O nic innego nie proszę – odezwała się seniorka rodu. – I zakończmy już na dzisiaj te rozmowy. Ja też jestem zmęczona. Zamierzacie pomóc Zuzannie w przeprowadzce? – Zmieniła temat.

Młodsze kobiety spojrzały po sobie.

– Oczywiście! Złapiemy fortepian i przeniesiemy po schodach – stwierdziła wesoło Helena.

Jej siostrzenica kiwnęła głową.

– Już jej zaoferowałam wsparcie. Przy sprzątaniu pracowni, opiece nad dziećmi i przenoszeniu gratów.

– Bardzo dobrze. Możemy zacząć jutro.

– Jutro będą jeszcze sprawdzać, czy wszystko działa. Wiecie, kominek i tak dalej. Ale

Zuzia mówi, że pracownia wygląda bajecznie.

– Wyobrażam sobie. Ten Rafał, który nadzorował remont, ma głowę na karku. – Helena zwróciła się do matki. – Bardzo zdolny chłopak. Wspólnik profesora Stanisławskiego w firmie architektonicznej, syn Karola Grudzińskiego, pamiętasz go, mamó?

– Owszem – stwierdziła z pewnym ociąganiem Sylwia. – Jak ta przeszłość wraca... – dodała filozoficznie, wstając od stołu.

Dziewczyny popatrzyły po sobie, a Helena wzruszyła ramionami.

– To był długi i pełen wrażeń dzień – skomentowała. – Czas na odpoczynek.

– Mówisz jak mama, gdy byłam mała. – Uśmiechnęła się Miranda. – A, właśnie, miałam zanieść mamie wodę. Już lecę! – Zerwała się i wybiegła do kuchni.

Helena chwilę zastanawiała się, czym powinna się teraz zająć, ale w końcu stwierdziła, że nie ma do niczego głowy. Kolejna utarczka z siostrą pozostawiła po sobie niemiły osad. Zazwyczaj było tak, że miała wrażenie, iż Ofelia ma do niej pretensje o coś zupełnie innego niż przedmiot kłótni. Jakby awantura stawała się jedynie tematem zastępczym. Teraz jednak na pewno spierały się o rzeczy fundamentalne.

– Imponderabilia – mruknęła do siebie. Coś nieuchwytnego, ale mającego wpływ na istotne sprawy. Była chyba na dobrym tropie. Tym razem wszystko przebiegało inaczej. Nie czuła przy tym wyrzutów sumienia. Fela nie pozostawała bez winy, bo jak zwykle atakowała bez zastanowienia. Helena musiała jednak przyznać, że w jednym siostra ma rację: ona sama zbyt pochopnie używała słów: „zawsze”, „wszyscy” i „każdy”. Uogólniała i generalizowała. Może w tym tkwiło zarzewie jej konfliktów ze starszą siostrą?

Była jednak zbyt zmęczona i – co tu dużo mówić – poirytowana, aby na chłodno roztrząsać te trudne sprawy. Postanowiła dać sobie trochę czasu.

– Jedno naszemu dobroczyńcy już się udało. Potrząsnął nami i zmusił do myślenia – powiedziała półgłosem. Gdyby nie to, Fela nie odsłoniłaby się przed nimi, ujawniając swój strach i obawy przed śmiesznością i chyba również przed odrzuceniem. Czy ona naprawdę myśli, że jest outsiderką w tej rodzinie? To przecież raczej my wszystkie jesteśmy na marginesie głównego nurtu życia, bo nie spełniamy jej wyśrubowanych oczekiwań – medytowała dalej Helena, nie mogąc oderwać swoich myśli od wypadków dzisiejszego dnia.

Na razie jednak nie znajdowała na to żadnej dobrej odpowiedzi.

– Mama śpi. – Miranda zajrzała do jej pokoju. – Martwię się o nią, jest taka nerwowa.

– Powinam ją przeprosić – mruknęła Helena. – Zachowałam się jak świnka Piggy. Wciąż zapominam, że nie mam sześciu lat i nie mogę kapryścić niczym księżniczka Grymasela.

– Daj spokój. Mnie mama także potrafi dać się we znaki, taka już jest – westchnęła Miranda. – Zobaczysz, jutro już wszystko będzie w porządku. Żeby tylko się to na jej zdrowiu nie odbiło, czytałam, że nerwowi ludzie częściej zapadają na wrzody.

– Nie czytaj tyle o chorobach, bo sama się od tego pochorujesz. – Uśmiechnęła się ciotka. – Trzeba chyba naprawdę zakończyć już ten dziwny dzień. Masz rację: poranek przyniesie nam na pewno lepsze humory.

– Wiadomo. Idę spać, poczytam jeszcze trochę, to mnie uspokoi. Dobranoc.

– Śpij dobrze.

Helena zebrała swoje rzeczy, po czym poszła do łazienki. Długo szczotkowała włosy, przeczesując grzywkę to na jedną, to na drugą stronę czoła.

Do kogo była podobna w tej rodzinie? Miała oczy takie jak Miranda i Helena: lekko zaokrąglone, z długimi rzęsami, o ładnym zielononiebieskim odcieniu. Ale włosy? Chyba po ojcu, bo ani Sylwia, ani Ofelia takich nie miały. Ciemne, gęste i... proste jak druty. Kiedyś, w szkole, obcinała je równo nad karkiem, ale teraz gustowała w fantazyjnie wystrzępionych

krótkich fryzurkach. Po trzydziestych urodzinach uznała, że ją odmładzają. No i coś w tym było. Ze swoją drobną twarzą o delikatnych rysach wyglądała jak nastolatka. Którą zresztą się czuła.

Tylko czy to dobrze? – zastanowiła się, szybko zrzucając ubranie i wskakując pod prysznic.

Niczego nie lubiła bardziej niż kąpieli w gorącej wodzie. Wiedziała, że to niezdrowe, ale bardzo ją to rozluźniało. Po tak ciężkim dniu dała więc sobie rozgrzeszenie i rozkręciła maksymalnie termostat. Do tej pory była przekonana, że zachowanie młodości to największa wartość, że trzeba umieć być dzieckiem. Teraz jednak opadły ją wątpliwości. Czy tak naprawdę nie broni się przed dorosłością i wzięciem za siebie odpowiedzialności? Czy nie to zresztą ciągle sugeruje jej siostra?

Wciąż jestem mała i mała, przynajmniej we własnym mniemaniu. „Mam czas” – to moje ulubione stwierdzenie, nawet teraz, w przypadku tej sprawy z mieszkaniem. Ciągle im tłumaczyłam, że mamy mnóstwo czasu. A przecież dwa lata to wcale nie tak dużo. Szybko zleci – medytowała, namydlając się z lubością własnoręcznie wyprodukowanym mydłem cynamonowym. Po łazience rozszedł się cudowny, uspokajający aromat.

A może wcale nie mam czasu i powinnam się z tym pogodzić? – Uderzyła ją ta konstatacja. Tak, okres na namysły dobiegł końca, musiała wybierać. Przestać szukać swego miejsca, a wreszcie znaleźć je i w końcu się na coś zdecydować. Póki tego nie robiła, trwała w zawieszaniu, nie czując żadnego życiowego przymusu, odpowiedzialności. Bała się tego i odpychała od siebie podobne myśli. Było to jednak niepoważne – teraz zrozumiała to niezwykle wyraźnie. Dziecinne i denerwujące. Męczące chyba nawet dla niej samej.

Zawsze uważałam się za idealistkę. Kim jednak naprawdę jestem? – dumiała.

Nagle zawahała się. Wypuściła mydło, które rozbiło się na dwa kawałki o podłogę brodzika. Strugi wody spływały po jej twarzy i włosach. Nie dbała o to zupełnie.

Tak. Nie było wątpliwości. Sprawdziła raz i natychmiast kolejny. Był tam. Odjęła dłoń i dotknęła jeszcze raz pod innym kątem. Nie znikał. Zachwiała się tak mocno, że musiała przytrzymać się ściany. To niemożliwe. Z pewnością się pomyliła. To przez ten zwariowany dzień. Dzisiaj wszystko może się zdarzyć. Jeszcze raz. Drugą ręką. Spokojnie. Dokładnie. Jest. Boże! Jest tam!

Naprawdę tam był. Wyczuwalny niczym ziarenko groszku, twardy i nieustępliwy. Guzek w lewej piersi.

18.

Tej nocy prawie nie spała. Całym wysiłkiem woli powstrzymywała się, żeby ciągle nie sprawdzać. Wiedziała, że to bez sensu i ani na jotę nie zmieni sytuacji: guzek już tam był i nie istniała możliwość, aby zniknął sam w czarodziejski sposób.

Musiała pójść do lekarza. Tylko do jakiego? Do ogólnego, ginekologa, onkologa? W ogóle nie znała się na takich sprawach, na nowotwory zawsze chorował ktoś inny. Helenie przemknęły przez głowę obrazy łysych kobiet w chustkach na głowach, wnętrza szpitalnych sal, wizje kroplówek z chemią, próśb rodziców o pieniądze dla swoich dzieci. No i śmierci.

No właśnie – śmierci...

A więc umrę. Ładne kwiatki – pomyślała i od razu zrobiło jej się raźniej. Helena wiedziała, że – jak każdy – ma swoje wady, ale jedną z jej niewątpliwych zalet była niezwykła odporność na ciosy. Nie załamywała się łatwo.

Przeżyła właśnie wstrząs, nie miała pojęcia, do kogo się zwrócić, a mimo to potrafiła wykrzesać z siebie tę odrobinę optymizmu, która pozwalała jej się nie załamać do reszty.

Pójdę jutro po prostu do ginekologa, który przyjmuje w naszej przychodni – medytowała, przewracając się na łóżku. – Powinien mi coś doradzić. Teraz są te szybkie programy, jakieś zielone karty, czytała o tym. I choć jednocześnie miała świadomość gigantycznych kolejek w szpitalach, bezradności i okropnie się bała, wiedziała, że tej sprawy nie może ot tak zbyć, zapomnieć o niej.

Jacek Nowacki, jak się okazało, miał rację co do niej: kusiło ją, by jak zwykle powiedzieć: „jakoś to będzie”, „samo się załatwi”. Niestety. W tym wypadku wiedziała, że samo się nie załatwi.

Westchnęła. Mogła wstać i usiąść do komputera, żeby od razu posprawdzać wszystko w internecie. Rozsądek podpowiadał jej jednak, żeby tego nie robić. Była wystarczająco

roztrzęsiona. Po co kreślić najczarniejsze scenariusze i dodatkowo się straszyć? Przyjdzie na to jeszcze pora.

Rano na szczęście w domu panowało duże zamieszanie. Fela zasnęła, więc szykowała się w pośpiechu do pracy, a Miranda szybko przygotowała śniadanie dla siebie i babci, bo także szła na poranną zmianę do biblioteki.

– Idę do pracowni – rzuciła Helena matce, gotowa do wyjścia.

– Tak wcześnie? – zdumiała się Sylwia.

– Muszę parę rzeczy uporządkować. Dasz sobie radę?

– Mam herbatę w termosie, Miranda mi zrobiła. Posiedzę i posłucham radia. Wróc, jak wszystko skończysz.

– Dobrze.

Helena ruszyła do przychodni na Szwedzką. Ponurym wzrokiem przyglądała się wypuszczającym pierwsze pąki drzewom rosnącym wzdłuż Bałuckiego. Kapliczka słupowa, czyli latarnia umarłych na skrzyżowaniu z ulicą Monte Cassino, postawiona na dawnym cmentarzu choleryków, dziś była dla niej jak memento. Zresztą co kilka kroków natykała się na jakiś symbol. Szczególne wrażenie zrobił na niej martwy ptak leżący na trawniku. Starła się otrząsnąć z tych niemiłych myśli, ale bez skutku.

Poczekalnia w poradni ginekologicznej nie sprzyjała poprawie nastroju. Ciemne duszne miejsce, pozbawione właściwie naturalnego światła, i długie oczekiwanie na konsultację. Helena cieszyła się, że udało jej się zarejestrować do lekarza od ręki. Okazało się, że obowiązują terminy, a bloczków na dany dzień jest mało. Gdy jednak wyjaśniła drżącym głosem rejestratorce swoją sytuację, ta spojrzała na nią ze współczuciem.

– Proszę poczekać, pani doktor panią przyjmie.

Nie miała siły nawet czytać książki ani robić czegokolwiek innego. Patrzyła na inne pacjentki. Otaczały ją głównie kobiety w ciąży i młode dziewczyny, zapewne czekające na okresowe badania. Zazdrościła im. Ona siedziała z wyrokiem...

Ponownie odgoniła od siebie czarne myśli.

– Pani Helena – poprosiła ją wreszcie rejestratorka, bo tak tutaj wywoływano pacjentki, zapewne w związku z ustawą o danych osobowych.

Weszła do gabinetu, gdzie czekała starsza lekarka o życzliwych oczach.

– Co panią sprowadza? Widzę, że cytologia dobra – odezwała się, wykonując zachęcający ruch ręką.

Werde nabrała otuchy i opowiedziała jej wszystko.

Lekarka skinęła głową.

– Rozumiem, proszę się rozebrać, zbadam panią.

Pacjentka przymknęła oczy, gdy lekarka rozpoczęła badanie. Miała oczywiście nadzieję, że doktor powie: „nie, ja tam nic podejrzanego nie widzę, coś się pani wydawało”, ale rozsądek podpowiadał jej, że tak się na pewno nie stanie.

– No cóż. – Lekarka wróciła do biurka i zaczęła wyciągać jakieś dokumenty. – Trzeba będzie zrobić dokładne badanie. Na początek skieruję panią na USG. Wróci z tym pani do mnie i jeżeli badanie wykaże coś niepokojącego, będziemy działać dalej: mammografia i prawdopodobnie biopsja. Mówię to jednak tylko na wszelki wypadek, proszę nie wpadać w panikę. To nie jest duża zmiana i nie wiemy jeszcze, z czym mamy do czynienia. Nowotwory są różne: złośliwe i niezłośliwe, a te pierwsze o różnym rokowaniu. Ale nie ulega wątpliwości, że trzeba się ostro za to zabrać. Rozumie pani?

– Mój Boże... – jęknęła pacjentka.

– Opieka sił wyższych nie zaszkodzi, choć ja osobiście jestem zwolenniczką medycyny

konwencjonalnej. – Lekarka spojrzała na nią krzepiąco spod grubych szkielek. – Jest pani młoda, pełna sił witalnych, będzie dobrze.

– Tak pani sądzi? W ciągu ostatniej nocy przeżyłam już różne stadia rozpaczki – przyznała szczerze Helena. – Raz myślę, że na pewno umrę, a za chwilę, że muszę natychmiast ruszać do walki. Boję się, pani doktor. A jednocześnie obwiniam się, że tracę czas na jałowe obawy, z których nic nie wynika.

– To zupełnie normalne. Naturalne i zrozumiałe. Tak reaguje większość pacjentek. Doradzałabym skupienie się na drugim aspekcie i przekierowanie uwagi na walkę z chorobą. Najlepiej proszę sporządzić plan.

– Plan?

– Na wszystko trzeba mieć plan, droga pani. Na życie, na małżeństwo, na pracę, także na chorobę. Chorować trzeba z planem. Punkty, podpunkty: co pani zrobi najpierw, co potem. No i co się stanie, gdy już pani wyzdrowieje – to jest najważniejsze.

– Nie uwierzy pani. Studiowałam socjologię, miałam zajęcia z psychologii... Zawsze wydawało mi się, że potrafię wszystko rozgryźć. Teraz widzę, że najtrudniej pomóc samej sobie.

– To oczywiście. Ja także nie leczę siebie. Proszę. Wypisałam pani skierowanie. Proszę jak najszybciej się zarejestrować. Pracownia USG jest na tym samym piętrze, może nawet uda się pani dostać jeszcze dzisiaj.

– Tak szybko? – zdumiała się Werde.

– Sama pani mówiła, że nie ma co marnować czasu. Proszę tam podejść i zapytać, czy mają jakąś wolną godzinę, to jest sprawa pilna.

– Oczywiście. Bardzo dziękuję, pani doktor.

– Proszę. Niech się pani nie zamartwia i będzie dobrej myśli. To początek drogi i wcale nie musi się okazać, że to coś naprawdę groźnego. Prawda?

– Tak. – Helena po raz pierwszy trochę się odprężyła. – Raz jeszcze serdecznie dziękuję.

– Do widzenia.

Odszukała gabinet USG, który rzeczywiście mieścił się w tym samym ponurym korytarzu, ale wcześniej go nie zauważyła z powodu panującego tu półmroku. Tym razem rejestratorka nie była już taka serdeczna, jak ta u ginekologa.

– No i co ja pani poradzę, że to pilne? Każdy chce od ręki – gderła nad pomiętym zeszytem w kratkę, w którym zapisywała pacjentów.

– Może jednak? – prosiła Helena. – Dla mnie każdy dzień się liczy. Nie chcę umrzeć.

Kobieta podniosła głowę znad notatnika i wpatrzyła się w pacjentkę z lekko otwartymi ustami.

– Co też pani w ogóle opowiada! Na siedemnastą panią wcisnę. Doktor miał mieć wtedy przerwę, ale jakoś mu to wytłumaczę.

– Jestem bardzo wdzięczna. – Werde odetchnęła z ulgą. Nie mogła uwierzyć, że tak sprawnie załatwiła dwie pierwsze rzeczy. Miała jednak podejrzenie, że to była ta łatwiejsza część drogi.

Wróciła do domu i do popołudnia czekała jak na szpilkach. Gdyby ktoś ją zapytał, co robiła czy mówiła, nie wiedziałaby. Miała tylko nadzieję, że zachowywała się normalnie. Fela wciąż była obrażona po wczorajszej awanturze, zaś Miranda ekscytowała się zebraniem, które rada dzielnicy zamierzała zorganizować w bibliotece i do którego trwały właśnie ostatnie przygotowania. Helena słuchała jej radosnej paplaniny jednym uchem...

Wymknęła się tuż po czwartej, bo po prostu nie mogła usiedzieć na miejscu. Na szczęście w korytarzu na piętrze nie było już dużo ludzi. Przychodnia po południu wyglądała zupełnie inaczej niż rano, gdy pękała w szwach od cierpiących na różne dolegliwości osób. Helena

pomyślała, że jeszcze się napatrzy na takich ludzi. Przed gabinetem USG czekały zaledwie dwie osoby, a lekarz przyjmował bez zwłoki, wywołując tym razem po nazwisku.

– Helena Werde. – Usłyszała kwadrans po siedemnastej i weszła do dość ciemnego pokoiku na miękkich nogach. Jej myśli także ogarnął mrok.

Doktor był oschły, ale konkretny. Widać było, że nie lubi angażować się w jakiegokolwiek rozmowy czy żarty z pacjentami. Od niego na pewno nie doczekałaby się wsparcia, więc dziękowała Bogu, że pierwszą poradę otrzymała od miłej starszej lekarki. Tak... To, z kim zetkniemy się w kluczowym momencie, ma znaczenie i na wielu sprawach może zaważyć. Wiedziała o tym z zajęć z psychologii.

– No tak, mamy tutaj zmianę – powiedział obojętnym tonem lekarz.

– Czy to coś poważnego, doktorze? – spytała ze strachem.

– Nie mogę tego jednoznacznie stwierdzić. To wymaga dalszej diagnostyki, zaraz pani wszystko opiszę. Najlepiej, żeby pani jak najszybciej udała się z wynikiem do swego ginekologa, on wyśle panią do onkologa. Do poradni onkologicznej może pani zresztą pójść sama, bez skierowania, ale doradzam pokazanie wyniku lekarzowi kierującemu.

– Do onkologa? Czyli to rak? – dopytywała Helena. Ręce zaczęły jej się trząść ze zdenerwowania.

– Zmiana wymaga konsultacji i dalszej diagnostyki – powtórzył swoją mantrę lekarz, podając jej kartkę z wynikiem.

Dopiero na korytarzu przeczytała ją dokładnie. Fachowy opis nic jej nie mówił, równie dobrze mogło to być coś groźnego... Okienko rejestracji u ginekologa było już niestety zamknięte. Będzie musiała przyjść kolejny raz. Miała jednak przecucie, że tym razem nie wszystko potoczy się tak gładko i szybko jak dzisiejszego poranka.

Ruszyła do domu.

Próbowała sobie ułożyć w myślach plan, tak jak radziła lekarka. O dziwo, nawet ją to uspokajało.

Po pierwsze: nic nikomu nie powie. Mama wpadłaby w rozpacz, a Fela pewnie zaczęłaby panikować. Może zresztą chciałaby pomóc... – Hela oczami wyobraźni zobaczyła, jak siostra wymyśla dla niej najróżniejsze terapie, na przykład żabim skrzekiem czy okadzania z piołunu. Sama także uwielbiała się leczyć ziółkami i stosowała je namiętnie na swoje bóle głowy, zamiast poradzić się lekarza. Ale tym razem nie. Na żabi skrzek przyjdzie pora, kiedy wyczerpią się inne możliwości, a na domowe konsylium nie miała zupełnie sił. Zatem postanowione: ani pary z gęby, zupełny sekret. Będzie musiała się z tym uporać sama.

Może choć Mirandzie mogłaby się zwierzyć? Nie, Miranda na pewno przekaże wiadomość babci, zawsze to robi, były ze sobą szczególnie silnie związane. A Sylwia szepnie starszej córce i... na horyzoncie znów pojawią się domowej produkcji medykamenty i inne tego typu przyjemności, a w dodatku siostra będzie ją nieustannie pouczać, co robi źle.

Zuzanna? Ona z kolei borykała się z własnymi problemami, nie były zresztą aż tak bardzo zaprzyjaźnione. Helena musiała liczyć na siebie. Cóż, wytłumaczy matce konieczność wychodzenia z domu sprawami urzędowymi związanymi z mydlarnią. W urzędach długo się stoi w różnych kolejkach. To nie zwróci niczyjej uwagi...

– Cześć! Idziesz na zebranie? To bardzo miło, ale zaczyna się dopiero za pół godziny i w dodatku odbywa się w bibliotece!

Spojrzała nieprzytomnym wzrokiem na mężczyznę, z którym właśnie się zderzyła. Szarotka. Tylko tego jej brakowało. Jakie znowu zebranie? Ach, tak, Miranda wspominała o tym, tylko Helenie wyleciało z głowy, że to akurat o tej porze.

– Nie idę na zebranie – burknęła i chciała go po prostu wyminąć.

Nawet ktoś taki, jak Mikołaj, niezbyt wrażliwy na uczucia innych, zrozumiał, że dzieje się coś niedobrego.

– Iskra? Helena? Co się stało? Masz kłopoty? – Poszedł za nią i bez trudu dotrzymał jej kroku, mimo iż co chwilę przyspieszała.

Zatrzymała się i odwróciła do niego zdenerwowaną twarzą.

– Zostaw mnie w spokoju, Mikołaj, dobra? Zajmij się sobą!

– O nie. Widzę, że coś złego się stało. Napadł cię ktoś? Torebkę ci wyrwali? E, masz przecież ten swój bezkształtny worek. – Obejrzał ją fachowo.

Helenie niespodziewanie zachciało się śmiać. Taki już był ten Szarotka – beznadziejny. Wytarła oczy wierzchem dłoni.

– Odczep się, koleś, bo i tak nie możesz mi pomóc – rzuciła głosem, który miał być wrogi i nieznośny sprzeciwu, a wypadł po prostu słabo.

– Zapomniałaś, że to ja z nas dwojga jestem osobą urzędową. Jeśli jakiś nieznany element pojawił się w naszej dzielnicy, muszę o nim wiedzieć. Znany element czym prędzej upomnę, o ile mi go wskażesz. Jeżeli oczywiście miała miejsce napaść: czynna lub słowna. – Próbował błaznować, ale w jego oczach widać było zaniepokojenie.

– Nie mam nastroju do żartów, Szarotka – burknęła. – Puść mnie, idę do domu.

– Widzę, że nie chcesz ze mną gadać i jest mi przykro, bo znowu czuję się jak w szkole. Uważasz, że nie warto. A myślałem, że coś się zmieniło i zostaliśmy kumplami.

Helena westchnęła. Naprawdę nie miała głowy do słuchania pretensji Mikołaja. Nawet jeśli zrobiła mu przykrość swoim zachowaniem, nie dbała o to. Liczył się wyłącznie jej problem. Chciała, żeby dawny kolega po prostu dał jej spokój.

Egoizm. Czy to właśnie z nim powinna walczyć? Może powinna się nauczyć widzieć coś więcej niż koniec swojego nosa. Zabrzmiały jej w myślach własne słowa sprzed zaledwie kilkudziesięciu godzin. Dlaczego teraz miałyby się wydawać mniej aktualne? Bo sytuacja zrobiła się trudniejsza?

– W porządku, przepraszam cię – rzekła więc ugodowo. – Nikt mnie nie napadł. Przyjmij po prostu do wiadomości, że mam problem... Ale nie możesz mi pomóc.

– Zaryzykuj i sprawdź mnie. Jestem bardzo inteligentny, choć może na takiego nie wyglądam. Ogromnie zyskuję jednak przy bliższym poznaniu.

– Szarotka, znam cię jak zły szeląg, tutaj nie można stracić lub zyskać. To w ogóle nie o to chodzi.

– No to wytłumacz mi!

Spojrzała na niego, jakby się poddawała.

– Jestem chora, Mikołaj – wyznała cicho.

Zrobił taki gest, jakby chciał ją uścisnąć, ale zrezygnował.

– Bardzo? – zapytał drżącym głosem.

– Obawiam się, że tak – szepnęła. – To może być rak. Jeszcze nie wiem na pewno, zrobiłam dopiero pierwsze badania. Nikt nie wie. Tylko ty. I niech tak zostanie, bo nie chcę hysterii i paniki w domu. Rozumiesz?

Szarocki wyglądał na wstrząśniętego tym nagłym wyznaniem, ale starał się nie zmieniać wesołego brzmienia głosu:

– To jasne jak słońce. Masz ochotę na herbatę? Ciasto upiekłem na to zebranie, mam w biurze.

Popatrzyła na niego, jakby się urwał z choinki.

– Ciasto? Ty pieczesz?

Wzruszył ramionami.

– A co cię tak dziwi? Co niby miałbym jeść, jakbym nie gotował? Kocią karmę? Bo mam koty. Zdecydowanie nie jest zbyt smaczna. Lubię sobie coś upieścić. Fakt, piekę rzadko, ale na zebrania w instytucie czy rady wydziału zawsze coś mam. Wiesz, to bardzo pobudza naukową atmosferę.

– Wyobrażam sobie – mruknęła Helena, która, choć przygnębiona swoją sytuacją, nie mogła się nie uśmiechnąć na myśl o astrofizykach pochylonych nad ciastem Szarotki i komplementujących kulinarny talent „uczonego kolegi”, czy jak się tam do siebie zwracali.

Zauważył to i od razu się odprężył.

Zawrócili i szybko dotarli do dawnej spółdzielni mieszkaniowej. O tej porze było tu cicho i pusto, tylko z sal lekcyjnych Soni Piskorz dobiegały przytłumione dźwięki muzyki.

– Zapraszam. – Mikołaj otworzył biuro. Rzeczywiście na stole tkwiła sporych rozmiarów blacha z apetycznie pachnącym ciastem.

– Jabłecznik – wyjaśnił. – Mój ulubiony wypiek, zrobiony według przepisu mojej nieżyjącej babci. Zaraz ci nałożę i zaparzę herbaty.

Helena usiadła ciężko przy stole.

– Jestem przerażona, Szarotka.

Zamarł z talerzykiem w dłoni.

– Trudno się dziwić. Kiedy się dowiedziałaś?

– Dzisiaj. Właściwie wczoraj. Wyczułam guzka w piersi, gdy brałam prysznic. Boże, nie mogę uwierzyć, że z tobą o tym rozmawiam! – Przeraziła się.

– Spokojnie. I tak nie miałbym komu wygadać, nawet gdybym chciał. Zasadniczo nikt mnie nie lubi, a mieszkańcy, jak już ci mówiłem poprzednio, także mnie rzadko odwiedzają. Nawet pani Mrowińska, jedyna osoba, z jaką ostatnio nawiązałem bliższe relacje, ucieka przede mną z krzykiem. Twoja tajemnica jest więc bezpieczna jak na dnie studni.

– Boję się, że umrę – wyznała, nie zwracając uwagi na ten słowotok.

– Nie umrzesz. Tak łatwo się nie umiera. Nowotwory są w wielu przypadkach chorobami przewlekłymi. Poza tym nie wiadomo, czy to guzek łagodny, czy złośliwy. Nie miałaś jeszcze biopsji, prawda?

– Nie, tylko USG, a opis jest tak zawiły, że nic z niego nie rozumiem.

– Ja pewnie też bym nic nie zrozumiał, więc musisz iść z tym do lekarza. Masz jakiegoś, czy szukać wśród naszych byłych kolegów z klasy?

Helena roześmiała się nerwowo.

– Nie wmówisz mi, że któryś został ginekologiem lub onkologiem, bo w to już nie uwierzę.

– Szczerze mówiąc, tak od ręki ci nie powiem, ale na pewno znajdziemy i takiego cudaka w zestawie. – Szarocki wykrzywił się zabawnie i dokończył krojenie ciasta. Podał jej talerzyk i łyżeczkę.

Helena odetchnęła.

– Dzięki, Mikołaj, dobry z ciebie kumpel.

– Zawsze do usług. Jakbyś potrzebowała wsparcia moralnego, duchowego czy jakiegoś innego, to mogę nawet iść z tobą do lekarza.

– Na razie potrzebuję się umówić jak najszybciej do ginekologa, żeby pokazać mu ten wynik – zakończyła cichym, łamiącym się głosem.

Mruknął coś, co miało ją pokrzepić, w stylu, że nie ma się czego bać i na pewno chodzi o dokładniejsze badania, ale po chwili uderzył się ręką w czoło, jakby przypomniał sobie o czymś ważnym:

– Rejestracja do naszego ośrodka? Pani Hania ze sklepu na dole pracuje na pół etatu

w rejestracji. Zaraz zejść i zorientuję się, kiedy będzie na posterunku. Poproszę, żeby cię zapisała na najbliższy możliwy termin.

Wpatrzyła się w niego z nadzieją.

– Naprawdę mógłbyś?

– Jasne. Lecę, a ty jedz ciasto, pij herbatę i niczym się nie przejmuj.

Nie było go dobre dziesięć minut, ale wrócił w znakomitym nastroju.

– Świetnie się wszystko złożyło, akurat pojutrze będzie na zmianie. Zarejestruje cię na ten dzień, tylko bądź w przychodni tuż po ósmej.

– Bardzo ci jestem wdzięczna – szepnęła i nagle zrobiło się jej głupio. Dlaczego nie potrafiła się zachowywać normalnie i zwyczajnie poprosić o pomoc? Czemu zawsze musiała być taka pokręcona?

Mikołaj jednak zdawał się wcale nie zwracać uwagi na jej dylematy, zadowolony z pomyślnie wypełnionej misji.

– Nie ma sprawy. Mi też rozmowa z tobą dobrze zrobiła, bo przestałem się denerwować występem na zebraniu. Gdy wpadliśmy na siebie na ulicy, zastanawiałem się właśnie, czy nie wdrożyć opcji uciezkowej...

– Opcji uciezkowej? – Na chwilę oderwała się od własnych problemów i zainteresowała jego słowami.

– Tak już mam w przypadku trudniejszych konferencji, na których pojawia się mnóstwo ludzi. Nazywam to „trybem uciezkowym”. Sam się włącza, nie mogę nad tym zapanować. Po prostu nachodzi mnie ochota, by rzucić wszystko i zmykać. Powstrzymuję się najwyższym wysiłkiem woli.

– Hm, a jednak się powstrzymujesz, więc nie wciskaj mi, że nie możesz nad tym zapanować.

– No tak... Ale jak może zauważyłaś, dzisiaj już byłem na ulicy. Zwykle ogarniam się dopiero poza salą wykładową i wracam. Na studiach uciekłem kilka razy.

– Nie pojmuję tego. Wydajesz się być otwarty i odważny. Dlaczego zgłosiłeś się do tej rady, skoro masz takie problemy? Przecież zanim cię wybrali, musiałeś chodzić na jakieś zebrania wyborcze, czy co tam było organizowane, wiecze agitacyjne lub inne takie. Jak to znosiłeś?

– Sęć w tym, że te spotkania były ogólne. Wielu kandydatów, zainteresowanie publiczności niewielkie. Poza tym miałem nadzieję, że moja kariera uniwersytecka pozwoliła mi już nabrać trochę śmiałości. Ale widzę, że jednak nie bardzo. Wciąż się boję zrewoltowanego tłumu.

– Co ty bredzisz? Jaki zrewoltowany tłum? Na konferencjach astrofizyków? A co wy tam omawiacie? Inwazję obcych z Plutona? Tak samo będzie w przypadku zebrania dzielnicowych – cztery babinki w beretach i zabłąkany rowerzysta.

– Dlaczego zabłąkany rowerzysta? – Zdziwił się Szarocki.

– Bo musi być jakiś element zaskoczenia.

– Moim zdaniem samotny rowerzysta nie jest niczym zaskakującym, co innego taki na tandemie – mruknął Mikołaj i od razu wypalił: – Chodź ze mną na zebranie, dodasz mi otuchy.

– Wybacz, ale kompletnie nie mam nastroju. Czuję się dzisiaj jak stary kapeć. W niczym ci nie pomogę, a jeszcze mogę zaszkodzić. Jedyne, na co mam ochotę, to iść do domu, wleźć pod kołdrę i siedzieć tam do rana.

– No i źle robisz. Tak nie można. Tylko się jakiejś choroby dorobisz. – Szarotka pokręcił głową.

Helena popatrzyła na niego z góry i prychnęła:

– Ja już jestem chora, jakbyś zdążył zapomnieć.
– No właśnie, w tym rzecz. Już się zaczynasz zachowywać jak chora. – Popatrzył na nią z wyczekiwaniem.

– To znaczy? – Nie rozumiała.

– Moja babcia tak robiła. Była chora na serce. To znaczy przez całe życie podejrzewała jakieś problemy kardiologiczne, bo nigdy się nie leczyła, dożyła zresztą prawie stu lat i zmarła na coś zupełnie innego. No, ale wcześniej przez wiele lat „chorowała sobie”. To taki stan ducha. Nie robię tego czy owego, bo jestem chora i już.

– Nie chcesz mi chyba zasugerować, że symuluje? – Zmarszczyła brwi Helena.

– Absolutnie nie. Wiem, że przeżyłaś szok, masz mętlik w głowie. Nawet ja z moimi niskimi kompetencjami społecznymi potrafię to sobie wyobrazić...

– To już coś – pochwaliła go koleżanka.

– Jak widzisz, bardzo nad sobą pracuję. Ty też powinnaś.

– Jasne, powinnam potraktować guza w piersi jako uśmiech losu, okazję do wydobycia ze swego charakteru najlepszych cech, czyli optymizmu za wszelką cenę, pieśni na ustach i ogólnego dobra – rzuciła sarkastycznie. – Niech to stanie się dla mnie próbą charakteru niczym w średniowiecznym moralitecie. Przepraszam, że to powiem, ale nie sądziłam, że jesteś taki durny.

– Czy ja coś podobnego powiedziałem? – Mikołaj najwyraźniej się nie obraził. – Chyba trochę nadinterpretujesz. Mam na myśli pewien mechanizm psychologiczny, w który, jak widzę, zaczynasz wpadać. Wiesz o tym guzku od dwudziestu czterech godzin, prawda? Co się zmieniło od wczoraj w twoim stanie zdrowia? Nagle osłabłaś? Masz wysoką gorączkę i tracisz przytomność? Nie, po prostu przeżyłaś wstrząs, któremu nie można się jednak poddawać. Iskra, jeszcze nawet nie masz postawionej diagnozy. Ty dopiero podejrzewasz u siebie chorobę. To przecież może być niezłośliwa zmiana. A zachowujesz się tak, jakbyś miała zaraz paść trupem.

– Aleś ty się zrobił wymowny! Przyda ci się to na zebraniu – sarknęła, choć wiedziała, że miał trochę racji. Jeszcze będzie czas na wpadanie w panikę i chowanie się pod kocem. Tego zresztą plan choroby nie zakładał, bo miała być silna i chorować dyskretnie. Zatem depresja w gronie wścibskiej rodziny absolutnie odpadała.

A jeśli on ma rację? Zmiana nie musi być tą najgorszą z najgorszych. Jestem przecież młoda i do tej pory: bardzo zdrowa – medytowała Helena.

Czy to ma sens tak od razu się załamywać? Poza tym była nastawiona na ewentualną walkę z chorobą. Oczywiście trudno jej było opanować strach i niepewność, niemniej jednak Szarotka trochę przywrócił ją do pionu. Starła się odszukać w sobie optymistyczne podejście do życia i wiarę, że przeszkody da się przezwyciężyć.

– Dobra, dawaj tę blachę – zaproponowała. – Odprowadzę cię do tej biblioteki. – Byłabym niewdzięcznicą, gdybym przynajmniej tego nie zrobiła.

– Wielkie dzięki. – Ucieszył się.

– Nie obiecuję, że wytrzymam do końca – zastrzegła się. – Bardzo jestem zmęczona dzisiejszym dniem i, mówiąc szczerze, wytrącona z równowagi. Gadaj, co chcesz, ale skoro sam czegoś takiego nie przeżyłeś, to nie pouczaj innych.

– Jasna sprawa – zgodził się i, wyraźnie ucieszony, że będzie mu towarzyszyła, złapał z oparcia krzesła kurtkę.

W bibliotece wcale nie było czterech babinek w beretach i samotnego rowerzysty, jak prognozowała Helena. Przyszło całkiem sporo ludzi. Najwyraźniej ogłoszenie o dotacji na wymianę pieców oraz konkursie na najbardziej ukwiecony balkon zrobiło swoje.

– Cześć – odezwała się z radością Miranda na widok ciotki.
– Czołem. Przyszłam pomóc Mikołajowi opanować sytuację – wyjaśniła, podając jej ciasto.

Siostrzenica wezwała bibliotecznych wolontariuszy, którzy od razu wynieśli szklanki i talerzyki. Atmosfera zrobiła się wręcz rodzinna.

Helena rozejrzała się ciekawie po wnętrzu czytelní. Mimo przeprowadzonego remontu, połączonego z odświeżeniem ścian, biblioteka nie bardzo zmieniła się od czasów, gdy po szkole przychodziła tutaj z Inką Plechą. Choć w ich dzieciństwie najpopularniejszą kreskówką była *Czarodziejka z Księżycy* i telewizor pożerał naprawdę sporo czasu, to one wciąż lubiły zaglądać do biblioteki. Werde uśmiechnęła się na to odległe wspomnienie. Balbina ze względu na długie jasne włosy była oczywiście Bunny – Czarodziejką z Księżycy, ona sama wcielała się w Rei, Czarodziejkę z Marsa. Jak mogła o tym zapomnieć? „Potęgo Marsa, działaj!” – wypowiedziała po cichu zdanie, które transformowało zwykłą nastolatkę w czarodziejkę. Ile to już lat? Bawiły się w ogrodzie Plechów, w starym opuszczonym budynku fabryki porcelitu. Sonia była oczywiście Czarodziejką z Wenus. A mimo to czasu starczało im również na czytanie książek.

Helena powiodła wzrokiem po półkach. Miała dwanaście lat, gdy przeczytała *Władcę Pierścieni* Tolkiena. Drugi tom, bo pierwszego nie było, ktoś wypożyczył. Do dzisiaj ta część jest jej ulubioną. Dlaczego chaotyczne wspomnienia, tak oddalone od siebie, nagle dzisiaj uderzyły w nią z taką dobitnością? Czemu zatęskniła za Sonią i Balbiną, za beztróską dzieciństwa? Dobrze wiedziała – właśnie teraz rozumiała coś decydującego: prawdopodobnie była chora i zdawała

sobie sprawę, że nic już w jej życiu nie będzie takie jak przedtem. Jakaś niewidzialna granica została przekroczona.

– Nad czym tak dumasz? – zainteresowała się Miranda, która przystanęła obok niej, żeby z tej perspektywy obrzucić salę wprawnym spojrzeniem. Niczego nie brakowało i przybyli wyglądali na zadowolonych. Mikołaj właśnie wyciągał z teczki przygotowane zawnazulu lotki na temat dotacji.

– Dawno tu nie bylam – wymijajaco odparla ciotka.

Siostrzenica skinęla głową.

– To prawda. Nawet się dziwiłam, że do mnie nie zaglądasz. Chyba kiedyś lubiłaś tu przychodzić, wspominała mi o tym kierowniczką, pani Olga. Byłaś ponoć jedną z najgorliwszych czytelniczek.

Helena roześmiała się. Faktycznie, wypożyczała dużo, ale nie zależało jej na biciu rekordów. Nie sądziła też, że została w jakiś sposób zapamiętana. Tymczasem Szarocki poczuł się chyba znowu niepewnie, bo zaczął robić w jej kierunku jakieś tajemnicze gesty.

– Czego on chce? – Mina Jakubowskiej wyrażała zdziwienie.

– Szajbę ćwiczyl – oceniła jej krewna, ale posłusznie podeszła do kolegi. – Masz napad paniki? – spytała zyczliwie.

Skinął głową.

– Coś w tym rodzaju. Źle reaguję na wlepione we mnie z ciekawością spojrzenia.

– Może trzeba zacząć? Przedłużające się oczekiwanie niczemu dobremu nie służy.

– Miał jeszcze przyjść sekretarz rady. No, ale chyba rzeczywiście nie ma na co czekać. Chyba że na Godota. – Zaśmiał się nerwowo. – Pomożesz mi?

Helena wystraszyła się nie na żarty, bo o czymś takim w ogóle nie było mowy.

– Ja? A niby w czym? Już ci tłumaczyłam, że jestem całkowicie cywilną osobą.

– Ale ulotki możesz rozdać, nie?

Poklepała go po ramieniu.

– Nie panikuj, Szarotka, to nie astrokonferencja. Spróbuj sobie wyobrazić, że jesteś na zebraniu kółka gospodyń i prezentujesz przepis na najciekawszy wypiek albo że zaraz zacnie się partyjka bingo. Głowa do góry.

Widząc jego niewyraźną minę, klasnęła w dłonie, czym zwróciła na siebie uwagę zgromadzonych.

– Proszę państwa! W imieniu rady dzielnicy chciałam podziękować za tak liczną obecność. Nazywam się Helena Werde i mieszkam niedaleko, na Gwiazdzistej. Pomyślałam sobie, że to dobrze, iż my, mieszkańcy, od czasu do czasu się spotykamy, żeby się dowiedzieć, co robi dla nas rada. Z panem przewodniczącym Mikołajem Szarockim chodziliśmy w podstawówce do jednej klasy. Myślę, że warto go posłuchać. Zdradził mi, że w planach rady jest park, który miałby powstać na terenie dawnej fabryki ceramiki, dotacja do pieców, no i konkurs na najpiękniejszy ogródek i balkon.

Posłała Mikołajowi krzepiący uśmiech, a on wstał i odchrząknął ze zdenerwowania.

– No właśnie, te piece – odezwał się od razu mężczyzna z pierwszego rzędu. – My w ogóle nie wiemy, jak to będzie. Bo w gazetach różnie opisują. Jak to ma działać? Będą kary? Niech pan coś przybliży w tym temacie z łaski swojej, bo człowiek jest taki skołowany, że szkoda gadać!

– Ty zawsze jesteś skołowany, Stasiu, żadna nowina – mruknęła jego sąsiadka, starsza kobieta z laską. – Dałbyś panu spokojnie powiedzieć, co ma do przekazania.

Helena wykorzystała tę pauzę na rozdanie ulotek.

Tymczasem Szarocki rozluźnił się i zaczął mówić. Szybko okazało się, że słuchaczy

interesuje nie tylko tematyka zebrania, ale wiele innych spraw. Debata potoczyła się w kierunku wymiany chodników, remontów niektórych domów, a nawet utworzenia muzeum na Dębnikach.

– Ja też chciałam coś ogłosić. Na polecenie dyrekcji biblioteki – odezwała się Miranda, gdy dyskutantom zabrakło na chwilę tchu. – Jeżeli ktoś z państwa lub z państwa sąsiadów, szczególnie myślę tu o osobach starszych czy chorych, chciałby wypożyczyć książkę, a nie czuje się na siłach, żeby do nas dotrzeć, wystarczy zadzwonić. Wolontariusze przyniosą zamówienie do domu, a po jakimś czasie odbiorą przeczytane tomy.

– No proszę! I ta inicjatywa mi się podoba – wyraziła uznanie kobieta z laską z pierwszego rzędu. – Jeszcze dziś powiem o tym moim sąsiadkom. Widzę, że dobrze zrobiłam, przychodząc tutaj. Jeszcze dajcie mi tu, dziewczęta, jakieś ulotki z numerami telefonu do biblioteki, to rozdram. Ogólnie uważam, że powinniśmy więcej robić dla innych, a nie tylko siedzieć we własnych czterech ścianach. Dlatego na pewno wezmę udział w konkursie na ogródek. A i sąsiadów do tego wciągnę. Co! Niech rozruszają stare kości.

– Na pewno będą wdzięczni – sarkastycznie stwierdził Stanisław. – Ludzie, pani Doroto, nie lubią się męczyć, takie czasy. Sama będzie pani te rabatki plewić, wspomni pani moje słowa.

– Bajdurzenie – zbagatelizowała sprawę Dorota. – Chcieć to móc. Stara jestem, a mi się chce. Pan też by mógł coś pożytecznego zrobić, a nie tylko narzekać na wszystko.

– No właśnie – wtrącił się Szarocki. – Helena rzuciła nawet taki pomysł... – Werde spojrziała na radnego pytająco, a on od razu wyjaśnił, zwracając się w jej kierunku: – Pamiętasz, wspominałaś mi o wymianie sąsiedzkiej.

– Ach, tak. Kiedyś przyszło mi do głowy – zaczęła wyjaśniać zebrany – że to niezły pomysł. Widziałam, jak to działa za granicą. W każdej społeczności są osoby, które dysponują czasem i mogą coś zrobić dla innych, podzielić się swoimi umiejętnościami, dostając coś w zamian – objaśniała Helena rzeczowo.

– Na przykład popilnować dziecka w zamian za upieczenie ciasta? – wtrąciła Miranda. Ciotka skinęła głową w jej kierunku.

– Na przykład. Albo wykonać jakąś drobną naprawę w zamian – bo ja wiem – za przeróbkę krawiecką. Ktoś może udzielać korepetycji z matematyki dziecku sąsiadów, a w zamian otrzymać możliwość podwiezienia samochodem do pracy.

– Niegłupie... – Po chwili milczenia doszedł do wniosku Stanisław. – Mnie niekoniecznie stać na krawcową, a kran każdemu jestem w stanie zreperować od ręki.

– No widzi pan. – Ucieszył się Mikołaj. – To się na świecie nazywa „bank czasu”. Zastanawiamy się, czy nie spróbować czegoś takiego u nas? Swoje oferty można by zgłaszać tu, w bibliotece (zrobilibyśmy aplikację komputerową, któryś z moich studentów na pewno chętnie by się tym zajął), a potem wolontariusze mogliby czuwać nad wszystkimi „wpłatami” i „wypłatami” z banku czasu. Wiele osób mogłoby na tym skorzystać, a w każdym razie – trochę się rozerwać.

– Ja bym się chętnie zgłosiła – odezwała się pani z końca sali, którą do tej pory interesował wyłącznie plan utworzenia muzeum na Dębnikach i remontu chodnika. – Mogę coś upiec lub ugotować albo po prostu dotrzymać towarzystwa jakiejś starszej osobie. Mam sporo czasu, jestem samotna, muszę przyznać, że brakuje mi kontaktu z ludźmi.

– Bardzo się cieszę! – Emocjonował się Mikołaj. – Proszę nam dać kilka dni. Uruchomimy program, a potem poprosimy dyrekcję biblioteki o dystrybucję ulotek i plakatów. Rada dzielnicy też się w to włączy.

– A konkurs na balkon? Będą nagrody? – odezwał się ktoś z boku sali.

– Oczywiście. Centrum ogrodnicze na rynku ufundowało sadzonki i coś z małej architektury. Nagrody będą naprawdę atrakcyjne – zapewnił przewodniczący.

Zebranie dobiegało końca. Z ciasta zostały już tylko okruchy, wolontariusze zaczęli uprzątać puste filiżanki po herbacie. Mieszkańcy powoli zbierali się do wyjścia.

Do Mikołaja podeszła pani Dorota, opierając się na lasce.

– Będą jeszcze takie zebrania? Zasadniczo nigdy nie lubiłam wiecowania, ale dziś dowiedziałam się tylu interesujących i pożytecznych rzeczy, że jestem bardzo zadowolona. Dobrze, że rada postanowiła bardziej zainteresować się mieszkańcami.

– Staramy się. Myślę, że zorganizujemy kolejne zebrania, skoro jest taka potrzeba. Chciałbym się też zorientować, czy ktoś ze starszych lokatorów nie potrzebuje pomocy, choćby przy wymianie tych pieców...

– O, takie wsparcie z pewnością się przyda. W naszej dzielnicy sporo samotnych staruszków siedzi po domach – zgodziła się Dorota. – Ust nie mają do kogo otworzyć, czasem i zakupów nikt nie robi, jeśli sąsiedzi się nie zainteresują lub opieka społeczna kogoś nie przyśle. Kiedyś, panie Mikołaju, harcerze się włączali, szkoły pomagały, a teraz? Nikt nie ma czasu – westchnęła, nakładając na głowę wełniany берет. Uścisnęła radnemu dłoń i, opierając się na lasce, wyszła z biblioteki.

Szarocki zadumał się.

– Pani Dorota ma rację – zwrócił się do Heleny i Mirandy. – Muszę pogadać z radą. Powinniśmy załatwić sprawę z dyrektorem szkoły. Niech się młodzież wykaże.

– Niezły pomysł. Podobnie jak z tym bankiem czasu – uznała Jakubowska, patrząc na niego z krzepiącym uśmiechem.

– Tak pani uważa? – Ucieszył się. – Naprawdę mam wrażenie, że wreszcie zaczynamy coś konkretnego robić.

– Biblioteka chętnie się w to włączy, już rozmawiałam z kierowniczką, jest jak najbardziej za. A ponieważ wygląda na to, że będziemy teraz współpracować, proszę do mnie mówić po imieniu, Miranda.

– No właśnie – włączyła się Helena. – Cóż to za oficjalne formy wśród absolwentów tej samej znakomitej skądinąd podstawówki. Nie bądźcie śmieszni!

– Nie będziemy. – Mikołaj mrugnął wesoło do jej siostrzenicy, a ona skinęła mu głową.

– W każdym razie, jak tak dalej pójdzie, zrewolucjonizujesz życie całej dzielnicy – dodała po chwili.

– Niczego bym sobie bardziej nie życzył. Wiem jednak, że takie rzeczy nie dzieją się od razu. Jeśli jednak uda nam się zrealizować choć ułamek tego, co dzisiaj zaplanowaliśmy, uznam to za sukces. Kropla drąży skałę.

– Blajerski powinien ci wymalować to hasło na dykcie – dopowiedziała Helena. – Powiesiłbyś sobie nad biurkiem albo, jeszcze lepiej, na budynku spółdzielni mieszkaniowej i od razu czułbyś się bardziej zmotywowany.

– Myślisz, że bez sloganu będę się lenić?

– Skądże znowu. Uważam jednak, że chwytna myśl przewodnia pobudza do działania.

– Słusznie. Ciekawe, jaką ty sobie wybierzesz – odparł, przyglądając się jej z sympatią.

Werde się obruszyła.

– Ona nie potrzebuje hasła – wtrąciła Miranda. – Produkuje swoje mydła w takim tempie, że pozazdrościłaby jej niejedna fabryka zatrudniająca na akord. Ocaliłam dla was trochę ciasta – zmieniła temat. – Szarlotka była tak wspaniała, że poszła w parę minut. Kto piekł?

– Mikołaj. On ma takie supermoce. Oblaskawia tłumy słodyczami. – Zaśmiała się ciotka, już rozluźniona.

– Niesamowite. Dziwię się, żeś się do tej pory nie ożenił... – zaczęła Jakubowska, ale ugryzła się w język. Tym razem sama zrozumiała, że palnęła zbyt dużo.

Szarocki odchrząknął.

– Napijmy się lepiej herbaty. – Wybawiła wszystkich z niezręcznej sytuacji Helena.

– No właśnie, herbata. – Mikołaj odetchnął. – Bardzo ci dziękuję za pomoc – zwrócił się do Werde, ale ona zbagatelizowała sprawę. – Poważnie – dodał. – Powinnaś naprawdę wejść w skład komisji do spraw społecznych...

– Już ci mówiłam, Szarotka...

– Heła, Mikołaj ma rację. Idealnie nadawałabyś się to tego. Masz tyle pomysłów. Poza tym ludzie cię słuchają. – Poparła przewodniczącego Miranda. – Sama widziałam. Masz charyzmę.

– Akurat – mruknęła ciotka bez przekonania. – Nie mam motywacji na działaczkę, tłumaczyłam to Szarockiemu, tylko jak on się przycepi, to po prostu jak rzep do psiego ogona...

– Bo nie masz plakatu na dykcje – stwierdził kolega z humorem. – Poproś woźnego, żeby ci wymalował. Mogę wymyślić slogan od ręki: „Działam społecznie – żyję bajecznie”.

– Cudownie. Ziuta by cię zapewne nie pochwaliła za te częstochowskie rymy, ale Blajerskiemu na pewno się spodobają – uznała Helena.

Miranda parsknęła śmiechem.

– Wygłupiacie się, a ja jestem pewna, że dziś zrobiliśmy dużo dobrego.

– Tak? Na przykład co? – Ciotka zamoczyła usta w podanej przed chwilą herbacie.

– Choćby ta pani Dorota. Ja ją znam. Mieszka w blokach na Konfederackiej. Dużo starszych czytelników stamtąd mamy. To są ludzie, którzy na pewno coś chcieliby zrobić, tylko potrzebują sygnału, wiecie – żeby ktoś ich zorganizował, wskazał cel. Starsze osoby są bardzo ofiarne, wykazują mnóstwo empatii. To nieprawda, że wszyscy są zgryźliwymi tetrykami...

– Otóż to. Dlatego też wielu seniorów daje się niestety oszukać. Nie są wcale naiwni, jak się zwykło sądzić, po prostu bardzo chcą nieść pomoc, przydać się, a cwaniacy żerują na tym – przyświadczył Mikołaj. – Mieliśmy nawet kiedyś takie spotkanie z dzielnicowym i on dokładnie tłumaczył te mechanizmy...

– No właśnie w tamtych blokach była kiedyś afera. Pani Dorota mi opowiadała. Jedna z jej sąsiadek dała się nabrać, że uczestniczy w akcji tajnych służb policyjnych, i powierzyła złodziejowi większą sumę pieniędzy. – Kiwnęła głową Jakubowska. – Teraz ta sąsiadka boi się z domu wyjść, nikomu nie otwiera. Wpuszcza jedynie panią Dorotę, nawet listonosz z emeryturą musi się przez sąsiadkę zapowiedzieć.

– Widzicie, dziewczyny, może dzięki naszej inicjatywie ludzie bardziej się ośmielą? Poznają się lepiej, zaufają innym?

– Tak, tak, Szarotka, naprawiaj świat po swojemu – westchnęła Helena. – Na razie jednak weź się za najprostsze zadanie i po prostu napraw chodnik, dobrze?

Mikołaj roześmiał się i zmierzwił sobie włosy.

– Och, Iskra, ty to potrafisz sprowadzić człowieka na ziemię.

– Muszę. Ty najwyraźniej masz wadę charakterystyczną dla wszystkich astronomów: bujasz w obłokach. A powinieneś być bardziej pozytywistą – praca u podstaw, mój drogi.

– Mam to oczywiście rozumieć dosłownie? Chodzi o chodnik?

– Właśnie tak. Napraw dziury w drodze, to ludzie do ciebie trafiają. To już była taka przenośna – wyjaśniła na wszelki wypadek.

Miranda pokręciła głową.

– Jakbym słyszała dzieci. One też tak się ze sobą przekomarzają.

– A ty co się czepiasz? – zaperzyła się ciotka. – Myślałam, że ci to nie przeszkadza? Sama masz taki styl.

Jakubowska westchnęła.

– Może mama ma rację? Czas dorosnąć.

Helena zmierzyła siostrzenicę zaskoczonym spojrzeniem. Ofelia powtarzała swoje nauki wiele razy, ale ciotka nie sądziła, że dziewczyna bierze je sobie do serca.

Odchrząknęła.

– Dziwne. Mnie biblioteka skłania wręcz do czegoś przeciwnego. Prowokuje same beztraskie wspomnienia z dzieciństwa. Kiedy tu dziś weszłam, przypomniałam sobie, jak bawiliśmy się tutaj, za budynkiem, z Balbiną i Sonią w Czarodziejki z Księżycą – westchnęła.

– A cóż to takiego? – zdumiała się Miranda.

– Taka japońska manga z lat dziewięćdziesiątych – wyjaśnił Szarotka. – Z tego, co pamiętam, telewizja mocno cenzurowała wątki obyczajowe.

– Tak? Nie pamiętam niczego takiego. – Sprzeciwiła się Helena.

– No właśnie! Tam chyba w ogóle było za dużo goliżny i brutalności jak na wytrzymałość polskiej telewizji.

– Coś zmyślasz. – Werde osadziła dawnego kolegę. – Musimy się już zbierać. Pakuj się, Miranda. Pomóc ci w czymś jeszcze?

Siostrzenica wyjaśniła, że musi jeszcze tylko pozmywać szklanki, bo papierowe talerzyki po cieście Mikołaja wyrzucili już wolontariusze.

– No to raz-dwa. Nie będziemy tu siedzieli całą noc – zarządziła Helena ostrym głosem.

Oboje spojrzeli na nią z zaskoczeniem. Posłusznie wzięli się do pracy i po kwadransie wszystko było już sprzątnięte.

– Dziękuję za wsparcie. – Mikołaj odwrócił się do Heleny, gdy wychodzili z biblioteki.

Kobieta pokręciła głową.

– Drobiazg. Dałeś sobie świetnie radę. Nie wierzysz po prostu w swoje siły, w tym tkwi twój problem.

– Pomyślcie, ile dobrych uczynków możemy zrobić w tej dzielnicy – westchnął mężczyzna nieświadom, jaką reakcję wywołają jego słowa.

Jego towarzyszki natychmiast wymieniły spojrzenia. Dobre uczynki! Że też musiał im przypominać! Właśnie teraz.

– No o co chodzi? Nie podoba się wam? – Stropił się.

– Ależ skądże! – zapewniła go Helena. – To do zobaczenia, bo już jesteśmy prawie pod domem, a tobie chyba w ogóle to nie jest po drodze, co, Mikołaj?

– Ano nie jest... Tylko że tak przyjemnie się szło... I w ogóle – tłumaczył się nieporadnie.

Werde machnęła ręką.

– Idź już, bo ci koty z głodu padną albo doktor Plecha roześle za tobą listy gończe. Na pewno cię pilnuje na specjalne zlecenie twego brata.

– Bardzo zabawne, Iskra, no strasznie śmieszne po prostu.

– Fajny facet – oceniła Miranda, gdy już zamknęły bramę i zaczęły się wspinać po schodach na górę.

Helena zatrzymała się w pół kroku.

– Mówisz o Szarotce? – upewniła się.

– A o kim?

– No właśnie nie wiem. Trudno mi uwierzyć, że o nim – mruknęła.

– Daj spokój. Ma poczucie humoru. I lubi cię – dodała po chwili siostrzenica.

Helena aż prychnęła.

– Niech sobie lubi. Ja go nie lubię i już.

– Poważnie? Wydawało mi się, że jest inaczej – zdziwiła się przekornie.

– Nie denerwuj mnie, Mira. Mam ważniejsze sprawy na głowie.

Dziewczyna zatrzymała się na schodach i spojrzała na nią z uwagą.

– Stało się coś? Zauważyłam to już, jak przyszedł. Byłaś nieswoja. Masz jakiś problem? Chodzi o tę mydlarnię? Nowacki albo Olesińscy znów coś kombinują? Wydaje się, że nie mogą już nic zrobić bez zgody naszego dobroczyńcy i całego komitetu uczynkowego, ale może się myłę...

– „Komitet uczynkowy” – parsknęła ciotka. – Ty to masz pomysły.

Chwilę mierzyła Mirandę wzrokiem, jakby się wahała. Doszła jednak do wniosku, że nie może jej o niczym powiedzieć. Jeszcze nie teraz.

– Właściwie to masz rację. Szarotka przypomniał mi tą swoją inicjatywą i ogólnie całą dzisiejszą gadaniną o naszym zobowiązaniu i przeraziłam się. – Próbowała wybrnąć z sytuacji.

Siostrzenica wyglądała na zaskoczoną.

– Ty? Ciebie akurat zupełnie nie podejrzewałabym o jakiegokolwiek wahania. Myślałam, że rzucisz się w wir przygody, jak zawsze.

– No widzisz. Pozory mogą mylić – stwierdziła filozoficznie, otwierając drzwi do mieszkania. – A teraz już cicho sza, nie możemy denerwować mamy i Feli.

20.



Następnego dnia rano Lorenc odprowadziła dzieci do żłobka. Właśnie wróciła do domu, gdy Rafał zajął do niej i oznajmił, że może się już przeprowadzać na górę.

– Wszystko działa, pani dobrodziejko. Zaraz przeniesiemy twój fortepian i zmywamy się z lokalu – obwieścił w swoim stylu.

– Znakomicie. Mam niespodziankę dla ciebie i twoich pracowników. – Młoda matka nie posiadała się z radości.

– Jaką? – zaciekawiał się, wydając jednocześnie polecenia dotyczące instrumentu.

Jak się okazało, jego przetransportowanie z dolnego piętra nie nastąpiło wielkich kłopotów.

– Mały wędrowniczek – ocenił Grudziński, gdy już wszystko zostało ustawione jak należy.

Zuza uśmiechnęła się tylko i zniknęła na chwilę z pracowni. Gdy wróciła, razem z Mirandą niosły wspinały tort Pavlova oraz tacę pełną filiżanek i dzbanek z przygotowaną z góry kawą. Zapachniało kardamonem i świeżą śmietanką.

– Taki skromny deser w ramach podziękowania. – Zuzanna zaczęła kroić zniewalające wyglądem ciasto.

– Znakomite! – zachwycił się jeden z pracowników. – Pani to ma, jak się okazuje, wiele talentów.

– Jak ci nie wyjdzie z pianistyką, to się zajmiesz cukiernictwem – wypaliła sąsiadka, ale od razu ugryzła się w język.

– Możliwe – zgodziła się Zuza. – Zawsze to lubiłam. Akurat ten tort, choć wygląda na pracochłonny, jest bardzo prosty.

– Niemożliwe. – Mina Rafała wyrażała szczere zdziwienie. – W życiu bym nie pomyślał.

Czekaj, zrobię zdjęcie i wyślę mojej dziewczynie, może się zachęci.

– Zapisz ją na warsztaty do Zuzi – doradziła Miranda. – Ja zresztą chyba też powinnam wziąć parę lekcji.

– Tak właśnie rodzą się genialne pomysły na biznes. – Grudziński się roześmiał. – Jesteśmy umówieni na piątek, prawda?

Zuzanna potwierdziła.

Gdy wszyscy wyszli, dziewczyny zaczęły się rozglądać po pracowni. Miranda była zachwycona.

– No, Zuza, teraz nie możesz stracić tego mieszkania! Musicie z profesorem zrobić ten dobry uczynek i koniecznie zdobyć je na własność – skomentowała z pełnym zaangażowaniem.

Lorenc skinęła głową.

– Podobnie jak w twoim przypadku, to nie zależy tylko ode mnie. A jak u was? Wszystkie panie się zgodziły?

– Raczej tak. Choć widzę, że i Helena się trochę waha. No i mama. Ona zgłasza najwięcej obiekcji, znasz ją. Straszliwie nieufna. Chyba obawia się, że ktoś nas wykiwa.

– Wydaje mi się, że Edmund myśli podobnie – przyznała Zuzanna.

– Wiesz, odnoszę wrażenie, że tacy ludzie, jak mama i profesor, ci z innego pokolenia, chyba myślą, że znaleźli się w jakimś reality show, że za chwilę ktoś wyskoczy zza ściany z okrzykiem: „Niespodzianka!” i ujawni całą mistyfikację.

Lorenc spojrzała na nią bystro.

– Nie pomyślałam o tym, ale wiesz, że to możliwe... Osobliwy eksperyment psychologiczny. Były już chyba takie, prawda?

– Nie wiem, trzeba by zapytać Helenę. O, właśnie idzie!

– O co chcecie mnie zapytać? – Werde miała dziwnie nieobecny wyraz twarzy. Wyglądała na zmęczoną. Zuzanna pomyślała sobie, że chyba dużo czasu ostatnio poświęca swojej pracowni mydła.

– O eksperymenty psychologiczne, takie wiesz: na krawędzi. Bo pomyślałyśmy sobie, że cała ta zadyma z dobrymi uczynkami to mógłby być test na odporność ludzi w warunkach ekstremalnych.

Ciotka wzruszyła ramionami.

– Wcale nie mamy do czynienia z warunkami ekstremalnymi. Nie ma najmniejszego zagrożenia życia ani sytuacji przymusu. Nie walczymy o przetrwanie. Eksperymenty, o jakich mówisz, to na przykład więzienny Zimbarda czy posłuszeństwa wobec autorytetów Milgrama. Zwłaszcza jeśli chodzi o ten pierwszy, w którym studenci uniwersytetu Stanforda wcielali się w rolę strażników i więźniów, wiele się mówiło o etyce i moralności, a właściwie o jej braku w przypadku takich badań. Po prostu wydobywały najgorsze instynkty, dowodząc, że teoretycznie zdrowy psychicznie człowiek w sprzyjających warunkach może zmienić się w brutalnego psychopata.

– Okropne... – Miranda się wzdrygnęła.

– Czy tak się nie dzieje podczas wojny? – zapytała Zuzanna.

Helena spojrzała na nią bystro.

– Otóż to. Zimbardo przypominał wyniki swego eksperymentu więziennego podczas dyskusji na temat nieludzkiego traktowania jeńców przez amerykańskich żołnierzy w Iraku. Pytanie jednak brzmi: Czy wolno nam posuwać się do takich badań, nawet gdyby miały one udowodnić prawdziwość ważnych teorii? Czy to nie zaprzecza etyce naukowej? To zawiły dylemat moralny, moim zdaniem. Myślę jednak, że w naszej sytuacji nie znajduje zastosowania. Nikt nie przeprowadza eksperymentu.

- Skąd wiesz? – zacięła się siostrzenica.
- Badania muszą mieć sens, cel i metodologię. Ja nie dostrzegam żadnego z tych elementów. – Helena zamyśliła się. – Choć, oczywiście, gdy teraz sobie o tym pomyślę, wynik naszych działań może mieć wartość badawczą, zwłaszcza z punktu widzenia społecznego. Jeżeli oczywiście cała akcja się powiedzie.
- No właśnie. Nadal nie mam pewności, czy mama weźmie w niej udział – mruknęła Miranda.
- Musi. Pomarudzi trochę, ale ostatecznie skapituluje – orzekła ciotka. – Ona już taka jest. Będzie narzekać, hamletyzować, aż w końcu uzna, że wyższa racja wymaga poświęceń.
- Bardzo ją surowo oceniasz – wyraziła swoje spostrzeżenie Zuza.
- Helena spojrzała na sąsiadkę zaskoczona.
- Ja? Skądże! Fela ma taki już charakter i nic się na to nie poradzi. Trochę księżniczkuje, jak ja to nazywam, lubi być w centrum zainteresowania, przekonywana i namawiana. Stara się wzbudzić w nas poczucie winy, że się z nią nie liczymy i odstawiamy na boczny tor.
- Przesadzasz... – Teraz z kolei sprzeciwiła się Jakubowska. – Ja sądzę, że mama jest po prostu znerwicowana i tyle. Czasem odnoszę wrażenie, że ona sama nie wie, czego chce, ale to przecież zdarza się każdemu z nas.
- Wszystko dlatego, że Ofelia nie ma prawdziwych problemów. – Helena była nieugięta.
- Gdyby przytrafiło jej się naprawdę coś złego (czego oczywiście jej nie życzę), od razu by się jej zmieniła perspektywa widzenia.
- To akurat jest oczywiste – wtrąciła Zuzanna. – Zazwyczaj gdy przytrafia nam się coś złego, zmieniamy perspektywę. Tak jest choćby z chorobą.
- Co masz na myśli? – Werde gwałtownie uniosła głowę i patrzyła na nią w napięciu.
- No... Wiele osób potwierdza, że gdy usłyszały diagnozę, zwłaszcza o jakiejś ciężkiej dolegliwości, spojrzały na świat innymi oczyma. Odrzuciły nieważne drobiazgi, zaczęły cieszyć się każdym dniem, przeżywać swoje istnienie świadomie. Zrozumiały, że większość kłopotów to niewiele znaczące detale, a liczy się tylko i wyłącznie życie z jego najważniejszymi przejawami: miłością, przyjaźnią, radością i pięknem. Człowiek zadreżca się ogromem niewielkich, choć uciążliwych spraw, kłopoty narastają, są wyolbrzymiane. Czasami dopiero prawdziwy wstrząs wywraca wszystko do góry nogami i – paradoksalnie – pokazuje właściwy sposób widzenia. Choć oczywiście nie jest to terapia, jaką należałoby polecać osobom, które zbyt się zamartwiają. – Zuza się roześmiała.
- Helena wciąż miała zmarszczone brwi.
- Twierdzisz więc, że choroba jest karą za niefrasobliwe i egoistyczne życie? – spytała.
- Lorenc pokręciła głową.
- Nigdy bym nie zaryzykowała stwierdzenia, że choroba to kara za cokolwiek. Nawet tak nie pomyślałam. Po prostu chyba nigdy nie wiemy, co w naszym życiu może okazać się ważne. I oczyszczające.
- Na przykład taka umowa z dobroczyńcą – przytaknęła Miranda. – Niby nas trochę uwiera, każdy ma wątpliwości, nawet ty, Hela, ale ja na przykład jestem ciekawa, jak się to wszystko potoczy i jaką drogę wybierzemy. Co zrobią przykładowo Olesińscy. Wyobrażacie sobie nadętą Martę pomagającą komuś?
- Albo zarozumiałego Jacka Nowackiego. – Pokiwała głową Zuzanna. – Tak, to naprawdę będzie ciekawe doświadczenie i w tym sensie traktuję to w kategoriach eksperymentu, choć zgadzam się z Heleną, że zapewne nie naukowego.
- Werde rozpozodziła się.
- O czym my właściwie gadamy? O chorobach, eksperymentach? Oprowdź nas lepiej po

tym cudnym mieszkanku. Widzę, że profesor dokonał tu prawdziwej metamorfozy.

– To prawda – przytaknęła Zuza. – Myślę, że jednak trochę poszachrowali. Materiały miały być z odzysku, a widzę, że wszystko jest w pierwszorzędnym gatunku.

– Przepiękna. – Werde zajrzała do łazienki. – I jaka funkcjonalna. W sam raz dla matki z dwójką małych dzieci. Bardzo dobrze przemyślana. Nie będziesz się musiała nawet schylać, wszystko masz pod ręką.

– Helena, zobacz, jaki fantastyczny pokój! – wołała ją tymczasem siostrzenica, która weszła właśnie do sypialni Zuzanny.

– Tak. Rafał odkrył to miejsce, gdy remontował składzik.

– Ukryte pomieszczenie? – zainteresowała się ciotka, zaglądając do środka. – Hm... To by wiele wyjaśniało.

– Co masz na myśli? – zapytała Jakubowska.

– Już od dawna mam wrażenie, że z naszym domem jest coś nie tak. Weźmy moje mieszkanie, to znaczy dawne lokum Feli. Ono jest, że tak powiem, jakieś takie bezkształtne. Już wam kiedyś wspominałam, że wygląda jak wykrojone z większej całości. Teraz myślę, że to może być właśnie to...

– Czyli co? – Siostrzenica nadal nie rozumiała.

– Ukryte pomieszczenia. Zamurowane. Dobrze obejrzałam sobie bryłę budynku i nie ma tam, co prawda, żadnych okien, ale układ ścian jest taki dziwny, że w ogóle mi to do siebie nie pasuje. Gdybyśmy mieli dokładne plany tej kamienicy, może łatwiej by się było zorientować... Ale po omacku niewiele wymyślimy.

– Dodatkowe pomieszczenia? Myślisz, że są duże? – Zuzanna była zaintrygowana.

Helena pokręciła głową.

– Raczej nie. Pewnie coś podobnego, jak u ciebie. Małe schowki, załamki muru, komórki... – Zawahała się. – Dopiero teraz przyszło mi to do głowy... Przecież to mogły być kryjówki, na przykład w czasie wojny! Ten dom już wtedy stał, prawda?

– Tak, tylko czy ktoś pamięta jeszcze tamte czasy?

– Jeśli ktokolwiek mógłby nam pomóc, to chyba tylko Klara Pieniążkiewicz – rzuciła Miranda.

Helena pokręciła głową.

– Klara, owszem, przeżyła wojnę w Krakowie, ale do tej kamienicy sprowadziła się dopiero w latach sześćdziesiątych, podobnie jak moi rodzice. Mama opowiadała, że zamieszkali tu na krótko przed urodzinami Ofelii, czyli około sześćdziesiątego czwartego roku, i pani Klara właśnie się urządziła.

– W takim razie kto tu wcześniej mieszkał? – Zuza była coraz bardziej podekscytowana.

– Zdaje się, że nikt. Po wojnie funkcjonował tu jakiś urząd, żłobek czy dom dziecka. Musiałabym mamę zapytać. W każdym razie potem przenieśli tę instytucję, a mieszkania oddali ludziom. Z tego, co wiem, lokatorzy początkowo często się zmieniali.

Chwilę się namyślała, a potem ciągnęła dalej:

– Zdaje się, że w Archiwum Narodowym na ulicy Lubicz przechowują plany budynków. Musiałabym się tym bardziej szczegółowo zainteresować, ale naprawdę mnie to zaciekało, zwłaszcza jeżeli chodzi o nasze piętro.

– Zawsze chciałam o to zapytać... Wy macie dwa mieszkania na jednym piętrze, jak to możliwe? – dopytywała Lorenc, może mało dyskretnie.

Helena kiwnęła głową.

– Ciotka mamy posiadała niewielkie mieszkanie gdzieś na Grzegórkach. Miranda tego nie pamięta, bo to zamierzchłe dzieje. Tak się złożyło, że lokator z naszego piętra bardzo chciał

się z ciotką zamienić, bo z Grzegórzek miał bliżej do pracy. Mieszkanie ostatecznie przejęła Ofelia, to znaczy zameldowano ją tam na miejsce starej ciotki. Cała bieda w tym, że żadna z nas nigdy nie była właścicielką ani jednego, ani drugiego lokalu. Teraz już wiemy, dlaczego – one mają swojego prawowitego właściciela.

– No tak, pokręcone sprawy – stwierdziła Zuza. – Stoimy przed niepowtarzalną okazją, żeby to wszystko raz na zawsze załatwić.

– O ile dobroczyńca dotrzyma słowa – przestrzegła Werde, krzywiąc się lekko.

– Mam nadzieję, że tak. – Roześmiała się siostrzenica. – Czas się jednak zabrać za porządkowanie. Skoczę na dół po sprzęty. Zaraz ci to wszystko wypucujemy na błysk. W takim pięknym wnętrzu aż chce się sprzątać.

– To prawda – dodała Helena. – Będę się mogła zrewanżować. Moje mieszkanie po prostu lśni. Nie wiem, jak ty to zrobiłaś przez te kilka dni, ale dobrałaś się chyba do każdego kąta.

– To systematyczność. – Mrugnęła Zuzanna. – Codziennie sprzątałam coś drobnego i wszystko gotowe. Zawsze tak działałam. Powolutku aż do skutku. Tylko tym razem musimy się zabrać za porządki kompleksowo, bo trzeba ustawić na miejscu najważniejsze rzeczy, zanim odbiorę ze żłobka dzieci.

– Jasne – przytaknęła Miranda. – Ja chętnie posprzątam salon, a Helena może weźmie się za łazienkę? Wtedy dla ciebie zostałyby kuchnia i ta nowa sypialnia.

– Super – zgodziła się ciotka. – Łazienka mi się szczególnie podoba, przy okazji obejrzę sobie wszystko dokładnie.

Pracowały sumiennie i już po dwóch godzinach mansarda błyszczała.

– Nie było tak źle – oceniła Jakubowska. – Rafał i jego ekipa naprawdę się spisali.

– Rzeczywiście, prawie nie zostawili syfu – pochwaliła Helena. – To się raczej rzadko zdarza.

– Bardzo wam dziękuję. Zaraz się napijemy kawy i przekąsimy coś.

– A masz drugą Pavlovą? – zapytała z nadzieją Miranda.

– Żebyś wiedziała – z dumą potwierdziła Zuza. – I to jeszcze lepszą.

– Wiedziałam, że się nie zawiodę. Uwielbiam tort bezowy! Już lecę na dół, bo pewnie jest w lodówce.

Młoda sąsiadka była gotowa do działania. Lorenc skinęła z aprobatą głową i wyjaśniła jej, co i jak. Razem z Heleną uruchomiły tymczasem nowy ekspres do kawy.

– Chciałam się was poradzić... – zaczęła Zuzanna, gdy już usiadły do stołu.

– Tak? Stało się coś?

Werde popatrzyła na nią z niepokojem.

– Właściwie nic, ale mam pewien dylemat. Powstaje nowa instytucja muzyczna, Europejskie Centrum Koncertowe.

– Ojej, to super! Powinnaś tam złożyć papiery – wyrwała się Miranda, oblizując małą elegancko łyżeczkę.

– No właśnie, na tym polega ten problem. Właśnie otworzyli nabór i rzeczywiście szukają pianistki, ale...

– Ale co? Boisz się, że nie będziesz miała z kim zostawić dzieci? Przecież ci pomożemy – znów przerwała Jakubowska.

– Mira, daj jej może dokończyć – zniecierpliwiała się jej ciotka, która zrozumiała, że nie tylko o dzieci może chodzić.

Młoda kobieta posłusznie zamilkła.

– Tak, dobro bliźniąt też spędza mi sen z powiek, bo praca na pewno będzie się wiązała

z wyjazdami, ale jest przecież Edmund, mogłabym z nim porozmawiać... – Zamyśliła się Zuza. – Ważniejszym kłopotem jest jednak coś innego. Dyrektorem tego centrum jest mój były facet...

– Czy on...

– Miranda!

– No już dobrze, milczę!

– Tak, Mira słusznie się domyśla, Leon jest ojcem Jasia i Basi.

Chwilę panowało milczenie i nawet Jakobowska nie odważyła się niczego powiedzieć.

– No dobrze. Czego się właściwie obawiasz? – zapytała w końcu Helena. – Rozumiem, że rozstaliście się w gniewie, wasze stosunki nie układają się dobrze i obawiasz się, że z czystej złośliwości odrzuci cię na przesłuchaniu.

Lorenc pokręciła głową.

– Właściwie nie. Poznaliśmy się kilka lat temu w Londynie. Leon pracował jako dyrygent w orkiestrze, w której występowałam. Był żonaty. To żenująca i może zbyt konwencjonalna historia...

– Nie musisz się tłumaczyć – zapewniła ją Werde. – Nie osądzamy cię. Takie sytuacje zdarzają się częściej, niż przypuszczasz.

Miranda popatrzyła na ciotkę domyślnie i już otwierała usta, żeby o coś zapytać, ale natychmiast je zamknęła.

– W porządku, chciałam wam tylko naświetlić sytuację. On nie był szczęśliwy, że jestem w ciąży, a jego żona to już zupełnie. Gdy urodziły się dzieci, w ogóle ich nie odwiedzał. To było dla mnie bardzo bolesne.

– Wyobrażam sobie – dodała Helena.

– No właśnie. Mieszkałam w Anglii jeszcze jakiś czas, ale potem doszłam do wniosku, że to nie ma przyszłości – nie chciałam tam zostawać na zawsze, zwłaszcza wobec jego obojętności. Postanowiłam ułożyć sobie życie na nowo, w Polsce i bez niego. Nie bardzo widziałam sens ciągnięcia tego układu.

– Bardzo rozsądnie, moim zdaniem. – Jakobowska nie wytrzymała. – Lepiej uciąć takie niekomfortowe sprawy, choćby to miało boleć. No, co? – zapytała, łowiąc karcący wzrok ciotki.

– Wyznam ci szczerze, że rozmawialiśmy o tobie, zastanawiając się, skąd się tu wzięłaś, sama z dwójką dzieci...

– Mira!

– To przecież nie były żadne plotki czy obmowa, tylko takie życzliwe zainteresowanie – wyjaśniła dziewczyna. – Mama od razu mówiła, że w tym musi się kryć jakaś tragedia.

– To nie była żadna tragedia, po prostu nie ułożyło się nam i tyle. – Wzruszyła ramionami Zuzanna, niezbyt sympatycznie myśląc o Ofelii.

– Ja tak mówię w skrócie – tłumaczyła się młoda sąsiadka. – Chodzi o to, że przeżyłaś zawód i teraz musisz dojść do siebie.

– Mira, daj spokój – próbowała ją zmiękczyć ciotka. – Bo wygląda na to, że nieustannie wtykamy nos w nie swoje sprawy, a tak wcale nie jest. Martwiłyśmy się o ciebie, stąd nasze zainteresowanie – wyjaśniła Zuzanna. – To nie były żadne wielkie analizy. Podejrzewałyśmy, że się rozwiodłaś czy coś podobnego.

– No tak – westchnęła gospodyni. – W każdym razie Leon przyjechał z Londynu specjalnie po to, żeby objąć stanowisko w Centrum Koncertowym. Byłam zszokowana, bo myślałam, że on nigdy nie porzuci Wielkiej Brytanii, jego żona jest rodowitą Angielką.

– Skąd o tym wszystkim wiesz? – spytała Helena.

– Odwiedził mnie przed kilkoma dniami – przyznała Zuzanna. – Przyszedł powiedzieć o swojej przeprowadzce. Myślałam, że chce zobaczyć dzieci...

- A nie chciał?
- Cóż, odniosłam przykre wrażenie, że jemu dalej nie bardzo zależy na Jasiu i Basi, że uważa je za mój problem...
- Przyjemniaczek – mruknęła Helena. – Przepraszam, że o to pytam, ale czy on ci jakoś pomaga finansowo, to znaczy źle to ujęłam: czy spełnia jakieś obowiązki względem dzieci?
- Tak, właśnie zadeklarował dobrowolne alimenty i nie mam powodu wątpić, że dotrzyma słowa. Jest po prostu... chłodny uczuciowo. Niby chce czasami widywać dzieci, ale nie ma w tym żadnego zaangażowania, moim zdaniem.
- W takim razie po co do ciebie przyszedł? – Nie rozumiała Miranda.
- Sama nie wiem. Może chciał mi dać do zrozumienia, żebym mu nie przeszkadzała w karierze? Bo ja wiem... Żebym trzymała się od niego z daleka, jeśli zdecyduje się zamieszkać w Krakowie? Pewnie chodzi o to, żeby nie drażnić Belindy.
- O matko, co za pajac – mruknęła Helena. – Współczuję ci.
- Nie ma powodu. Sama jestem sobie winna. To ja takiego wybrałam.
- Grunt, że zawróciłaś z tej drogi – pocieszyła ją Miranda, pochłaniając kolejny kawałek tortu.
- A zatem co zamierzasz w sprawie tej pracy? Rozumiem, że to Centrum Koncertowe jest dla ciebie szansą? – spytała Werde.
- Tak i to ogromną. Nie myślałam o powrocie na estradę, ale skoro nadarza się taka okazja... Nie ma wiele zespołów muzycznych, do których można, ot tak, dołączyć, każda orkiestra ma swoją obsadę, również Filharmonia. A tutaj tworzy się coś zupełnie od podstaw. Właściwie grzechem byłoby nie spróbować.
- No to próbuj! Myślisz, że będzie się chciał na tobie odegrać?
- Nie sądzę. Na pewno mi nie pomoże, tego jestem pewna, ale przeszkadzał nie będzie. Bardziej się martwię o siebie.
- Co masz na myśli? – Nie rozumiała Miranda.
- Że... wszystko do mnie wróci i że sobie z tym nie poradzę.
- Tak, to rzeczywiście problem – przyznała Helena. – Jeżeli dotąd nie uporałaś się z uczuciami do niego, możesz znaleźć się w trudnej sytuacji.
- Wydawało mi się, że mam to już za sobą. Po tym, jak mnie potraktował, po nieprzyjemnych scysjach z żoną, o których nie będę wam opowiadać, po mojej decyzji o wyjeździe z Londynu, po upokarzających rozmowach z moją matką, która uważa, że zmarnowałam karierę. Miałam nadzieję, że wszystko sobie poukładałam, zracjonalizowałam, otworzyłam nowy rozdział. Ale kiedy tu przyszedł...
- Wszystko wróciło? – współczująco spytała Werde.
- No może nie aż tak, ale zaczęłam się bać, że wróci. Wyobraźcie sobie, co będzie, jak dostanę ten angaż. Będę przebywała na co dzień w jego towarzystwie... Nie wiem, czy się na to odważę.
- Czego się właściwie boisz? – Miranda nie pojmowała. – Bo z tego, co mówisz, nie wynika, żebyś go dalej kochała. No, przepraszam, że tak wprost o tym mówię, ale takie mam odczucia.
- Zuzanna zamilkła na chwilę i zaczęła zastanawiać się nad sobą. Leon budził w niej najróżniejsze uczucia. Głównie niepokój.
- Nie jest mi obojętny... – powiedziała więc cicho.
- To jasne, macie przecież dzieci – przytaknęła Helena. – Pytanie brzmi, czy gdyby ta jego żona zniknęła, a on był wolny, to chciałabyś się z nim związać mimo wszystko? Po tym, co między wami zaszło?

– Jeżeli mam być uczciwa, to sama nie wiem – bąknęła Zuza. – Pewnie mnie źle za to oceniacie, ale mam okropny mętlik w głowie.

– Nie oceniamy cię – zapewniła ponownie Werde. – Próbujemy ci pomóc.

– Wiem, że to nie jest łatwe, czasami jestem taka niepokładana...

– Wcale nie. To życie jest pokręcone – stwierdziła Miranda, sięgając po następną porcję tortu.

– Nie obżeraj się tak, Mira, bo będziesz miała robaki – upomniała ją ciotka.

– Akurat. Zawsze mi tak mówiłaś, jak byłam mała, i nigdy nie miałam robaków.

– Po prostu to nieelegancko tak się napychać.

– Na zdrowie. Cieszę się, że ci smakuje – wtrąciła Lorenc.

– Bardzo! – Młoda sąsiadka już bez skrępowania nałożyła sobie kolejny kawałek.

– Wracając do twojego problemu, Zuza. Myślę, że powinnaś startować w tym konkursie. To dla ciebie szansa. Panem dyrygentem będziesz się martwiła później albo może wcale to nie będzie konieczne – stwierdziła Helena.

– Co masz na myśli? – podpytywała pianistka.

– Nie wiadomo, jak to się wszystko potoczy. Mówisz, że został dyrektorem tej instytucji, prawda?

– Tak.

– W takim razie raczej nie będzie dyrygował zespołem. Może nawet nie będziesz go widywała tak często, jak ci się wydaje. Dyrektor siedzi głównie w papierach, przyjmuje delegacje, reprezentuje instytucję. Jeśli jest mądry i rzeczywiście dba o swoje małżeństwo, nie będzie ci wchodził w drogę.

– A jeśli on się obawia, że to ja mu będę przeszkadzać?

– Nie przekonasz się, póki nie spróbujesz. Jak cię utraci na konkursie, nic na to nie poradzisz, chyba że zdołasz udowodnić jego złe intencje. W każdym razie zyskasz pewność. A przynajmniej nie będziesz miała sobie nic do zarzucenia, że nie próbowałaś. No i mama cię pochwali, a to też coś – dodała, zupełnie bez ironii.

– Fakt, matka by się ucieszyła – stwierdziła Zuzanna. – Chyba straciła już nadzieję, że wrócę do koncertowania.

– Jeśli musisz się przygotować, chętnie zajmiemy się dziećmi – dodała Miranda.

– Już rozmawiałam w żłobku, bliźniaki będą mogły trochę dłużej u nich zostawać.

A jeżeli już o tym mowa, wybaczenie, ale niedługo muszę je odebrać – wyjaśniła Zuza.

– Skoro tak, to zabierajmy się za układanie rzeczy. – Helena popędziła siostrzenicę. – Fajnie by było, gdybyś mogła przyprowadzić Jasia i Basię już tutaj.

– Tak, byliby zachwyceni.

– No to do roboty. Mira, musisz rzucić tę bombę kaloryczną, bierz się za największe pudło, spakujesz ubrania. Migusiem!

21.



Helena tkwiła w korytarzu Centrum Onkologii i czekała na swoją kolej, rozmyślając o tym, co wydarzyło się w ciągu ostatniego czasu w kwestii jej zdrowia.

Starsza pani ginekolog, do której Helena dostała się w miarę szybko dzięki uprzejmości znajomej Szarotki, dała jej skierowanie, a onkolog w ośrodku wydał zlecenie na mammografię. Nawet nie musiała długo czekać. Choć badanie nie było przyjemne, poczuła ulgę, że wkroczyła na ścieżkę leczenia. Potem konieczna okazała się biopsja, czyli pobranie fragmentu guza do badania histopatologicznego, dla rozpoznania zmian. Na tym etapie Helena zrozumiała, że sprawa raczej jest poważna i czeka ją długie leczenie.

W rejestracji Centrum Onkologii powiedzieli jej, żeby czekała pod gabinetem, w którym spotka się z nią doktor Lewińska. No więc nie ruszała się z miejsca, starając się powściągnąć narastającą panikę.

Myślała głównie o tak zwanej ironii losu. Tysiące razy mijała ten budynek, nie bardzo zaprzatając sobie nim głowę. Teraz sama się tutaj znalazła i nie miała pojęcia, co tak naprawdę ją czeka. Trudno było jej zachować spokój, choć zdawała sobie sprawę, że właściwie leczony nowotwór złośliwy może mieć wieloletni przewlekły przebieg, a często daje się go całkiem wyleczyć.

Gmach trochę się zmienił od czasu, gdy jako licealistka pokonywała Garncarską codziennie, w drodze na Studencką. Wyremontowano go i nie był tak szary i przygnębiający, jak w jej szkolnych latach. Teraz starał się sprawiać wrażenie przyjaznego, ale sama świadomość wagi problemów, z jakimi przychodziło mierzyć się tutaj pacjentom – onieśmiała.

Helena patrzyła na doświadczonych w chorowaniu osoby. Weteranów, którzy potrafili w miarę biegle przemieszczać się od poczekalni do poczekalni, od jednego okienka do drugiego. Rejestracja, pobranie krwi, chemia. Wszystko tutaj było podporządkowane tajemniczemu

procedurom, rządził protokół leczenia, o którym jeszcze nie miała pojęcia, ale ciągle słyszała o nim od pacjentek przesiadujących na krzeselkach. Słowa: „chemia”, „operacja”, „protokół”, „badania kliniczne”, krążyły po korytarzu jak mantra, potęgując strach. Czy ją także to czeka? Czuła się zagubiona i bezbronna. Wciągnięta w tryby maszyny, w której nie umiała się poruszać, bo nie znała jej reguł.

Nie użalaj się nad sobą... – Przywołała się do porządku. Tutaj każdy walczył o swoje zdrowie i życie. Miała tego pełną świadomość. Ona także musiała stanąć do tej walki i wierzyć w swoją szczęśliwą gwiazdę. Uczepiła się tej myśli z całych sił.

Oczekiwanie na wyniki na korytarzu kliniki było straszne. Już od kilku dni nie mogła spać, czuła się jak w letargu i jedyne, o czym marzyła, to by przyspieszyć bieg czasu i mieć już to wszystko za sobą. W dodatku nikomu nie mogła się zwierzyć, zatem obserwowała swoją rodzinę jak zza grubej szyby.

Na szczęście Zuza Lorenc miała w ostatnich dniach mnóstwo zajęć w szkole Soni Piskorz i raz po raz podrzucała im dzieci. Zamieszanie związane z opieką i ciągły ruch w domu odwracały uwagę domowniczek od problemów Heleny. Gdy Ofelia zauważyła, że siostra jest markotna i nawet nie prowadzi z nią zwykłych sprzeczek, ta oświadczyła, że chyba ma grypę. Dla dobra bliźniąt Zuzi, w trosce, żeby nie złapały infekcji, pozostawiono Helenę samą sobie. Przesiadywała więc w pokoju, udając zaziębioną, lub wymykała się do pracowni, a tam krążyła bez sensu po całym pomieszczeniu, obgryzając w nerwach paznokcie. W chwilach zwątpienia, które ją często dopadało, nie miała ochoty nic robić, wszystko wydawało się jej mialkie i nieważne. Ulotne i niewarte zaangażowania. Po co użerać się o lokal, skoro życie może za chwilę się skończyć? Wyobrażamy sobie, że nasz czas jest nieskończony, a tu nagle, całkiem niepodziewanie, pojawia się meta. A tyle jeszcze zostało do zrobienia, tyle do przeżycia, doświadczenia... Jakie to niesprawiedliwe!

Nie jeden raz zadawała sobie pytanie: „Dlaczego ja? Co ja takiego zrobiłam?”. Wiedziała jednak, że nie znajdzie na nie odpowiedzi. Nie zrobiła nic. Takie rzeczy po prostu się zdarzają, a najważniejsze jest jak najszybciej się z nich otrząsnąć. Nie było to jednak takie łatwe.

Rozmyślała o tym wszystkim w oczekiwaniu na przyjęcie przez chirurga-onkologa i raz po raz ogarniały ją strach i niepewność. Szczerze mówiąc, miała ochotę uciec, ale zdawała sobie sprawę, jakie to irracjonalne.

– Pani Helena Werde. – Usłyszała wreszcie z gabinetu.

Weszła z westchnieniem ulgi i nadzieją, że coś się w końcu wyjaśni.

Doktor Lewińska, blondynka po trzydziestce o bujnych kręconych włosach, wstała na jej powitanie.

– Helena...

– Balbina? – W jej głosie brzmiało ogromne zaskoczenie.

Tak, Werde niewątpliwie miała przed sobą Balbinę Plechę, a właściwie – Lewińską. Kiedyś najlepszą przyjaciółkę, obecnie zniechęconego wroga. Że też akurat jej się musiało coś takiego przydarzyć! Złośliwość losu w najczystszy wydaniu!

– Wychodzę – oznajmiła Helena, odwracając się na pięcie. – W jaki sposób mogę zmienić lekarza?

– Lena, bądź poważna, proszę cię – perswadowała Balbina, opuszczając miejsce za biurkiem. – Tu chodzi przecież o twoje zdrowie.

– Wiem o tym doskonale, ale nie chcę mieć z tobą nic wspólnego. Że też musiałam trafić akurat na ciebie! Nie miałam nawet pojęcia, że zostałam onkologiem.

– Tak się złożyło. Wyjechałam do Warszawy, zrobiłam specjalizację i teraz, po rozwodzie, wróciłam do Krakowa. Próbuję się tu z powrotem urządzić. – Zatoczyła ręką koło.

Werde pozostawiła to bez komentarza. Sonia Piskorz także była po rozwodzie. Ona sama nigdy nie ułożyła sobie życia, zawsze wikłając się w same nieudane związki. Co z nimi trzema było nie tak?

– Hela, to są stare sprawy. Nie możesz mi wybaczyć? Pogadajmy jak dorosłe kobiety – poprosiła tymczasem Balbina. – Właściwie to fajnie, że się spotkałyśmy, choć oczywiście wolałabym w innych okolicznościach.

– Nie chcę gadać o „starych sprawach” – burknęła Helena. – Ani ich załatwiać. Nigdy nie zapomnę tego, co powiedziałaś o mojej matce. Tych wstrętnych kłamstw.

– Już cię za to przepraszałam. Pokłóciłyśmy się, byłam na ciebie zła. Wiem, że postąpiłam karygodnie. Próbowалам to wyjaśnić wiele razy, ale ty byłaś nieprzejednana...

– Bo nie robi się takich rzeczy przyjaciółce. Nie mówi – uściśliła. – Zawiodłam się na tobie, Inka. Po prostu. Nasza przyjaźń to już przeszłość.

Balbina pokręciła głową.

– To bardzo przykre, co mówisz, ale przyjmuję to do wiadomości. Rozumiem, że nie chcesz we mnie widzieć koleżanki, ale mogę chyba być twoim lekarzem? Heleno, spróbuj oddzielić sprawy osobiste od tych związanych ze zdrowiem, dobrze? Nie zamierzam się reklamować, ale jestem naprawdę dobrym specjalistą i chcę ci pomóc. No, ale ostateczna decyzja należy do ciebie. Możesz oczywiście zmienić lekarza, skoro ja ci nie odpowiadam.

Dawna przyjaciółka popatrzyła na nią przeciągle. Balbina prawie się nie zmieniła przez te wszystkie lata. Jej uroda wciąż była zniewalająca, bo tylko tak można to było określić. No może w okolicy ust pojawiło się kilka delikatnych zmarszczek, ale dalej mogła się poszczycić nieskazitelną cerą i figurą. Miała charakterystyczny szlachetny owal twarzy i bardzo wyraziste, zwracające uwagę oczy o długich rzęsach. Helena pamiętała, jak szalał za nią Jacek Nowacki, jej obecny sąsiad. Dotarła do niej absurdalna myśl o dobrym uczynku. Przecież oboje są teraz wolni... Natychmiast odrzuciła pomysł, który powstał w jej głowie. Nie czuła się swatką, poza tym nie zamierzała wchodzić z Inką w żadne konfidencje. Rana, którą zadała jej eksprzyjaciółka, wciąż była świeża, mimo iż minęło już tyle lat. Nic nie poszło w zapomnienie i tamte słowa nadal bolały. Helena nie zamierzała niczego wyjaśniać. Musiała zadać sobie inne pytanie: Czy była gotowa na to, żeby Inka ją leczyła? Oznaczało to konieczność częstych spotkań, rozmów o sprawach jak nie intymnych, to w każdym razie bardzo prywatnych. Gdyby jednak odłożyć na bok tamtą kwestię, to komu innemu, jak nie Balbinie, Helena mogłaby zaufać i zadać szczerze pytanie o własną przyszłość? No i spodziewać się rzetelnej odpowiedzi?

Podjęła decyzję.

– Masz rację. Było, minęło. Pewnych rzeczy nie cofniemy, ale nie powinnam się tutaj rzucać jak jakaś Lilla Weneda – mruknęła, a koleżanka wyprostowała się z uśmiechem. – Przepraszam za mój wybuch. Po prostu byłam zaskoczona twoim widokiem.

– Ja też, gdy spojrzałam na kartę. W pierwszej chwili myślałam, że to zbieg okoliczności, ale potem doszłam do wniosku, że to chyba jednak niemożliwe. Werde to rzadkie nazwisko...

– Jeżeli możesz puścić w niepamięć to, co powiedziałam, to wróćmy do relacji: pacjent – lekarz. – Niezbyt chętnie podsumowała Helena. – Mam nadzieję, że w sprawie mojej choroby będziesz ze mną uczciwa.

Balbina spojrzała na nią spod oka, ale nie skomentowała tego przytyku, uznając, że w ten osobliwy sposób koleżanka wyciąga jednak rękę do zgody. Gdy się przyjaźniły, to Inka była bardziej koncyliacyjna, przyjmowała za dobrą monetę każdy przyjazny gest, nie obrażała się i nie analizowała. To ona bardziej zabiegała o zainteresowanie drugiej strony. Teraz też automatycznie weszła w tę rolę.

– Obejrzałam wyniki – zaczęła profesjonalnym tonem. – Naprawdę nie jest źle...

– Tak? – przerwała jej Helena podekscytowanym tonem.

– Owszem. Raczej nie są zajęte węzły chłonne, a to bardzo dobrze rokuje, poza tym guz jest niewielki. Musimy się go jednak pozbyć i to jak najszybciej. Nie będę przed tobą ukrywała, że konieczna jest operacja, a potem naświetlanie.

– Obetniesz mi cycek? – zapytała Helena wprost.

Balbina wyprostowała się na swoim fotelu.

– Myślę o operacji oszczędzającej.

– Czy to oznacza, że usunięcie całej piersi nie będzie konieczne?

– Tak. Radykalna mastektomia nie będzie konieczna. Jednym słowem – nie obetnę ci niczego, jak to ładnie ujęłaś. Postaram się wyłuskać tę zmianę z marginesem. Potem wykonamy jeszcze dalsze badania, ale o tym później...

– Jakie mam szanse?

– Moim zdaniem duże. Zorientowałaś się bardzo wcześnie, a to ogromny plus. Szybko zaczęłaś działać, to drugi duży plus. Nie chowałaś głowy w piasek, nie czekałaś, że sprawa się sama rozwiąże...

– Naprawdę podejrzewałaś mnie o coś takiego? – Helena była zdumiona.

Balbina pokręciła głową.

– Minęło wiele lat od czasów szkolnych. Bardzo się zmieniłaś. Nie chcę cię drażnić, ale wtedy raczej starałaś się unikać problemów. Gdy się pojawiały, wołałaś je przeczekać.

– „Pomyślę o tym jutro”, jak Scarlett O’Hara – rzuciła Werde.

Balbina przytaknęła.

– Coś w tym stylu. Kiedy byliśmy małe, takie magiczne myślenie miało nawet swój urok. Nic nie widzę, nic nie słyszę, wszystko się samo załatwi.

– Chyba jednak trochę przesadzasz – obruszyła się Helena, dotknięta do żywego. – Wcale nie unikałam konfrontacji.

– Konfrontacji nie, ale decyzji niewątpliwie.

Werde popatrzyła na byłą koleżankę z otwartymi ustami. Balbina trafiła bowiem w sedno. Helena nie była tchórzem, umiała walczyć. Nie potrafiła jedynie decydować. I dlatego chyba właśnie w ten, a nie inny sposób pokierowała własnym życiem. Obijała się od jednego pomysłu do drugiego, meandrując i zawsze pod prąd. To nie był wcale bunt, ale właśnie paradoksalnie: sztuka życiowych uników.

Balbina, nie mając wglądu w myśli dawnej przyjaciółki i sądząc, że ją uraziła, próbowała zbagatelizować swoją wypowiedź:

– To jednak nie jest przedmiotem naszych dociekań. Musimy się skupić na twoim zdrowiu.

– Nikt nie wie, Inka.

– Co ty w ogóle mówisz?

– Naprawdę. Powiedziałałam wyłącznie Szarotce, a to tylko dlatego, że mnie zmusił, zaskoczył mnie na ulicy, jak wracałam od lekarza, i się rozkleiłam. Wygadałam się pod presją chwili. Matce, siostrze i siostrzenicy nie puściłam pary. Nie mają o niczym pojęcia.

– Musisz z nimi porozmawiać, to w ogóle nie ma sensu. Tak ważnych spraw nie da się ukrywać w nieskończoność. Poza tym wsparcie rodziny jest dla pacjenta bardzo ważne.

– Jakie wsparcie? Znasz moją siostrę. To desperatka i histeryczka. Sama leczy się olejem z wątroby prehistorycznego mamuta, bo ciągle boli ją głowa. Gdyby mogła, skakałaby przez miotłę lub chodziła po rozżarzonych węglach. Każe mi pić napar z rumianku i nacierać się octem. Dziękuję bardzo.

Balbina uśmiechnęła się pod nosem.

– Z przyjemnością stwierdzam, że twój żywiołowy charakter jest wciąż taki sam. To doskonale rokuje w naszej sprawie.

– Och, Inka, nie bądź taka protekcyjna. – Skrzywiła się Helena. – To, że masz nadę mną władzę, nie daje ci automatycznie prawa, żeby się tak puszyć.

Lewińska wybuchła szczerym śmiechem. Pielęgniarka, która właśnie weszła, żeby podać karty kolejnych pacjentów, spozrzała na nią z zaskoczeniem.

– Czy coś się stało, pani doktor?

– Absolutnie nic, siostró, wszystko w porządku. – Po czym zwróciła się do koleżanki: – Lena, widzę, że jesteś w formie. To naprawdę bardzo ważne. Powiem ci szczerze: w chorobie trzeba mieć złość i pasję. Pozytywną złość, żeby to wszystko zwalczyć, i pasję, żeby dać sobie radę z przeciwnościami. Nie będę cię czarowała – to, co cię czeka, na pewno wyda ci się straszne: badania, leki, zabiegi, ludzie, którzy cię będą otaczać. Pacjenci ze swoimi problemami, personel. Każdy ma swoje dobre i złe dni, ty także. Ale pasja pozwoli ci przejść przez każdą niedogodność z minimalną stratą własną. Czy ty myślisz, że ja tego nie przeżyłam? Nie przejmuję się zdrowiem i życiem moich pacjentów? Oczywiście, że tak, ale nie mogę się tym załamywać i dręczyć, bo bym zwariowała. Ja jestem od leczenia, nie od użalania się. Ty też jesteś tutaj od wyleczenia się, a nie od kolekcjonowania ewentualnych przykrych doświadczeń.

– Rozumiem. Tylko co ma do tego fakt, czy powiem o tym mojej rodzinie, czy nie?

– To jest sprawa zasadnicza. Nawet jeżeli Ofelia preferuje medycynę niekonwencjonalną, to jeszcze nie powód, żeby ukrywać przed nią fakty. Wyobraź sobie, jaki szok przeżyją twoi bliscy, gdy się w końcu dowiedzą. Co im powiesz, jak pójdiesz na operację? Że wyjeżdżasz na zagraniczny urlop, gdzie nie ma zasięgu? Do Mongolii lub na Antarktydę?

– Przyznam, że coś takiego chodziło mi po głowie. – Helena się uśmiechnęła. – Rozumiem, że uważasz to za nierealne?

– Bądź poważna. Postaw się na ich miejscu. Co ty byś powiedziała, gdyby Ofelia ukryła przed tobą coś takiego?

– Byłabym cholernie rozczarowana. I wściekła – przyznała Helena.

– Właśnie, a dlaczego?

– Z powodu braku zaufania – niechętnie wyznała Werde. – Matko, Inka, jakim ty się zrobiłaś psychologiem...

– Muszę. Onkolog, który nie ma takich umiejętności, nie nadaje się do pracy. Przyznam ci się, że długo to w sobie kształciłam. Z nas obu to ty wykazywałaś naturalne predyspozycje do wyczuwania ludzi.

– Teraz mam wrażenie, że je zatraciłam. Jestem chyba zbyt zadufana w sobie – szczerze oświadczyła Helena.

Lekarka spojrzała na nią ze zdziwieniem.

– Jesteś zbyt surowa.

– Raczej nie. Sama wiesz, że człowiek zawsze widzi siebie lepiej, niż jest postrzegany w rzeczywistości. Myślę, że tym razem po prostu oceniłam siebie obiektywnie.

Balbina pokręciła głową.

– Stałaś się trochę zbyt okrutna dla samej siebie. Bądź okrutna dla choroby, a dla siebie – łagodna. Małe przyjemności, zażywanie niewinnych uciech dnia codziennego, hołdowanie filozofii *carpe diem*[11] bez najmniejszych wyrzutów sumienia...

– Naprawdę? A odpowiedzialność, decydowanie i dorosłe życie? – sarkastycznie zauważyła Helena.

– Czy to się nawzajem wyklucza? Można być dorosłym i odpowiedzialnym, a równocześnie cieszyć się urokami codzienności, przepływając chwilą, czerpać

z rzeczywistości, ile się da. I powiedz dziewczynom. Na pewno będą cię wspierać. Łącznie z Ofelią. Myślę, że ona zechce cię wesprzeć przede wszystkim.

– Nie wiem, co masz na myśli. – Helena zmarszczyła nos.

Balbina przestała stukać w klawiaturę komputera.

– Przepraszam, może źle się wyraziłam. Cała trójka będzie ci równo kibicować, ale siostra to wyjątkowa relacja, o to mi chodziło.

– Rozumiem.

– Wypisałam dokumenty. Teraz musimy ustalić termin zabiegu. Będą konieczne dodatkowe badania, przede wszystkim morfologia, rentgen płuc, kolejne USG... Za dwa tygodnie?

– Tak szybko? – Helena była przerażona.

– Wiesz, że nie ma na co czekać. Po zabiegu szybko trzeba zacząć naświetlanie łoża pooperacyjnej. Wierzę i mam nadzieję, że to zakończy sprawę. Oczywiście zbadamy wycinek pooperacyjny i wtedy dokładnie ustalimy, co robić dalej. Na razie nie wybiegajmy naprzód, zajmijmy się bieżącymi sprawami.

– Rozumiem. Czyli jesteś przekonana, że to nie jest najgorszy z możliwych nowotworów?

– Nie. Sytuacja nie jest może rozrywkowa, ale trzeba patrzeć z optymizmem w przyszłość. Heleno, jak sama na pewno wiesz, nie ma dwóch takich samych nowotworów. Musimy po prostu trzymać rękę na pulsie. I niczego nie lekceważyć.

– Nie zamierzam.

Chwilę mierzyły się wzrokiem.

– Czy wspomniałaś coś o Szarotce? – spytała Balbina, podając jej skierowania na badania.

– Tak. Jest radnym w naszej dzielnicy.

– Kupił połowę domu moich rodziców, wiedziałaś o tym?

– Mówił, że to inwestycja jego brata, ponoć bardzo mu zależało – wyjaśniła Helena.

– Być może. W każdym razie Mikołaj teraz tam mieszka. Czy to nie dziwne?

– Dlaczego? – Nie rozumiała Werde.

Balbina przygryzła wargi.

– Tak jakoś mi przyszło do głowy. A ty wciąż zamieszkujesz na Gwiazdzistej, prawda?

– Owszem... – Już miała opowiedzieć koleżance o historii ze spadkiem i dobrym uczynkiem, ale w ostatniej chwili się powstrzymała. Nie. Tę opowieść przekazałaby przyjaciółce, a Inka nią nie była już od bardzo dawna. Ich stosunki wróciły na poprawne tory, to prawda. Można by je teraz nazwać „właściwymi”. Daleko im jednak było do dawnej zażyłości. Gdzie te dni, gdy „Helina” nieustannie przesiadywała w ogrodzie Plechów pod krzywym drzewem lub w zapuszczonym ogródku na Gwiazdzistej? Albo w dawnej fabryce wyrobów porcelanowych Niedźwieckiego? Miały swoje sekrety i potrafiły o nich opowiadać całymi godzinami. Za ogródkiem meteorologicznym na boisku szkolnym rósł krzak jaśminu, biegały tam późną wiosną na przerwach. Kwiaty pachniały tak słodko, że aż kręciło się w głowie. Helena zrywała duży biały kwiat i rozcierała sobie na nosie żółty pyłek z pręcika, a Balbina pękała ze śmiechu. A potem czytały na spółkę książki wypożyczone z biblioteki szkolnej. Albo jeździły na rolkach, które Ince kupił ojciec.

Gdzie się podziały tamte lata, niemal siostrzana bliskość, niezwykła przyjaźń?

Helena otrząsnęła się ze wspomnień i wyciągnęła dłoń po plik skierowań.

– Dziękuję ci bardzo.

– Cieszę się, że mogłyśmy się spotkać. Mimo wszystko – uściśliła Balbina, chyba niepotrzebnie.

Helena miała ochotę wzruszyć ramionami, ale powstrzymała się. Cicho wyszła z gabinetu, po czym ruszyła po schodach.

Chyba powinnam sobie zafundować jakiś dobry obiad w restauracji – pomyślała. – Zasłużyłam na to po tych wszystkich dzisiejszych wstrząsach. Sama Balbina zalecała małe przyjemności.

Niedaleko, na Dolnych Młynów, było miejsce, w którym skupiły się różne lokale gastronomiczne. Ciekawe, jak tam jest, warto spróbować. Ale samej nie chciało jej się jeść. Wyciągnęła telefon i wybrała numer.

– Zgadnij, jakie szczęście cię czeka, Szarotka – powiedziała wesoło. – Chcę się zrewanżować za okropne traktowanie, jakiego się względem ciebie dopuściłam w ostatnim czasie, i zapraszam cię na obiad. Masz teraz czas?

[11] *Carpe diem* (łac.) – dosłownie: chwytaj dzień, korzystaj z uroków chwili i życia. Sentencja pochodzi z twórczości Horacego, rzymskiego poety.



Dawna fabryka papierosów na Dolnych Młynów wyglądała teraz zupełnie inaczej niż wtedy, gdy Helena chodziła tutaj do szkoły. Pamiętała właściwie jedynie ostatnie lata działalności zakładów, które zamknięto w dwa tysiące drugim roku, czyli rok po jej maturze. Wcześniej autobusy firmowe rozwoziły pracowników spod bramy, którą zamykał szlaban, broniąc wstępu na teren fabryczny.

Zakład otwarto przeszło sto dwadzieścia lat wcześniej, jeszcze za cesarza Franciszka Józefa, i nazywano Cygar-Fabryką (C.K. Rządową Fabryką Tytoniu). Oryginalne budynki zawsze podobały się Helenie, bo przypominały jej fabrykę porcelany Niedźwieckiego z rodzinnych Dębnik. No, ale w jej czasach licealnych wstęp tutaj był wzbroniony.

Po upadku zakładu tytoniowego długo nie było wiadomo, co się stanie z atrakcyjnym terenem, aż wreszcie przekazano go pewnej fundacji, która zajęła się w tym miejscu lokowaniem galerii, sklepów z oryginalnymi ciuchami i klimatycznych knajpek.

Podobało jej się tutaj, choć pora była wczesna i w restauracji, do której weszła, siedzieli sami studenci lub freelancerzy nad zleceniami. Poczula się trochę dziwnie, niczym zwolniona z życia. Nie była studentką, nie miała też żadnego konkretnego zajęcia.

Choroba czy nie, powinnam wrócić do swojego pomysłu z mydlarnią – zadumała się nad kartą z wykazem dań podawanych o tej porze. W końcu tajemniczy dobroczyńca przychyłał się do koncepcji, aby w dawnej pralni sprzedawano mydło. Było to nie w smak Jackowi i Olesińskiej, no ale trudno – niech zrobią jakiś dobry uczynek i na początek na przykład się pogodzą. Na tę myśl Helena uśmiechnęła się do siebie.

Dyskretnie wyjęła z torebki papiery, które dała jej Balbina, i zaczęła przeglądać skierowania. Próbowała sobie to wszystko ułożyć: a więc operacja oszczędzająca z wycięciem guza z manganem zdrowych tkanek, podczas operacji biopsja węzła chłonnego wartowniczego

i badania histopatologiczne. Potem precyzyjne określenie, z czym mieli do czynienia, no i radioterapia. Helena sprawdziła sobie to wszystko w internecie, korzystając z komórki, bo miała wątpliwości, czy się nie pomyliła i czy dobrze zapamiętała słowa koleżanki. Najgorsza była świadomość, że ten wstrętny obcy wciąż tkwi w jej ciele i być może rozrasta się z minuty na minutę, pogarszając jej sytuację.

A jeżeli już jutro będzie dużo gorzej? Albo za tydzień? – głowiła się. – Co wtedy zrobić? Nagle okaże się, że to świństwo rozsiało się po całym organizmie i nic nie da się już naprawić...

Poczuła się tak, jakby nosiła w sobie bombę zegarową z opóźnionym zapłonem. Nie mogła się powstrzymać, żeby z przyganą nie spojrzeć na swój biust. Zawsze była dumna ze swoich zgrabnych piersi. Nie miała im niczego do zarzucenia – zarówno jeżeli chodziło o rozmiar (w sam raz), jak i kształt. A tu zupełnie zniecka jedna z nich postanowiła ją zdradzić.

Jakie to dziwne: zwykle sen z powiek spędza nam wygląd biustu, a nie sprawy zdrowotne, które schodzą na dalszy plan. Dopiero gdy zachorujemy na raka piersi, namawiamy inne kobiety do mammografii, samobadania i USG piersi – filozofowała nad herbatą, którą zamówiła w oczekiwaniu na Mikołaja. – Mądra Polka po szkodzie... Dlaczego migamy się od badań profilaktycznych. Czego się boimy?

Zasadniczo nie miała sobie nic do zarzucenia. Obserwowała Ofelię i jej alternatywne metody leczenia, ale zupełnie się z nimi nie zgadzała. Jakby na przekór starszej siostrze sama wykonywała wszelkie badania okresowe. Była, jak to się ładnie mówi, świadomym pacjentem. Może to ją właśnie uratuje? Chciała w to wierzyć. Cieszyła się, że wykazała się odwagą i nie wahała się natychmiast zadziałać. Była gotowa stanąć do ostrej walki o swoje zdrowie i życie.

Ale też wiele osób wsparło mnie bezinteresownie – przyznała sama przed sobą. Wspomniała Mikołaja i Balbinę, starszą lekarzkę z ośrodka, a nawet panią Hanię, rejestratorkę, która pomogła dzięki wstawiennictwu Szarotki. Wiedziała, że jeszcze wiele takich osób spotka na swojej drodze. Miała nadzieję, ba – była pewna – że ta historia musi zakończyć się dobrze. Nie zakładała żadnego czarnego scenariusza, choć rozumiała, iż nie będzie to spacerek. Raczej bieg z przeszkodami.

– Nad czym tak dumasz? Wyglądasz jak poeta szukający natchnienia – odezwał się Mikołaj, zbliżając się do stolika.

– Poeta? Dobrze, Szarotka. A ty wiesz, że ja nigdy nie napisałam ani jednego wiersza? Różne rzeczy przychodziły mi do mojej postrzelonej głowy, ale to akurat nigdy.

– Fajny lokal. – Zmienił temat Szarocki. – Sto lat nie byłem w tej okolicy.

– Ja też, chyba od czasów licealnych. Bardzo się tu zmieniło na korzyść. Choć chyba jestem trochę za stara na takie miejsca.

– Co ty gadasz? Jak to za stara?

– Popatrz na tych ludzi: sami studenci albo hipsterzy. Za stary ze mnie hipster.

– Możesz być najstarszym hipsterem w dzielnicy. – Wzruszył ramionami. – Mnie się podoba, że są osoby, które znajdują czas na niespieszne lancze i pogaduszki. Moim zdaniem za bardzo gnamy w tym życiu przed siebie, w ogóle nie wiadomo, po co. À propos: czy tu dają te niezwykle eleganckie posiłki na wynos?

– Pewnie tak. Dlaczego pytasz?

– Bo nie mamy czasu!

– Wiesz, że w tym momencie sam sobie zaprzeczasz?

– Wiem, ale wyrwałem się tylko na chwilę, bo chciałem cię stąd zabrać.

– Dokąd?

– To niespodzianka! – Mikołaj obejrzał się na czarnowłosą kelnerkę, potem chwilę z nią konferował, a w końcu złożył zamówienie.

– Wziąłem fajny zestaw: krem ze szpinaku i bakłażany w cieście. Coś, co lubię – pochwalił, gdy młoda dziewczyna przyniosła paczki. – A teraz jedziemy.

– Dokąd!?

– Coś ty taka niecierpliwa. Zobaczysz.

Wyszli z kompleksu dawnej fabryki i ostatni raz spojrzeli na zabudowania.

– Wiosna w mieście – mruknął Mikołaj. – Ma swój urok, ale ja wolę nasze Dębniki.

– Nie gadaj, po tej stronie Wisły też jest ładnie.

W istocie, nieodległy Park Krakowski kusił pierwszą zielenią drzew i krzewów. Z oddali widać było bawiące się na trawie dzieci. W mieście wciąż brakowało takich miejsc.

– Musimy pomyśleć o naszym parku – stwierdził Szarocki. – Jest bardzo potrzebny.

– A ja powinnam się zająć zaniedbanym ogródkiem na Gwiazdzistej – westchnęła Helena.

– Wstyd powiedzieć, jak to wygląda. Straszdyło. A w końcu taki sympatyczny kawałek zieleni mógłby tam powstać.

– Zgadzam się z tobą. Nie ma co, zapuściliście ogród. Trzeba się za to wziąć. Widzę, że na poważnie zainteresowałaś się konkursem na najpiękniejszą rabatkę i chcesz stanąć w szranki – zażartował.

– Tak, rywalizacja zawsze mnie dopingowała. – Wzruszyła ramionami.

– Jak wyniki? – spytał wreszcie, wycofując auto z parkingu przed sklepem rowerowym.

– Przyszłość rysuje się optymistycznie, jak mówi moja onkolog.

– Uf, to świetnie. Cieszę się, że dostałaś tak dobre wiadomości.

– Muszą mi jednak wyciąć to świństwo, więc nie będzie lekko. Nie zgadniesz, kto jest moją lekarką. Balbina Plecha! Teraz Lewińska.

– Hm, nie wiedziałem, że wróciła do Krakowa. Jej ojciec jest bardzo dyskretny, jak widać. Myślałem, że wciąż robi karierę w Warszawie.

– Robi karierę? Miałaś świadomość, że została onkologiem? – Nie posiadała się ze zdziwienia.

– Niezupełnie. Obiło mi się o uszy, że robiła specjalizację z chirurgii. Doktor Plecha się chwalił, że wyjeżdżała na jakieś zagraniczne stypendia. Zdaje się, kończy doktorat lub może już robi habilitację...

– Szybko. – Pokręciła głową Helena.

– Co chcesz, zawsze była zdolna.

– Zawsze była kujonem. – Prychnęła Werde, a Mikołaj rzucił jej krótkie spojrzenie z boku.

– Ależ jesteś na nią cięta. Już od dawna mnie korci, żeby spytać, o co wam poszło. Takie byłyście zaprzyjaźnione, prawie jak siostry. Niemożliwe, żeby taka przyjaźń zamieniła się w nienawiść.

– Nie pytaj, bo i tak ci nie odpowiem. To nasze sprawy – burknęła nieprzyjaźnie Helena.

– Rozumiem. W każdym razie Balbina jest dobrym specjalistą, cenionym. Tak utrzymywał stary Plecha. Myślę, że zawodowo możesz jej zaufać.

– Sama to wiem. Robi dobre wrażenie. Nie narzuca się, a jest pomocna – przyznała uczciwie Werde. – Wszystko mi wyjaśniła, poświęciła sporo czasu. Naprawdę jestem jej zobowiązana.

– No widzisz. – Mikołaj się ucieszył. – Nie taka Balbina straszna, jak ją malują.

– Czy ty ją w ogóle widziałeś? – spytała.

– Ostatnio nie.

– No właśnie. Inka jest piękna jak dawniej.

Szarocki wzruszył ramionami.

– I co z tego. Na mnie Plecha nigdy nie robiła wrażenia. Przewracała oczami jak lalka.

– Co takiego? – zdumiała się niezbyt grzeczenie Helena.

– No tak! Przerекlamowana uroda. Wszyscy się zachwycali, jaka ta Inka piękna, każdy chłopak musiał się w niej kochać. Mnie się wcale nie podobała. Włosy jak pierze i te dziwne oczy. Nie w moim typie. No co? – Obruszył się, czując, że Helena mu się natarczywie przygląda.

– To karalne czy co? Wszyscy się muszą akurat Balbiną zachwycać? Miła koleżanka, nie powiem, zdolna i sympatyczna, ale żeby od razu piękna? Tego bym nie powiedział.

– Przepraszam cię, Szarotka, ale ty chyba masz defekt mózgu. Ja bym prędzej powiedziała, że Inka jest niesympatyczna, niż że nie jest ładna.

– Zależy, co się komu podoba. – Upierał się Mikołaj. – Dobrze, przestańmy się kłócić o wątpliwe walory Inki, tylko lepiej dokładnie powiedz mi, co zdiagnozowała. Jeśli to nie tajemnica.

Helena wyjaśniła mu pokrótce.

Szarocki słuchał w milczeniu.

– Brzmi obiecująco – stwierdził po chwili.

– Raczej tak. Myślę, że mogę być dobrej myśli. W każdym razie – umiarkowanie.

– Tak. Umiarkowanie dobrej myśli możesz być zawsze.

Roześmiali się oboje z ulgą.

Mikołaj jechał wzdłuż Wisły, ale Helena szybko zorientowała się, że nie skręcają na Dębniki.

– Nie jedziemy do domu?

– Skądże znowu.

– To gdzie w takim razie?

– Zobaczysz.

Byli po drugiej stronie rzeki i pięli się właśnie na Srebrną Górę. A więc Szarocki wiezie mnie do obserwatorium astronomicznego – pomyślała.

– Aha, jedziemy do pracy – mruknęła, ale była ogromnie zadowolona, bo zawsze chciała zobaczyć to miejsce.

Obserwatorium mieściło się na Bielanych, przy ulicy Orlej, co w skojarzeniu z oglądaniem nieba wydawało się niezwykle kuszące, przynajmniej Helena tak uważała. Była w tym pewna magia. Teren na wzniesieniu sam w sobie wyglądał niezwykle – zaznaczony pięcioma kopułami obserwacyjnymi i czaszą wielkiego teleskopu. Jak wyjaśnił jej ogromnie z siebie zadowolony Szarotka, był to tzw. duży radioteleskop o piętnastometrowej czaszy.

– Oprócz tego mamy tu zwykle budynki dydaktyczne. Jako ciekawostkę powiem ci, że prowadzimy tu nawet wieczory z gwiazdami, takie wykłady dla dzieci, które cieszą się ogromną popularnością. Właśnie dzisiaj przygotowujemy jeden z nich.

– I ściągnąłeś mnie tu po to, żebym ci pomagała niańczyć to bractwo? – Roześmiała się.

– Wcale nie! Chciałem ci pokazać gwiazdy i kosmiczne motyle. Jakie życie może być piękne. To miało być na wszelki wypadek – powiedział cicho, wysiadając z samochodu.

– Na wszelki wypadek?

– Tak...

Spojrzała na niego i nagle głos uwiązał jej w gardle. Chyba powinna mu podziękować, jednak nie mogła. Był dobrym kolegą, wiernym przyjacielem, ale skoro naprawdę myślał, że straci chęć do życia po diagnozie, to nie znał jej zbyt dobrze. Tylko czy miała prawo mieć mu to za złe?

– No to chodźmy – oświadczyła dziarsko. – Prowadź.

Mikołaj wyjął z bagażnika opakowania z jedzeniem i, nie przestając opowiadać o historii

obserwatorium, poprowadził swoją towarzyszkę do głównego budynku. Uwijało się tu kilkoro studentów, którzy najwyraźniej albo pomagali w przygotowaniu spotkania z dziećmi, albo prowadzili własne badania.

– O, już pan jest. – Ucieszył się student. – Szybko. Widzę, że i obiad zdążył pan kupić.

– Tak. Zaopiekuj się moim gościem, Michał. To Helena Werde, moja dawna kumpelka ze szkoły, przyjechała zobaczyć, jak się tutaj rządzą. Wpuść ją do mojego pokoju, a ja poszukam czynnej mikrofali.

– W porządku, pani pójdzie za mną, jestem Michał.

– Słyszałam. Ja mam na imię Helena.

– To także wiem. – Student puścił do niej oko. – Chodziła pani z doktorem do klasy?

– Tak się złożyło. W szkole podstawowej.

– Aha. To musi pani pochodzić ze słynnych, ukochanych Dębni. – Roześmiał się Michał. – Proszę bardzo, to pokój doktora Szarockiego. Bałagan iście kosmiczny.

Faktycznie. W niewielkiej przestrzeni piętrzyły się wydruki, kopie artykułów, różne notatki i papiery. Na ścianach wisały odbitki zdjęć Mikołaja, jeszcze piękniejsze niż te, które publikował w internecie.

– Wspaniałe – musiała przyznać.

– Prawda? Robi je naszym sprzętem. Nazywa te obiektywy Iskra 1 i Iskra 2. U niego zresztą wszystko nazywa się Iskra. Ma trzy koty, które się tak wabia, także z kolejnymi numerami. Nikt nie wie, dlaczego. Podobno łatwiej mu zapamiętać. Profesor mówi, że gdyby Mikołaj Szarocki odkrył jakąś planetę, na pewno nadałby jej nazwę Iskra dla lepszej pamięci.

– Iskra... To zabawne – w zamyśleniu powiedziała Helena.

– Mam już obiad – radośnie oświadczył Mikołaj, wkraczając do pokoju i odgarniając papiery z biurka, żeby postawić talerze. – Michał, dziękuję za opiekę, możesz już zmykać do swoich zajęć.

– Tak jest, panie kapitanie! – wesoło odparł student, po czym zsalutował Helenie i zniknął.

– Mam nadzieję, że cię nie zanudził. Astrofizycy są dosyć monotematyczni – zaczął z niepokojem.

– Wcale nie. – Machnęła ręką. – Mówił mi, że masz trzy koty...

– A tak. Okropne są. Wszystkie niszczą. Każdy czarny. Kompletnie ich nie rozróżniam, więc nazywają się Kot 1, Kot 2 i Kot 3. Dla wygody. Co tak patrzysz? – zaniepokoił się. – Niedobre to jedzenie?

– Bardzo dobre... – Spłoszyła się. – Po prostu zadumałam się nad twoją pomysłowością względem imion kotów.

– Pomysłowe? Raczej desperackie – mruknął Szarotka znad swojej zupy szpinakowej.

– Podobają mi się twoje zdjęcia. Są cudowne. – Zatoczyła ręką koło, żeby zmienić temat.

– Dzięki. Lubię fotografować, to moje hobby. A wiesz, że zrobiłem też zdjęcia twojego mydła? – Pochylił się i zaczął szperać w szufladzie, wymiatając stamtąd sterty różnych szpargałów: odbitek fotograficznych, starych notatników, jakichś zeszytów.

– O, trzymasz nawet kronikę naszej klasy. – Ze zdziwieniem wzięła do ręki pożółkły przedmiot.

– A tak się jakoś złożyło... Szkoła nie miała żadnego archiwum... Bałem się, że to wywalą na śmietnik, a ja mam sentyment do takich gratów – tłumaczył się niezręcznie.

Helena pokiwała głową.

– Bardzo dobrze zrobiłeś. Włożyłam w nią tyle pracy, że chyba by mi serce pękło, gdyby ją oddali na makulaturę.

Zaczęła kartkować album.

Prowadziła go od szóstej klasy. Wyjścia do kina i teatru, klasowa wycieczka do Wieliczki. Jacy śmieszni wtedy byli. Rzeczywiście, Szarotka sięgał jej gdzieś do łokcia, o czym mogła się przekonać z jakiegoś zdjęcia z rajdu, gdy stali razem przy ognisku. No i Balbina Plecha... Na jednym ze zdjęć uśmiechała się wprost do obiektywu jak gwiazda filmowa. Jak ten Mikołaj mógł uważać, że nie jest ładna? Kilku fotografii brakowało, najwyraźniej zmiotł je wiatr historii, bo pozostały po nich tylko wysepki kleju.

– Ale miałam śmieszny styl pisania. I ten charakter pisma... – Helena dusiła się z wesołości. – Już zapomniałam, że pisałam w ten sposób literę „a”, jak drukowaną.

– Zobacz na ostatnią stronę – doradził Mikołaj.

– A co tam jest?

– Nie pamiętasz? W ósmej klasie wpisywaliśmy, co zamierzamy robić w przyszłości.

– Ja chyba chciałam zostać lekarzem, w każdym razie kimś sławnym. – Skrzywiła się Helena. – Jak widać, niewiele z tego wyszło.

– Popatrz. Zdziwisz się.

Helena przewróciła wszystkie karty. Na ostatniej stronie, zapisanej gęstym maczkiem, odnalazła wyznania kolegów. Balbina pisała, że chce być mikrobiologiem. No cóż, ta akurat niewiele się pomyliła. Mikołaj zwierzył się ze swego marzenia o locie w kosmos.

– O proszę, ty też właściwie nie minąłeś się z powołaniem – stwierdziła zdumiona.

– Sonia Piskorz pragnęła być piosenkarką. – Pokazał jej palcem. – A ta mała Kasia, pamiętasz ją? Siedziała w pierwszej ławce i nosiła okulary. Ona marzyła o pracy nauczycielki.

– Doskonale pamiętam. Wiesz, kim jest?

– Pracuje w ministerstwie finansów.

– Zalewasz!

– Poważnie ci mówię. Ogólnie z naszej szkoły wywodzi się wiele znanych osobistości piastujących obecnie eksponowane stanowiska. No może nie z pierwszych stron gazet, ale z drugich na pewno.

– Z rubryki ogłoszeń drobnych. – Uśmiechnęła się Helena, wciąż starając się odszukać swój charakter pisma.

– Nie ma mojego wpisu, widocznie byłam wtedy nieobecna.

– Jest. Źle patrzysz. – Wskazał palcem.

– „Chcę być wolna” – przeczytała w zdumieniu Helena. – Bez podpisu. To na pewno ja napisałam?

– Na pewno ty. Spójrz na tę charakterystyczną literkę „a”. Nie ma wątpliwości, że to ten sam charakter pisma, którym sporządzono całą kronikę.

– Ale numer! Nie podejrzewałam, że byłam taką buntowniczką. – Helena pokręciła w zdumieniu głową.

– No właśnie. Mnie ciekawi jedno: Od czego wówczas chciałaś być wolna? – spytał Mikołaj.

Wzruszyła ramionami.

– Nie wiem... Wydaje mi się, że nie byłam jakoś szczególnie zniewolona, może to takie hasło ogólne? Ideowe?

– Być może. Dało mi jednak do myślenia.

– Nie bardzo rozumiem.

Popatrzył na nią z wyczekiwaniem, jakby ważąc jakieś słowa. Zrezygnował jednak z wypowiedzenia ich.

– Mniejsza z tym – rzucił bagatelizująco. Chciałem ci jednak pokazać zdjęcia mydła,

a nie ten album, śmieszny rupieć.

– Jasne, dawaj, jestem ciekawa.

W końcu wygrzebał te fotografie, a ona popatrzyła na nie zdumiona. Kostki były sfotografowane tak, że nie wyglądały zupełnie jak mydło. Raczej jak małe dzieła sztuki nowoczesnej.

– Fenomenalnie. Kiedy już zacznę z moim sklepem, będziesz musiał mi wszystkie tak pofotografować. Nie za darmo oczywiście – zastrzegła się. – Założę sklep internetowy i będę sprzedawała je jako współczesne rzeźby.

– Bądź raz poważna. Naprawdę ci się podobają? – spytał niepewnie.

– No jasne. Są inne niż wszystko. Takie... Szalone.

– W twoim stylu, Iskra.

– Tak, bardzo w stylu Iskry – potwierdziła Helena.

– Jedz lancz, bo ci wszystko wystygnie, a nie wiem, czy nasza mikrofała da radę drugi raz to podgrzać. Talerz obrotowy wydawał takie dźwięki, jakby miał za chwilę odlecieć.

– Prawidłowo. To przecież talerz astronomiczny. – Helena zabrała się z apetytem do swojej porcji. Musiała przyznać, że na Dolnych Młynów mieli zupełnie niezłe jedzenie.

– Dziękuję ci, że mnie tu zaprosiłeś – powiedziała po chwili. – Nigdy nie byłam w obserwatorium, tu jest całkiem ładnie.

– Tak, zwłaszcza w tym budynku jest przepięknie – sarkastycznie stwierdził Mikołaj. – Prawdziwe cuda zobaczysz, jak stąd wyjdziemy. Oczywiście, najfajniej robi się latem lub późną wiosną, ale teraz też jest niczego sobie. Tylko szalik węz, bo w kopolach jest naprawdę zimno.

– Już się nie mogę doczekać. – Helena się uśmiechnęła. – Wiesz, nigdy jeszcze nie widziałam prawdziwego teleskopu.

– Czas to nadrobić. Pokażę ci wszystko, zanim przyjdzie nasza grupa, bo te dzieciaki, choć są cudowne, włączają wszędzie i robi się straszne zamieszanie. A potem odwiozę cię do domu.

– Masz fajną robotę.

– Wiem. Ja to po prostu uwielbiam. Właściwie mógłbym tu mieszkać. Traktuję to miejsce jak swój dom. – Rozejrzał się po swoim zabałaganionym królestwie.

– A co z Kotem 1, 2 i 3?

– Też by dały radę. Tutaj jest mnóstwo kotów, myślę, że towarzystwo by im odpowiadało. Podejrzewam, że teraz obgryzają mi meble w proteście, że nie mają większego wybiegu. No i dlatego, że zostawiam je na cały dzień.

– Pewnie się nudzą biedaczki...

– Biedaczki? Są trzy, mają kupę śmiechu we własnym towarzystwie i jeszcze im nudno? Powiem ci, co o nich myślę: to są istoty zbyt wymagające i zblazowane, ot co. Jeśli już zjadłś, zbieramy się. Najpierw pokażę ci nasz ogródek i okolicę. Naprawdę można się w niej zakochać.

– No co masz taką minę? Przecież lepiej się już czuję i wygląda na to, że w najbliższym czasie nie umrę – gderła Mrowińska, kiedy Helena odwiedziła ją w szpitalu. Starsza nauczycielka powoli dochodziła do siebie i Szarotka starał się o miejsce dla niej w jakimś sanatorium. Szło o to, żeby nabrała sił pod czujną opieką lekarzy i pielęgniarek, ale też dała im czas na wykonanie niezbędnego remontu małego domku.

Według wstępnej oceny pracowni Edmunda dom nie był wcale w tak tragicznym stanie, jak się wydawało na pierwszy rzut oka. W każdym razie nie trzeba go było wyburzać, czego najbardziej obawiał się Mikołaj, bo na lokal zastępczy istniały szanse wyłącznie iluzoryczne. Zresztą wątpił, czy emerytka przystałaby na takie rozwiązanie. Już pomysł z remontem jej nie oczarował, mówiąc delikatnie. Szarocki stoczył prawdziwą batalię, by namówić starszą panią do jakichkolwiek zmian. Dopiero gdy w sprawę włączyły się rada dzielnicy i wydział edukacji, wyrażając zgodę na częściowe partycypowanie w kosztach ze swych specjalnych funduszy, Mrowińska w końcu uległa.

Edmund mógł spokojnie przygotować plan remontu, zakładający najpilniejsze prace. Przede wszystkim trzeba było naprawić przeciekający dach i wypaczone okna. W następnej kolejności miała pójść wymiana pieca, a dalej ocieplenie ścian. Naprawdę było co robić. Wyjazd nauczycielki do sanatorium stawał się w tej sytuacji koniecznością. Mikołaj miał nadzieję, że Helenie uda się namówić starszą panią na takie rozwiązanie. Tyle tylko, że Werde miała swoje zmartwienia i trudno było jej oderwać myśli od własnego zdrowia.

Mrowińska od razu to wyczuła. Może i była nieudolnym pedagogiem, ale nastroje innych rozpoznawała z czułością detektora. Widziała, że jej była uczennicę coś trapi. Nie miała jednak pojęcia, co by to mogło być.

– Czym się tak gryziesz? – ponowiła obcesowe pytanie. – Masz jakieś problemy w domu? Z matką albo z siostrą? No mówże! Nie mogę patrzeć na tę twoją zbolałą minę.

Helena skrzywiła się, bo nie bardzo wiedziała, jak zareagować na tę indagację.

– Nie powinnaś się tak przejmować – ciągnęła tymczasem była nauczycielka. – To są już dawne dzieje, co się stało, to się nie odstanie. Nie ma się co dręczyć. Z perspektywy czasu mogę ci powiedzieć, że chyba dobrze się wtedy stało... Tak, bardzo dobrze. Twoja matka podjęła decyzję najwłaściwszą z możliwych. Zapewniła wszystkim spokój. Nie powinnaś jej osądzać zbyt surowo.

Werde popatrzyła na staruszkę pełnym zdziwienia wzrokiem. Kompletnie nie miała pojęcia, o czym Mrowińska mówi.

– Nie bardzo rozumiem – zaczęła. – Co do tego wszystkiego ma moja mama? O jakich dawnych dziejach pani opowiada? I co właściwie chce mi pani uświadomić?

Nauczycielka zawahała się. Chwilę przyglądała się Helenie uważnie, a potem pokręciła w zdumieniu głową.

– Myślałam, że wiesz... O tej sprawie z okresu stanu wojennego. Sądziłam, że dowiedziałaś się czegoś i dlatego jesteś taka struta.

– Niech mi pani wreszcie powie, o co chodzi. Nie mam pojęcia o żadnej „sprawie z okresu stanu wojennego” ani o tym, jaką rolę miała w niej odegrać moja matka. Wiem, że coś było na rzeczy z ulotkami, drukarnią i profesorem Stanisławskim, ale żeby mama była w to jakoś zamieszana? O tym nie słyszałam.

Mrowińska zacisnęła wargi.

– Skoro tak, to ja nic ci nie powiem. Zresztą sama już nie pamiętam. Może wszystko przekręcą? Stara jestem i schorowana. Denerwujesz mnie tylko. Po co właściwie przyszłaś? – zaczęła gderać na nowo.

– Chodzi o wyjazd do sanatorium, pani Anno. – Dawna uczennica zorientowała się, że niczego się już od niej nie dowie.

– Och, ale wy oboje nudzicie, ty i ten utrapiony chłopak. Nie chcę jechać do żadnego sanatorium.

– To pani dobrze robi, naprawdę.

– Tylko ci się tak wydaje. Ja wyjadę, a ktoś obrabuje mi w tym czasie dom. Wiele się słyszy o podobnych sprawach.

Helena westchnęła.

– Jeżeli tylko o to idzie, to będziemy pilnować pani dobytku – zadeklarowała.

– Akurat. Szarocki mówił, że zamierzacie robić remont. Przecież ja wszystkiego muszę sama dopilnować, żeby mi czegoś nie wynieśli albo nie daj Boże – nie spalili mieszkania.

– To jest ekipa godna zaufania, robili remont u pasierbicy profesora Stanisławskiego. Nawet nie nabrudzili, wiem, bo mnie Zuzia od razu zaprosiła – tłumaczyła z niespotykaną u niej cierpliwością Werde.

Mrowińska zmierzyła ją ciekawym spojrzeniem:

– Nawet nie nabrudzili? Co ty powiesz, to anioły jakieś, nie budowlańcy.

– Obiecuję, że będziemy mieli z Mikołajem wszystko na oku. A pani powinna wyjechać, to znakomity pomysł: wzmocni się pani, zregeneruje...

– A co ty mi tak zachwalasz, jakbym na jakąś farmę piękności miała jechać – zachmurzyła się była nauczycielka. – Ale może rzeczywiście: racja. Jeśli wy mi przypilnujecie tych fachowców, to może dobrze będzie zrobić sobie mały urlop. Już tyle lat nigdzie nie byłam, chyba ze dwadzieścia.

– No właśnie! – Dawna uczennica ucieszyła się, rada, że pokonała opór starszej pani.

Gdy wyszła ze szpitala, wróciła myślami do tego, co mimochodem powiedziała jej Mrowińska. W co niby miała być zaangażowana jej matka w okresie stanu wojennego? Helena

odnosiła wrażenie, że chodziło o jakąś wstydliwą historię. Tylko jaką? Czy Sylwia miała coś na sumieniu? I to jeszcze wobec Stanisławskiego? On przecież nie żywił do matki żadnych pretensji, wręcz przeciwnie: bardzo ją lubił i zawsze traktował serdecznie. Czyżby jednak zdarzyło się coś, o czym sam profesor nie wiedział, a z czego zdawała sobie sprawę Mrowińska? Werde nie mogła uwierzyć, żeby jej matka, osoba łagodna i dobra, mogła zrobić w życiu coś niecnego. To do niej po prostu nie pasowało. Wszyscy cenili i lubili Sylwię, uważając ją zawsze za dobrego ducha kamienicy.

Mama jest dobra, to prawda – dumiała Helena, wracając powoli na Dębniki – ale potrafi dać się we znaki. Inaczej niż Fela, lecz w równie dotkliwy sposób. Nigdy na nią nie krzyczała, nie robiła wyrzutów, nie była nawet szczególnie wymagająca. Nie narzucała swojego zdania. Jednocześnie przez całe życie córka miała wrażenie, że za tą pozorną akceptacją jej wyborów czai się dezaprobata. Może rozczarowanie? Jakby matka dawno temu, już na starcie, uznała, że jestem tą gorszą, „mniej wydarzoną” córką, więc niewiele się można po mnie spodziewać. – Zagryzła wargi.

Teoretycznie nie było ku temu powodów, bo Helena doskonale się uczyła, była zresztą bardzo zdolna. Praktycznie jednak zawodziła na całej linii. Nie ułożyła sobie życia, nie dokończyła studiów. Wyjechała za granicę, ale tam także się nie odnalazła. Po powrocie do domu powoli zaczęła rozkręcać własny interes tylko po to, by się dowiedzieć, że jest chora. I że za chwilę także i to marzenie może przepaść.

Dlaczego tak jest? – zastanawiała się młoda kobieta. – Jakby ktoś celowo krzyżował mi szyki. W moim życiu często się tak układało, że coś szło zupełnie nieźle, żeby nagle w jednej chwili zmienić się w porażkę na całej linii. Powiedzenie: „miłe złego początki, lecz koniec żaloszny” odnosi się do mnie bardziej niż do kogokolwiek innego. Cóż, jak na socjologa, choć nie do końca wykształconego w dziedzinie psychologii, za bardzo użalam się nad sobą. – Przywołała się trzeźwo do porządku.

Doszła do wniosku, że nie rozgryzie sama tej sprawy. Musi przeprowadzić dyskretne dochodzenie, o ile w ogóle pani Mrowińskiej nie pomieszało się coś we wspomnieniach i wiedziała, co mówi. Przecież istniała i taka możliwość, że wszystkie te dziwne aluzje były tylko zwykłą pomyłką, echem jakichś plotek lub w ogóle fantazją starszej pani.

No właśnie... Pani Anna i jej sprawy. Wizyta odniosła pożądany skutek, a Szarotka na pewno będzie się domagał szczegółowego sprawozdania, musiała więc jak najprędzej do niego zadzwonić. Najważniejsze, że Mrowińska zgodziła się wyjechać do sanatorium. Podczas jej kilkutygodniowej nieobecności ekipa od profesora na pewno zdoła dużo zdziałać.

Rozmowy z kimś takim jak ona wcale nie są łatwe – westchnęła dawna uczennica, choć przecież miała świadomość, że gdyby nie fakt, iż była przygnębiona stanem swojego zdrowia, pewnie załatwiłaby całą sprawę szybciej. Nauczycielka jednak obserwowała ją tak bacznie i wypytywała tak dociekliwie, że młoda kobieta bała się, iż w końcu się z czymś zdradzi.

A byłoby naprawdę głupio, gdyby nielubiana belferka ze szkoły dowiedziała się o jej chorobie wcześniej niż matka, siostra i siostrzenica.

Trzeba im powiedzieć. Tylko jak znaleźć odpowiedni moment?

Powinam powiedzieć sobie „raz kozie śmierć” i zrobić to – ganiła się w myślach. I choć była przekonana do konieczności tej rozmowy, tchórzliwie ją odwlekała.

Teraz też zamiast pójść do domu i załatwić sprawę, Helena skierowała się do pracowni, zobaczyć, co też tam się dzieje. Na podwórku było cicho, krzewy zaczynały właśnie wypuszczać zielone pąki, co nadało temu miejscu mniej surowy wyraz. Dawny woźny, wyraźnie zaczajony w swoim mieszkaniu przy drzwiach, wybiegł na zewnątrz, gdy tylko zaczęła manipulować kluczem w zamku.

– Słyszałem, że będzie się pani musiała stąd wynieść – powiedział bez zbędnych wstępów.

– A ja słyszałam coś wręcz przeciwnego, panie Blajerski.

– Tere-fere, moja panno. Jacek Nowacki ma chrapkę na ten lokal, a jak on już na coś zagnie parol, to nie ma zmiłuj się.

– Tak? To ciekawe, dlaczego żona od niego uciekła.

– Może jej pozwolił – filozoficznie stwierdził były woźny. – Na pani miejscu miałbym się na baczności. On coś kombinuje z tym swoim prawnikiem. Sama pani wie, że jak adwokaci zaczynają się mieszać do sprawy, to już nie ma co – wszystko przepadło.

– Nic nie może mi zrobić, nawet do spółki ze swoim radcą. Właściciel domu nie chce tutaj żadnej restauracji...

– Właściciel? Przecież nikt z Mincerów nie żyje. Co też pani opowiada? Znalazł się ten ich kuzyn?

– Jaki kuzyn? – zainteresowała się natychmiast Helena. Ofelia opowiadała, że ich ojciec bezskutecznie próbował ustalić jakichkolwiek krewnych dawnych właścicieli kamienicy. A tu nagle okazało się, że ważne informacje o nich posiada dawny woźny, mieszkający spokojnie od lat w sąsiednim domu.

– No ten, ten, jak mu tam było... – Mężczyzna podrapał się po włosach pod czapkę. – No, przecież musi pani pamiętać – zdenerwował się.

Helena pokręciła głową.

– Nie pamiętam, panie Blajerski. Proszę sobie przypomnieć, to bardzo istotne. Jak nazywał się ten człowiek? Mieszkał tu przed wojną? Może w jej czasie? Pan był wtedy dzieckiem, prawda? Mieszkał tu już pan? Pod dziewiątką, jak dzisiaj? – indagowała natarczywie.

Starszy mężczyzna patrzył na nią ponuro.

– Niczego nie pamiętam i niczego nie wiem – oświadczył po chwili niespodziewanie mocnym głosem. – Wszystko mi się pokręciło. Stary jestem.

– Niech się mnie pan nie boi – poprosiła jeszcze Helena. – Przecież ja nie mam żadnych złych zamiarów. Za to nic nie grozi.

– Nie grozi, dobre sobie – mruknął dawny woźny. – Akurat taka pannica to się zna na takich sprawach jak kura na pieprzu. Był tu taki jeden w czasie wojny, mówiono, że jakoś z nimi spowinowacony. Córkę miał im przechować. Moja mamusia wspominała, że za tę kamienicę właśnie.

– Dziecko Mincerów? Sarę? – Helena próbowała wszystko złożyć w całość, a takie imię usłyszała przecież od Klary Pieniążkiewicz w poczekalni rejenta na Podzamczu.

Blajerski spojrzał na nią bystro.

– A mówiłaś, że nic nie wiesz... Coś jednak kręcisz, moja panno. Nic ci więcej nie powiem. Nic nie pamiętam – zastrzegł się jeszcze na wszelki wypadek. – Ale na Nowackiego uważaj – rzucił jeszcze, po czym szybko podreptał z powrotem do swego mieszkania.

Helena patrzyła za nim ze zmarszczonymi brwiami. Zastanawiające, jak mnożyły się te zagadki. Najpierw pełne niedomówień słowa Mrowińskiej, a teraz to. Blajerski ewidentnie wiedział więcej, niż chciał zdradzić. Ale i tak sporo udało się z niego wyciągnąć. Tak, jak podejrzewała, chodziło o jakąś wojenną tajemnicę. Być może straszną.

Już w pracowni zaczęła zastanawiać się nad planem i nad tym, kogo może weń wtajemniczyć. Na pewno Mirandę – siostrzenica pracowała w bibliotece i znała się na archiwistyce. Trzeba było bowiem dotrzeć do jakichś danych, być może akt dotyczących rodziny Mincerów. Może Archiwum Narodowe? – myślała, przekładając swoje wyroby na półkach. Kiedyś była taka komisja historyczna zajmująca się zbrodniami hitlerowskimi. Ciekawe, czy

nadal istnieje taka instytucja i czy można do niej dotrzeć? Pewnie Instytut Pamięci Narodowej przejął te uprawnienia... Nie miała pojęcia, ale musiała to sprawdzić. Postanowiła poprosić o pomoc również Zużę. Lorenc nie wyglądała, co prawda, na pasjonatkę historii, ale z pewnością miała głowę na karku i mogła przydać się w poszukiwaniach.

Tylko właściwie czego ja szukam?

Zamarła z mydłem w dłoni. Szukała prawdy. Odpowiedzi na pytanie dręczące ją już od dawna. Co się działo w tym domu? Wciąż odnosiła wrażenie, że za cienką zasłoną niedomowień i przemilczeń kryje się jakaś ważna historia. Istotna dla nich wszystkich.

– Nie wracasz do domu? – Miranda zajrzała do pracowni, najwyraźniej w drodze z biblioteki.

– Wracam. Dobrze, że przyszałaś, chciałam ci o czymś powiedzieć.

Szybko przedstawiła swoje domysły i podejrzenia. Siostrzenica słuchała ze zmarszczonymi brwiami.

– Według Zawilskiego Mincerowie zginęli w obozie zagłady – stwierdziła wreszcie. – Może trzeba szukać w archiwum muzeum w Auschwitz? Od czegoś trzeba zacząć.

– Dobry pomysł! Nie pomyślałam o tym. Przynajmniej dowiedziałybyśmy się, kiedy ich wywieziono.

– Mogę też przejść się do Muzeum Historycznego Miasta Krakowa, oni mają różne dokumenty, może coś podpowiedzą – zadeklarowała się siostrzenica. – Wiesz, Heleno, nie daje mi spokoju ta historia o dziecku.

– Tak, mnie także. Czuję, że to jakaś wstrząsająca sprawa.

– Myślisz, że ten rzekomy krewny wziął kamienicę za uratowanie dziewczynki, a potem się nie wywiązał z umowy?

– Mogło tak być. Albo dziecko zaginęło później. Być może oboje nie przeżyli wojny. To również wcale nie musiał być ich krewny, a jakiś znajomy. Scenariusze mogą być najrozmaitsze.

– Wiem. Dziwi mnie tylko, że nikt niczego nie wie, niczego nie pamięta. Przecież na Dębnikach ludzie mieszkają od lat, takie historie przekazuje się z ust do ust. Dlaczego nigdy o tym nie słyszałyśmy?

– Mi też wydaje się to niezrozumiałe. Minęło sporo czasu i większość świadków nie żyje, ale jeszcze kilkanaście lat temu... Przynajmniej ja, jako starsza, coś powinnam usłyszeć. A już na pewno Fela. Przecież by nam powiedziała, a ona też najwyraźniej nie ma pojęcia, kto jest spadkobiercą naszego domu.

– Ale ma jakieś swoje podejrzenia – przypomniała Miranda.

Chwilę siedziały w milczeniu przy sosnowym stole, a potem Helena zaczęła się zbierać.

– Na razie i tak nic nie wymyślimy. Trzeba posprawdzać te tropy. Ja się zajmę Archiwum Narodowym i komisją badającą zbrodnie hitlerowskie.

– Dobrze, w takim razie ja biorę na siebie te dwa muzea: historyczne i Auschwitz – wyliczyła Miranda. – Poszperam też w internecie.

– Znakomicie. Jest szansa, że do czegoś dojdziemy. Oby to nie był ślepy zaułek – nieoczekiwanie wyraziła obawę Helena.

Siostrzenica spojrzała na nią z zaciekawieniem.

– Co masz na myśli?

– Sama nie wiem. Może cała ta sprawa nie ma żadnego związku z naszym tajemniczym właścicielem?

– Jak może nie mieć związku? To jest jedyny ślad prowadzący do zagadkowego spadkobiercy, jaki mamy. Pomyśl, Hela! – Miranda aż zatrzymała się na środku podwórka, bo właśnie wyszły z pracowni i kierowały się w stronę bramy. – A jeśli tym naszym dobroczyńcą

jest człowiek, który miał uratować Sarę Mincer? I na przykład mu się to nie udało albo, co gorsza, zrobił coś niecnego? Sumienie go dręczy i teraz po latach chce odkupić swoją winę? Oddanie nam domu to jego dobry uczynek, który ma mu pomóc w uporaniu się z wyrzutami sumienia, że dziewczynka nie przeżyła... Przecież może tak być, prawda?

Ciotka nie była co do tego przekonana. Ta historia wydawała jej się zbyt melodramatyczna. Jak z amerykańskiego filmu. Z drugiej strony doskonale wiedziała, że życie pisze czasami scenariusze lepsze niż jakiegokolwiek fabuły. A już na pewno bardziej nieprawdopodobne.

– Daj spokój – rzuciła więc tylko. – Ile ten człowiek musiałby mieć teraz lat? Powiedzmy, że w czasie wojny liczył sobie dwadzieścia, choć to dosyć mało prawdopodobne, musiał być starszy. No, ale założmy, że był dwudziestolatkiem. W takim razie dzisiaj miałby sto lat!

– Ludzie żyją długo, a zresztą on wcale nie musi być taki stary – zaprotestowała Miranda. Ciotka dalej kręciła głową z powątpiewaniem.

– No dobrze, więc to nie jest on, ale jego syn lub wnuk. Dowiedział się o przeszłości przodka i usiłuje spłacić dług. Może jest wykonawcą jakiejś ostatniej woli. – Miranda nie ustępowała.

Helena spojrzała na nią kpiąco.

– Naprawdę w to wierzysz? W taką szlachetność? To byłby już skrajny idealizm.

– Sama mówiłaś, że życie pisze najdziwniejsze scenariusze.

Z tym argumentem trudno było Helenie dyskutować, więc zamilkła. Tak naprawdę jednak teoria Mirandy, choć atrakcyjna, wydała jej się naciągana. Zbyt powieściowa. Jak z moralizatorskiej dziewiętnastowiecznej opowieści.

– O, popatrz, co się dzieje w ogrodzie – zdumiała się tymczasem siostrzenica.

Rzeczywiście, od poranka ogródek przy domu bardzo się zmienił.

Przed wszystkim zniknęły wszystkie krzaki, starannie wykarczowane. Przestrzeń opustoszała i – jak Helena stwierdziła ku swemu zaskoczeniu – zrobiła się trochę smutna.

– Czyja to sprawa? – zdziwiła się, wodząc po ogrodzie zdumionym spojrzeniem.

– Moja – odezwał się Jacek Nowacki. – Ten gąszcz chaszczy wołał o pomstę do nieba.

Kazałem to wszystko wyciąć.

– Bardzo ładnie, tylko co dalej? Co chcesz tu posadzić? – dociekała Helena.

Sąsiad wzruszył ramionami.

– Niczego nie będę sadził. Niech sobie trawa ładnie rośnie. Nie zamierzam się bawić w ogrodnika, i tak dużo już tutaj zrobiłem. Przynajmniej będzie można grilla w ogrodzie postawić.

– Nie zamierzasz nam chyba smrodzić pod oknami? – sprzeciwiła się Werde.

Ale on jej nie słuchał. Perorował tylko o niewdzięczności niektórych ludzi, którzy zamiast podziękować za uprzejmość, o wszystko mają pretensje.

– Można by tu coś zrobić ładnego. – Miranda pociągnęła ciotkę za ramię.

Helena myślała o tym samym. Przestrzeń przed domem była teraz po prostu pusta. Sama trawa będzie wyglądała równie przygnębiająco jak niegdysiejsze bezładnie rosnące krzaki. Tyle że dużo porządniej.

– Na mnie nie liczcie – od razu obruszył się Jacek. – Ja już swoje zrobiłem i nie zamierzam się zajmować uprawą grządek.

– Poczekaj... – Werde powstrzymała go ruchem dłoni. – Ten cały komitet blokowy ma chyba jakieś fundusze na nieprzewidziane wydatki? Może by sypnął groszem, to kupimy jakieś sadzonki. Bo ja wiem? Trochę kwiatów i ozdobnych krzewów, nie bardzo się na tym znam. Żeby tu tak łyso nie było.

– I jakąś ławkę może? – dodała siostrzenica.

– No, no, widzę, że się zaangażowałyście – sarkastycznie stwierdził Nowacki. – Chyba nie zamierzacie tego grzebania w ziemi podciągnąć pod dobry uczynek? Ja wam tego w każdym razie nie zaliczę.

– Nie bądź śmieszny – osadziła go Helena. – Robimy to *pro publico bono*[12]. Choć właściwie masz rację – trochę we własnym interesie. Mama chce częściej wychodzić na dwór, przydałoby się więc miejsce, w którym mogłaby odpocząć.

– Dla dzieci Zuzy to też byłoby świetne rozwiązanie – poddała Miranda.

– Ty także na tym skorzystasz – kusił Jacka Helena. – Akurat jako jedyny masz bezpośrednie zejście do ogródka. Pomyśl, stary, w upalną sobotę będziesz wychodził na zewnątrz z poranną kawką i gazetą. Spełnienie marzeń, prawda?

Nowacki wzruszył ramionami niby to obojętnie, ale widać było, że połknął haczyk, bo rozejrzał się po przestrzeni przed domem w taki sposób, jakby już to wszystko widział.

– Właściwie są pewne oszczędności – powiedział z ociąganiem. – Myślałem o nowej wiacie na śmieci...

– Wiata na śmieci, ambitne plany architektoniczne – zakpiła Werde.

Jacek zgromił ja wzrokiem.

– Nie bądź taka dowcipna, bo wrócę do tego pomysłu. – Zmarszczył brwi. – Jeśli chcesz, mogę się rozejrzeć za sadzonkami. Jeden z moich pracowników jest działkowiczem, czy coś w tym rodzaju, dowiem się. Tylko od razu uprzedzam – nie licz na mnie w kwestii obsadzania rabatek i pielęgnacji.

– W porządku, zrozumiałam. Jak będziemy mieć materiał siewny, czy jak on się tam zwie, to jakoś już sobie damy radę.

– No to załatwione. Może i Olesińscy wam pomogą. W ramach pracy społecznej, jak w dawnych czasach. – Zaśmiał się sąsiad, któremu wydawało się chyba, że jest niezwykle zabawny.

Helena się skrzywiła, za to Miranda wyglądała na autentycznie uszczęśliwioną.

– Zawsze marzyłam, żeby coś zrobić z tym ogródkiem. On daje takie wspaniałe możliwości.

– Dawałby, gdybyśmy umiały uprawiać ziemię – uściśliła ciotka. – Zgłosiliśmy się do tego bez żadnego przygotowania i nie jestem pewna, czy dobrze zrobiliśmy.

– Daj spokój, to nie może być trudne. Wykopać łopatką dziurę w ziemi, wsadzić roślinę, zakopać i podlać. Samo się przyjmie.

– Miejmy nadzieję, że to będzie takie proste. Bo jeżeli rośliny nam zwiędną, Jacek na pewno obarczy nas kosztami i być może na dokładkę każe sfinansować budowę śmietnika.

– Nie martw się, w bibliotece mamy doskonałe magazyny o uprawie ogródków, jak tylko przyjdę do pracy, to się za nie zabiorę – uspokoiła ją Miranda.

Helena uśmiechnęła się, ale nie skomentowała zapału siostrzenicy do zgłębiania wiedzy teoretycznej. Potem na nowo się zasepiła, bowiem przypomniała sobie o swojej chorobie i entuzjazm dla planowanej inwestycji zaczął ją opuszczać. Tak właśnie ostatnio wyglądało jej życie – starała się odwracać uwagę od smutnych myśli, ale te nieuchronnie ją dopadały, jakby tylko czaiły się w cieniu, czekając na sposobną chwilę.

No i jeszcze ta rozmowa z rodziną, którą miała w planach... Obiecała sobie, że na pewno już niedługo ją przeprowadzi, po czym znowu się przestraszyła. Nie była gotowa na konfrontację z matką i siostrą w tej sprawie.

Zaczekam jeszcze, może znajdę bardziej odpowiednią chwilę – usprawiedliwiła się przed sobą, ale zwykły wykręt, jaki stosowała przez lata – „pomyślę o tym później” – tym razem jej

nie uspokoił. Wiedziała, że musi się z tym zmierzyć i wcale nie zrobiło jej się z tego powodu lżej.

[12] *Pro publico bono* (łac.) – dla dobra wspólnego, tutaj: bezinteresownie.



Zuzanna denerwowała się przesłuchaniem jak nigdy dotąd. Brała już wielokrotnie udział w konkursach na stanowiska do orkiestr, zespołów i jako solistka. Tym razem było jednak inaczej. Po kilku dniach walki ze sobą złożyła w końcu aplikację do Europejskiego Centrum Koncertowego. Nie minęło wiele czasu, a zaproszono ją na rozmowę. Trzeba było oczywiście przygotować jakiś materiał do zaprezentowania przed komisją. Lorenc przez cały czas obawiała się, że wśród oceniających zobaczy Leona, co wytrąci ją z równowagi.

Zaprowadziła dzieci do żłobka, a potem wolnym krokiem ruszyła w kierunku Wisły. Centrum Koncertowe nie wprowadziło się jeszcze do własnej siedziby i chwilowo korzystało z uprzejmości Filharmonii. Przeszła więc przez most Dębnicki i bulwarami skierowała się na ulicę Zwierzyniecką. Spacer ukoił jej nerwy.

Nie może mnie paraliżować strach przed Leonem – dumiała. – On nie ma żadnego wpływu na moje życie, nie kontroluje go. Jeżeli będzie mi chciał zaszkodzić podczas tego przesłuchania, niewiele zdziałam. Mogę się jedynie skoncentrować na tym, żeby wypaść jak najlepiej, i nie zaprzętać sobie głowy sprawami pobocznymi.

Nazwanie Leona „poboczną sprawą” bardzo pocieszyło młodą kobietę. Od momentu, gdy odwiedził ją na Gwiazdzistej, przeżywała istną burzę w myślach. Nie podejrzewała, że uczucia związane z tym mężczyzną są wciąż tak żywe i bolesne. Więcej – była już przecież właściwie pewna, że się z nimi uporała dawno temu. To równanie było dla niej rozwiązane, a wynik jednoznaczny: Leon odepchnął ją, zrezygnował z dzieci, zanegował wszystko, co między nimi było. Ostatecznie i nieodwołalnie zakończył ich relację. A jednak kiedy się pojawił w jej domu, gdy mogła ponownie spojrzeć mu w oczy, usłyszeć jego głos... Co takiego było w tym mężczyźnie, że na jego widok traciła zdrowy rozsądek? Z jednej strony miała całkowitą świadomość krzywdy, jaką jej wyrządził, a z drugiej wciąż tliły się w niej wspomnienia

szczęśliwych szalonych chwil, gdy wszystko między nimi jeszcze było możliwe.

Otrząsnęła się z tych wspomnień, bo w tych okolicznościach wydały jej się toksyczne, wręcz jadowite. Coś jak narkotyki, który nagle zaczyna przejmować kontrolę, a tego sobie nie życzyła, na pewno nie w tej chwili.

Weszła do budynku Filharmonii i zapytała o salę przesłuchań. Skierowano ją na pierwsze piętro. Nabór do nowego zespołu trwał, bo po korytarzu kręciło się wielu zaaferych kandydatów. Paradoksalnie była to dla niej bardzo komfortowa sytuacja – miała wrażenie, że dzięki temu wtapia się w tłum. Podała swoje nazwisko dyżurującej organizatorce, która poinformowała, gdzie ma zaczekać. Po niespełna kwadransie zaproszono ją na przesłuchanie; organizacja była naprawdę znakomita, wszystko odbywało się bez poważniejszych opóźnień.

W komisji, ku swojej wielkiej uldze, nie dostrzegła Leona. Przewodniczącą, starszą nobliwą kobietę w eleganckich okularach, ogromnie zainteresował fakt, że Zuzanna jest córką Łucji Lorenc, z którą miała okazję współpracować w Bostonie. Zresztą cała komisja wydawała się być usatysfakcjonowana dotychczasowymi referencjami kandydatki, jej wykształceniem oraz zdobytymi nagrodami. Mężczyzna przedstawiający się jako jeden z menedżerów zespołu szeroko opowiadał o możliwościach koncertowych nowej jednostki.

– Czy jest pani gotowa na częste wyjazdy? – zapytał, skupiając na niej wzrok.

Zuza poruszyła się niespokojnie na krześle.

– Mam dwoje małych dzieci – wyznała szczerze. – Ale moja sytuacja życiowa jest ustabilizowana.

– Rozumiemy – ucięła przewodnicząca, kończąc temat. – Przystąpimy teraz do przesłuchania.

Lorenc przedstawiła listę utworów, po czym zasiadła do fortepianu. Chwilę uspokajała oddech, oparła dłonie na klawiaturze. Pomyślała, że jest to akurat ta godzina, o której zwykle dawała nieformalne poranne koncerty w mieszkaniu na Dębnikach, co dodało jej śmiałości i odwagi. Przypomniała sobie zasłuchane twarze sąsiadek: Sylwii, Heleny i Mirandy, łagodne oblicze Klary, zawsze trochę nieobecnej, ale szczęśliwej, gdy słyszała dźwięki utworów ulubionych rosyjskich kompozytorów. Postanowiła zagrać tak, jak robiła to przy Gwiazdzistej – intymnie i z uczuciem.

Po ostatnim akordzie w sali przez dłuższą chwilę wibrowały jeszcze dźwięki, jakby odbijając się od sufitu i spadając na podłogę. Nikt się nie poruszał. W końcu przewodnicząca odchrząknęła i podziękowała za występ, oznajmiając, że kandydatka zostanie poinformowana o wyniku przesłuchania w ciągu najbliższych kilku dni.

Zuza wyszła zadowolona i odprężona. Miała wewnętrzne poczucie, że dobrze jej poszło. Nie wiedziała, co prawda, jak przedstawiają się jej szanse na tle innych chętnych, ale była optymistką, bo dała z siebie wszystko.

Gdyby jednak dostała tę pracę, pojawiłby się poważny problem. Wyjazdy. Oczywiście, zespół nie zacznie tak od razu dawać koncertów wyjazdowych, bo potrzeba sporo czasu, żeby przygotować repertuar. Niemniej jednak ta wizja wisiała nad nią, a wraz z nią kwestia opieki nad bliźniętami. Nie mogła w nieskończoność obarczać sąsiadek. Edmund też raczej nie wchodził w grę, no, może awaryjnie od czasu do czasu. Zrozumiała, że nie ma wyjścia – będzie musiała porozmawiać z matką. A jeśli Łucja nie zgodzi się przyjechać do Krakowa, żeby jej pomóc? Miała w końcu w Gdańsku swoją pracę i wygodne mieszkanie, a tutaj musiałaby urządzać się od nowa. I to w mieście, które tak chętnie opuściła po rozwodzie. Być może nie miała wcale na to ochoty. Czy Zuza mogła w ogóle prosić o to rodzicielkę? By dokonała tak radykalnej zmiany?

Z jednej strony miała świadomość, że dla matki kariera jedynaczki była ważna. Lecz czy na tyle istotna, żeby zrezygnować z własnego życia? Inna sprawa, że Łucja w swoim gdańskim

apartamencie czuła się samotna – Zuza dostrzegła to już wtedy, mieszkając u matki te kilka miesięcy. Niby się tam odnalazła, jakoś dopasowała, ale dało się zauważyć, że nie wrosła całkowicie w atmosferę miasta, nie wszystkie ścieżki odkryła. Jej nowe znajomości okazały się raczej powierzchowne, tymczasowe. Może więc będzie skłonna to porzucić, a potrzebuje jedynie dobrego powodu? Lorenc nie miała pojęcia, ale czas decyzji zbliżał się wielkimi krokami.

Na schodach zderzyła się z wysoką, dobrze ubraną kobietą.

– Zuzanna?

Młoda matka poczuła, że krew odpływa jej z twarzy. Miała przed sobą Belindę Carson, żonę Leona. I już wiedziała, że dzień, mimo iż zaczął się dobrze, na pewno tak się nie skończy.

Dawna rywalka jak zwykle wyglądała świetnie. Była już dobrze po czterdziestce, ale bardzo o siebie dbała, zawsze elegancka, gustownie ubrana. Miała w sobie pewną wyniosłość, w której jednak nie było arogancji, raczej poczucie własnej wartości. Zuza wiedziała, że żona Leona od lat obraca się w środowisku artystów, swego czasu pisywała nawet jakieś artykuły o sztuce do branżowych gazet. Znano ją z dobrego stylu, to nie ulegało wątpliwości.

– Dzień dobry, Belindo – przywitała ją zdawkowo, chcąc wyminąć, bo to wydało się jej najlepszym rozwiązaniem.

– Przyszłaś na przesłuchanie? Będziesz się starała o miejsce w zespole? – dociekała Carson.

– Tak – odważnie wypaliła pianistka. – To dla mnie wielka szansa. Mam nadzieję, że ci to nie przeszkadza? Wiesz przecież, że tamte sprawy są już dawno zakończone – podkreśliła, żeby dopowiedzieć pewne kwestie od razu.

Belinda roześmiała się nerwowo.

– Jesteś taka bezpośrednia. Chyba aż za bardzo. Nie ma powodów, żeby się awanturować.

Teraz z kolei Lorenc spojrzała na nią zdumiona. Nie złościła się. Po prostu chciała od razu rozwiać wszelkie wątpliwości. Była więcej niż pewna, że żona Leona zatrzymała ją, aby wybać grunt. Nie miała ochoty na zdawkową konwersację nieprowadzącą do niczego, wołała od razu przejść do sedna sprawy. A istotą rzeczy było właśnie to: jakie są zamiary Zuzanny względem dyrygenta.

– Może napijemy się kawy? – zaproponowała niespodziewanie Carson. – Mieszkam w hotelu naprzeciwko, mają tam zupełnie dobrą kawiarnię.

Lorenc przez moment zastanowiła się, czy wypada jej odmówić, ale potem uznała, że nie. Skinęła więc głową i wyszła za żoną dawnego kochanka z gmachu Filharmonii. Hotelowy lokal okazał się rzeczywiście ładny, a kawa bardzo dobra.

Zuzanna wpatrzyła się w Belindę z wyczekiwaniem.

– Wiedziałam, że przyjdiesz na przesłuchanie – wyznała żona Leona.

– Skąd?

– Poprosiłam w administracji, żeby mi dali znać, jeśli wpłyną twoje dokumenty – powiedziała po prostu.

– To chyba nie jest zgodne z prawem? – Najeżyła się młoda kobieta.

– Nie zamierzałam ci szkodzić. Widzisz przecież, że sama się do tego przyznaję.

Zuzanna nie miała pojęcia, do czego zmierza Belinda. Czuła się zupełnie zagubiona w kontaktach z żoną byłego kochanka. Zresztą zawsze tak było. Jej stosunek do Carson ewoluował. Z początku było jej żal Belindy, potem się jej bała, nienawidziła jej, w końcu poczuła wobec niej respekt i obawę. Podejrzewała, że ta kobieta jest zręczną manipulatką. Jej sposób myślenia, a zwłaszcza postępowania, odbierała jako pokrętny i nie do końca zrozumiały.

– Ta posada to dla mnie wielka szansa, chciałabym odbudować swoją karierę. – Śmiało spojrzała na nią pianistka.

Żona dyrygenta skinęła głową na znak, że rozumie.

– Też to tak oceniam. Leon wspominał mi, że spotkał się z tobą, tutaj, w Krakowie.

– O, doprawdy? I co ci opowiadał?

– Że chciał widywać dzieci, ale ty nie byłaś zbyt przychylnie nastawiona do tego pomysłu.

– Chyba się nie dziwisz?

– Nie, nie dziwię ci się. Bardziej nie rozumiem Leona. On nigdy nie żywił uczuć rodzicielskich względem swoich potomków.

Zuzannie zrobiło się przykro. Belinda miała zapewne na myśli ich własną córkę, Hannę, studentkę muzykologii w Nowym Jorku. Z opowieści Leona wynikało, że nigdy dobrze się nie rozumieli i dziewczyna z ulgą wyjechała z domu. Lorenc podejrzewała, że być może córka nie akceptowała rozlicznych romansów ojca i bierności matki w tej sprawie, ale były to tylko domysły. W każdym razie żona dyrygenta na pewno cierpiała z powodu konfliktu między Leonem a Hanną.

– Dziękuję, że zdecydowaliście się dobrowolnie płacić na bliźnięta... – zaczęła młoda kobieta.

– To nie o to chodzi. – Carson machnęła ręką. – Leon będzie się wywiązywał ze swoich zobowiązań wobec dzieci, to oczywiste. Robił to już wcześniej.

– Co masz na myśli?

– Och, Zuzanno, nie bądź dziecinna. Takich kobiet, jak ty, było więcej, wszystkie usiłowały go zatrzymać przy sobie dziećmi. Próbowałam ci to już uświadomić w Londynie, gdy sugerowałam inne wyjście...

– Tak, to było ogromnie miłe. – Pianistka aż się wzdrygnęła. Wciąż miała w pamięci histeryczne rozmowy z Leonem i spotkanie z jego żoną. Belinda, chyba po raz pierwszy w życiu, porzuciła kostium damy z towarzystwa i zaczęła jej wypominać, że jest „złodziejką cudzych mężów”. To było bardzo melodramatyczne.

– Leon utrzymuje kilkoro takich... – Carson szukała chyba właściwie dosadnego słowa – nieprawych potomków.

– Kilkoro, to znaczy ile? Dziesięcioro?

– Jest jeszcze chłopiec, który mieszka z mamą w Paryżu, no i dziewczynka. Ale ona jest już dorosła i poza naszą jurysdykcją.

Zuzanna obruszyła się na te słowa.

– Co oznacza „jurysdykcja”? Czy zamierzacie w jakiś sposób ingerować w wychowanie dzieci, których właściwie nie macie ochoty nawet oglądać?

Belinda pokręciła głową.

– Ja nie widzę takiej potrzeby. Leon do niedawna także. Sama wiesz, jaki on jest. Kobiety za nim przepadają, a on nie potrafi się im oprzeć. Przyzwyczaiłam się do tego, uznałam, że to cena, jaką płacę za związek z niebagatelnym człowiekiem. Warto. On jest jak narkotyk, sama na pewno zdajesz sobie z tego sprawę. Poza tym wiem, że on ode mnie nigdy nie odejdzie. Nigdy – podkreśliła, patrząc na Zuzannę znacząco.

Lorenc miała wrażenie, że przerabiają tę samą rozmowę już kolejny raz, tylko mniej emocjonalnym tonem i na tle innych dekoracji. Do czego zmierzała Carson? Jaki podstęp szykowała i o co tym razem w tym wszystkim chodziło?

– Leon zasugerował, że chce od czasu do czasu widywać dzieci – powtórzyła Zuza. – Ja po namyśle sądzę, że nie ma sensu mieszać im w głowach. Ojciec, który pojawia się, a potem znika na długi czas, jest dużo gorszy od rodzica, którego nie ma w ogóle. Łatwiej mi będzie wytłumaczyć jego całkowitą nieobecność niż takie nieregularne wizyty. Powiem otwarcie:

wolałabym, żeby zniknął z ich życia na stałe.

– Jestem tego samego zdania – oceniła Belinda. – Cieszę się, że mamy podobne podejście.

– Nie wiem, czy Leon nie uzależnia swego wkładu finansowego od zgody na te widzenia. Jeżeli tak, trudno, ale ustalmy jasne zasady – dodała Lorenc. – Dużo nad tym myślałam, Belindo, i chcę zamknąć ten rozdział.

Żona Leona odprężyła się, a napięcie zeszło z jej twarzy. Wzięła ze stołu filiżankę i szybkim gestem przechyliła ją.

– Nie ukrywam, że liczyłam na twój rozsądek – pochwaliła. – Ty także możesz na mnie polegać. Dopilnuję, by nic się nie zmieniło w sprawach alimentacyjnych. Oczekuję w zamian tylko jednego.

– Czego?

– Bez względu na to, jak cierpkie słowa padły między nami w przeszłości i jak wiele masz do mnie żalu, chciałabym, żebyś w imię spokoju swoich dzieci była wobec mnie lojalna i trzymała się podjętych teraz ustaleń.

Zuzanna patrzyła na nią czujnie.

– Jeżeli otrzymasz tę pracę i zostaniesz członkiem zespołu, na pewno będziesz się często spotykać z Leonem, to nieuniknione – ciągnęła Belinda. – Mam jednak nadzieję, że wasz związek jest już zakończony i nie ma powrotu do przeszłości. Inaczej mogłoby się to odbić i na twojej karierze, i na przyszłości twoich dzieci.

– Czy ty mi grozisz? – spytała lekko zszokowana Zuza. Żona byłego kochanka była naprawdę kobietą kameleonem, trudno było przewidzieć, jak się zachowa za chwilę. Zmieniała się dosłownie z minuty na minutę.

Carson poruszyła lekko ramionami.

– Informuję. Ostrzegam. Grozę, jeżeli wolisz to tak nazwać. Chcę, żeby wszystko było jasne od początku. Nie zamierzam ci rzucać kłód pod nogi, Zuzanno, a wierz mi – mogłabym to zrobić. Nie jestem jednak pozbawiona serca. Leon miał sporo przygód. I jeszcze wiele będzie miał. Jego życie poznaczone jest złamanymi sercami młodych kobiet, jeżeli mogę się tak poetycko wyrazić. Rzadko która miała dosyć rozsądku, żeby się wycofać z klasą, za to cię doceniam. I dlatego chcę się zrewanżować, bo dostrzegam w tobie mądrość podobną swojej. Warto ci pomagać. Ale coś za coś, droga Susie.

– Nie jestem podobna do ciebie, Belindo. Mylisz się. – Lorenc wstała od stolika. Straciła ochotę na dalszą dyskusję z tą zimną kobietą. – W jednym jednak masz rację, nie zamierzam wracać do Leona, choćby nie wiem, co się miało wydarzyć. Ten związek nie przyniósł mi szczęścia. Może na początku, lecz to były tylko pozory, potem wyłącznie ból. Postaram się zachować piękne wspomnienia, ale nie chcę powtórki. Trzeba się uczyć na błędach.

Żona dyrygenta skinęła głową.

– Dobrze powiedziane. Ja także hołduję tej zasadzie. Nie wchodzi się dwa razy do tej samej rzeki. Cieszę się, że się porozumiałyśmy. – Wyciągnęła do niej rękę, a Zuza uściśnęła ją po chwili wahania. Mimo wszystko miała wrażenie, że w kawiarni powiało chłodem.

Poczuła ulgę, kiedy znalazła się na ulicy. Wciąż nie rozumiała Belindy. To znaczy doskonale pojmowała jej intencje. Carson zabezpieczała sobie przyszłość w tym małżeństwie. Teraz bardziej niż kiedykolwiek Zuzanna była przekonana, że jeśli dla kogoś Leon mógłby opuścić żonę, to właśnie dla niej. Chyba tego Belinda najbardziej się bała i temu służyła ta rozmowa mająca skłonić byłą kochankę do lojalności. Żona Leona na pewno chciała wy badać, jakie są uczucia Lorenc względem jej męża. Zuza jednak sama miała kłopot z ich analizą. Po tej nieprzyjemnej rozmowie rozumiała jedno: że mimo magnetycznego uroku, jaki wciąż na nią

wywierał Leon, powrotu do przeszłości nie ma.

Z drugiej strony nie zamierzała się wywnętrzać przez żoną byłego kochanka ze swoich uczuć. Nie ufała jej i postanowiła zachować względem niej ostrożność. Ta kobieta jej groziła. W sposób zupełnie jawny dała odczuć, że jeżeli Zuzanna nie będzie respektowała jej reguł gry, czyli nie będzie trzymała się z dala od Leona, ona pozbawi ją pracy i alimentów na dzieci.

No cóż, szantaż ekonomiczny, jak widać, wydaje się jej najskuteczniejszy – sarkastycznie pomyślała Lorenc, dumając nad tym, jak nisko Belinda ją ocenia. Przekupstwo lub zastraszenie – pewnie najczęściej stosowała te metody wobec kochanek męża. To też dotknęło Zużę. Jasne, że wiedziała o innych przygodach Leona, jak to określiła jego żona, nie miała natomiast pojęcia, że z tych związków są również dzieci. Leon zawsze podkreślał, że w jego życiu jest miejsce tylko dla Hanny i między innymi to było powodem jego wielkiego niezadowolenia, gdy Zuzanna przyznała się do ciąży. „Mam dorosłą córkę” – dowodził wtedy. „Mógłbym już być dziadkiem”. Te argumenty wydawały się akurat dosyć śmieszne i Lorenc kompletnie nie zwracała na nie uwagi. Teraz jednak okazało się, że wiele spraw przed nią ukrywał.

Nic dziwnego, że przyjął dyrektorską posadę – mściwie stwierdziła Zuza. – Tryb życia, jaki prowadzi, jest dosyć kosztowny. Być może Belinda nie ma ochoty płacić jego rachunków.

To wszystko stawiało Leona w nowym świetle.

Żałosny typ – pomyślała. – Żona zabiega o niego, troszczy się, toczy batalie z kobietami, które mogłyby zagrozić temu małżeństwu. A tak naprawdę powinna raczej skwitować wzruszeniem ramion kolejny jego wyskok i podjąć męską decyzję. Zająć się sobą i zostawić wszystko tak, jak jest, lub zakończyć małżeństwo.

Leonowi najwyraźniej było wygodnie w tym układzie. Belinda pochodziła z zamożnej rodziny – Lorenc doskonale o tym wiedziała, bo wielokrotnie to podkreślał – i zależało mu na niej także ze względów prestiżowych. Mieli duży dom na wybrzeżu, a także mieszkanie w Londynie. Niczego im nie brakowało. Carson bez przeszkód rozwijała swoje artystyczne pasje, nie musząc zarabiać na życie.

Naraz Zuza pożałowała, że stanęła do tego konkursu. Przed oczami przemknęła jej wizja codziennych spotkań z Leonem pod kuratelą zaniepokojonej małżonki. Już to sobie wyobrażała: Carson porzuca swoje studia nad twórczością prerafaelitów (czy czym się tam zajmowała) i każdego dnia wysiaduje godzinami na próbach, obserwując wszystko. To będzie nie do zniesienia.

Natychmiast przywołała się do porządku.

A co mnie to w ogóle obchodzi? – pomyślała. – To są ich sprawy i ich problemy. Jeżeli chcą tańczyć taki kontredans, to im wolno, ja się będę tylko przyglądać. Ta historia mnie już nie dotyczy. Od początku wiedziałam podskórnie, że Leon to niebezpieczny człowiek, i byłam głupia, jeżeli sądziłam, że go zmienię. Nawet gdyby rzucił dla mnie żonę, stałabym się kolejną Belindą – musiałabym znosić jego wybryki, bo on nigdy nie zrezygnuje ze swego stylu życia. To drapieżnik, który z pewnością i tutaj wyruszy na polowanie. Zaznałam tyle upokorzeń, że nie powinnam nim sobie zaprzętać głowy. Muszę się za to skupić na swojej karierze. Nie będę przecież pracowała w Centrum Koncertowym przez całe życie, to ma być zaledwie pierwszy etap na drodze do najlepszych sal koncertowych. Jeżeli oczywiście dostanę angaż.

No właśnie. Od tego trzeba było zacząć – jeżeli w ogóle otrzyma tę pracę. A jeśli tak się stanie, musi na nowo zaplanować swoje życie. Zuzanna postanowiła teraz skupić się na tym. Nawet nie zauważyła, kiedy znalazła się znowu na bulwarach wiślanych. Wawel miała za plecami, a przed nią rozpościerał się widok na Dębniaki.

Moja dzielnica – pomyślała z czułością, przyglądając się niewysokim domom i zieleniącym się drzewom. Szybkim krokiem przeszła przez hałaśliwy most i znalazła się po „

swojej stronie”. Jak zwykle wejście w znajome ulice urzekło ją. Jak spokojnie i cicho tutaj było. Zupełnie jakby nie docierał tu zgiełk wielkiego miasta. Koty wygrzewały się leniwie na parapetach, obserwując ptaki, które z kolei zdzierały sobie gardziołka, obwieszczając nadejście wiosny. Trawa przebijała się na trawnikach, a słońce lśniło złociście w szybach okiennych, załamaniach elewacji, niewyschniętych kałużach.

Zuzanna zrobiła drobne zakupy w ulubionych sklepikach na rynku i zamierzała właśnie odnieść je do domu, kiedy zorientowała się, że zrobiło się dosyć późno. Powinna się pospieszyć, żeby zdążyć na lekcje do Soni Piskorz. Przesłuchanie było ogromnie ważne, ale nie zamierzała zaniedbywać pracy.

Ze swoją chlebobawczynią zderzyła się na schodach.

– Jak poszło? – zainteresowała się Sonia.

– Chyba dobrze. Mają dać odpowiedź do końca tygodnia.

– Okropnie mi żal, że cię stracę. – Pokręciła głową Piskorz. – Gdy dostaniesz ten angaż, nie będziesz miała już czasu na szkołę, a właśnie przybyło mi kilkoro uczniów.

Lorenc zmarszczyła brwi. Gdyby matka dała się namówić na powrót do Krakowa, z łatwością by ją zastąpiła. No i mogłaby również nauczać śpiewu, a Sonia bardzo potrzebowała kogoś od emisji głosu. Tylko czy Łucja w ogóle zgodzi się na takie rozwiązanie? Na razie wołała nie wspominać właścicielce o takiej ewentualności.

– Jeszcze nie dostałam tej posady. – Zbagatelizowała sprawę. – Zatem nie ma się czym przejmować. Będziemy się martwić, jeśli przyjdzie co do czego.

Widać było jednak, że Piskorz nie jest przekonana.

– Ja muszę wszystko brać pod uwagę. Również to, że nagle stracę najlepszą nauczycielkę. No, ale biegnij na lekcje, klasa czeka.

Zuza kiwnęła głową, po czym weszła do swojej sali ćwiczeń.

25.



Przyjęcie u Zuzanny rozpoczęło się minikoncertem. Poprosiła o to Sylwia, a Lorenc chętnie się zgodziła. Zagrała kilka ulubionych utworów wszystkich pań i nagle zrobiło się jej przykro, że nie zaprosiła Klary Pieniążkiewicz.

– I tak by nie przyszła – rozwiała jej obawy Miranda. – Pani Klara rzadko wychodzi do ludzi, to wyjątkowe sytuacje, musi sama tego chcieć. Zapraszałyśmy ją na wigilię, nigdy nie skorzystała. Natomiast gdy sama poczuje taką potrzebę, potrafi wpaść do babci bez zapowiedzi. Taka już jest i trzeba się z tym pogodzić.

– Skoro tak mówisz... – Zuza nie była przekonana, ale stało się. Niezręcznie byłoby teraz zapraszać sąsiadkę, w ostatniej chwili.

Edmund przyniósł w prezencie podkowę i od razu zabrał się za umieszczanie jej nad drzwiami.

– Naprawdę zgubił ją koń – wyjaśniał Helenie, która przyszła z dosyć ponurą miną, więc chciał ją rozbawić. – Niedaleko mojego domu jest szkółka jeździecka, czasami wyjeżdżają na dalsze przejażdżki na łąki, gdzie chodzę z moimi psami. Znalazłem ją podczas spaceru.

– Oby nie spadła komuś na głowę, bo wtedy nici ze szczęścia – skomentował Rafał, który właśnie nadszedł ze swoją narzeczoną.

Zosia była ładną dziewczyną o przyjemnej okrągłej twarzy. Szczególnie zainteresowała się bliźniętami i od razu chciała do nich zajrzeć. Zuzanna zaprowadziła ją do pokoiku, gdzie dzieci już smacznie spały. Dziewczyna Grudzińskiego spojrzała na nie z czułością, widać było, że lubi takie maluchy.

– Jestem z wykształcenia logopedą – wyjaśniła, wracając do salonu. – Tylko bardzo trudno znaleźć w tym zawodzie pracę, a na własny gabinet mnie nie stać. Muszę więc zajmować się czymś innym.

– Tak, a co robisz? – zacięła się wścibska Miranda.

– Pracuję w restauracji – przyznała Zosia i dla Zuzy stało się jasne, dlaczego narzeczona Rafała nie lubi gotować. Po całym dniu pracy na pewno ma dosyć kuchennych zapachów.

– To bardzo fajne – pochwaliła Jakubowska. – Mnie w sumie marzy się taka praca, blisko ludzi, żeby coś się ciągle działo.

– Przecież pracujesz blisko ludzi! Do biblioteki przychodzi ich cała masa – stwierdziła Helena.

Siostrzenica zaprzeczyła ruchem głowy.

– Kto teraz czyta książki? Starsze panie głównie albo młodzież szkolna przychodzi, jak trzeba wypożyczyć lekturę. Powiem wam szczerze, że największy tłok był w bibliotece, jak rada dzielnicy zrobiła to spotkanie w sprawie wymiany pieców.

– Będą wymieniali piece? W całej okolicy? – zacięwał się Edmund.

Miranda pokręciła głową.

– Raczej nie, nie ma na to środków. Są jednak dobre chęci.

– O tak, dobrymi chęciami jest, jak wiadomo, piekło wybrukowane – stwierdził Rafał. – Na wymianie pieców wszyscy by skorzystali. Mniejsze zanieczyszczenie by było, ale i ekonomiczniejsze ogrzewanie.

– Po jakimś czasie – uściślił Stanisławski. – Początkowo wcale nie wygląda to tak różowo.

– Zwłaszcza gdy teraz ludzie palą byle czym i mają tanio – dodała Helena.

– No właśnie, na przykład wymiana pieca w domku tej pani Mrowińskiej. Czym ona tam paliła! Chyba jakieś stare meble wrzucała do paleniska.

– Mrowińska? – Ofelia, przysłuchująca się do tej pory rozmowie bez zbytej ciekawości, teraz odwróciła się w ich kierunku. – Czy ja dobrze słyszę?

– Tak, pani Helena i ten pan z rady dzielnicy pomagają takiej staruszce. Bardzo to, moim zdaniem, szlachetne, bo kobieta żyła w okropnych warunkach – wytłumaczył Rafał.

Ofelia spojrzała na Helenę morderczym wzrokiem.

– No, doprawdy... Nie spodziewałam się.

– Czego? Że pomogę starej, schorowanej kobiecie? Ona już nad grobem stoi – mruknęła właścicielka mydlarni, której nie było w smak, że ta sprawa wydała się w takich okolicznościach. Ostatnio coraz bardziej czuła się jak schwytała w pułapkę: ukrywała przed bliskimi nie tylko swoją chorobę, ale i znajomość ze starą nauczycielką. No i właśnie miała najlepszy dowód na to, że niczego na dłuższą metę nie da się zataić, a sekrety wychodzą na jaw w najmniej sprzyjającym momencie.

– I bardzo dobrze, że stoi nad grobem – nie odpuszczała jej siostra. – To jest modelowy przykład powiedzenia, że karma wraca. Życie, jak widzę, odwdzięczyło jej się za to, w jaki sposób traktowała ludzi.

– Proszę tak nie mówić, pani Felu – odezwał się Rafał. – Ta kobieta naprawdę potrzebowała pomocy. Żaden człowiek nie powinien tak żyć, nawet jeśli w przeszłości nabroił.

Ofelia przygryzła wargi.

– Co pan może o tym wiedzieć. Teraz każdy się lituje nad starowinką, a powiem panu tylko, że ona w pełni zasłużyła na swój los. Pan robi to samo, co ci, którzy użalają się nad stalinowskimi przestępcami czy późniejszymi – z okresu stanu wojennego, bo teraz są schorowani i w podeszłym wieku. No i co z tego, że obecnie są niedołączni i samotni? Moim zdaniem, nie możemy zapominać o ich haniebnym czynach.

– Zapominać nie, ale czy to nas zwalnia od ludzkich odruchów? – wtrąciła się niespodziewanie Sylwia.

Córka popatrzyła na nią z urazą.

– Pamiętasz, ile złego wyrządziła mi Mrowińska. I nie tylko mnie. To są rzeczy, których nie można wybaczyć i zapomnieć, bo ona nigdy nie wyraziła za to skruchy.

– Dobrze, nie musisz jej wybaczać, ale czy to oznacza, że ma zginąć bez pomocy? Zamarznąć w zimnym i brudnym domu? To ma być dla niej kara za gnębienie uczniów w latach osiemdziesiątych? Felu, bądź poważna – włączyła się Helena.

– Gnębienie? Ona niszczyła ludzi! Zaszczuwała ich! To była wredna partyjna funkcjonariuszka, bezgranicznie oddana ustrojowi. Własną matkę by sprzedała, gdyby takie dostała od partii wytyczne. – Ofelia podniosła głos.

– Czy to ta nauczycielka doprowadziła do wydalenia ze szkoły Tymona Ilnerskiego? – zapytał nieoczekiwanie Stanisławski, a wszyscy spojrzeli w jego kierunku. – Pani emocje przypomniały mi tamtą historię.

– Tak, to była właśnie ona. I nie chodzi tylko o tę sprawę, ale o wiele, wiele innych – tłumaczyła zirytowanym tonem matka Mirandy.

– Felu, ja wiem, że ona była okropna. Mikołaj Szarocki wspominał, że w klasie jego brata uderzyła ucznia tak, że miał jakieś poważne obrażenia. Ja naprawdę o tym nie zapominam – cichym głosem powiedziała Helena.

– W takim razie dlaczego jej pomagasz? Kompletnie nie potrafię tego zrozumieć.

– Już ci mówiłam, widzę w niej człowieka, a nie komunistkę. Człowiekowi pomagam, a nie jej przeszłości czy poglądom. Potępiam stare zbrodnie, ale nie potrafię pozostać obojętna na cierpienie zaniedbanej staruszki.

Ofelia zamilkła, ale nadal kręciła głową. Jeżeli coś nie podobało jej się bardziej od wspierania byłej nauczycielki, to nieprzejednana postawa Heli. Jakubowska odbierała to jako występowanie przeciwko niej samej, sprzeciw wobec siostry. Jej zdaniem Helena manifestowała w ten sposób swoją niechęć do niej. Bratała się z jej największym wrogiem, osobą, która, w mniemaniu Feli, bardzo jej w życiu zaszkodziła, a może nawet zniszczyła przyszłość. To było jak zdrada. Tym boleśnieszka, że zadana przez najbliższą osobę w rodzinie. Nie dostrzegała w działaniach siostry żadnych szlachetnych pobudek czy empatii. Dla niej było to jedynie robienie na przekór.

– Ojciec opowiadał mi o Stanisławie Ilnerskim – odezwał się tymczasem Rafał. – To chyba była ciekawa postać. Cichociemny?

– O, tak, miał swoją piękną wojenną kartę – skwapliwie przyświadczyła Sylwia. – Człowiek niezwykle odważny, jak sam mawiał, niczego się nie bał, bo miał wyłączony zmysł strachu.

– To prawda. Pewnego razu tylko jego zimna krew uratowała nas przed wpadką – wtrącił się profesor. – Przenosiliśmy części maszyny drukarskiej i zainteresował się nami patrol milicji. Kręcili się tutaj głównie ze względu na meliny z alkoholem. A my akurat nieszczęśliwym zbiegiem okoliczności wyładowywaliśmy części tej maszyny z małego fiata.

– I co się stało? – zainteresowała się milcząca do tej pory Miranda, która z pewnym zaniepokojeniem obserwowała nadciągającą kłótnię matki z ciotką i bardzo ulżyło jej, gdy zmieniono temat.

– Milicjanci nas wylegitymowali, a potem zainteresowali się maszyną. Na to wyszedł z domu Ilnerski, bo oni mieszkali na parterze i całą scenę obserwował z okna, i wmówił im, że to są części do magła z pralni, która mieści się w podwórzu. Udawał właściciela tego magła i zaczął nas popędzać, żebyśmy wszystko szybko wnosili, bo trzeba maglować obrusy mszalne przed wizytą Ojca Świętego. No i kiedy oni usłyszeli o tych obrusach, o papieżu i mszach, natychmiast się zmyli.

- Miał refleks – pochwalił Rafał.
- Tak, po prostu niebywały. Potem przy wódeczce opowiadał nam o swoich przeżyciach wojennych. Przy jego przygodach James Bond po prostu wysiada. Twój ojciec, Rafał, był wręcz przekonany, że Ilnerski musiał część tych historii zmyślić.
- Pewnie coś tam podkoloryzował, ale z pewnością przeżył wiele – przyznała Sylwia. – Jego żona była za to dziwna. Znerwicowana, przewrażliwiona.
- Może to normalne w takich układach: jedno niczego się nie boi, za to drugie nadrabia lękiem – zadumał się Edmund. – Ciekawe, co się z nimi teraz dzieje. Nie wiedzą panie?
- Nie. – Ofelia powiedziała to zdecydowanym głosem. – Odkąd się wyprowadzili, nie miałyśmy od nich żadnych wiadomości, prawda, mamo?
- Tak, owszem – potwierdziła Sylwia lekko niepewnym głosem. Jej wahanie chwilę się przedłużyło. – Trochę szkoda, bo często o nich myślę...
- O Ilnerskich? – Starsza córka spojrzała na matkę ze zdumieniem.
- Sylwia kiwnęła głową.
- Cóż chcesz, córeczko. Człowiek na starość, kiedy widzi już swój koniec, wraca wspomnieniami do dawnych spraw, próbuje rozplątać stare węzły. Coś zrozumieć...
- Fela nie wyglądała na zadowoloną.
- Minęło tyle lat – zaczęła, ale najwyraźniej zdecydowała się zmienić temat, bo zwróciła się już innym tonem do Rafała: – A pański ojciec? Jak się miewa?
- Ojciec zmarł pięć lat temu – wyjaśnił Grudziński.
- Przepraszam bardzo, nie miałam pojęcia – zmieszała się lekko.
- Oczywiście, nie mam pani tego za złe. Po odejściu taty przejąłem jego udziały w firmie i tym sposobem stałem się współnikiem Edmunda.
- Śmierć Karola była dla mnie wielkim ciosem – przyznał Stanisławski. – Pojawienie się Rafała uważam jednak za dar od losu. Nie wiem, jak bym poprowadził firmę bez niego.
- Przesadzasz – mruknął młody człowiek, ale widać było, że jest mu miło.
- Projektujecie naprawdę fantastyczne rzeczy – wtrąciła się Miranda. – Oglądałam w internecie osiedle „Magiczny Zakątek”. Jakie tam są ładne domy!
- Bardzo się cieszę, bo jest to nasz wzorcowy produkt, wedle zasad projektu „Miasto – Ogród” – wyjaśnił Edward. – Chcemy wtapiać budynki w przyrodę. Uważam, że nadal mało jej mamy w mieście.
- To prawda. Nawet w naszej okolicy przydałoby się więcej zieleni. Na szczęście rada dzielnicy zamierza budować nowy park – wtrąciła Helena.
- Park? A gdzie? – zaciekawiał się Rafał.
- Tuż za naszym płotem, to znaczy właściwie tuż za naszą ulicą. Na terenie dawnej fabryki porcelany, którą przejęło miasto – sprecyzowała.
- Fabryka porcelany – zamyślił się Stanisławski. – Piękne rzeczy robili przed wojną, kafle do pieców, bibeloty, talerze. To była cała szkoła krakowskiego wzornictwa przemysłowego. Szkoda tego zakładu, ale lepiej żeby na jego terenie powstał park niż kolejny apartamentowiec.
- Żaden park nigdy tu nie powstanie – sprzeciwiła się nieoczekiwanie Ofelia. – Ta cała rada nie ma w ogóle siły przebicia. Na to trzeba mieć fundusze i głowę na karku. Mikołaj Szarocki nadaje się może do obserwowania gwiazd, ale na pewno nie do zarządzania czymkolwiek.
- Dlaczego tak mówisz? Widzę, że bardzo się stara. Może jeszcze nie najlepiej mu wychodzi, ale z każdym dniem się wyrabia – chwaliła kolegę Helena.
- Starsza siostra wzruszyła ramionami.
- To nieudacznik. Gdyby nie brat, nie miałby co jeść ani gdzie mieszkać.

Powiedziała to z takim lekceważeniem, że Helena wpadła w złość:

– Ależ ty szybko ludzi osądzasz. Ciekawe, skąd tak dobrze znasz Mikołaja.

– Rozmawiałam z nim często, gdy byłaś za granicą. Zaczepiał mnie, żeby zapytać, co u ciebie słychać – obojętnie rzuciła Ofelia. – Z tych spotkań wywnioskowałam, że Szarocki nawet o siebie nie potrafi zadbać. Dziwię się bardzo, że wybrali go na przewodniczącego tej rady. No ale ja na niego nie głosowałam w każdym razie.

– I źle zrobiłaś – niepodziwianie odezwała się Sylwia. – Bo przecież to kolega Helenki i dobry chłopak. Może nigdy nie był zbyt efektowny, ale to uczciwy człowiek. Bardzo lubiłam jego babcię.

– No tak, to jest argument za kandydaturą na radnego – sarkastycznie stwierdziła starsza córka.

Zuzanna, która do tej pory śledziła w milczeniu tę coraz ostrzejszą wymianę zdań, zdecydowała, że najwyższa pora przerwać ten temat, choć sprawy nie dotyczyły jej osobiście.

– Zapraszam na deser – wtrąciła się. – Upiekłam dzisiaj zupełnie nowe ciasto, mam nadzieję, że będzie wam smakować.

– Na pewno – z entuzjazmem podchwycił Rafał. – Masz ogromny talent kulinarny, Zuzia.

– Tak – potwierdziła Zosia, także rada, że temat rozmowy wrócił do bardziej znanych jej zagadnień. – Pracuję w dużej restauracji i mogę ci powiedzieć, że gotujesz naprawdę bez zarzutu.

– Ma to po mamie – nieoczekiwanie dodał Edmund, a Zuzanna spojrzała na ojczyma ze zdziwieniem. – Łucja także jest znakomitą kucharką – wyjaśnił. – Zawsze potrafiła wyczarować coś z niczego. Zuzia posiadała niezwykłą zdolność łączenia ciekawych smaków. Jak choćby w dzisiejszej kolacji.

Wszyscy zaczęli się rozwodzić nad zaletami posiłku, Lorenc miała więc nadzieję, że Helena i Ofelia odpuszczą. Naprawdę przebywanie z obiema siostrami równocześnie przypominało stąpanie po polu minowym. Nigdy nie było wiadomo, o co za moment wybuchnie spór. A właściwie było to jasne: sprzeczały się przez cały czas, bo każdy temat stawał się zarzewiem konfliktu.

Męczące – pomyślała Zuzanna, obserwując siostry. Niby rodzina, niby sobie bliskie, a jednak w nieustannym klinczu. – Ale czy ja i mama nie traktujemy się podobnie? – przyszło jej nagle do głowy. – Zwykle problemy innych widzi się wyraźniej niż swoje. Może trudności w relacjach z matką wynikały z braku prawdziwego porozumienia?

Nie miała siły teraz tego zgłębiać. Pomyślała za to o swoich dzieciach, bo Grudziński skierował na nie rozmowę. To była jej rodzina, o którą powinna dbać.

– Cudne dzieciaki – perorował tymczasem Rafał. – My też powinniśmy się szybko postarać o własne. – Objął Zosię ramieniem.

– Dopiero jak będę miała stałą pracę – zastrzegła się.

– Stałą pracę? – Mężczyzna nie wyglądał na zadowolonego. – W twojej branży możesz na to czekać i do emerytury.

– Na dzieci nigdy nie ma dobrej pory – włączył się do rozmowy Edmund. – Dlatego może faktycznie nie warto zwlekać.

– Dziękuję za dobre rady – powiedziała Zosia takim tonem, jakby chciała dodać: „, ale o nie wcale nie prosiłam”.

Zuzanna dobrze ją rozumiała – nic tak nie denerwuje, jak pouczenia otrzymywane od obcych i to w dodatku takie, na które nie ma się najmniejszej ochoty. Sytuacja znowu robiła się napięta.

– Wspaniałe ciasto – pochwaliła tymczasem Sylwia. – Zuzanno, może byś nam coś jeszcze zagrała. Wiem, że pewnie nie wypada prosić o koncert do deseru, ale przecież my nie

jesteśmy żadnym oficjalnym towarzystwem, tylko sami swoi.

Pianistka spojrzała na swoich gości spod oka. No tak, „sami swoi”: siostry, które nie za bardzo się lubią, para narzeczeńska, która niezbyt się ze sobą dogaduje, i na dokładkę jej ojczym, człowiek-zagadka. Jaki naprawdę jest i jakie kierują nim intencje?

– Bardzo chętnie – powiedziała jednak, zasiadając do fortepianu.

Miranda skwapliwie przyniosła jej pudełko ze starymi nutami od Klary. Zuzanna znowu przypomniała sobie o sąsiadce i postanowiła zagrać coś na jej cześć. Już po chwili w salonie rozległy się czarodziejskie dźwięki muzyki Rachmaninowa.

26.



Sadzonki przyjechały niezwykle szybko. Helenie wydało się to wręcz podejrzane, zwłaszcza gdy zobaczyła, ile ich jest.

– No wiesz – zaczął się wykręcać Jacek, gdy ostro przyparła go do muru. – Miałem długi u jednego hurtownika roślin...

– Rozumiem, że wypłacił ci zadośćuczynienie „w naturze”, tak?

– Można to tak rozumieć. W każdym razie częściowo – zastrzegł się sąsiad.

Helena westchnęła głęboko. Nowacki nieźle kombinował. Teraz odbierze sobie należność z konta rady lokatorów i wszyscy będą zadowoleni. A najbardziej oczywiście on.

– Zdajesz sobie sprawę, że takiej ilości krzewów i drzewek nie damy rady posadzić za jednym zamachem?

– Tu są też byliny nadające się do skalnego ogródka – oceniła Miranda, która z wielkim zainteresowaniem przyglądała się asortymentowi wyładowanemu na chodnik przed domem.

– Poradzicie sobie. Ja swoje zrobiłem. – Sąsiad pozostawał niewzruszony. – Dostarczyłem sadzonki, a dalej nie zamierzam palcem w bucie kiwnąć.

– Jacek, ja się nie pisałam na oranie w ziemi jak chłop pańszczyźniany. Myślałam, że wsadzimy kilka krzaczków i posiejemy jakieś kwiatki. Żeby to wszystko zagospodarować, trzeba najpierw porządnie przekopać ziemię, splantować ją, wytyczyć klomby.

– No to masz pole do popisu. Ja się na pewno tym nie będę zajmował, bo nie mam na to czasu. To był twój pomysł, Helena, przypominam ci. Nawarzyłaś piwa, to je teraz pij! – Roześmiał się złośliwie i tyle go widziały. Wskoczył do samochodu i odjechał.

Werde westchnęła.

– Znakomicie. Ciekawe, co teraz zrobimy. Tego jest mnóstwo. Przeglądneś te poradniki w bibliotece?

– Z grubsza tak. I widzę tutaj duże możliwości. Ależ on tego przywiózł! W każdym razie nie można pozwolić, żeby to się teraz zmarnowało.

– No właśnie. A ziemia jest w takim stanie, że nie sposób tego wszystkiego wsadzić. To, że Jacek wyciął krzaki, nie zmienia faktu, że w ziemi wciąż tkwią ich korzenie.

– No to co zrobimy? – zafrasowała się Miranda.

Helena zastanawiała się chwilę.

– Zadzwoń do Szarotki, może rada dzielnicy ma jakiegoś specja od zieleni miejskiej, który nam to splantuje za odpłatnością.

Rada dzielnicy akurat przymierzała się do prac w dawnej fabryce porcelany i spec od plantowania był na miejscu. Mikołaj załatwił, że za dodatkową zapłatą przyjedzie, po zakończeniu dniówki dla dzielnicy, przygotować ogródek przy Gwiazdzistej. Helena była mu za to niewymownie wdzięczna. Razem z Mirandą zabrały się za przenoszenie sadzonek na teren ogrodu, żeby nie zostawiać ich na ulicy.

– Wiesz, rozpytałam o to archiwum dokumentujące zbrodnie hitlerowskie – przypomniała sobie Helena.

– Tak? – zainteresowała się siostrzenica.

– Tak, jak przypuszczałam, teraz wszystkie sprawy przejął IPN. Kiedyś to się nazywało Komisją Ścigania Zbrodni Przeciwko Narodowi Polskiemu, a teraz jest to Centrum Udzielania Informacji o Ofiarach II Wojny Światowej. Wysłałam do nich maila.

– O, to znakomicie. Pewnie trzeba będzie uzbroić się w cierpliwość, zanim przeszukają archiwa, ale przyszło mi do głowy coś innego. – Miranda zawahała się lekko.

– Co?

– Może powinniśmy podpytać Klarę? Ona najwyraźniej znała tę dziewczynkę, Sarę Mincer. Może zna jej dalsze losy?

– Tak myślisz?

– Pamiętasz, wspomniała o niej u reagenta Zawilskiego.

– Tak, ale nie mogła sobie przypomnieć, co się z nią stało.

– Najpierw twierdziła, że zginęła w jakiejś fabryce...

– ... a potem utrzymywała, że coś się jej pomyliło. – Helena, zniechęcona tym pomysłem, weszła siostrzenicy w słowo. – Wiesz, ja myślę, że Klarze mogą się mieszać różne osoby i wydarzenia.

– Nie zaszkodzi jednak spytać, prawda?

– Tylko że Klara wprowadziła się tu już po wojnie. Nie sądzę, żeby znała wojenne losy tego domu. – Zmarszczyła brwi ciotka. – Spytać można, ale wiele bym się nie spodziewała. Już prędzej ten Blajerski... On na pewno coś wie, tylko czegoś się boi.

– Ciekawe czego? Minęło już tyle lat. Nawet jeśli słyszał o jakiejś niecnej sprawie, to wszystko już chyba uległo przedawnieniu. – Miranda medytowała nad paczką z krzewinkami do skalniaka.

– Nie mam pojęcia, o co mu może chodzić. Poza Blajerskim nie znam nikogo ze starszych mieszkańców. Chociaż poczekaj... Może Mrowińska?

– Daj spokój, mimo wszystko jest za młoda.

– Nie twierdzę, że sama była świadkiem wydarzeń, ale może ktoś jej coś opowiadał? To osoba, która zna bodaj wszystkie tutejsze historie. – Helena pomyślała o dziwnych aluzjach starej nauczycielki i od razu zrobiło jej się nieprzyjemnie.

– Stara plotkara – rzuciła wesoło siostrzenica, otrzepując ręce z ziemi. – Chyba już wszystko upchnęliśmy. Nie mam pojęcia, jak to się zmieściło.

W istocie, starały się tak poustawić wszystkie sadzonki, żeby nie zagrozić miejsca

operatorowi maszyny wzruszającej ziemię. Drzewka i większe krzewy stanęły więc pod ścianą domu, a skrzynki z jednorocznymi kwiatami i bylinami zostały rozstawione na balkonie Nowackiego i tym drugim, przynależącym do opuszczonego mieszkania. Miranda wspięła się przy okazji zwinnie po balustradzie i zajrzała do środka przed brudną szybę.

– Chodź, Hela, zobacz, jakie czaderskie wnętrze.

Ciotka nie namyślała się ani chwili. Także zgrabnie przesadziła barierkę i znalazła się na tarasie.

Do tej pory dostęp do opuszczonego mieszkania na parterze był mocno utrudniony z uwagi na gęszcz kłujących krzaków. Żeby je sforsować, trzeba było prawdziwej determinacji i odwagi, nic dziwnego, że nikt się do tego nie palił. Teraz jednak, gdy Jacek Nowacki wykarczował wszystko, droga do balkonu, a więc i do samego mieszkania, stała otworem.

Taras na wysokim parterze był dosyć obszerny i gdyby go odremontować, zmieściłby się tutaj na pewno stolik kawowy, otomana, a może i wygodne fotele. Z jednej strony ocieniała go wiekowa lipa, więc przy odrobinie zachodu mógłby tu powstać naprawdę rajski zakątek, zwłaszcza że okna balkonowe, starego typu, drewniane i skrzynkowe, sięgały od sufitu do podłogi. Były oczywiście bardzo zniszczone, wypaczone i wymagały pilnej renowacji, lecz miały swój staromodny urok, którego na pewno nie zapewniały nowoczesne okna z plastiku. Lakier cokolwiek oblaźił i miejscami zupełnie stracił kolor, ale mimo to widać było szlachetny styl i dawną elegancję stolarki.

Gdy przysunęły twarze do mocno zakurzonej i brudnej od deszczu szyby, mogły zobaczyć, że salon był naprawdę obszerny, a podłoga wykonana z miodowych, szerokich, zapewne dębowych klepek. Ściany pomalowano na jakiś ciemny kolor, zdaje się złoty brąz.

– To chyba jakaś tapeta – uznała Miranda, stając się przetrzeć brudną szybę, ale było to pozbawione sensu. Okien nie czyszczono od lat, tak z zewnątrz, jak i od wewnątrz.

– Albo tkanina ścienna. Popatrz, jakie fajne meble. – Teraz z kolei Helena bezskutecznie przecierała szklaną taflę rękawem swetra.

W skąpych promieniach słońcach przefiltrowanych przez zakurzone szyby dostrzegły stylową szafę z wygiętymi detalami, komodę, czy też długi bufet, oraz coś w rodzaju fotela z pluszu. Najdziwniejszym elementem wystroju był jednak żyrandol, który nie bardzo pasował do wnętrza, raczej do jakiejś pałacowej sali balowej, bo wykonano go z dziesiątek kryształowych szkiełek umocowanych na mosiężnej obręczy. Rzucały one na podłogę tęczowe rozblaski i delikatnie podzwaniały, poruszane zapewne lekkim podmuchem powietrza, które dostawało się do wnętrza pokoju przez wypaczone okna.

– To chyba ten żyrandol tak dzwoni po nocach. – Zaśmiała się Helena.

– Daj spokój, u nas nie byłoby tego chyba słychać – obruszyła się siostrzenica.

– Zawsze mi się wydawało, że to nawiedzone mieszkanie – ciągnęła Werde. – Marzyłam, żeby się dostać do środka, ciągle miałam wrażenie, że ktoś tu chodzi wieczorami, podłogi skrzypią, słychać jakieś dziwne odgłosy.

Miranda nacisnęła kławkę, ale drzwi balkonowe, mimo iż stare i sfatygowane, nie puściły.

– Przestań, nie wolno nam tego robić – zmiętygowała ją ciotka. – Zresztą od wewnątrz wisi kłódka na łańcuchu. – Pokazała jej wymownym gestem.

– Ciekawe, do kogo tak naprawę należy to mieszkanie? I co zamierza z nim zrobić nasz dobroczyńca? Kto z nas dostanie je za dobry uczynek?

– Może on sam? – Roześmiała się Helena, zeskakując z balkonu. – Mnie zastanawia coś zupełnie innego. – Zwróciłaś uwagę, ile tam jest okien? Znajdują się też na bocznej ścianie tego salonu, a to są okna od tej strony. – Wskazała dużą, także brudną szybę tuż nad partią sadzonek

cisów, które ustawiły przed chwilą pod ścianą.

– No i co z tego? – Miranda nie pojmowała, do czego zmierza ciotka.

– Ano to, że każde mieszkanie w tym domu jest inne. Ma inny kształt i położenie, istny groch z kapustą.

– Taki budynek. Nietypowy – oceniła siostrzenica.

– Naprawdę warto się będzie przejść do tego archiwum i posprawdzać plany – zamyśliła się Helena.

Tylko czy w ogóle będzie miała na to czas? Zbliżający się termin operacji spędzał jej sen z powiek i sprawiał, że wciąż czuła się podenerwowana. Nie mogła się na niczym skupić. Wykonała już wszystkie potrzebne badania i musiała tylko czekać. Właśnie to było najbardziej nieznośne.

– Jakże to ma właściwie znaczenie? – Dziwiła się tymczasem jej rozmówczyni.

– Teraz żadne, ale jest w tym wszystkim coś tajemniczego, moim zdaniem.

– Cały ten dom oraz jego właściciel są tajemniczy – westchnęła Miranda. – Lepiej zadzwoń jeszcze raz do tego swojego Szarotki, bo facet z glebogryzarką chyba o nas zapomniał.

– Szarotka nie jest mój. Skoro facet obiecał, że przyjedzie, na pewno się zjawi.

Tak było w istocie. Nie minęło pół godziny, a przed bramę zajechał fachowiec ze sprzętem.

– To ten spłachetek do skopania? – ocenił fachowo ogródek.

– Tak, rzeczywiście dużo tego nie ma, tylko chwasty straszne – westchnęła Helena.

– Żadne chwasty nie są straszne dla mojej maszyny – chętnie stwierdził operator i dziarsko zabrał się do roboty.

Rozległ się taki hałas, że aż pani Pieniążkiewicz wychyliła się z okna.

– Co się tutaj dzieje? – krzyknęła zaniepokojona.

– Doprowadzamy ogród do porządku – odpowiedziała Miranda podniesionym głosem, ale starsza pani dała znak, że nic nie słyszy. Po dłuższej chwili zeszła na dół w swej długiej sukni i etoli.

– Co wy wyrabiacie, dziewczęta? Co to za rewolucja?

– Jacek wykarczował ten gąszcz, a teraz my próbujemy splantować ziemię. Są już sadzonki. – Helena pokazała rośliny stojące pod ścianami.

– Sadzonki? – Pani Klara przyjrzała im się ciekawie. – Będą tu kwiaty?

– Kwiaty, krzewy ozdobne, pnącza, skalny ogródek – wyliczyła Miranda.

Starsza pani rozpromieniła się.

– Będzie można wyjść do ogrodu?

– Oczywiście! Może uda nam się też kupić coś z małej architektury, jakąś altankę, ławkę czy stolik. Wreszcie zrobi się tu ładnie – zapowiedziała Helena.

Klara wyglądała na zachwyconą.

– Przez tyle lat ten kawałek ziemi leżał odłogiem. Dobrze, że się za to wzięłyście.

– To nie my zaczęłyśmy. Krzaki wykarczował Nowacki – przyznała sprawiedliwie Werde. – Nie mam pojęcia, skąd u niego nagle ten pomysł, ale dobrze, że na niego wpadł. Wiosna to najlepszy moment, żeby coś zrobić z ogródkiem.

– Pani Klaro, chciałam o coś zapytać – zaczęła Miranda, która postanowiła wykorzystać nadarzącą się okazję.

– Tak, moja droga?

– Pani znała tę dziewczynkę, córkę właścicieli domu, Sarę Mincer?

Klara Pieniążkiewicz błyskawicznie zmieniła się na twarzy. Szczelnie otuliła się etolą, a potem skuliła w sobie, chowając ramiona.

– Dlaczego przypominacie mi tamte straszne czasy? To piekło na ziemi – jęknęła zbolalym głosem.

– Przepraszam, nie chciałam sprawić pani przykrości – pospieszyła z wyjaśnieniami Jakubowska.

Ale Klara już jej nie słuchała. Odwróciła się i drobnymi kroczkami podreptała do siebie na górę.

– Dziwaczka. Jak ma dobry dzień, można z nią pogadać, ale, jak widać, nie zawsze się to udaje – oceniła Helena, lecz jej uwagę na chwilę odciągnął facet z glebogryzarką. Skończył już robotę i trzeba się było z nim rozliczyć.

– Hej, co tam robicie? – Przy furtce stała Zuzanna. Właśnie odebrała dzieci ze żłobka i cała trójka zaglądała ciekawie do ogródka.

– Rewitalizacja zieleni – z dumą oświadczyła Werde, wracając po załatwieniu wszystkiego z operatorem maszyny.

– Właśnie widzę. Fantastyczny pomysł! Naprawdę szkoda było tego zieleńca.

– Tak, jak wszystko się uda, będziesz miała tu świetne miejsce dla dzieci – dodała młodsza sąsiadka, ciągle jeszcze zmartwiona niefortunną rozmową z Klarą.

– Jestem wam ogromnie wdzięczna, naprawdę.

– To Jacek pozbył się tych krzaczorów, my pracujemy nad resztą – przypomniała o zasługach Nowackiego Helena.

– Poważnie? – zdumiała się Zuza, która zdążyła już poznać sąsiada od nie najlepszej strony. – Nigdy bym nie pomyślała, że on jest taki uczynny.

– Uczynny, bo chce zrobić dobry uczynek. – Roześmiała się Miranda.

– Chętnie wam pomogę przy obsadzaniu tej działki. Widzę, że macie wiele cudownych roślin. – Lorenc wskazała sadzonki.

– To też od Jacka – wyjaśniła Helena. – Ale nie należy rozczulać się nad jego dobrym serduszkim. Odzyskał w ten sposób jakiś dług. Odebrał w naturze, a rozliczy się z naszych pieniędzy na administrację domu, więc to akurat zapewne mu się opłaci.

– Sadzonki są piękne – oceniła Zuzanna. – Macie jakiś pomysł, jak je rozmieścić?

– Żadnego. Te mniejsze chyba z przodu, a większe z tyłu, tak będzie ekonomiczniej. – Zmarszczyła brwi Werde.

– W życiu nie słyszałam podobnych bredni – rozległ się oburzony głos. – Jak to „mniejsze” i „większe”? Trzeba sadzić z głową, gatunkami, w zależności od upodobań roślin i ich wytrzymałości. No i musi powstać przemyślana kompozycja.

Marta Olesińska wkroczyła do ogrodu wraz ze swoim pieskiem i rozejrzała się fachowym wzrokiem. Poskubała rośliny, obejrzała korzenie, w końcu skinęła z aprobatą głową.

– Dobry materiał, na pewno da się coś z tego zrobić. Już mi się rysuje pewna koncepcja.

– Znakomicie. Skoro się pani rysuje, to proszę sadzić – rzuciła złośliwie Helena.

Marta spojrzała na nią z wyższością.

– Dlaczego ja mam to robić? Ogród nie był moim pomysłem. Mogę ewentualnie udzielić wskazówek, ale nie będę się w to angażowała osobiście.

– Jest tylko jeden szkopał. Ogród należy do wszystkich i został wyposażony ze wspólnych pieniędzy. Każdy więc musi się zaangażować, bo wszyscy będą z niego korzystali.

– Kto powiedział, że ja będę? Nie głosowałam za żadnym ogrodem – wyklócała się Marta. Podenerwowany piesek skakał koło jej nóg jak pchła, wzbudzając żywe zainteresowanie Jasia, który usiłował pociągnąć go za ogon.

– Proszę powiedzieć dziecku, żeby nie męczyło mojego psa. – Wściekłym głosem zwróciła się Olesińska do Zuzanny. – Dlaczego nikt mnie nie poinformował o tych pracach

w ogrodzie?

– Większość mieszkańców zadecydowała, że ogród zostanie odnowiony – wtrąciła się Miranda. – Pan Jacek wykarczował chaszczę i zorganizował sadzonki, my wynajęliśmy specjała do przekopania ziemi. Teraz państwa kolej.

– Ależ, Martusiu, sama mówiłaś, że ten ogródek to obraz nędzy i rozpaczy i gdybyś tylko mogła, zrobiłabyś z niego cudenka – zdekonspirował ją mąż, który właśnie z zakupami dotarł do bramy.

Olesińska zgromiła go spojrzeniem.

– Owszem, mówiłam tak, ale nie podoba mi się, że ktoś usiłuje nam tu coś narzucać. Powiem więcej: robicie to za naszymi plecami.

– Za jakimi plecami na miłość boską – rozżościła się Helena, którą obecnie dosyć łatwo było rozdrażnić. – Wszystko jest jawne jak posiedzenie sądu koleżeńskiego. Poza moją siostrą byli już tu chyba wszyscy lokatorzy.

– Babcia jeszcze się nie pojawiła. – Miranda śmiała się dyskretnie.

– Ale na pewno widziała wszystko z okna – uzupełniła Helena. – Trudno więc mówić o jakiejś konspiracji.

– Pani Marto, przecież ogród to dobry pomysł. – Zuzanna starała się zaapelować do rozsądku sąsiadki. – Jeżeli wszyscy się za to zabierzemy, za kilka tygodni ten zakątek będzie po prostu piękny.

– Piękny to on będzie w przyszłym roku. – Sąsiadka dała się nieco udobruchać. – A pełnię możliwości pokaże dopiero za kilka lat, o ile nie zaniedbamy pielęgnacji. Ogrody to, proszę państwa, obrazy duszy. Mają swoją filozoficzną symbolikę...

Helena i Miranda wymieniły porozumiewawcze spojrzenia. Najwyraźniej to był czuły punkt Marty Olesińskiej: sztuka ogrodowa była dla niej sztuką w dosłownym tego słowa znaczeniu.

„Fiśnięta” – zdawało się mówić spojrzenie Mirandy, gdy Marta przedstawiała zawile koncepcje dotyczące ogrodnictwa i jego doniosłego znaczenia dla cywilizacji. Istotne jednak było to, że się na tym znała i mogła pokierować pracami.

– To co? Jak się umawiamy na to sadzenie? – Helena uznała, że trzeba kuć żelazo, póki gorące. Marta chwilę się zastanawiała, a potem szybko rozdzieliła zadania. Prace miały się zacząć od jutra rana, żeby wykorzystać sprzyjającą pogodę.

– Dziś sobie spokojnie obejrzę wszystkie sadzonki – powiedziała jeszcze. – Muszę dokładnie wiedzieć, czym dysponujemy.

– A proszę bardzo. – Helena wykonała przyjazny gest ręką. Pomogła Zuzannie wprowadzić wózek do bramy, a potem ustawić go w komórce obok opuszczonego mieszkania na parterze. – Kto by pomyślał, że i Olesińska może się na coś przydać. – Pokręciła głową.

– Niezwykłe. Może ta wspólna praca bardziej nas ze sobą zintegruje? – dumiała Zuza, pomagając Jasiowi i Basi wspinać się po schodach.

– Nie liczyłabym na to. – Helena wzruszyła ramionami. – Mieszkam z nimi pod jednym dachem tyle lat, a jakoś dotąd wcale się nie zintegrowaliśmy.

– No ty akurat wcale tu nie mieszkałaś – poprawiła ją Miranda. – Od kilku lat głównie jeździłaś po świecie i jeśli wracałaś, to na krótko.

Ciotka zmieszana się nieco.

– To prawda, ostatnio długo mnie nie było. Mówię tak raczej ogólnie. Po prostu Olesińscy nie wyglądają na takich, co się lubią integrować.

– Może trzeba dać im szansę – poparła Mirandę Zuzanna.

– Idealistki – westchnęła Helena.

Na schodach dogoniła je wracająca z pracy Ofelia. Jak zwykle wyglądała na zmęczoną i miała zaaferowany wyraz twarzy.

- Co się w tym domu dzieje, na Boga – zaczęła, a siostra zgromiła ją spojrzeniem.
- Przekopałyśmy ogródek – wyjaśniła spokojnie Miranda.
- Wy przekopałyście? – Nie mogła wyjść ze zdumienia Fela.
- No niezupełnie osobiście. Posłużyłyśmy się umiejętnościami pana z glebogryzarką – rzuciła Helena.
- Od razu podejrzewałam, że coś kręcisz – z satysfakcją stwierdziła Ofelia.
- Daj spokój, mamu, przecież to był żart. – Miranda próbowała rozładować sytuację.
- Oczywiście... I jak zwykle żartujecie sobie ze mnie.
- Nikt z ciebie nie żartuje, nie bądź śmieszna, Felu.
- A więc teraz jestem dodatkowo śmieszna?

Zuzanna zatrzymała się na półpiętrze, żeby popatrzeć na kłócące się siostry.

Niesamowite, jak łatwo było je wyprowadzić z równowagi. A właściwie, gwoli ścisłości: jak łatwo Ofelia i Helena wyprowadzały się nawzajem z równowagi. Dlaczego tak na siebie działają? Czemu wciąż ranią się wzajemnie? – głowiła się matka bliźniąt.

Odnosiła też wrażenie, że te nieuchronne starcia są elementem jakiejś dziwnej tradycji zakorzenionej między siostrami. Coś jak długodystansowy bieg z przeszkodami, nieustanna próba sił. Zawsze warto się sprawdzić w kolejnej utarczce, choćby nie wiem, jak banalnej. Bo może właśnie tym razem zyska się przewagę nad przeciwnikiem.

Tak. Lorenc zdała sobie sprawę z tego, że siostry toczyły ten niekończący się bój na śmierć i życie o to, która będzie przewodziła w niewielkiej rodzinie. Czyja racja powinna być na wierzchu i kto winien nadawać ton. Ofelia uważała, że ta rola należy się jej z racji starszeństwa, no i dlatego, że jest rozsądniejsza i bardziej rozważna. Helena oczywiście nie akceptowała tego punktu widzenia i swej podrzędnej roli w kalkulacji siostry. Ona z kolei doceniała swoją mądrość i błyskotliwość. Zuza miała momentami wrażenie, że Helena uważa starszą siostrę za głupią. No może tutaj przesadziłam – zmitygowała się. W takim razie nie za głupią, a trochę ograniczoną. No i krótkowzroczną. Te konstatacje dawały więc Helenie prawo do próby przewodzenia w tej rodzinie. Tylko że Ofelia wcale nie zamierzała poddać się bez walki.

Oglądałam kiedyś taki film na kanale przyrodniczym – przypomniała sobie Lorenc, gdy pożegnała już sąsiadki na ich piętrze i wolno ruszyła z dziećmi w kierunku swojej mansardy. – W stadzie wilków też jest taka samica wadera, która prowadzi stado. Gdy zaczyna chorować i słabnie, młodsze samice próbują zająć jej miejsce. Ta broni się przed utratą pozycji, bo to oznacza dla niej śmierć. Czy Ofelia postępuje w ten sam sposób? Obawia się, że siostra zajmie uprzywilejowane miejsce, a ją samą zepchnie na margines? Jeśli tak, to źle robi. Ta rodzina mogłaby świetnie funkcjonować, gdyby się ze sobą dogadały, a tym sposobem jest zagrożona rozbiciem. Powinny jak najszybciej się porozumieć, skoro chcą zdobyć ten zapis.

Westchnęła. Z jaką ostrością widziała problemy sąsiadek i jak łatwo przychodziło jej znajdowanie rozwiązań! Szkoda, że swoich problemów nie potrafiła tak łatwo rozwikłać.

– Mama pić – oświadczył Jaś, którego najwyraźniej zmęczył długi spacer po schodach. Zuzanna uznała, że najwyższy czas zająć się dziećmi. Właśnie zdejmowała Basi kurteczkę, gdy zabrzączał jej telefon. Początkowo miała nie odbierać, ale pomyślała, że mogą dzwonić mama lub Edmund, a oboje byliby przerażeni brakiem odzewu.

- Słucham – powiedziała więc, mocując się z bucikami Basi.
- Pani Zuzanna Lorenc? Telefonuję z Centrum Koncertowego. Otrzymała pani u nas posadę. Proszę się zgłosić do kadr celem dopełnienia wszystkich formalności – oświadczyła urzędowym tonem osoba po drugiej stronie.

Zuza na chwilę straciła oddech.
A więc jednak. Teraz naprawdę zaczną się schody.

27.

– Dlaczego ciągle się ze mną kłócisz? – Ofelia kontynuowała zaczęta na schodach wymianę zdań.

– To ty prowokujesz te żenujące starcia. – Wzruszyła ramionami jej siostra, wchodząc do mieszkania.

– Żenujące starcia? Dla kogo niby? Najlepiej świadczą o tobie, bo wyklócasz się o wszystko jak przekupka na targu.

– Widziałam minę Zuzi... Była pełna dezaprobaty dla przedstawienia, które ty dałaś. – Helena podkreśliła dwa ostatnie słowa.

Jej siostra natychmiast zrobiła minę pełną wyższości, która miała oznaczać, co myśli o akceptacji bądź jej braku ze strony młodej sąsiadki. Miranda tylko westchnęła ciężko, ale nie wzięła udziału w wymianie zdań. Ze swego pokoju wyjrzała Sylwia, zwabiona hałasem.

– Znowu awanturka? – spytała, starając się zbagatelizować sprawę. – Że też wam się jeszcze nie odechciało tego sportu. Zachowujecie się jak pięciolatki. Najważniejsze, czyje będzie na wierzchu.

– Wcale nie – zanegowała natychmiast Ofelia.

– Ależ właśnie tak! Po tobie w ogóle się tego nie spodziewałam, bo jesteś przecież dojrzalsza, co ciągle podkreślasz – ironicznie stwierdziła Sylwia, a starsza córka spojrzała na nią ze zdumieniem. Matka zwykle starała się łagodzić konflikty, a nie zaostrzać je. – Powiem szczerze, jestem już zmęczona tymi nieustannymi walkami. Jak to się ładnie mówi: mam ich wyżej uszu. – Starsza pani przytknęła drzwi od swego pokoju, zostawiając córki w korytarzu z głupimi minami.

– Mamo, spokojnie. – Ofelia przestraszyła się, bo Sylwia nigdy dotąd nie reagowała w ten sposób. – Chodziło nam tylko o ten ogródek przed domem. Proszę, porozmawiaj z nami.

– Nie, dopóki się obie nie uspokoiacie – odezwała się seniorka rodu przez zamknięte drzwi. – Mam dosyć łagodzenia waszych sporów, które wybuchają cyklicznie i o wszystko.

– Dobrze, pogodzimy się i więcej nie będziemy... – obiecała Helena, robiąc małą minę do siostry.

Fela uniosła tylko brwi do góry na znak, co sądzi o tej deklaracji.

– Nie chcę, żebyście stroiły sobie ze mnie żarty. Po prostu wreszcie to przemyślcie. W jaki sposób mamy zdobyć to mieszkanie, skoro wiecznie się kłócicie? Czy w takiej atmosferze można osiągnąć jakikolwiek wspólny cel?

Helena i Ofelia wymieniły spojrzenia.

Nigdy nie myślały o sprawie dobrego uczynku w ten sposób. Oczywiście trzeba go będzie spełnić, bo całej czwórce zależało na mieszkaniu. Co więcej, zgodnie uważały, że dadzą radę to zrobić. Wymyślą jakiś szczytny cel i wdrożą w życie plan, który zyska uznanie społeczności. Nie brały jednak pod uwagę faktu, że być może nie dadzą rady współpracować ze sobą. Jak bowiem wypracować jednolity cel, skoro nie można się porozumieć w najdrobniejszej kwestii i afery wybuchają o byle co?

Helena zdała sobie sprawę, że czasami drażni się z siostrą z czystej przekory i zrobiło się jej wstyd. Ofelia także musiała dojść do niewesołych wniosków, bo popatrywała na młodszą siostrę z pewnym zakłopotaniem.

– Jeżeli o to idzie... – zaczęła.

– Może rzeczywiście przesadziłyśmy. – Wyszła jej naprzeciw Helena.

Ofelia zrobiła minę, jakby chciała od razu odpowiedzieć: „To ty przesadziłaś”, ale powstrzymała się, co należało jej zapisać na plus jako wielki krok w dobrą stronę.

– Łatwo jest rozdrażnić osobę, której słabości dobrze się zna – ciągnęła Helena, łowiąc nieprzychylnie spojrzenie Ofelii. – Nie miałam niczego złego na myśli, mówiąc „słabości”, chodziło mi raczej o punkty zapalne, zawsze wywołujące spięcia. Psychologia dobrze zna te mechanizmy.

– U was jest mnóstwo takich punktów – wtrąciła się niespodziewanie Miranda, która najwyraźniej też miała dosyć awantur.

– Tak, to prawda. Warto by się zastanowić, z czego to wynika – zadumała się Helena.

Drzwi się uchyliły i pojawiła się w nich Sylwia.

– To bardzo ciekawy temat, chętnie sama posłucham. Może przy okazji zjemy ciasto od Zuzy? Wpadła do mnie przed pracą i przyniosła swój wypiek. – Gestem zaprosiła wszystkie domowniczki do salonu.

Usiadły przy stole, niczym na jakimś zebraniu. Ofelia u szczytu, potem kolejno Helena i Miranda. Sylwia zajęła miejsce po drugiej stronie.

– No, nie wiem... – skapitulowała Helena.

– Na pewno wiesz. – Ofelia była pewna swego.

– Jeśli będę mówić szczerze, znowu zaczniesz się kłócić i wrócimy do punktu wyjścia.

– Obiecuję się nie kłócić. Powiedz, co o mnie myślisz, może to oczyści wreszcie atmosferę.

– Dobrze, skoro nalegasz, będę szczerą, choć pewnie tego pożałuję. Ciągłe mi tylko wytykasz dziecinne zachowanie, a nawet nie pomyślisz, że sama możesz popełniać jakieś błędy.

– Bo ty postępujesz jak nastolatka, Helu. Bardzo mnie to martwi, że nie bierzesz za nic odpowiedzialności. Szczerść za szczerść, moja droga: nie wiem, jak sobie wyobrażasz swoją przyszłość z takim nastawieniem. Dla ciebie to wszystko, co się dzieje – my, dom, obowiązki, praca – to jakaś zabawa, tymczasowa opcja. Na niczym ci nie zależy i to mnie najbardziej martwi – dodała siostra cicho.

– Teraz już przesadziłaś. Bardzo mi na was zależy i życzyłabym sobie mieć z tobą lepsze relacje, ale ty nie uznajesz partnerstwa, chcesz nami po prostu rządzić. W ogóle nie dopuszczasz możliwości dyskusji. Ma być tak, jak ty chcesz, bo uważasz się za jedyną rozsądną osobę w tym domu.

– Bzdura – zbagatelizowała te słowa Ofelia.

– Proszę bardzo, to jest właśnie to! – triumfalnie stwierdziła Helena. – Sądzisz, że wszystko wiesz najlepiej, nawet to, o czym powinniśmy w danej chwili myśleć. Chciałabyś nam narzucić nie tylko swój sposób postępowania, ale i odczuwania. Chcesz nami sterować, jakbyśmy były marionetkami.

– Co ty w ogóle gadasz? – obruszyła się Ofelia. – Ja nie dopuszczam was do głosu? Narzucam swoje zdanie? Niby kiedy?

– Zawsze. A przynajmniej zawsze się starasz. Na opór reagujesz złością. Ja to tak widzę. – Helena założyła dłonie na piersiach i spojrzała na siostrę wyzywająco.

Ofelia wzrokiem szukała wsparcia w matce i córce, które dyplomatycznie nie odzywały się, ale można było odnieść wrażenie, że są gotowe w każdej chwili do mediacji. Gdyby, rzecz jasna, sytuacja zaczęła wymykać się spod kontroli.

– Naprawdę? Wy chyba tak nie uważacie?

– Moim zdaniem, ciocia ma sporo racji. W tym domu decyzje nie są podejmowane demokratycznie – ostrożnie zaczęła Miranda.

– Demokratycznie? Nie rozumiem... Mamy głosować, jakie kupimy pomidory? – ironizowała Fela.

– A właściwie czemu nie? – wtrąciła się Sylwia. – Choć nie do końca zgadzam się z ostrą diagnozą Helenki, to jednak rzeczywiście jesteś trochę zbyt autorytarna. Może czas dopuścić do głosu innych. I zacząć od głosowania choćby w tak drobnych kwestiach, jak pomidory.

– Ależ proszę was. Będziemy na to traciły mnóstwo czasu. Nie rozumiecie, że wam ułatwiam życie? Wyręczam was w wielu prozaicznych sprawach. Decyduję, bo tak jest łatwiej i szybciej. To nie ma na celu umniejszenia waszej rangi czy wartości.

– A może my nie chcemy, żeby było łatwiej? – mruknęła Helena. – Zawsze starasz się nas chronić przed konsekwencjami naszych wyborów. Po raz kolejny wypomniałaś mi niedojrzałe zachowanie. Być może masz w tym trochę racji, ale bez obrazy, Felu: czy sama się do tego nie przyczyniasz?

Ofelia milczała, pocierając dłonią czoło.

– Ja tylko chciałam, żeby było dobrze – wydusiła wreszcie.

– Wiemy, mamo, i doceniamy to – pospieszyła z zapewnieniem Miranda.

– Ale przecież nie musisz robić wszystkiego sama – zasugerowała Sylwia. – Dopuszcz do decyzji kogoś innego, może nie będzie tak źle?

– Wy mnie uważacie za jakiegoś potwora. – Ofelia przygryzła wargi.

Helena miała niejasne wrażenie, że siostra zawsze odwołuje się do tego argumentu, gdy zaczyna jej brakować innych. Już kiedyś była taka rozmowa, zakończona właśnie w podobny sposób.

– Staramy się ci uświadomić, że z jednej strony stawiasz nam wszystkim wysokie wymagania, a z drugiej nie pozwalasz nam ich spełniać, bo próbujesz w każdej sprawie decydować za nas – tłumaczyła siostrze spokojnym głosem. – Czasami czuję się, jakbym była twoją drugą córką, a nie siostrą, Felu, tak mnie strofujesz i pouczasz. Wychowujesz, choć już jakiś czas temu przekroczyłam trzydziestkę. A jednocześnie zarzucasz mi, że się nie usamodzielnam.

– Jeżeli chcesz powiedzieć, Heleno, że wszystkie twoje życiowe problemy

i niepowodzenia biorą się ze złej relacji ze mną, to ja nie zgadzam się na takie uproszczenie – zaperzyła się Ofelia. – Na pewno został opisany w psychologii kompleks dotyczący siostr, Antygony czy Balladyny, nawet nie chcę wiedzieć, ale tu nic takiego nie ma miejsca. Sama jesteś odpowiedzialna za swoje życie.

– Sęk w tym, że ty uważasz mnie za nieodpowiedzialną – westchnęła jej rozmówczyni.

– No, a czy trochę tak nie jest, Helenko? – wtrąciła się ostrożnie Sylwia. – Po prostu martwimy się o ciebie. Te wysoki...

– Jakie znowu wysoki? – zaperzyła się Werde, orientując się, że rozmowa niebezpiecznie skupia się na niej.

– Nie skończyłaś studiów, a wybrałaś emigrację rzekomo po to, by je dokończyć. Tyle że zamiast studiować wyjechałaś z tym facetem na wyprawę badawczą... – wyliczyła Ofelia.

– Przestań – próbowała jej przerwać właścicielka mydlarni, zawstydzona tą psychodramą.

– Nie przestanę. Mam prawo wyrzucić z siebie wszystko, co mi leży na sercu. Przecież podobno jesteś dumna ze swoich wyborów i nie masz sobie nic do zarzucenia. – Siostra prychnęła głośno.

– Rozumiem, że zamierzasz teraz ze mnie szydzić, bo się zakochałam, a związek mi się nie ułożył? Tak, nazwij mnie głupią, naiwną i niedojrzałą, bo postawiłam wszystko na jedną kartę i nie wyszło. Ale ja uważam, że dobrze zrobiłam – wybuchała Helena. – Pojechałam z tą ekspedycją i przekonałam się tam, na miejscu, że więcej nas dzieli niż łączy. Jak inaczej miałam to sprawdzić? Moim zdaniem to właśnie był sprawdzian dorosłości. I chyba lepiej, że dowiedziałam się w taki sposób, niż gdybym przeżyła rozczarowanie po latach.

– Odważna jesteś – przyznała cicho Ofelia. – Nie miałam pojęcia o twojej prawdziwej motywacji. Myślałam, że to jeden z wielu kaprysów, ulotny pomysł, zarzucony jak wiele innych.

– Naprawdę postrzegasz mnie jako aż takiego lekkoducha? – Nie mogła uwierzyć siostra. – Dlaczego?

– Bo nie robisz nic konkretnego – niechętnie wyjaśniła Fela. – Snujesz tysiące planów i żadnego nie doprowadzasz do końca. Co się z tobą stało, Helenko? Byłaś taką zdolną uczennicą, potem doskonałą studentką. Ale ciągle szukałaś w życiu czegoś innego, czegoś więcej. Nie rozumiem, czego ci brakowało?

– Wolności. Chciałam być wolna – oświadczyła bez namysłu zapytana, patrząc na siostrę z góry.

Ofelia zamarła, nie wiedząc, co odpowiedzieć na tę deklarację.

– Czy my cię ograniczyliśmy, córeczko? – dopytywała Sylwia.

– Jeżeli chcesz wiedzieć, to tak. Zawsze się dusiłam w tym domu. Pomiędzy tobą – matką, która właściwie nigdy wiele ode mnie nie wymagała, ale wszystkiemu oceniająco się przyglądała – a niezwykle surową i krytyczną siostrą. Chyba nigdy nie wiedziałam, którą z was mam zadowolić.

Ofelia i Sylwia wpatrzyły się w nią pytającym wzrokiem.

– Zadowolić? Przecież nie chodziło o zadowolenie kogokolwiek. Chciałam, żebyś po prostu wyszła na ludzi – szepnęła siostra.

– Ja natomiast zawsze pragnęłam dla ciebie szczęścia – zadeklarowała Sylwia.

Helena uśmiechnęła się krzywo.

– Z waszego punktu widzenia oba te życzenia się nie spełniły. Nie wyszłam na ludzi i nie jestem szczęśliwa wedle waszej miary.

– Teraz to ty oceniasz – przestrzegła ją Ofelia. – A miałyśmy tego nie robić.

Werde poczuła się zmęczona tą rozmową, która, jej zdaniem, zmierzała donikąd. Poczuła zniechęcenie.

– Teraz to i tak nieistotne – wyrwało jej się niespodziewanie.

Matka i siostra spojrzały na nią czujnie.

– Jak to „nieistotne”? – dociekała Ofelia. – Co się dzieje, Hela? Widzę, że od jakiegoś czasu chodzisz jak struta. Masz jakieś problemy?

– Tak, i znikasz często na całe godziny. Myślałam, że przesiadujesz w pracowni, ale kiedy się tam wybrałam, zastałam wszystko zamknięte na głucho – poskarżyła się Sylwia, wzbudzając zdumienie młodszej córki.

– A ja widziałam, co przeglądałaś w internecie – dodała milcząca do tej pory Miranda. – Myślę, że powinnaś w końcu nam powiedzieć...

– Helenko, na miłość boską, co się stało? – Sylwia dotknęła dłonią serca.

Młodsza córka skrzywiła się. No pięknie, właśnie czegoś takiego chciała za wszelką cenę uniknąć. Teraz matka się rozchoruje na serce, a Fela wyjedzie ze swoimi cudownymi kuracjami i nie pozostanie nic innego, jak tylko wrzeszczeć z bezsilności.

Ale stało się, wszystkie trzy wpatrywały się w nią z napięciem. Helena poruszyła się niespokojnie na krześle.

– No więc... – zaczęła i zanotowała, że Ofelia nie zwróciła jej uwagi, iż nieprawidłowo zaczyna zdanie. – Jakiś czas temu stwierdzono u mnie nowotwór w lewej piersi. Będę miała operację. Już niedługo. Potem czeka mnie pewnie naświetlanie i dalsza kuracja. Rokowania nie są złe, więc jestem dobrej myśli... – Przerwała, bo jej towarzyszki wyglądały tak, jakby wszystkie równocześnie miały zemdleć.

Pierwsza otrząsnęła się Ofelia.

– Od jak dawna o tym wiesz? Kto jest twoim lekarzem? Co możemy zrobić?

Helena popatrzyła na nią w osłupieniu. Z pewnością nie spodziewała się takiej reakcji siostry. Raczej wyrzutów, że nic im do tej pory nie powiedziała, i świetnych pomysłów na domowe leczenie. A Fela zareagowała zupełnie inaczej. Może więc myliła się co do swej siostry także w innych sprawach?

– Nie tak długo, ale trochę to już trwa. Kiedy wyczułam guzek przy myciu, od razu poszłam do lekarza, a potem dość szybko zrobili mi badania. Leczy mnie Balbina Plecha.

W tym momencie Sylwia ze świstem wypuściła wreszcie powietrze.

– Balbina Plecha. To doskonale. Jej ojciec jest świetnym lekarzem.

– Mamo, doktor Plecha jest pediatrą, i to emerytowanym – zgromiła ją Ofelia. – Ale swoją drogą nie miałam pojęcia, że Balbina została onkologiem. – To ostatnie słowo wymówiła z wyraźnym trudem. Ona też będzie się musiała do wielu spraw przyzwyczaić.

– Tak i to podobno renomowanym – uspokoiła ją Helena.

Sylwia pokiwała głową.

– Mów, co chcesz, Felu, ale to ważne mieć zaufanego lekarza. Hela i Balbinka tak się przyjaźniły w szkole, istne papużki nierozłączki... Wiadomość o twojej chorobie cały czas jest dla mnie porażająca, ale fakt, że to Inka cię leczy, od razu mnie uspokoił. Mirando, przynieś mi, proszę, krople z pokoju i szklanek wody.

Młodsza córka patrzyła na matkę z niepokojem. Z jednej strony cieszyła się, że ma to już za sobą. Od tyłu dni zastanawiała się, jak im to powiedzieć, w jaki sposób zrzucić tę bombę atomową, a poszło nadspodziewanie łatwo. Z drugiej martwiła się o matkę. Wiedziała, że Sylwia na pewno to odchoruje. Zawsze bardzo się przejmowała jej zdrowiem, a teraz na pewno się to tylko zwiłokrotni. Sylwia będzie się denerwować, dręczyć katastroficznymi myślami, które nie pozwolą jej spać. Helena poczuła wyrzuty sumienia.

Ofelia najwyraźniej doszła do podobnych wniosków.

– To na pewno dobry omen, że trafiłaś na bliską koleżankę – oceniła. – Musisz mi

pokazać wszystkie wyniki. Może warto będzie jeszcze na wszelki wypadek się z kimś skonsultować, znam różnych specjalistów. Zrobimy wszystko, żebyś wyszła z tego jak najszybciej. Ludzie nie z takimi problemami dają sobie radę, nie martw się, we wszystkim ci pomożemy.

– Wiem i jestem ci wdzięczna za wsparcie.

Siostra spojrzała na nią z takim wyrazem twarzy, jakby miała do niej żal, że w ogóle mogła pomyśleć inaczej, po czym zwróciła się do matki:

– A ty, mammo, musisz skupić się teraz na pozytywnym myśleniu: żadnego kreślenia czarnych scenariuszy czy zamartwiania się. Hela będzie zdrowa, koniec i kropka.

– Oczywiście, masz rację, córeczko – zapewniła pospiesznie Sylwia.

Helena popatrzyła na siostrę z lekkim podziwem. Ofelia jak nikt sprawdzała się w sytuacjach kryzysowych, potrafiła doskonale sterować okrętem podczas burzy. To na spokojnych wodach nie dawała sobie rady, robiła się wówczas nerwowa i zbyt usilnie pragnęła wszystko kontrolować.

Ona po prostu potrzebuje wyzwań – uświadomiła sobie Werde. – Najwyraźniej praca, którą wykonuje, nie zapewnia jej ujścia dla przywódczych umiejętności i musi wyżywać się w domu.

Pomyślała jednak o siostrze ciepło. To nie była zła osoba. Po prostu zagubiona.

Jak my wszyscy – odpowiedziała sobie w myślach i zaskoczyło ją to.



Zuzanna kilkakrotnie zastanawiała się, jak rozpocząć rozmowę z matką. W końcu doszła do wniosku, że najlepszym rozwiązaniem będzie poinformowanie jej o nowej atrakcyjnej posadzie. Miała nadzieję, że rodzicielka zorientuje się, o co chodzi.

Wybrała jednak złą metodę, bo Łucja wcale się nie domyśliła.

Po serii zachwyków, że córka wreszcie weszła na właściwą ścieżkę i być może otwiera się przed nią szansa na odbudowanie kariery, matka przeszła do innych spraw.

– Mamo, ja potrzebuję twojej pomocy – zrezygnowanym głosem powiedziała Zuza.

Właściwie nie liczyła na to, że Łucja pozytywnie podejdzie do jej pomysłu. Jak w ogóle kiedykolwiek mogła myśleć, że zgodzi się na przeprowadzkę? To były mrzonki. Matka miała w Gdańsku ustabilizowane życie... Zresztą nigdy nie wykazywała zbytnej troski o dzieci. W tym momencie pomysł, że Łucja chciałaby rzucić wszystko, by zająć się bliźniętami córki, wydał się Zuzannie po prostu absurdalny. Niemniej jednak musiała spróbować.

– A w czym ja ci mogę pomóc? – Matka nadal nie rozumiała. – Wszystko sama załatwiłaś, jestem z ciebie bardzo dumna. Otrzymałaś tę pracę dzięki swoim zdolnościom, a nie żadnej protekcji, i to też powinnaś docenić. Zresztą ja nigdy nie wątpiłam w twój talent i możliwości.

– Chodzi mi o dzieci. Ta praca wiąże się z wyjazdami na koncerty, kilkudniową nieobecnością. Nie będę miała z kim zostawić Jasia i Basi.

– Oooo... – Matka wydała przez telefon dziwny dźwięk, jakby śpiewną frazę. – Chcesz mi je przywozić do Gdańska, kiedy będzie wyjeżdżasz? Czy to w ogóle wykonalne? Poza tym ja mam przecież swoje zajęcia.

– Nie. Myślałam, że może zechcesz przeprowadzić się do Krakowa. Przyjechać tu do nas – powiedziała Zuzanna cichym głosem. Zupełnie nie miała już nadziei, że matka zareaguje

pozytywnie.

– No, ty chyba żartujesz. Mam zrezygnować ze wszystkiego, co tutaj zbudowałam, żeby zająć się twoimi dziećmi? Co ty sobie w ogóle wyobrażasz? Moja droga, jeżeli chce się mieć dzieci, to się bierze odpowiedzialność za swoje wybory. Ja nie obarczałam nikogo opieką nad tobą tylko dlatego, że miałam kaprys cię urodzić. To naprawdę nedorzeczny pomysł i zupełnie nie pojmuję, jak coś podobnego mogło ci przyjść do głowy.

– Rozumiem, mam. Do widzenia. – Zuza była zrezygnowana.

– Jeszcze się może obrazisz? Z tego powodu, że nie chciałam wszystkiego poświęcić dla ciebie? To chyba raczej ja powinnam się poczuć urażona tą egoistyczną propozycją.

– W takim razie się obrażaj. – Córka miała dość. – A jeśli mowa o poświęcaniu się, to dla mnie nie zrobiłaś zbyt wiele. – Słowa popłynęły z niej same. – Zawsze liczyła się przede wszystkim twoja kariera. O ile pamiętam, zostawiłaś mnie z ojcem, żeby wyjechać za granicę. Nigdy specjalnie o mnie nie dbałaś. Gdy ci przeszkadzałam, po prostu pozbywałaś się mnie jak przedmiotu. Teraz miałabyś szansę zrobić wreszcie coś dobrego, ale oczywiście rozumiem, że nie chcesz. Bardzo mi z tego powodu przykro.

Rozłączyła rozmowę, zanim matka zdołała zareagować.

Była zdana sama na siebie. Jak zwykle zresztą. Jeżeli szybko czegoś nie wymyśli, nie będzie mogła przyjąć tej oferty. Nie może przecież zabierać ze sobą bliźniąt. Kto się nimi zajmie, gdy będzie musiała wyjechać? Na razie, gdy zespół dopiero się tworzył, wyjazdy na pewno nie będą konieczne, ale później? Zuzanna doskonale знаła specyfikę takiej pracy i już teraz musiała mieć jakiś plan.

Helena i Miranda? Owszem, mogłaby je poprosić od czasu do czasu i na pewno by nie odmówiły. Ale jeżeli będzie chodziło na przykład o tygodniowy wyjazd? Lorenc doskonale wiedziała, że to za duże obciążenie. Nie mogła aż tyle wymagać od sąsiadek.

Jeszcze miała nadzieję, że matka się zreflektuje i oddzwoni z propozycją, że jednak przyjedzie. Ale nie. Łucja najwyraźniej obraziła się na dobre.

No i zostawała jeszcze sprawa szkoły Soni Piskorz. To także nie dawało Zuzannie spokoju. Sonia okazała jej serce, pomogła w najtrudniejszym momencie. Ma teraz, w środku roku szkolnego, zrezygnować? Narazi pracodawczynię na straty, bo niełatwo jest znaleźć nowego nauczyciela z dnia na dzień.

Chyba jednak nie powinnam się godzić na to Centrum Koncertowe – stwierdziła w myślach.

Ale potem poczuła bunt. Właściwie dlaczego? Oczywiście, okoliczności wydają się być przeciwko niej, nic się nie układa, jest skrzepowana zobowiązaniami względem wielu osób, ale czy to wystarczający powód, by rezygnować z marzeń? Łucja często powtarzała, że okazja, której się nie złapie, już nigdy nie powraca i zawsze stanowi później wyrzut sumienia. Zuzanna była pewna, że tym razem tak właśnie się stanie. Usiadła przy kuchennym oknie z kubkiem gorącej herbaty i spojrzała na podwórko. Była sobota, a panowało tam dziwne ożywienie. Zdała sobie sprawę, że wszyscy sąsiedzi zabrali się do prac przy sadzonkach.

Poczuła wstyd. Zajęta swoimi kłopotami zupełnie zapomniała, że także miała się włączyć w tę inicjatywę. Szybko podała dzieciom śniadanie, a potem ubrała je i powoli zeszli na dół. W ogródku byli już wszyscy, a nawet kręciły się tam jakieś nieznane osoby.

– Wolontariusze z biblioteki – wyjaśniła Miranda, wywijając wielkimi grabiami. – Obiecałam, że zaliczę im za to jedną praktykę.

– Bardzo wszechstronne towarzystwo – pochwaliła Zuzanna, pilnując, aby Jaś i Basia nie uszkodzili sadzonek, ponieważ bardzo podobały im się młode rośliny.

– Co mogę robić? – zapytała, gdy Marta Olesińska, w ogrodniczym kombinezonie,

spojrzała na nią krytycznie.

– Pracowała pani już kiedyś w ogrodzie?

– Tak, mój ojczym miał sporą działkę, umiem zakładać skalniaki.

– Znakomicie się składa. Mój mąż pojechał właśnie po kamienie. Zrobimy ogródek skalny pod tamtą ścianą. Mur jest tam brzydki, ziemia słaba, przyda się taki mocniejszy akcent.

Zuzanna skinęła głową i przeszła we wskazane miejsce, ciągnąc za sobą dzieci. Nieopodal Helena w jakimś roboczym drelichu i wielkich rękawicach z pasją wkopywała w ziemię jakiś duży krzew.

– Co to jest? – zainteresowała się Zuza.

Sąsiadka wzruszyła ramionami.

– Nie mam pojęcia. Marta mi to dała. Ona ma cały szkic sytuacyjny. Ponoć wszystko wedle zasad feng-shui, czy jeszcze jakichś innych... Pogoniła Nowackiego tak, że dał nawet pieniądze na ławkę i – uważaj! – fontannę.

– Fontannę? To już chyba lekka przesada. – Pokręciła głową pianistka.

– Wcale nie. Jest tu taka ogrodowa rzeźba. Chłopiec z delfinem zdaje się. Wymyśliła, że będzie z tego podstawa sadzawki. Zobaczymy, jak się to wszystko uda. Na razie wprowadziła tu system niewolniczy. Jesteśmy darmową siłą roboczą, a ona może się twórczo wyżywać.

Helena w końcu wsadziła krzew i fachowo obsypała go ziemią. Podniosła się i otarła pot z czoła, robiąc sobie brudną rękawicą malowniczą smugę.

– Nie bardzo mogę sobie to wszystko wyobrazić – przyznała Zuza. – Ale wierzę, że Olesińska wie, co robi. – Rozejrzała się. Na razie, wedle tego, co mogła ocenić, wszystkie nasadzenia były robione z głową i bardzo pomysłowo. Marta starała się wykorzystać naturalne elementy ogródka, jak fragmenty muru, załomy ścian, parkan i drewniane pieńki. Była więc linia nowych ozdobnych krzewów, klomby z kwiatami, kilka starannie rozplanowanych drzew oraz mnóstwo pnączy, które dopiero za kilka lat miały pokazać pełnię swoich możliwości.

– Obsadziła też czymś pachnącym taras na parterze. – Helena wskazała kierunek gestem. – Jak to wszystko rozkwitnie, myślę, że będzie tu po prostu bajecznie.

– Oczywiście, że tak. – Marta usłyszała, że o niej mowa, i zbliżyła się do sąsiadek. – Wszystko zaplanowałam w ten sposób, żeby przez cały rok w ogrodzie coś kwitło i pachniało. Od wczesnej wiosny aż do późnej jesieni. Docenimy to w pełni za kilka lat, ale efekt na pewno będzie dobry.

– Dobrze, że pan Nowacki zapewnił tak różnorodne rośliny – pochwaliła Zuzanna.

Marta wydeła wargi.

– Rośliny, które on przywiózł, były od Sasa do lasa. Na szczęście udało mi się część wymienić, a inne po prostu dokupiłam. Gdy się zakłada ogród, nie można iść na kompromisy, wszystko musi być perfekcyjnie dobrane, bo straci się cały efekt.

Helena i Zuzanna pierwszy raz widziały, żeby Olesińska się w coś pozytywnie zaangażowała. Zwykle wszystko tylko krytykowała. Teraz było jednak inaczej. Porwała ją kreacja od początku i to czegoś, na co miała pełny wpływ. Nikt tutaj z nią dyskutował, raczej potulnie wykonywano polecenia. Mogła więc bez przeszkód rozwijać swoją wizję.

Perfekcjonistka – przemknęło Helenie przez myśl. – Lubi sprawować nad wszystkim kontrolę, dlatego jest taka wymagająca. Widać, że tworzenie sprawia jej radość, a jednocześnie brakuje jej odrobiny luzu i szaleństwa, bez których sztuka staje się po prostu rzemiosłem.

Marta przyglądała się tymczasem Jasiowi i Basi, którzy wesoło bawili się w kupce piasku przywiezionego zapewne jako materiał na spoiwo do skalnego ogródka. W jej wzroku Zuzanna dostrzegła coś dziwnego. Zauważyła to już wcześniej, tylko nie miała czasu analizować. Tęsknota? Ból?

Czemu oni nie mają własnych dzieci? – zastanowiła się. – Są przecież jeszcze młodzi. No, w każdym razie nie są starzy. Mają ładne mieszkanie, pracę... Kiedyś wydawało jej się, że może Marta nie lubi dzieci. Niecierpliwiło ją zachowanie Jasia i Basi, ich śmiechy, tupanie na schodach. Potem zaczęła myśleć, że w zachowaniu Olesińskiej czai się jakaś desperacja. Nie chodzi o to, że ona nie akceptuje dzieci, a o to, że sama obecność dziecka sprawia jej przykrość.

Nie może mieć własnych? Tak, to mógł być ten problem. Być może mąż się nie zgadzał. Niby Olesiński wydawał się taki potulny i oddany żonie, ale nie wiadomo było, jakie naprawdę panują między nimi relacje.

– Przyniosłam gorącą herbatę. – Rozległ się nagle przytłumiony głos.

Wszyscy odwrócili głowy. W drzwiach domu stała Klara Pieniążkiewicz z metalową tacą, na której pięturyły się filiżanki i solidny porcelanowy dzbanek. Miranda od razu pospieszyła uwolnić starszą panią od tego ciężaru.

– Tylko gdzie usiądziemy? – zmartwiła się Zuzanna.

Helena zrobiła uspokajający ruch ręką.

– Ławki Nowackiego. Są schowane w komórce pod schodami. Można je śmiało wyciągnąć i ustawić pod ścianą. Nie są wcale takie ciężkie, poza tym mamy przecież wolontariuszy do pomocy.

Po chwili zamieszania dwie solidne ławki ustawiono pod ścianą domu. Miło było usiąść wygodnie i napić się herbaty. Klara rozdawała konfitury na spodeczkach.

– Tak ciężko pracujecie – usprawiedliwiła się. – A ja tylko to znalazłam w kuchni.

– Przecież ja mam ciasto! – przypomniała sobie Lorenc i, powierzywszy pieczę na bliźniętami Helenie, biegiem ruszyła na górę. Za chwilę wszyscy mogli się już raczyć najnowszym wypiekiem Zuzanny.

– Gdy Hela otworzy już swój sklep z mydłem, to może powinna w nim sprzedawać i twoje ciasta, będzie przyjemne z pożytecznym – stwierdziła Miranda, nakładając sobie kolejny kawałek.

Marta Olesińska, która nadal przyglądała się dzieciom bawiącym się na stercie piasku, otrzepała dłonie i podeszła bliżej.

– No właśnie, ta mydlarnia... – rzuciła z pewnym ociąganiem. – Pani dalej ma zamiar otworzyć tutaj swój sklep?

– Tak. – Helena skinęła głową. – Zwłaszcza że prawnik właściciela kamienicy wyraził się w tej sprawie jasno: przeznaczenie lokalu ma być zbieżne z jego dawną funkcją, czyli pralnią.

– No właśnie. Ja też w tej sprawie. Początkowo zamierzałam otworzyć tam butik ze starannie wybranymi rzeczami młodych projektantów, ale teraz myślę o czymś bardziej akceptowalnym przez naszego spadkobiercę.

– Czyli o czym? Może o maglu? – prychnęła Werde, ale widać było, że jest zdenerwowana, bo talerzyk z ciastem zadrżał w jej dłoni.

– Salon piękności, studio kosmetyczne. To zresztą moja branża. – Wydęła wargi Marta. – Od początku powinnam iść w tym kierunku.

– No ale decyzja została już chyba podjęta? Tam ma być sklep z mydłem – zaproponowała Zuzanna.

Marta pokręciła głową.

– Otóż wcale nie. Dzwoniłam wczoraj do notariusza Zawilskiego, żeby mu o tym powiedzieć. Złożyłam też swój projekt na piśmie i liczę na to, że właściciel się wypowie. Niech zdecyduje, który pomysł lepiej odpowiada pierwotnej funkcji lokalu.

– To chyba oczywiste, że do pralni bardziej pasuje mydlarnia – zirytowała się Helena.

– Pralnia to czystość, uroda, pielęgnacja. Te wszystkie role spełnia studio kosmetyczne.

Zresztą zaproponowałam niezwykle korzystne warunki. Mogę zapłacić odstępnę, a pani zapewne nie.

Helena przygryzła wargi. Do tej pory nie było mowy o żadnym czynszu, a jedynie o ponoszeniu kosztów użytkowania lokalu. Jeżeli spadkobierca połknie ten haczyk, może naprawdę stracić sklep.

– To nieuczciwe – powiedziała więc tylko.

– Nieuczciwe byłoby wówczas, gdybym sprawę załatwiła po cichu, za pani plecami, a ja informuję o swoich zamiarach jawnie, w obecności większości lokatorów budynku. Każdy może sobie wyrobić zdanie. To jest w mojej opinii ze wszech miar uczciwe postępowanie.

– Salon piękności? – włączyła się Klara Pieniążkiewicz. – W naszym domu?

– Tak, zamiast pracowni mydlarskiej Heleny – wyjaśniła jej Miranda.

– Ale dlaczego zamiast? Byłoby cudownie, gdyby mogły panie działać razem! Pani Marta robiłaby wspaniałe zabiegi kosmetyczne, a pani Helena sprzedawała swoje bajeczne mydła. Jedno z drugim się przecież nie wyklucza.

Wszyscy spojrzeli na Klarę z rozbawieniem. Święta naiwności. Jak tak niepasujące do siebie osoby mogłyby cokolwiek razem zdziałać? Zresztą nawet gdyby, lokal nie pomieściłby dwóch profili działalności.

– Ciekawe, co na to Nowacki – mruknęła tymczasem Miranda. – Jak się o tym dowie, wymyśli na pewno restaurację „Praczką z Dębniak”, w której będą podawać zupy mleczne i inne dania przypominające mydliny.

– Albo pralnię brudnych pieniędzy – dodała Zuzanna szeptem, tak żeby poza Mirandą nikt jej nie usłyszał.

Helena miała jednak bardzo zmartwioną minę. Odłożyła talerzyk po cieście i zabrała się za kolejny krzew. Widać było, że chce skończyć pracę, do której się zobowiązała, ale kompletnie straciła do niej zapał.

– W taki sposób pani Olesińska zepsuła nam bardzo miły dzień – podsumowała Miranda.

Marta spojrzała na nią z urazą.

– Nie rozumiem, dlaczego. Bo poinformowałam szczerze o swoich planach? Śmieszne pretensje. Uważam, że wszyscy chętni powinni mieć jednakowe szanse, aby starać się o ten lokal.

– Swoje chce pani chyba jednak trochę zwiększyć, skoro proponuje pani odstępnę właścicielowi – przypomniała Zuza.

– Widzę, że pani także trzyma stronę Heleny, zresztą mnie to nie dziwi – wyniośle zauważyła Olesińska. – Prosiłabym jednak o trochę więcej obiektywizmu.

– Jestem obiektywna i nie rozumiem, dlaczego nie może pani odpuścić. Przecież przez tyle lat nikt się tym miejscem nie interesował, nie wydawało się to nikomu warte zachodu. Dopiero teraz, gdy Helena i Miranda doprowadziły je do stanu używalności, zaczyna się walka.

– Nikt nie prosił o robienie tam porządków. Obie panie działały z własnej woli i to nie może się teraz stawać elementem szantażu. Lokal jest atrakcyjny i ja nie zamierzam odpuszczać – jak uroczo to pani ujęła – ot tak. Chcę jasnej deklaracji właściciela, jaka branża go najbardziej interesuje.

– I podda się pani jego decyzji? – zainteresowała się Miranda.

Marta skinęła głową.

– Oczywiście. Mam nadzieję, że i wy tak zrobicie, jeśli werdykt nie będzie po waszej myśli.

– To nie w porządku – odezwała się Klara Pieniążkiewicz. – Może pani Zuzanna albo pan Jacek także chcą jakoś zagospodarować dawną pralnię? Im w ogóle nie daje się szansy...

– Ja nie mam żadnych planów tego rodzaju – pospieszyła z zapewnieniem Lorenc. –

A pan Nowacki chyba był zainteresowany otwarciem restauracji, na którą większość mieszkańców nie wyraziła zgody.

– Mógł zmienić koncepcję, tak jak pani Marta. Wypadałoby go zapytać – upierała się Klara.

– Moim zdaniem, skoro sprawy idą w tym kierunku, wszyscy powinni się zadeklarować i zgłosić swoje pomysły – zrezygnowanym głosem stwierdziła Helena, która z łopata w dłoni przysłuchiwała się rozmowie. – To naprawdę byłoby nieuczciwe, gdyby właśnie teraz ktoś został wykluczony.

Miranda popatrzyła na ciotkę z uwagą, ale skinęła głową. Tak, to było zachowanie fair. Marta została zresztą schwytała we własne sidła, bo wyraźnie jej się to nie podobało.

– Dobrze – zgodziła się z pewnym ociąganiem.

Helena odwróciła się na pięcie i zabrała za dalsze wkopywanie w ziemię krzewów. Miranda wraz z wolontariuszami, którzy z lekkim zdudzeniem śledzili całą scysję, zajęła się kwiatowymi rabatkami. Zuzanna z Klarą i Martą zostały same na ławce.

– Powiem szczerze, że nie podoba mi się takie załatwienie sprawy – zwróciła się do Olesińskiej Lorenc.

– Nie rozumiem.

– Mogłaby pani wykazać się szlachetnością i zostawić Helenie ten lokal. Przecież pomysł z gabinetem kosmetycznym wymyśliła pani tylko po to, żeby choć trochę dopasować się do oczekiwań właściciela budynku. To nie jest żadna pani pasja ani realizacja marzenia.

– A skąd pani to może wiedzieć? Od dawna myślę o własnym biznesie i właśnie nadarza się znakomita okazja, żeby go otworzyć blisko domu.

– Pralnia panią skusiła, bo lokal jest śmiesznie tani. Gdzie indziej musiałaby pani słono płacić. To jedyny powód.

– A nawet gdyby, to co? Trafia się okazja, a ja mam ją oddawać komuś innemu i sama nie skorzystać? W imię czego?

– Może zwykłej przyzwoitości – cicho powiedziała Zuza.

Marta wybuchła śmiechem.

– Proszę, co za wielkie słowa. Wyciąga pani takie armaty tylko po to, by pani Werde miała swój wymarzony sklepik?

– A czy to mało? Istnieje coś takiego jak solidarność między ludźmi. Helena potrzebuje tego lokalu i tego sklepu, marzy o nim od dłuższego czasu. Pani może otworzyć swoje studio gdzie indziej, przecież stać panią na opłacenie czynszu. Nie jestem zresztą pewna, czy ten pomysł nie powstał ad hoc, żeby po prostu zdobyć to pomieszczenie...

– To już są oszczerstwa – przerwała jej Marta.

– Dobrze, może faktycznie się zagalopowałam. Wyrażę to inaczej. Moim zdaniem to, co pani robi, zaprzecza idei naszego darczyńcy... – Marta patrzyła na nią z osłupieniem, ale Lorenc nie dała się zbić z tropu. – Tak. Odnoszę wrażenie, że jego celem jest, abyśmy wszyscy się lepiej poznali i zjednoczyli. Bo ja wiem – może po prostu porozumieli? Miałam nadzieję, że praca przy urządzeniu ogródka będzie pierwszym krokiem w dobrą stronę. A pani to wszystko niweczy swoim egoizmem.

– To prawda, jest w tym coś małodusznego – odezwała się milcząca do tej pory Klara.

Olesińska zamierzała ostro i nieprzyjemnie zripostować, ale nie zdążyła, bo w tym momencie w ogrodzie pojawił się jej mąż.

– Gdzie to będziemy wyładowywać? – zapytał, wskazując na przyczepkę z kamieniami i nie zdając sobie sprawy ze sceny, jaka się tu przed chwilą rozegrała.

– Tam, pod murem, obok drzew. – Wskazała Marta, wstając z ławki. – Pani się chyba

deklarowała do pomocy? – spytała Zuzannę zimno, a ona skinęła głową.

Klara została na ławce i przyglądała się pracom coraz bardziej zatroskanym wzrokiem.

Skończyli późnym popołudniem. Lorenc zdążyła w międzyczasie dać dzieciom obiad, a nawet przygotować im krótką drzemkę w wózku.

Wracali do domu we trzy, z Mirandą i Heleną, w dosyć podłych nastrojach, choć ogród prezentował się wspaniale. Marta z pomocą męża kończyła właśnie obsiewać trawniki wysokogatunkową mieszkanką różnych traw i polnych kwiatów.

– Masz jeszcze trochę tego ciasta? – spytała Miranda Zuzę. – Nie chcę się wpraszać, ale jestem skonana. Dobrze by mi zrobiła taka bomba kaloryczna.

– Jasne. Mam też inne ciasto, równie dobre. Zapraszam was na kawę.

– Chętnie – stwierdziła Helena. – Nie bardzo chce mi się wracać do domu.

Na poddaszu najpierw zajęły się dziećmi, a potem same umyły ręce i usiadły do stołu. Miranda zresztą od razu usadowiła się w pobliżu Jasia i Basi, żeby bawić się z nimi klockami.

– Załamał mnie ten pomysł Olesińskiej – rzuciła, gdy tylko gospodyni przyniosła ciasto i talerze.

– A mnie wcale. Przeczuwałam, że ona nie da mi spokoju. Robi to na przekór. – Wzruszyła ramionami ciotka. – Trudno, nic na to nie poradzę, niech się dzieje wola nieba, z nią się zawsze zgadzać trzeba, jak było w jednej sztuce teatralnej.

– Chcesz się poddać bez walki? – Nie pojmowała Miranda.

– Nie bez walki. Postanowiłam się nie szarpać, tylko poczekać, co przyniesie los. Jaki mam na to wpływ? Olesińska sama nie zrezygnuje, to pewne, a ja nie mam argumentów, którymi mogłabym ją przekonać. Co mi pozostaje? Uzbroidź się w cierpliwość i liczyć na to, że los się do mnie uśmiechnie.

– Nie poznaję cię – mruknęła Miranda. – Zawsze walczyłaś z takimi typami jak ona.

– Teraz mam inne problemy na głowie – zgasiła ją.

Siostrzenica natychmiast zamilkła.

– Rozumiem. Ja też mam poważny problem – wyznała Zuzanna.

– Jaki? – Obie się zainteresowały.

Opowiedziała im o wygranym konkursie, propozycji angażu i swoich obawach związanych z pracą.

– A ile ma być tych wyjazdów? Rozmawiałaś z nimi konkretnie o szczegółach? – dopytywała Helena i Zuzanna musiała przyznać, że niewiele wie. – No właśnie. Może w ogóle ich nie będzie! Myślę, że musisz dokładnie się dowiedzieć, zanim zaczniesz się spodziewać najgorszego. No i na pewno nie rezygnować. To dla ciebie wielka szansa.

– Tylko jak ja sobie poradzę? Nie chcę wyjść na niepoważną, która bierze na siebie zadania, a potem nie może się wywiązać. Nie będę też mogła zrezygnować po kilku miesiącach czy tygodniach. No i pozostaje jeszcze sprawa szkoły Soni Piskorz – jej także nie chcę zawieść.

– Zuzia, nie możesz żyć skrępowana cudzymi oczekiwaniami. – Helena pokręciła głową z dezaprobatą. – Dla Soni to normalna sytuacja, nauczyciele przychodzą i odchodzą. Takie są realia prowadzenia biznesu i ona musi być na to przygotowana. Przecież gdyby liczba uczniów spadała, musiałyby cię zwolnić, nie mogłaby ci płacić za nic. Pomyśl o tym w ten sposób.

Lorenc kiwnęła głową.

– Jasiem i Basią my się możemy zająć – zaofiarowała się Miranda. – O ile masz do nas zaufanie. Nawet jeśli wyjedziesz na kilka dni. Mogę tu z nimi nocować, to nie problem.

– Ja także pomogę w miarę możliwości i mama zapewne również. Myślę, że nie powinnaś się obawiać – dodała Helena.

– No właśnie. Zresztą w ciągu dnia dzieci będą przecież w żłobku. – Jej siostrzenica

zmarszczyła brwi.

Zuzanna zaplotła ręce.

– Nie chcę was narażać na kłopot. Opieka nad cudzymi dziećmi to spora odpowiedzialność.

– Słuchaj, może z czasem lepiej sobie to ułożysz. Bo ja wiem, będziesz mogła ich brać ze sobą? Jako wielka gwiazda możesz mieć swoje wymagania, prawda? – Zaśmiała się Helena. – A teraz po prostu skorzystaj z naszej propozycji. Jeżeli Olesińska zrealizuje swój plan, to nie będę się miała czym zająć przez cały dzień i będę do dyspozycji bez ograniczeń. O ile wszystko pójdzie dobrze...

– Co masz na myśli? – Nie rozumiała Zuza.

Chciała dokładniej o to wypytać, ale Helena tylko machnęła ręką.

– Tak mi się powiedziało, nie zwracaj na to uwagi. W każdym razie – na nas zawsze możesz liczyć.

– Zupełnie śmiało – dodała Miranda. – Pomyślcie tylko, jak ten ogródek Olesińskiej zacznie kwitnąć, kiedy trawa się przyjmie i te wszystkie pnącza się zazielenią, będzie pięknie.

– To prawda. To chyba jedyna rzecz, która się Marcie udała – sarkastycznie stwierdziła ciotka.

– Dziwna osoba – westchnęła Lorenc.

– Dosyć, niestety, typowa. Mnóstwo ludzi widzi tylko koniec własnego nosa – oceniła Miranda. – Czytałam ostatnio w gazecie, że planują zamknąć taki stary antykwariat przy Rynku Głównym, do którego chodziłam z mamą. Kupowała mi tam używane książki dla dzieci z ilustracjami. Powód? Podwyżka czynszu jest tak drastyczna, że sklep z książkami nie jest się w stanie utrzymać. Pewnie powstanie tam bank lub jakiś sieciowy butik. Gdy właściciel antykwariatu zdradził dziennikarzowi, jakiej wysokości są tam czynsze, nie mogłam uwierzyć. Napomknęłam kierownicze biblioteki, że to nieludzkie domagać się tak wysokich sum za kilkunastometrowy lokal. Usłyszałam w odpowiedzi: „Gdyby był twój, też byś brała takie czynsze bez mrugnięcia okiem”. Otóż nie. Ja nie jestem chciwa i nie mieści mi się w głowie coś takiego. Można przecież zarobić trochę mniej, a nie niszczyć pożytecznej instytucji kultury, jaką jest antykwariat. I to są naprawdę dobre zarobki, idące w tysiące złotych miesięcznie, nie jakieś nędzne stawki.

Jej rozmówczynie skinęły głowami.

– Problem polega na tym, że mało kto myśli w kategoriach solidarności społecznej, a każdy szuka tylko swojego zysku – stwierdziła Zuzanna. – Próbowałam to uświadomić Olesińskiej, ale chyba mi się nie udało.

– Ludzie nie rozumieją, że to krótkowzroczna polityka. Dzisiaj ty pomożesz mnie, jutro ja tobie. Zasada wzajemności – dodała Helena.

– Nawet na wyrachowanych to powinno działać, a jednak tak nie jest. – Miranda zapatrzyła się gdzieś w dal.

– Może za bardzo kojarzy się z socjalizmem? – dumiała ciotka. – Ja jednak wierzę w wspólnotę. Pomimo wszystko.



Helena wpadła do Szarotki do biura rady, żeby mu podziękować za pomoc przy rewitalizacji ogródka, ale go nie zastała.

– Brat go odwiedził, pan doktor jest w domu – poinformowała ją sekretarka.

Werde wyciągnęła komórkę.

– Bartek przyjechał z Kanady na urlop. – Usłyszała radosny głos Mikołaja. – Fajnie by było, gdybyś mogła wpaść. Ucieszy się na twój widok.

Helena nie bardzo miała ochotę na wizytę w dawnym domu Balbiny, ale głupio jej było odmówić. Ruszyła ulicą Skwerową, przy której mieściła się jej podstawówka, w stronę wiślanych bulwarów. Tam przy jednej z bocznych uliczek, z pięknym widokiem na rzekę stała dawna willa Plechów.

Jak zwykle zachwycała się cudowną architekturą mijanych domów. W przeważającej większości były to stare przedwojenne wille, niska zabudowa, starannie wkomponowana w spore ogrody. Były w lepszym lub gorszym stanie, w zależności od zamożności właścicieli, ale wszystkie wyglądały imponująco. Jak choćby budynek na rogu Skwerowej i Praskiej. Helena przechodziła koło niego często jako uczennica, podziwiała go też ze szkolnego ogródka. Biały, z upływem lat niestety o poszarzałej elewacji, łączył w sobie elegancję miejskiego dworku z rezydencją na wsi. Prócz kolumnienek przy wejściu i obszernego tarasu uwagę przechodniów zwracały okna – ogromne przeszklone tafle zapewniające znakomite oświetlenie.

Willa Plechów na Ogrodowej była zbudowana w podobnym wiejsko-miejskim stylu, tyle tylko że elewacja była ciemna z dominacją naturalnego kamienia. Głównym tematem architektonicznym, wręcz przewodnim motywem, był balkon lub taras. Przed laty śmiały się z Balbiną, że projektant najwyraźniej chciał powiększyć w ten sposób przestrzeń, bo balkon pojawiał się nawet w kuchni. Trudno się jednak było dziwić; dom został tak usytuowany, że

zwłaszcza z górnego pietra rozciągał się oszałamiający widok na Wisłę, klasztor Sióstr Norbertanek i nieodległy Kopiec Kościuszki. Helena chcąc nie chcąc przypomniała sobie te wszystkie niezliczone popołudnia spędzone w domu i ogrodzie Inki.

Na parterze ojciec miał gabinet, gdzie wieczorami przyjmował pacjentów, zatem do tej części domu wstęp był wzbroniony, jak również do niewielkiego ogródka, który wydzielono dla dzieci. Poza tym mogły wchodzić wszędzie. Helena szczególnie lubiła starą część ogrodu z wielkimi rozłożystymi drzewami, na które dosyć łatwo było się wspiąć i ukryć w koronie. Ciekawiło ją, czy nowi właściciele zachowali ten drzewostan, bo doktor Plecha wciąż narzekał, że drzewa trzeba wyciąć – są zbyt wielkie, zasłaniają światło, a nie ma z nich wiele pożytku. Jako że drzew było dziewięć, nazywano je „dziewięcioma muzami” i Balbina z Heleną uczyniły nawet kiedyś wysiłek, by nauczyć się ich greckich imion: Kaliope, Klio, Erato, Euterpe, Melpomena, Polihymnia, Talia, Terpsychora i Urania. Kiedy zbliżyła się do ogrodzenia, zauważyła, że większości drzew już nie ma, w ich miejsce rosną inne, znacznie mniejsze rośliny. Ostała się już właściwie tylko monumentalna Urania.

Bardzo à propos – pomyślała z humorem Helena i zadzwoniła do furtki.

Chwilę nic się nie działo, więc pomyślała, że może wszyscy wyszli. Potem jednak w jednym z okien ukazała się głowa Bartka, brata Mikołaja.

Helena słabo go pamiętała z powodu różnicy wieku. Kiedy ona chodziła do szkoły, Bartek był już poważnym mężczyzną, który rzadko gadał z dziećmi. Nie sądziła więc, że ją rozpozna. Obawiała się, że weźmie ją raczej za jakiegoś domokrażcę czy zbłąkanego przechodnia.

– Helena? – zapytał Bartek, mrużąc oczy, gdyż był krótkowidzem. – Wybacz, zdrzemnąłem się trochę.

– Przepraszam za najście. Szukam Mikołaja.

– Jest gdzieś w ogrodzie z moimi dziećmi chyba. – Bartek przetarł oczy, podchodząc do furtki. – Nic się nie zmieniłaś, Lena.

– Odpowiem słowami z jakiegoś żartu: „To ja zawsze byłem taka stara?”. – Uśmiechnęła się, a on wpuścił ją do środka.

– Będziesz musiała obejść dom. Parter nadal zajmuje doktor Plecha z żoną. Ale ty chyba dobrze znasz ten dom i ogród, przychodziłaś tu do Balbiny, prawda?

– Tak, tylko wtedy wszystko wyglądało inaczej. Tynk sypał się na głowę. Niektóre balkony zabezpieczono taką specjalną siatką. Ten budynek był chyba w strasznym stanie?

– Nawet mi nie mów. Utopiłem w nim masę pieniędzy. Mieszkam za granicą, podobnie jak Plecha jestem lekarzem, mam nawet własną klinikę, ale i tak koszty renowacji przeszły moje najśmielsze oczekiwania.

– Mikołaj wspominał mi, że bardzo chciałeś mieć ten dom – zauważyła.

Popatrzył na nią nieodgadnionym wzrokiem.

– Tak mówił? To raczej jemu zależało na tej ruderze. Nie powiem, willa jest pięknie usytuowana, jeżeli chodzi o lokalizację, nie można znaleźć lepszej, ale ten remont... Kosztował mnie kilka lat życia, powiem ci szczerze. Wolałbym kupić ziemię pod Krakowem i budować od podstaw. Mój brat jednak uparł się na dom Plechów. Uważa, że ma swój niepowtarzalny urok.

– To prawda – stwierdziła Helena. – Ja też go zawsze bardzo lubiłam, nawet w stanie, w jakim wówczas był. To piękne miejsce, wspaniały ogród. No i widok na rzekę jest po prostu bajeczny.

– Mikołaj chciał początkowo kupić mieszkanie. No ale wszyscy byśmy się w nim nie pomieścili, a ja lubię spędzać urlop w Polsce. Zresztą o ile wiem, lokal, który sobie upatrzył, nie miał uregulowanej własności i nie był na sprzedaż.

Kobietę dotknęło pewne przecucie.

– Kamienica przy Gwiazdzistej jedenaście? Parter?

Bartek spojrzał na nią uważnie, chwilę się zastanawiał, jakiej udzielić odpowiedzi, a potem skinął głową.

– Chyba tak. Być może. To już było dawno temu, nie pamiętam dokładnie. – Wykręcał się, ale ona nie zamierzała drażnić tematu.

– Wyciąłeś stare drzewa – zauważyła.

– Z wielką przykrością, możesz mi wierzyć. Nasadziłem w ich miejsce nowe, bo tamtych nie dało się uratować. Były częściowo spróchniałe, jedno czy dwa przewrócił wiatr.

– Została tylko Urania – stwierdziła Helena.

– Urania? – Nie rozumiał.

– No tak. Drzew było dziewięć, więc nazwano je imionami muz. Widzę, że została już tylko muza astronomii, co nie powinno chyba nikogo dziwić.

Roześmiał się.

– Urania, a to dobre! Ciekawe, czy Mikołaj o tym wie. Muszę koniecznie mu powiedzieć.

Wyminęli róg domu, gdy ich oczom ukazały się trzy czarne koty maszerujące po ścieżce.

– To koty mojego brata – wyjaśnił Bartek. – On sam też na pewno tu jest, nigdzie się bez niego nie ruszają. Są tak przywiązane do niego, że nie odstępują go na krok.

Koty rzeczywiście trudno było rozróżnić, miały identyczne umaszczenie i wielkość. Właściwie był to jeden kot w trzech kopiach. Ten idący z przodu miauknął ostrzegawczo i zaraz pojawił się Mikołaj.

– O, Helena, dzień dobry – rzucił z pewnym zakłopotaniem, oglądając się na brata.

– Mam nadzieję, że nie przeszkadzamy? – rzekł Bartek.

– No, coś ty. Twoje dzieci poszły do sąsiadów. Chyba w coś tam grają.

– Dobrze, byle tylko zachowywały się cicho i nie zdemolowały sąsiadom domu. –

Roześmiał się, a potem nagle sobie przypomniał: – Helena mi właśnie powiedziała, że to duże drzewo nazywa się Urania. Wszystkie miały imiona, ale, jak widzisz, ostała nam się tylko ta muza. Niesamowite, prawda?

– Bardzo wymowne – stwierdził Mikołaj. – Napijesz się czegoś? Fajnie, że wpadłaś, nie spodziewałem się.

Werde była nieco zakłopotana, bo Bartek ciągle przyglądał się jej ciekawie. Po chwili jednak zreflektował się i, stwierdziwszy, że ma coś do zrobienia w domu, zniknął.

– Może być woda – wróciła do tematu Helena.

Mikołaj zaprosił ją do ogrodu.

Nie pamiętała z dawnych lat, żeby był tu taki kącik. Zachwycał soczystą zielenią trawnika, pośrodku którego stała kwitnąca właśnie magnolia.

– Cudowna. U nas też jest jedna, ale jeszcze nie rozkwitła. Są chyba bardzo wymagające w uprawie.

– Przede wszystkim muszą mieć ciepło, szkodzi im też zbyt przewiew – wyjaśnił Matusz. – Usiądź, zaraz przyniosę szklanki.

– Właściwie nie trzeba, nie rób sobie kłopotu. Tu jest tak pięknie, posiedź ze mną – powiedziała nieoczekiwanie, a on się zmieszał.

Usiedli na ogrodowych fotelach.

– Chciałam ci podziękować za pomoc przy tym naszym nieszczęsnym ogródku.

– Dlaczego nieszczęsnym?

– Bo przy sadzeniu wszyscy się pozarli... – Opowiedziała mu w skrócie o pomysły Marty Olesińskiej na zagospodarowanie dawnej pralni.

Skinął głową ze zrozumieniem.

– Zawsze możesz się starać o ten lokal po kawiarni, o którym ci mówiłem. Czynniki nie jest wygórowany, zresztą możemy coś zadziałać, żeby urząd miasta podciągnął to pod jakąś działalność artystyczną.

– Kawiarnię na pewno zainteresuje się Jacek Nowacki. On chce restaurację zakładać w okolicy.

– To niech zakłada. Brakuje nam na Dębnikach takich fajnych miejsc. Powinien się do mnie zgłosić, coś byśmy mu na pewno znaleźli, jeżeli myśli poważnie o tej inwestycji.

– Serio mówisz?

– Jak najbardziej. Ostatnio dyskutowaliśmy o tym na zebraniu rady. Mamy mnóstwo punktów handlowych, różnych miejsc, że tak powiem, użytkowych, a nie ma gdzie spędzać wolnego czasu. Przytulna restauracja bardzo by się przydała.

– Wspomnę mu o tym. – Zgodziła się chętnie.

– Lepiej mi powiedz, co to za historia z tym dobrym uczynkiem, bo jakoś tego w ogóle nie rozumiałem, a przyznam, że jestem zaintrygowany. Nie myślałem, że ktoś was wciąga w tak dziwną akcję.

Helena uświadomiła sobie, że nie opowiedziała mu dokładnie, co postanowiono na spotkaniu z notariuszem. Zadzwoiła tylko, żeby uspokoił prokuratora Mierczyńskiego, ale nie przedstawiła szczegółów. Mikołaj był wtedy zajęty, a potem wyszła ta sprawa z jej chorobą. Właściwie to w dość oględny sposób wspomniała mu o całej historii, a on przyjął do wiadomości, że spadkobierca nie zamierza nikogo wyrzucić i sprawa jest na właściwej drodze.

– No właśnie. Dobry uczynek... – zasępiła się. – Nie zrelacjonowałam ci dokładnie przebiegu naszego spotkania z prawnikiem właściciela kamienicy.

– Napomknęłaś tylko, że nikt nie dostanie wypowiedzenia i wszystko jest w porządku. Myślałem, że to załatwia problem, a tu taka niespodzianka.

Kiwnęła głową.

– To prawda, oczywiście. Tylko że jak w każdej tego typu sytuacji, tak i tu jest mały haczyk. Spadkobierca zrobił niezwykle zapis: każdy z nas, to znaczy każda rodzina, otrzyma na własność dotychczas zajmowany lokal, pod warunkiem że w ciągu najbliższych dwóch lat spełni jakiś dobry uczynek. Nie może to być byle co – chodzi o coś ważnego i przełomowego, co odmieni życie zarówno tego, kto go spełnia, jak i osoby nim obdarowanej.

– Żartujesz – mruknął Mikołaj.

– Nie. Kazał nam podpisać umowę, która to precyzuje, i myśmy się zgodzili.

Chwilę panowało milczenie.

– Jak w jakimś filmie – stwierdził Szarotka.

Helena przytaknęła.

– Co więcej, dalej nie wiemy, kim on jest. Występuje anonimowo, reprezentuje go ten prawnik, Zawilski. Jacek sprawdził dokumenty, bo on ma swojego radcę, wszystko jest w porządku. Tylko że dalej nie znamy tożsamości naszego donatora. Jest to ściśle strzeżona tajemnica, którą poznamy dopiero przy przekazaniu mieszkań.

– To jeszcze dziwniejsze – podsumował Mikołaj. – Jakby nie z tego świata.

– To samo sobie pomyślałam. Ten nasz właściciel to jakiś idealista. Miranda podejrzewa wręcz, że on w ten sposób chce odkupić jakieś swoje przeszłe grzechy.

– Tylko jakie?

Helena wtajemniczyła kolegę w historię Sary Mincer i podzieliła się podejrzeniami. Mikołaj pokręcił głową.

– Moja rodzina mieszka na Dębnikach od pokoleń. Ta babcia, która chorowała z urojenia,

najpierw miała taki mały domek przy Barskiej, a potem się przeniósła z nami do bloków koło szkoły. Na pewno bym słyszał o takiej historii. Staruszka uwielbiała wojenne opowieści i nasłuchiwałem się od niej różności. Opowiadała nawet o tym, jak Hans Frank chciał tutaj budować niemiecką rządową dzielnicę. Zburzyć wszystko, a w miejsce Rynku Dębnickiego zrobić wielki plac z hitlerowskim ratuszem.

– Poważnie? – zdumiała się koleżanka.

– Tak, sprawdziłem to w aktach. Naprawdę pojawił się taki pomysł. Wyobraź sobie, jak by to teraz wszystko wyglądało. Na szczęście wojna przybrała zły obrót dla Niemców, zabrakło im funduszy i musieli się wycofać z tych planów.

– Niesamowite. Często się zastanawiam, jak jedne wydarzenia wpływają na inne. Przecież gdyby doszło do realizacji tych zamierzeń, to nie tylko Dębniki byłyby inne. Nasze życie też. Może w ogóle byśmy tu nie mieszkali?

– Kto wie. Mam taką teorię, że wszystko w życiu zależy od przypadkowo wybranej ścieżki. Często w ogóle nie wiesz, dlaczego podążasz w tym kierunku, a nie innym, wybierasz intuicyjnie, kierujesz się emocjami, a to decyduje o całym twoim dalszym życiu.

– Dobrze powiedziane. Nasze małe wybory kształtują nasze wielkie życie.

– Jest pewien wiersz, który o tym mówi. – Spojrzał na nią ciepło. To moje życiowe motto: „Zdarzyło mi się niegdyś ujrzeć w lesie rano / Dwie drogi; pojechałem tą mniej uczęszczaną – / Reszta wzięła się z tego, że to ją wybrałem”[13].

– Piękne i bardzo prawdziwe – przyznała Helena, a po dłuższej chwili milczenia zagadnęła jeszcze: – Chciałeś kupić to mieszkanie na dole w naszej kamienicy? To prawda?

Drgnął.

– Skąd wiesz? – zapytał z niepokojem.

– Bartek mi powiedział.

Mikołaj poruszył się niespokojnie na ogrodowym krześle.

– Tak, wiesz, myślałem o tym... Szukaliśmy czegoś w okolicy... No, ale ostatecznie mieszkanie byłoby za małe dla naszej rodziny...

– Powiedz mi prawdę – zażądała, wyczuwając jego zmieszanie. Patrzyła na niego wyczekująco, a potem pokręciła głową. – Ty znasz tego naszego spadkobiercę, prawda?

Spojrzał na nią z ogromnym zaskoczeniem.

– Nie! Nie mam pojęcia, kto to. Skąd w ogóle ten pomysł?

– Zastanawiałam się, czy nie wiedziałeś o tym mieszkaniu w zamian za dobry uczynek. To przecież nic złego – zastrzegła się.

– Myślałaś, że dowiedziałem się o pomysłe właściciela waszej kamienicy i postanowiłem w ten sposób wejść w posiadanie lokalu?

– Przeszło mi coś takiego przez myśl. Gdybyś go znał, oczywiście. To mieszkanie i tak stoi puste, więc właściwie – czemu nie? Mógłby się nawet przydać jeszcze jeden lokator w tej konkurencji dobrych uczynków. Przecież to nie jest żadna rywalizacja. Raczej w zamierzeniu – praca grupowa, więc akurat dobrze by mieć kogoś życzliwego w ekipie.

Roześmiał się, patrząc na nią.

– Nie. Nie miałem pojęcia o tym zapisie ani nie wiem, kto odziedziczył kamienicę. Powiedziałbym ci zresztą dużo wcześniej, gdy się zamartwiałaś, że was wyrzucą. Na pewno bym tego nie ukrywał. Nie przeszło mi też przez myśl, by zdobywać mieszkanie w taki sposób.

– Mam nadzieję, że nie obraziłeś się na mnie? – zaniepokoiła się. – Ja naprawdę nie widzę w tym nic złego. Ogólnie zastanawia mnie ten pusty lokal.

– Co masz na myśli? To dawne mieszkanie państwa Ilnerskich, mówiłem ci. Kiedy się zastanawiałem nad kupnem jakiegoś lokum dla siebie i brata, próbowałem nawet ich odszukać.

- No i co?
- Kamień w wodę. Ilnerscy wyjechali w osiemdziesiątym pierwszym roku do Paryża. Właściwie uciekli przez zieloną granicę, to była głośna sprawa...
- Naprawdę? Nie miałam o tym pojęcia.
- Tak. To trochę dziwne, bo twoja siostra dobrze знаła tego chłopaka, Tymona Ilnerskiego, chodzili razem do klasy. Gdy dostał wyrok za te ulotki, to było jakieś kolegium, chcieli go chyba do poprawczaka wsadzić. Rodzice spakowali wtedy po prostu rzeczy i nielegalnie wyjechali na Zachód.
- Żartujesz.
- Poważnie mówię. Bartek mi opowiadał... To wszystko działo się tuż przed wprowadzeniem stanu wojennego. Mieli szczęście, kilka miesięcy później chłopak dostałby pewnie wyższy wyrok, poza tym nie byłoby im tak łatwo uciec. A tak? Wybrali się niby na wycieczkę w góry, po czym zniknęli bez śladu. Kilka tygodni później ich ciotka dostała list z Francji, że są cali i zdrowi u rodziny w Paryżu.
- Niesamowita historia. – Kręciła głową Helena. – Muszę o to podpytać Felę.
- Zrób to. Ojciec tego chłopaka, Ilnerskiego, był w czasie wojny kurierem AK. Miał więc przećwiczone te trasy. Po prostu skorzystał z doświadczenia.
- To mi się akurat obilo o uszy. Ojczym Zuzi, profesor Stanisławski, mówił ostatnio, że pan Ilnerski był cichociemnym i miał przygody jak ze szpiegowskiego filmu.
- Chwilę milczeli, a potem Mikołaj dodał:
- To jednak ironia losu, prawda? Najpierw walczyć z hitlerowcami, narażać życie na kurierskiej trasie, a potem już w teoretycznie wolnej Polsce robić to samo, tylko uciekać przed swoimi.
- Takie czasy – mruknęła Helena, zastanawiając się, czemu nigdy nie słyszała historii o spektakularnej ucieczce sąsiadów. Ani od matki, ani od siostry. Przecież to sensacyjna opowieść!
- A po osiemdziesiątym dziewiątym nie wrócili już do kraju? – spytała koleżę.
- Właśnie nie. Nigdy się tutaj już nie pojawili. W ogóle ich losy są dość tajemnicze. Kilka lat temu odnalazłem tę ich ciotkę, do której wtedy napisali z Paryża, żyła jeszcze, choć była już bardzo leciwa. Dała mi jakiś francuski adres. Listy nie wracały, ale też nikt na nie nie odpowiadał. Uznałem, że po prostu nie chcą się z nami kontaktować. Ustaliłem tyle, że po ucieczce odebrano im to mieszkanie. No, ale po zmianie ustroju i wyprostowaniu nieprawidłowości mogliby chyba starać się o przywrócenie przydziału?
- Nie mam pojęcia, nie znam się na prawie. Wiem tylko, że na spotkaniu u Zawilskiego pojawili się wyłącznie obecni mieszkańcy kamienicy. Tylko oni podpisali też umowę. O tamtym mieszkaniu nikt nawet nie wspominał. A wiem, że Nowacki także chciał je przejąć i nic nie wskórał.
- Mikołaj westchnął.
- Pokręcona sprawa. Bardziej interesują mnie te wasze dobre uczynki. Macie już jakiś pomysł, co zrobicie?
- Nie. Jak wiesz, ja mam teraz swoje własne problemy. Powinam się włączyć w planowanie, ale nie mam do tego głowy. Boję się.
- Rozumiem. Wszystko będzie dobrze, zobaczysz. Wiem, że uznasz, iż mnie łatwo tak mówić. Jednak naprawdę jestem przekonany, że wyjdiesz z tego obronną ręką.
- Obyś miał rację. Budzę się w nocy i potem nie mogę już spać, denerwuję się, co będzie ze mną, z mamą. Ona to bardzo przeżywa, choć stara się ukrywać niepokój. Fela ją sterroryzowała. Nie podejrzewałam w ogóle, że moja siostra tak do tego wszystkiego podejdzie.

Zadaniowo.

– Dobrze, że im powiedziałaś. To było bez sensu. No i dowiedziałaś się czegoś dobrego o swoich bliskich. – Mikołaj westchnął ciężko.

Spojrzała na niego z uwagą. Co chciał przez to powiedzieć? Nie zapytała jednak.

– Martwię się też tym, że Inka postawiła złą diagnozę. Nie chodzi o to, że się pomyliła, ale że była zbyt optymistyczna. Dużo czytałam na temat nowotworów... Czasem dopiero podczas operacji okazuje się, z czym mamy do czynienia.

– Tego się właśnie obawiałem... Dałaś się nastraszyć internetowi – mruknął z niezadowoleniem Szarocki. – Sieć jednak robi więcej złego niż dobrego, jak widzę.

– Nie o to chodzi. Człowiek musi sobie zdawać sprawę z różnych scenariuszy, także tych niezbyt korzystnych. Moim zdaniem to świadczy o mądrości, nie o braku rozsądku. Ja nie panikuję, Mikołaj, po prostu obliczam swoje szanse.

– Rozumiem, ale powiedz mi, czego się właściwie boisz. Że Balbina zbyt pochopnie uznała twój stan za stosunkowo mało groźny? Czy że pogorszył się w ciągu tych kilkunastu dni?

– I jednego, i drugiego. To są sprawy, które wymykają się matematycznym obliczeniom. Ciężko mi się z tobą o tym rozmawia, ale boję się, że operacja będzie bardziej rozległa, niż na początku planowała Inka.

Nie odzywał się, bo zaczynał podejrzewać, do czego zmierza ta rozmowa.

– Boję się, że mi amputują pierś – powiedziała cicho. – I co ja wtedy zrobię?

– Tym się nie martw – powiedział niespodziewanie wesołym głosem. – Bartek ci w trymiga zrobi nową! No co tak patrzysz? On jest chirurgiem plastycznym, ma własną klinikę, żyje z tego. Jak niby moglibyśmy kupić i wyremontować ten dom? Przecież nie z pensji doktora astrofizyki, wolne żarty.

Uśmiechnęła się szeroko. Nie wiedziała, czy Bartek Szarocki jej pomoże, czy nie. Nie miała nawet pewności, czy będzie taka konieczność, ale jego brat na pewno potrafił ją rozweselić i odegnąć zły nastrój.

– Jak widać, wiedziałam, kiedy odnowić z tobą znajomość.

– To tylko dowodzi – rzucił ze śmiechem – że moja teza o ścieżkach, które czasami bezwiednie wybieramy, a które powodują ważne zmiany, jest słuszna.

– Oj, tak – westchnęła. – Szkoda mi tej wiosny. Zamiast patrzeć, jak zmienia się nasz ogródek, będę walczyła o zdrowie.

– Nie mów tak. Jeszcze się napatrzysz na ogródek aż do obrzydzenia. À propos, nie opowiedziałaś mi, jak to wszystko teraz wygląda. Wiem, że pokłóciliście się podczas prac, ale czy udało się je doprowadzić do końca?

– Wyobraź sobie, że tak. Na razie nie wygląda to jeszcze zachęcająco. Wszystko jest, co prawda, pięknie uprzątnięte, grunt splantowany, rośliny zasadzone, ale czy się przyjmą? W każdym razie jeśli się uda, będziemy mieć cudowny zakątek.

– Zasmuca mnie twoje czarnowidztwo, ale składam to na karb chwilowego spadku formy – stwierdził wesoło. – Jestem bowiem przekonany, że spędzisz tam niejedną miłą chwilę. Marta Olesińska ma, zdaje się, talent ogrodniczy?

– Tak, chyba jedyny, jaki do tej pory objawiła – westchnęła Helena. – Wszystko dopracowała w najdrobniejszych szczegółach. Wiele roślin, które przywiózł Jacek, wymieniła, inne dokupiła. To ma być prawdziwy ogród wiejski – tak powiedziała. Z łąką kwietną.

– Na pewno będzie wspaniały – zapewnił ją Mikołaj.

– Pójdę już, bo mam trochę roboty. Chciałam ci tylko podziękować, a zasiedziałam się niemiłosiernie.

– Nie ma sprawy. Mam pytanie. Kiedy idziesz do tego szpitala?

– Po weekendzie. Boję się strasznie.
– Niesłusznie, mówiłem ci. Spróbuj na to spojrzeć w taki sposób: za parę dni będzie już po wszystkim.

– Akurat. Może dopiero wtedy się zaczniesz? Kto to może wiedzieć. – Kręciła głową.

– Uważam, że lepiej cokolwiek robić, niż siedzieć z założonymi rękami – rozzłościł się.

– Ja nie zamierzam siedzieć i nic nie robić – wytłumaczyła. – Po prostu mam obawy i już.

– Rozumiem. Będę mógł cię tam odwiedzić?

– W szpitalu? – zdumiała się.

– No tak – odparł lekko zmieszany. – Zawsze to chyba milej mieć towarzystwo, ale jak sobie nie życzysz, to nie ma sprawy, Iskra.

– Nie, no coś ty. Po prostu mnie zaskoczyłeś. Jasne, przyjdź. Tylko nie obiecuję, że będę tryskała optymizmem.

– Teraz też nie tryskasz, więc jestem przyzwyczajony. Wydaje mi się, że może być tylko lepiej. – Mrugnął do niej.

– Fantasta z ciebie, Szarotka. To zapewne daje powodzenie w zawodzie, który wykonujesz.

Helena wstała, a Mikołaj odprowadził ją do furtki. Trzy czarne koty obserwowały scenę z tarasu na parterze, gdzie wygrzewały się w słońcu.

– Kiedy ty będziesz w szpitalu, ja załatwię sprawę pani Mrowińskiej – powiedział niespodziewanie.

– Właśnie... – Koleżanka zatrzymała się nagle. – Co z nią? Myślałam o tym, żeby ją jeszcze odwiedzić.

– Jedzie do sanatorium. Obiecałem, że ją tam odwiozę. Obawiam się, że w innym razie by się nie ruszyła.

– Dobry pomysł. Pozdrów ją ode mnie i życz miłego odpoczynku.

– Mam telefon do tego ośrodka. Może do niej przy okazji zadzwonisz? Ona tak cię lubi...

Helena nie była co do tego przekonana, ale skinęła głową. Miała wyrzuty sumienia, że ostatnio nie interesowała się nauczycielką. Były jednak inne sprawy, które ją przytłoczyły. Stała się też mało towarzyska i poirytowana, a nie chciała się z Anną pokłócić, gdyby podczas rozmowy doszło do jakiejś różnicy zdań. Musiała sobie i jej dać trochę czasu.

– Do zobaczenia. Dam ci znać, jak już będę w klinice – obiecała, kładąc dłoń na furcie.

– Dzięki, wszystko będzie dobrze, zobaczysz – zapewnił ją, a potem długo patrzył, jak odchodzi Ogrodową w kierunku bulwaru.

– Helena Werde... – Bartek wyrósł obok niego z kubkiem kawy. – Marzenia się jednak spełniają, co, braciszku?

– Przestań. To dawne dzieje – mruknął Szarocki, rozglądając się, czy nikt nie słyszy tej wymiany zdań.

– Akurat – zaprotestował Bartek. – Nie rozumiem cię. Co to ona: zakonnica, mężatka, że nie możesz się z nią po prostu umówić?

– To wszystko nie jest takie proste – tłumaczył niechętnie Mikołaj.

– Bywasz czasami w swoim pokoju, bracie? Masz w nim wszystkie zdjęcia Heleny Werde powyrywane ze szkolnego albumu i oprawione w ramki. Widzę, że nawet coś przybyło. Zdjęcie z obserwatorium astronomicznego, całkiem aktualne. Powiększone do wymiarów plakatu. Nie wciskaj mi więc kitu o dawnych dziejach.

Mikołaj zmierzył go nieprzyjemnym wzrokiem, a potem przywołał koty:

– Iskra 1, Iskra 2, Iskra 3 – pora na obiad! – Kotom nie trzeba było tego dwa razy powtarzać. Zerwały się z tarasu i pobiegły za nim do domu.

87. [13] R. Frost, *Droga nie wybrana*, [w:] *55 Wierszy*, tłum. S. Barańczak, Kraków 1992, s.



Helena starała się nie denerwować, ale już samo oczekiwanie na przyjęcie do szpitala wywoływało u niej stres. Czuła się dziwnie zagubiona. Miała, co prawda, karteczkę ze szczegółowymi instrukcjami, ale gdy przyszło co do czego, pojawiły się tysiące wątpliwości. Czy najpierw powinna iść do okienka, czy może na oddział? Czekać, czy zaczepić kogoś? Co będzie, jeżeli nie uda się jej niczego załatwić do godziny wskazanej na kartce?

– Poczekaj tutaj, ja się wszystkiego dowiem – powiedziała Ofelia, która jej towarzyszyła.

Helena skinęła głową. Nagle zrozumiała, jak ważne jest mieć na kogo liczyć w takiej chwili słabości i kryzysu. Móc po prostu powierzyć załatwianie swoich spraw komuś bliskiemu. Była wdzięczna siostrze i nagle poczuła do niej niewysłowioną miłość.

Fela zjawiła się po kilkunastu minutach.

– Już wszystko wiem. Zaraz ktoś po ciebie przyjdzie i zaprowadzą cię na oddział. Przekazałam już dokumenty do rejestracji, nie musisz się o nic martwić.

– Dziękuję ci.

– No coś ty, nie ma za co. Zrobiłabyś to samo dla mnie. Człowiek czuje się skołowany w takim ogromnym budynku, zwłaszcza jeśli załatwia takie rzeczy pierwszy raz.

Wkrótce, zgodnie z zapowiedzią, przyszła pielęgniarka, wzywając Helenę do przebieralni.

– Zabiorę rzeczy siostry do domu – zapewniła Ofelia. – Nie będziemy ich oddawać na przechowanie.

Proste czynności: zakładanie absurdalnej piżamy w małe kółka, którą kupiła sobie dzień wcześniej, i szlafrocza, który pożyczyła jej Miranda, bardzo ją uspokoiły. Gdy wsunęła na stopy klapki, czuła się już dużo lepiej. W kieszeni szlafroka miała nawet śliczną chusteczkę do nosa podarowaną przez Sylwię – z delikatnego batystu, haftowaną w drobne róże. Helena nigdy nie widziała, żeby mama wycierała w nią nos, chusteczka służyła raczej do ozdoby. Teraz

przypominała jej dom i dawała wsparcie. Sylwia i Miranda miały wpaść po południu. Ofelia stanowczo zabroniła takich wycieczek wcześniej.

– To jest szpital, a nie kawiarnia – przestrzegła. – Żadnych zlotów tam nie potrzeba. Helena musi się zaaklimatyzować w nowym miejscu.

Miranda i Sylwia zgodziły się potulnie na wszystkie warunki.

Fela odprowadziła siostrę na oddział.

– Jest Balbina? Chciałabym z nią porozmawiać – rzuciła siostrze.

– Tylko o czym? – Nie rozumiała Helena. Zgodnie z sugestią Ofelii wybrała się na konsultację do wskazanego przez nią lekarza, jakiegoś znajomego jej szefa. Specjalista w zasadzie potwierdził wszystko, co powiedziała Inka, był nawet dużo mniej wyczerpujący. Choć Helena wciąż miała żal do dawnej koleżanki za przeszłe sprawy, ufała jej w kwestiach medycznych. Nie rozumiała za bardzo, czego chce teraz od niej siostra. Miała nadzieję, że nie chodzi o jakiś rodzaj napomnienia. Balbina była cenionym lekarzem. Na pewno by się obraziła, gdyby Fela zaczęła udzielać jej rad. Helena doszła do wniosku, że nie dopuści do tego.

– Może będzie potrzebna krew, wiesz jak to jest przy operacjach, słyszałam, że czasami potrzebują zaświadczeń, że członkowie rodziny oddali – tłumaczyła tymczasem nieporadnie Ofelia, rozglądając się po korytarzu.

Helenie przydzielono miejsce na niewielkiej sali, z widokiem na zadbane podwórko.

– Krew? Co ty bredzisz. Inka o niczym takim nie mówiła, na pewno nie ma takiej potrzeby. – Siostra się zdenerwowała.

W tym momencie Lewińska weszła do sali.

– O, już jesteście. Cześć, Lena, dzień dobry, Ofelio. Zaraz zrobimy wstępne badania, wszystko już zleciłam. Nic się nie martw, idziemy do przodu, a to najważniejsze. – Obdarzyła Helenę swoim najpiękniejszym uśmiechem, zarezerwowanym, jak wytłumaczyła sobie Werde, dla pacjentów cykorów.

– Balbino, czy mogłybyśmy chwilę porozmawiać? Najlepiej u ciebie w gabinecie.

– Możecie tutaj. Inka, Fela wbiła sobie do głowy, że trzeba oddawać krew – ze zniecierpliwieniem powiedziała pacjentka.

– Krew? – zdziwiła się Balbina, ale szybko zrozumiała. – Zawsze można oddać, choć nie jest to żaden wymóg.

– Tak, rozumiem, ale chciałabym jeszcze pomówić o kilku dodatkowych sprawach – tłumaczyła się niezręcznie Ofelia.

Helena spojrzała na nią uważnie.

– O co ci chodzi? Chcesz uczulić Inkę na moje zachowanie? Zna mnie wystarczająco długo, żeby wiedzieć, czego się po mnie spodziewać.

Ofelia przygryzła wargi i patrzyła na Lewińską wyczekująco. Akurat do sali zajrzała pielęgniarka, zapraszając Helenę na badania.

– No dobrze, możecie mnie obgadywać, ile wlezie. – Zeskoczyła z łóżka.

Balbina i Ofelia zostały same.

– Mam nadzieję, że nie masz wątpliwości co do moich kompetencji? – Inka odgarnęła włosy z czoła.

– Ależ nie! Skąd ten pomysł. Chodzi o bardzo delikatną sprawę, rodzinną...

Lewińska zawiesiła na Ofelii wyczekujące spojrzenie.

– Chodzi o matkę Heleny – wyszeptała Jakubowska.

Inka drgnęła, a potem zrobiła taki gest, jakby chciała natychmiast przerwać tę rozmowę.

– Myślę, że powinniśmy jednak przejść do gabinetu. Nie chciałabym prowadzić tej rozmowy tutaj. – Odwróciła się i poprowadziła Ofelię przez korytarz do swego pokoju.

W tym samym czasie, w domu, Miranda uspokajała babcię, której całkowicie puściły nerwy.

– Mama się nią zajmie, nie zamartwiał się, babciu – tłumaczyła spokojnie, podając seniorce rodu krople nasercowe.

– Ech, co ty wiesz, dziecko. Ofelia zachowuje się całkowicie nieprzewidywalnie. Jak ona na nas krzyczała! Zabroniła nam iść do Helenki – rozpamiętywała Sylwia.

Miranda gładziła ją po dłoni:

– Była poirytowana całą sytuacją, trudno jej się dziwić. Bała się, że będziemy przeszkadzać...

– My? Ona chyba serca nie ma – chlipnęła Sylwia, dotknięta do żywego zachowaniem starszej córki.

Miranda musiała jednak przyznać rację matce. Babcia kompletnie się rozkleiła emocjonalnie i istniało niebezpieczeństwo, że w szpitalu trzeba by się było zająć najpierw nią. Ofelia może i zachowała się wobec matki szorstko, ale z pewnością racjonalnie.

– Odwiedzimy ciocię po południu, jak się już tam rozgości. Teraz na pewno wzięli ją na badania, więc tylko byśmy zawadzały – tłumaczyła wnuczka spokojnie.

Sylwia przytrzymała jej rękę.

– Masz rację, kochanie. Tylko Felunia była taka nieprzyjemna...

– Nie ma co tego rozpamiętywać. Czekajmy lepiej na jakąś wiadomość od mamy. Na pewno zadzwoni, tak jak obiecała.

Ofelia istotnie zatelefonowała z komunikatem, że wszystko jest już załatwione, a Helena przechodzi ostatnie badania.

– No widzisz?

– Kamień z serca – odetchnęła Sylwia. – Mirandziu, idź teraz na rynek i zrób zakupy. Ugotujemy Helence rosółek. To szpitalne jedzenie nie jest nic warte, lepiej jej zawieźć coś domowego.

Dziewczyna wiedziała, że babci nie da się odwieść od raz powziętego postanowienia. Podejrzała, że ciotka nie będzie w stanie nic przełknąć z nerwów lub – co bardziej prawdopodobne – zabronią jej jeść przed operacją. Wołała jednak nie dyskutować z Sylwią. Zabrała płócienną torbę na zakupy i wyszła z domu.

W ogródku spotkała Zuzannę podziwiającą świeże nasadzenia.

– Ależ to pięknie wygląda – przywitała się sąsiadka. – Nie mogę się doczekać, kiedy zobaczę ogród w pełni rozkwitu.

– Ja też – odpowiedziała Miranda, ale jej niewyraźna mina zaniepokoiła Zuzę.

– Coś się stało? Babcia gorzej się czuje?

– Skądże znowu. Babcia jest w znakomitej formie, zaczęła nawet trochę wychodzić z domu. Martwię się o Helenę.

– Tak? Coś się stało?

– Ciocia jest w szpitalu – westchnęła Miranda.

– Miała wypadek? – przeraziła się sąsiadka.

Jakubowska pokręciła głową.

– Nie mówiłyśmy ci, bo chciała to utrzymać w tajemnicy. Czekaj ją zabieg. Na onkologii...

– Ojej – jęknęła Lorenc. – Wybacz, nie miałam pojęcia. Czy mogę wam jakoś pomóc? Na pewno mogę! Może trzeba jakichś lekarzy, leków? Moja matka zna wiele znakomitości, śpiewała kiedyś dla takiej fundacji medycznej... Ostatnio nie jesteśmy w zbyt dobrych stosunkach, ale nie sądzę, żeby odmówiła.

– Bardzo ci dziękuję. Hela ma dobrego lekarza. To jej dawna przyjaciółka z klasy, Balbina Plecha. To znaczy teraz – Lewińska. Ona mówi, że stan jeszcze nie jest poważny, to znaczy nowotwór nie jest zaawansowany, a sama wiesz, co to znaczy.

– Tak. To dobrze, bardzo dobrze – powtarzała bezładnie Zuza, bo mnóstwo myśli kotłowało się jej w głowie.

– Tak mi się wydawało, że Helena jest ostatnio jakaś nieswoja – wypaliła wreszcie. – Zniknęła ta jej niezwykła pogoda ducha. Zastanawiałam się, co się dzieje, ale miałam tyle swoich spraw... Wstyd mi.

– Daj spokój, ciotka ukrywała to przed wszystkimi, nawet nam nie chciała początkowo powiedzieć.

Zuzanna zmierzyła ją spojrzeniem.

– Trzymacie się?

Miranda kiwnęła głową.

– Mama przyjęła to zaskakująco dobrze, od razu włączył jej się tryb działania. Pilnuje Heli, załatwia, koordynuje. Z babcią jest gorzej, sytuacja ją przerasta.

– A ty?

– Nie wiem, Zuzia, ale ze mną jest chyba coś nie w porządku. Boję się.

– O ciocię?

– Właśnie nie i tym się martwię. W ogóle sobie nie wyobrażam, żeby mogło się jej coś stać, nie dopuszczam do siebie takiej myśli. No bo jak to... Helena, zawsze taka zdrowa i pełna życia, miałyby teraz zachorować? To mi się nie mieści w głowie. A drugiej strony, gdy sobie uświadamiam, że ma raka, to zaczynam się bać o siebie. Czy ja czegoś nie zaniedbałam? Może powinnam się pójść zbadać?

– To na pewno nie zaszkodzi – stwierdziła Lorenc, która ze wstydem pomyślała, że ostatnie badania robiła bardzo dawno temu. Miranda miała rację – takie wydarzenia wytrącają człowieka z równowagi, ale może mają też sens? Czas zadbać i o swoje zdrowie, nie można chować głowy w piasek.

– Rozumiem cię – pocieszyła sąsiadkę. – Teraz, gdy o tym powiedziałaś, uświadomiłam sobie, że ja także nie robię okresówek. Sama nie wiem, czy wszystko ze mną w porządku.

Miranda ścisnęła jej dłoń.

– Dziękuję ci. Myślałam już, że dostałam jakiejś paranoi albo że jestem niewdzięczną, przewrażliwioną na swoim punkcie egoistką. Zamiast martwić się o Helenę, użalam się nad sobą.

– Uważam, że to normalne zachowanie. Przeżyłaś wstrząs, jesteś bardzo mocno związana z ciotką.

– Nawet nie wiesz, jak. To okropne, co powiem, ale ona jest mi pod wieloma względami bliższa niż własna matka. Może dlatego, że mamy podobne charaktery, w identyczny sposób postrzegamy świat?

– Jesteście rodziną, wychowałyście się razem, cóż się dziwić – tłumaczyła Zuzanna, która poczuła nagły żal, że nie ma siostry ani właściwie żadnej bliskiej osoby. Teraz odczuwała to boleśniej niż kiedykolwiek.

– Pójdę już na te zakupy, bo babcia będzie się niepokoić. Wysłała mnie po mięso na rosół dla naszej pacjentki. Musi coś zrobić, inaczej wpada w panikę.

– Każdy po swojemu radzi sobie z problemami – westchnęła Zuza i odprowadziła koleżankę wzrokiem.

Przez chwilę własne troski wydały jej się mało ważne. A gdyby nagle się okazało, że jest chora?

Ma dwójkę małych dzieci i jest samotna. Gdyby na przykład umarła – aż wzdrygnęła się

na tę myśl, ale przecież trzeba było i z taką świadomością się zmierzyć – jaka przyszłość czekałaby Jasia i Basię? Trafiliby do Leona i jego żony? Sama myśl była nieprzyjemna, bo rodzony ojciec raczej nie chciał ich wychowywać.

Moje życie jest nieuporządkowane. – Uświadomiła sobie w nagłym zdumieniu. – Wciąż poruszam się po omacku i jakby na ruchomych piaskach. Staram się coś tam poukładać, ale za chwilę to także się rozlatuje. Tak nie powinno być. Ze względu na dzieci muszę pomyśleć o jakiejś stabilizacji, trwałości. Nie mogę żyć dniem dzisiejszym, bez żadnych perspektyw na przyszłość.

Postanowiła od razu zatelefonować do Centrum Koncertowego i zapytać o warunki pracy. Broniła się przed tym, ale czas stawić czoła rzeczywistości. Jeżeli okaże się, że wyjazdów jest dużo, a ona nie będzie za nic mogła tego pogodzić z wychowaniem dzieci – po prostu podziękuje za tę pracę. Trudno. Oczywiście byłaby to zmarnowana szansa, ale w życiu liczą się ważniejsze rzeczy.

Trzeba umieć wybierać. Niewykorzystana możliwość nie wraca, ale na pewno pojawia się kolejna, w innym momencie. Chciała w to wierzyć i kierować się przede wszystkim dobrem swoim i bliźniąt. Nie można łapać wszystkich srok za ogon, czasem warto odpuścić.

Do tej pory martwiła się głównie oczekiwaniami innych: matki, przełożonych, nawet tej komisji konkursowej z Centrum Koncertowego, która może uznać ją za niepoważnego partnera, jeśli zrezygnuje z pracy. Teraz jednak zrozumiała, że najważniejsze jest uczciwe postawienie sprawy. Jeżeli nie będzie mogła przyjąć tej propozycji, po prostu odmówi. To są zwyczajne sprawy, które nikogo nie powinny dziwić, bo nie wszystko zawsze wszystkim pasuje.

Odetchnęła z ulgą.

Znowu pomyślała ciepło o Helenie. Niespodziewana wiadomość o jej chorobie nagle ukazała wszystkie kłopoty Zuzanny w nowym świetle. Nadała właściwą miarę różnym rzeczom.

Muszę im jakoś pomóc – pomyślała i od razu przyszła jej do głowy sprawa mydlarni. Koniecznie powinna wybić Marcie Olesińskiej z głowy ten jej pomysł. Helena wróci ze szpitala i jak dojdzie do siebie, na pewno będzie chciała rozpocząć swoją działalność. Nie można pozwolić, żeby Olesińska pozbawiła ją tych marzeń.

Zuza, która miała zamiar iść wcześniej na zajęcia do szkoły i pomówić z Sonią Piskorz o swoim odejściu, zawróciła do domu.

Najpierw postanowiła napisać list do tajemniczego spadkobiercy. Wytłumaczy w nim, dlaczego nie powinien się zgadzać na propozycję Olesińskiej czy Jacka Nowackiego, jeżeli i on chciałby się starać o lokal po dawnej pralni. Są inne lokale i inne miejsca. Ten należy się Helenie. Przeskakiwała po dwa schody naraz, układając sobie w głowie epistołę.

W domu wyciągnęła arkusz niebieskiego papieru korespondencyjnego i zaczęła pisać. Ręcznie, starym piórem, ponieważ uznała, że tak będzie grzeczniej. Właściciel domu to leciwy człowiek i na pewno doceni taką formę. Niespodziewanie list zajął jej prawie pięć stron. Wyłuszczyła w nim całą swoją historię: jak zamieszkała z dziećmi przy Gwiazdzistej i jak bardzo panie Werde, a zwłaszcza Helena, jej pomogły. Prosząc o dyskrecję, choć wydało jej się to absurdalne, bo niby komu dobroczyńca miałby o tym powiedzieć, wyznała prawdę o chorobie sąsiadki. Dowodziła, że mydlarnia mogłaby spełnić rolę terapeutyczną. Na koniec zaoferowała, że sama chętnie coś zrobi, aby pomóc Olesińskiej – może poszukać dla niej innej lokalizacji albo wesprzeć ją w jakiś dodatkowy sposób.

Byle tylko nie zabrał Helenie pracowni – pomyślała, zaklejając kopertę. No i żeby pójść za ciosem, wyciągnęła telefon z myślą o skontaktowaniu się z sekretariatem Centrum Koncertowego.

W tym momencie ktoś natarczywie zapukał do drzwi.

– Otwarte, wejdz, Mirando – rzuciła znad stołu, ale drzwi się nie uchyliły. Wstała więc z westchnieniem i otworzyła.

W progu stała jej matka.

– Dzień dobry, Zuzanno. – Łucja rozejrzała się po dawnej pracowni Edmunda. – A więc tutaj mieszkasz?

– Tak. Nie spodziewałam się ciebie. Na długo przyjechałaś? – Córka była tak zaskoczona, że nie potrafiła składnie sformułować myśli.

– To zależy od ciebie. Przemyślałam naszą rozmowę. Chciałabym, żebyśmy się porozumiały.

Zuza wpatrzyła się w matkę szeroko otwartymi oczyma. Co musiało się stać, żeby Łucja porzuciła swoje dotychczasowe życie i zjawiała się tutaj bez uprzedzenia? Była bardziej niż pewna, że coś się za tym kryje. Coś więcej niż uczucia rodzinne i chęć pogodzenia się z córką.

Przygryzła wargi i gestem zaprosiła matkę do środka.

Koniec tomu I

PODZIĘKOWANIA

Podczas pewnego spotkania autorskiego moje Czytelniczki z Krakowa zapytały, kiedy wreszcie będzie saga o naszym mieście. Tak się składało, że od dłuższego czasu myślałam o powieści osadzonej w realiach dzielnicy mego dzieciństwa, czyli na krakowskich Dębnikach.

Jest to miejsce jedyne w swoim rodzaju: położone na prawym, południowym brzegu Wisły, naprzeciwko Wawelu, łączące w sobie urok bliskości Śródmieścia z istic podmiejskim charakterem. Chodziłam na Dębnikach do szkoły podstawowej – spędziłam tam naprawdę cudowne, magiczne lata i chciałam ten rejon zatrzymać nie tylko w pamięci, ale i na kartach powieści.

Od razu wyjaśnię, że w książce nie ma moich wspomnień ani opowieści o autentycznych osobach żyjących w tej dzielnicy. Powieść to czysta fikcja, tak w przypadku postaci, jak i miejsc oraz wydarzeń. Wszystko wymyśliłam, łącznie z nazwami ulic, przy których mieszkają główni bohaterowie. Próżno ich szukać na mapie, gdyż istnieją tylko w mojej wyobraźni.

Są jednak w *Kamienicy pod Szczęśliwą Gwiazdą* także lokalizacje prawdziwe: Rynek Dębnicki i otaczające go ulice, bulwary nad Wisłą, nawet słupowa kapliczka znajdująca się nieopodal ośrodka zdrowia. Kto się wybierze na spacer, nie znajdzie może Gwiazdzistej, Nadrzecznej czy Ogrodowej, ale odkryje inne wspaniałe miejsca.

W powieści pojawił się wątek medyczny – jedna z moich bohaterek zмага się z rakiem piersi. Nie byłoby możliwe precyzyjne opisanie przebiegu i leczenia jej choroby, gdyby nie merytoryczna pomoc znakomitych lekarzy, którzy służyli mi wsparciem. Pragnę zatem w tym miejscu najserdeczniej podziękować pani doktor Ewie Sadeckiej-Roman, specjalistce z zakresu onkologii ze szpitala w Tarnobrzegu za wnikliwą lekturę tekstu i wszystkie cenne uwagi oraz panu profesorowi Wojciechowi M. Wysockiemu, kierownikowi Kliniki Chirurgii Onkologicznej w Centrum Onkologii – Instytucie im. Marii Skłodowskiej-Curie Oddział w Krakowie za

konsultację i inspirującą rozmowę.

Chciałam podziękować wszystkim, którzy czytają moje powieści i wspierają mnie na pisarskiej drodze. Drogie Czytelniczki i Czytelnicy, jestem Wam ogromnie wdzięczna, że wciąż wracacie do moich książek. Dziękuję za maile, które od Was otrzymuję, za wszystkie rady, uwagi, pochwały i Wasze refleksje. Wszystkie są ogromnie pomocne.

Sz szczególnie jestem wdzięczna Dziewczynom z mojej grupy czytelniczej na portalu społecznościowym o nazwie „Czary codzienności – kącik Czytelników powieści Agnieszki Krawczyk”. Są ze mną od dawna i wciąż doświadczam ich życzliwego wsparcia. Dziękuję Wam oraz wszystkim – naprawdę wszystkim – którzy mi towarzyszą.

Osobne wyrazy wdzięczności kieruję do blogerek, które z takim zapałem promują polską literaturę, popularyzując jednocześnie czytelnictwo. Książkowa blogosfera jest ogromna i wciąż się zmienia. Dziękuję wszystkim, choć wymienię tylko niektóre blogi: ONA CZYTA, „Książki Sardegny”, „Przegląd czytelniczy”, „Regał nowości”, „Miłość do czytania”, „Kobieta z książką”, „Prowincjonalna Nauczycielka”, „Panna Pollyanna”, „NIEnaczytana”, „Literackie przespiewki”, „Recenzje Dropsa Książkowego”, „Do ostatniej pestki trzeba żyć”, „Przeczytanki”, „Pasjonatka książek”, „Cynamonowa bibliotekarka”, „Informator czytelniczy”, „Nie teraz – Właśnie czytam”, „Lustro Rzeczywistości”, „Ejotkowe postrzeganie świata”, „Maluch w domu”, „Czytamy bo kochamy”, „Myśli i słowa wiatrem niesione”, „Książki non stop”, „Różany gaj słów”, „Moje małe szczęścia”, „PrzeCzytajka”, „Książki na czasie”, „Mamo poczytaj sobie”, „Kulturalne rozmowy”, „Życie książkami pisane” i „Miłość do czytania”.

Podziękowania kieruję też do mojego Wydawcy, czyli Filii, za wsparcie i wiarę w moje projekty.

Książka nie powstałaby bez wielkiego zaangażowania Krystyny Sadeckiej i firmy Seiton, zajmujących się redakcją i składem. Krysia jest niezastąpioną tropicielką błędów, omyłek i różnych autorskich potknięć. Dzięki jej staraniom moje pisanie staje się lepsze, a wydania moich książek coraz doskonalsze. Jestem jej za to ogromnie wdzięczna.

No i najważniejsze dla mnie podziękowania: dla mojej Rodziny. Jesteście niezastąpieni! Do zobaczenia przy kolejnym tomie „Uśmiechu losu”. Czekam z niecierpliwością.

Agnieszka Krawczyk

